

„Sharon Bolton zmienia oblicze literatury kryminalnej.”

TESS GERRITSEN

SHARON BOLTON

**JUŻ
JESTEŚ
MARTWA**


AMBER

SHARON BOLTON

**JUŻ
JESTEŚ
MARTWA**

Przekład
MAŁGORZATA STEFANIUK



Moim wspaniałym przyjaciołom z Ealing

Ta kobieta – Jessica Lane – nie powinna była przeżyć. W wypadku zginęło jedenaście osób. Lane nie tylko przeżyła, ale i uciekła. I wciąż ucieka.

A ja chcę wiedzieć dokąd. Chcę wiedzieć, dlaczego się z nikim nie skontaktowała. Dlaczego nie szuka pomocy. Dlaczego tak unika policji.

Chcę wiedzieć, przed kim ucieka.

Ale najbardziej chcę ją znaleźć.

Część 1

2

Środa, 20 września

Balon wisiał w powietrzu jak odwrócona do góry nogami bombka na choince. Jego kulista powłoka w pasy odbijała się w lustrze jeziora. W blasku poranka woda mieniła się barwą dojrzałej brzoskwini, przy brzegach bladym złotem, a na środku głębszym, bogatszym różem. Nie wiało. I było cicho. Drzewa wzdłuż brzegu przestały szeleścić. Żaden z trzynastu pasażerów balonu nie poruszał się ani nie odzywał. Wydawało się, że świat wstrzymał oddech.

W dole, tak daleko, jak sięgał wzrok, w każdą stronę rozciągały się bezkresne, porośnięte wrzosami torfowiska Parku Narodowego Northumberland. Hektary traw falowały jak sierść olbrzymiego, budzącego się zwierzęcia, strumienie błyszcząły jak srebrne łuski węży, palące wschodzące słońce ogarniało ogniem szczyty wzgórz. Krajobraz nie miał końca, był dziki, taki sam jak przed setkami lat, jakby balon był wehikułem czasu, który przeniósł ich w czasy, gdy na północy Anglii mieszkało jeszcze mniej ludzi niż teraz. Nie widzieli żadnych dróg, linii kolejowych, miast ani wsi.

Poza nimi świat wydawał się pusty.

Kosz był duży, prostokątny, jak zwykle w przypadku lotów wycieczkowych, podzielony na cztery sekcje, żeby ograniczyć możliwość przemieszczania się pasażerów po pokładzie. Pilot miał własne miejsce, pośrodku prostokąta. W jednym z przedziałów były dwie kobiety, obie po trzydziestce. Jedna ubrana na czarno, druga na zielono. Nie były aż tak podobne, żeby wziąć je za bliźniaczki, ale na pewno były siostrami. Ta w czerni wyrzuciła z siebie cichą bańkę dźwięku, zbyt głośnego na westchnienie, zbyt radosnego na jęk.

– Nie ma za co. – Siostra w zielonym uśmiechnęła się.

Swoje przedziały siostry dzieliły z księgowym z Dunstable. Jego żona i dwójka nastoletnich dzieci stali w sąsiednim. Po przeciwnej stronie pilota byli trzej mężczyźni, turyści, którzy wcześniej wybrali się na pieszą wędrówkę, ubrani jak światła na pasach w czerwone, pomarańczowe i zielone kurtki, małżeństwo w średnim wieku ze Szkocji i emerytowany dziennikarz.

Płynęli nad jeziorem, a kosz kontynuował swój powolny i leniwy spiralny obrót. Ten stały ruch był jednym z największych zaskoczeń wyprawy, tak samo jak odczucie powietrza na wysokości. Było ostrzejsze i bardziej świeże niż na dole.

Zimne, ale nie w ten nieprzyjemny sposób jak w mroźne poranki. To powietrze szczypało skórę, musowało w płucach.

Kobieta w zieleni, Jessica, przysunęła się do siostry, której twarz była blada, dłonie kurczowo wczepione w krawędź burty. Wpatrywała się w lustro wody w dole, z oczami rozszerzonymi zdumieniem. Jessicę naszła nagła i niepokojąca myśl. Że siostra zaraz wyskoczy.

Chwilę później pomyślała, że lepiej by się stało, gdyby wyskoczyły obie, że jedna czy dwie sekundy strachu i bolesne zderzenie z powierzchnią wody to wcale nie aż takie straszne. Chłodna, dławiąca czerń mogłaby je zabić, ale równie dobrze mogłaby wypchnąć je w górę i zanieść do brzegu. Gdyby wyskoczyły w tamtym momencie, może obie wciąż by żyły.

– Niesamowite, prawda? – spytała. Już dawno temu się przekonała, że rozproszenie uwagi potrafiło czasami powstrzymać siostrę przed jakimś lekkomyślnym ruchem. – Podoba ci się? Nie mogę uwierzyć, że nigdy wcześniej tego nie zrobiłyśmy.

Isabel się uśmiechnęła, ale nie odpowiedziała. Po co? Było jasne, że jest zachwycona wycieczką.

– Jest cudownie, prawda? Popatrz na te kolory.

Nadal żadnej odpowiedzi, jednak Jessica odczuwała satysfakcję, gdy patrzyła, jak siostra podnosi głowę i rozpromienionym wzrokiem omiata grupę drzew rosnących tuż przy brzegu. Były jak damy na balu, rozpychające się, walczące o miejsce. Zwiewne suknie spływały do samej ziemi, plątały się, aż nie było wiadomo, gdzie kończy się jedna, a zaczyna druga. Za drzewami wzgórze, błyszczące jak drogocenne klejnoty, ciągnęły się w nieskończoność.

– Przelatujemy teraz nad majątkiem Harcourt. – Od chwili startu tylko pilot mówił głośniej, a nie szeptał jak reszta. – Pierwotny dom stał na tamtym wzniesieniu bezpośrednio przed nami, ale spłonął w pożarze pod koniec dziewiętnastego wieku.

– Nie powinniśmy się wznieść trochę wyżej? – Emerytowany dziennikarz z przerzedzonymi włosami, za to z dość obfitym brzuchem, z niepokojem przyglądał się szybko zbliżającym się drzewom.

– Nie ma się czego obawiać. Już nie raz tędy latałem. – Wysoki, rudowłosy pilot z akcentem okolic Newcastle popieścił powietrze nad palnikiem krótkim snopem płomienia. Ci, którzy stali najbliżej, poczuli na głowach podmuch gorąca, jak z pieca. – Lubię w tym punkcie lecieć nisko, bo te lasy to w Humberland jedno z najlepszych miejsc, żeby zobaczyć wiewiórki. A także, chociaż to już dość późno w sensie pory roku, rybołowy.

Nastąpiło nagłe poruszenie, ludzie wyciągnęli kamery i zaczęli się przeciskać do brzegów kosza od strony lasu. Żadna z sióstr nie zabrała kamery, więc to one pierwsze zobaczyły zrujnowaną górną część domu, kiedy się pojawiła,

wyrastając spomiędzy koron drzew jak pokryty kamieniem żab. Siostra w czerni zadrżała.

– Ten szesnastowieczny dom wybudowano tu w celach obronnych – oznajmił pilot, gdy balon lekko się wzniósł, żeby ominąć wierzchołki drzew. – W tamtym czasie rozciągał się z niego niczym niezmacony widok na odległość prawie osiemdziesięciu kilometrów. Piętnaście minut do lądowania, proszę państwa.

– Co to? Na czubku tego szerokiego drzewa z żółtymi liśćmi? Szarawobrazowe pióra. – Jeden z mężczyzn pokazał do tyłu, na szczyty drzew, i uwaga wszystkich przeniosła się tam.

– Możliwe. – Pilot odwrócił się od kierunku podróży i podniósł do oczu lornetkę.

– Tam w dole ktoś jest.

– Gdzie? W lesie? – Jessica spojrzała tam, gdzie patrzyła siostra, ale jej wzrok nigdy nie był aż tak dobry. Słuch Isabel też miała lepszy. I zawsze pierwsza wyczuwała zapachy i dziwny smak w potrawach. Z nich dwóch to ona była tą wrażliwszą, z bardziej wyostrzonymi zmysłami.

– Za domem.

Jessica wspięła się na palce. Ponad ramieniem siostry zobaczyła ziejące dziury w dachu i rozpadające się mury.

– Jakaś dziewczyna. Biegnie.

Balon przepłynął nad domem tak nisko, że dało się zobaczyć maleńkie poduszki mchu i pokruszone dachówki. Pilot, zajęty wypatrywaniem rybołowa, pozwolił, żeby zeszli jeszcze niżej.

– Tam.

Biegnąca postać – młoda kobieta, szczupła, ciemnowłosa, w czymś niebieskim, chyba orientalnym – dotarła do odległego krańca ogrodu.

– Co ona robi?

Dziewczynę w dole obserwowały tylko siostry. Inni pasażerowie próbowali uwiecznić na zdjęciach rybołowa, dziennikarz radził, jak najlepiej fotografować dziką przyrodę. Jessica rozejrzała się, niepewna, czy powinna zaalarmować resztę. Z kieszeni kurtki wyciągnęła telefon.

W dole, w ogrodzie, zza linii zarośli wyłonił się jakiś mężczyzna. Szedł powoli, ale zdecydowanie. Z góry siostry mogły określić tylko jego sylwetkę i strój – niski, ale mocno zbudowany. W luźnej skórzanej kurtce, białej koszuli i filcowym kapeluszu. Spod runda wystawały ciemne kręcone włosy.

Obok mężczyzny biegł owczarek niemiecki.

– Och! – Jessica jeszcze bliżej przysunęła się do siostry. – Bello, nie ruszaj się, daj mi tylko...

Na widok mężczyzny dziewczyna w dole osunęła się na kolana, skuliła i zasłoniła głowę rękami.

– Co to? – zdumiała się Isabel.
– Nie wierzę! To on.
– Kto? Jess, znasz tego mężczyznę?
– Sean! – Jessica sięgnęła do tyłu, żeby dotknąć ramienia pilota. – Musisz to zobaczyć.

– O co chodzi? – Pilot odwrócił się w ich stronę, tak samo księgowy.
– On ma broń. – Nastoletni syn księgowego zauważył parę w dole. Pokazywał na coś w lewej ręce mężczyzny. Coś, co wyglądało na sztucer lub strzelbę. W prawej mężczyzna trzymał duży kamień.

– Och, mój Boże, faktycznie – rzuciła matka nastolatka. – Co z tym zrobimy?

Nadal mówili przenikliwym szeptem.

Inni w koszu przestali się interesować rybołowem. Więcej głów zwracało się w stronę sióstr. Dziewczyna na ziemi spojrzała w górę, zobaczyła balon i zaczęła krzyczeć. Mężczyzna, który jeszcze ich nie spostrzegł ani nie usłyszał, podniósł kamień wysoko. Dziewczyna przywarła do ziemi, jakby chciała się pod nią zapaść. Mężczyzna z rozmachem opuścił kamień.

Dziewczyna już więcej nie krzyknęła. Zduszony okrzyk, doskonale słyszalny w porannym powietrzu, wydarł się z ust kogoś w balonie. To był jedyny dźwięk, jaki wydali. Byli w szoku. Mężczyzna na ziemi odwrócił się i spojrzał w górę. Jego pies też. Zaczął szczekać. Pasażerowie w balonie zobaczyli, że mężczyzna upuszcza kamień i podnosi rękę do głowy. Przytrzymując kapelusz, odchylił się i patrzył na nich.

– O Chryste – jęknęła Jessica.

Powietrze wokół nich zaryczało, bo Sean otworzył zawór i wypuścił płomień. Ale podczas instruktażu mówił, że zawsze należy się liczyć ze zwłoką, do dziesięciu sekund. Może minąć aż dziesięć sekund, zanim balon się wzniesie. Isabel, która prawdopodobnie przypominała sobie to samo, zaczęła cicho liczyć.

– Dziesięć, dziewięć...

Jessica podniosła telefon, włączyła aparat i pstryknęła zdjęcie mężczyźnie. Zauważył to. Przez sekundę patrzył jej prosto w oczy.

– Osiem, siedem...

Mężczyzna na ziemi przełożył strzelbę do prawej ręki.

– Kryć się! Wszyscy na dół! – Jessica zepchnęła siostrę poniżej krawędzi burty i sama przykucnęła. Sięgnęła w tył i pociągnęła za rękę księgowego. Nie mogła się schować do końca, w koszu po prostu nie było na to miejsca, więc nadal wpatrywała się w mężczyznę w dole. Czubek jej głowy niebezpiecznie wystawał ponad krawędź.

Pies biegał podekscytowany w kółko, ujadając na to coś dziwnego na niebie.

– Sześć, pięć... – liczyła Isabel.

Chyba się wznosimy, chociaż wolno, pomyślała Jessica. Niektórzy nadal stali.

– Schowajcie się! – zawołała.

Kolejny płomień strzelił w górę w tym samym momencie, w którym mężczyzna na ziemi podniósł strzelbę. Ciszę porannego powietrza przeszyły okrzyki przerażenia. Pasażerowie wołali do siebie i do pilota. Kiedy księgowy, sięgając nad przegrodą przedziałów, zaczął spychać rodzinę w dół, kosz zaczął się obracać. Siostry znalazły się dalej od dramatu rozgrywającego się na ziemi.

– Cztery, trzy... – Zdecydowanie się wznosili, teraz już szybciej.

– Trzymajcie się mocno! – Sean wypuścił płomień po raz trzeci.

– Dwa, jeden.

W myślach Jessica odliczyła jeszcze jedną sekundę, potem kolejną. Tak, teraz wznosili się szybko. Balon przefrunął za otoczone murem granice ogrodu. Z każdą sekundą nabierał wysokości.

– Och, dzięki Bogu! – Szybko, w górę. – Och, mój Boże! Ludzie, schowajcie głowy!

Kosz się obrócił, znowu widziała ogród. Przez przejście zwieńczone łukiem, kiedyś pewnie wyposażone w solidne dwuskrzydłowe drzwi, mężczyzna na ziemi wyszedł na otwartą przestrzeń za domem. Jessica podniosła telefon i znowu zrobiła zdjęcie. Tym razem miała doskonałą widoczność. Na nieszczęście mężczyzna też.

– Głowy w dół! Głowy w dół!

Nie wiedziała, kto krzyczy. Prawdopodobnie pilot, ale nie mogła się poruszyć, nie mogła ukucnąć i się schować. Dalej wpatrywała się w mężczyznę, który dla równowagi oparł się o mur, a potem przyłożył kolbę do ramienia.

Celował w nią. Była pewna.

Strzał – głośny, wyraźny i bardzo, bardzo bliski – i kilkusekundowa, wypełniona szokiem cisza. Potem ciche mamrotanie i zduszony jęk. Nastoletnia dziewczyna zaczęła płakać.

Balon wznosił się teraz bardzo szybko, ziemia w dole się kurczyła. Dwie postacie, jedna zwinięta jak pogrążony we śnie wąż, druga krocząca szybko wzdłuż wzniesienia, jakby chciała ich dogonić, zaczynały być niewyraźne. Kątem oka Jessica zobaczyła, że nad burtą pojawia się następna głowa. Słyszała, że ktoś się porusza, drapie w rattanowy szkielet kosza. Inni pasażerowie podnosili się. Isabel popchnęła ją, więc się odchyliła, żeby siostra mogła wstać.

– To się stało naprawdę?

– Nie wierzę.

– Wszyscy są cali?

– Helen? Poppy? Nathan? Odezwijcie się.

Mężczyzna w dole znowu podniósł strzelbę. Kosz się zachybotał, bo ludzie znów zaczęli się chować. Tym razem obie siostry pozostały tam, gdzie stały. Byli

już wysoko, pewnie tak wysoko, jak wtedy, gdy rozpoczynali lot. I kilkaset metrów dalej. Wydawało się, że są bezpieczni.

– Mamy tu zasięg? – Dziennikarz wciąż kucał. – Musimy zawiadomić policję.

Jessica już to sprawdzała. Nic. Zasięg był bardzo słaby albo w ogóle go nie było. Park Narodowy Northumberland to nadal jeden z najbardziej odosobnionych, słabo zaludnionych, najtrudniej dostępnych zakątków kraju.

Głowy znowu zaczęły się pojawiać. Księgowy, który wcześniej przedstawił się jako Harry, sięgnął do żony otaczającej ramionami stojące u jej boków dzieci. Ludzie, wyraźnie wstrząśnięci, patrzyli w dół na wzniesienie, na ruiny domu, na jesienną mozaikę lasu. Jezioro nadal błyszczało w porannym słońcu jak porzucona jednopensówka. Było już bardzo daleko.

– Już dobrze. Niech się wszyscy uspokoją. Nat, nic ci nie jest? Już po wszystkim. Jesteśmy już daleko. Już go nawet nie widzę. Jezu Chryste, my to naprawdę widzieliśmy?

Jessica poczuła, że zaczyna drzeć, przerażenie ustępowało miejsca uldze. Znowu sprawdziła telefon. Tam na ziemi jest kobieta, która nie da rady uciec. Ktoś z inną siecią może mieć więcej szczęścia. Otworzyła usta, żeby poprosić, aby wszyscy sprawdzili swoje komórki...

Krzyk uderzył ją w bok głowy jak młot.

Pasażerowie jak jeden mąż odwrócili się w kierunku, skąd dobiegł. Po drugiej stronie kosza stała nauczycielka w średnim wieku, Natalie. Zasłaniała twarz dłońmi, nie przestając krzyczeć. Jej mąż chwycił ją za ramiona i próbował odwrócić do siebie.

Pozostali pasażerowie popatrzyli na nią, powiedli spojrzeniami za linią jej wzroku i natychmiast zorientowali się, że czegoś brakuje. I że ten brak przywiedzie ich do zguby.

Sean, rudowłosy pilot, nie stał już wyprostowany w swoim oddzielnym przedziale pośrodku kosza, z jedną ręką na zaworze palnika, a drugą zaciśniętą na lornetce. Ci najbliżej niego przechylili się w przód, jakby sądzili, że on też się schował. Nastoletni chłopak został odciągnięty przez ojca. Jeden z mężczyzn odwrócił się, na twarzy miał wyraz obrzydzenia.

– Co?

– Gdzie on jest?

– Zniknął?

Jessica precyzyjnie się bliżej i wspięła na palce, żeby wyjrzeć nad ramieniem księgowego, a potem znowu podniosła telefon i zaczęła robić zdjęcia.

Wnętrze przedziału pilota wyglądało, jakby ktoś oblał je czerwoną farbą. Po rattanowych bokach spływała krew i kleisty szary śluz. Na spodzie płatanina kończyn i tułowia.

Głowy nie było. Została odstrzelona od ciała.

Zdjęcie pilota jednym strzałem było chyba najbardziej satysfakcjonującym doznaniem w jego życiu. Patrick czuł mrowienie ekscytacji, energia krążyła po żyłach, jakby ktoś potraktował go serią z paralizatora. Teraz jednak skupiał się na ciemnowłosej kobiecie w zielonej kurtce. Zaczerpnął powietrza, wstrzymał oddech i poczuł, że palec na spuście pulsuje gorącem. Patrzyła na niego oszołomiona jak zając, za chwilę jej mózg eksploduje jak fajerwerk. Na myśl, że polowanie wkrótce dobiegnie końca, w jego podbrzuszu pojawiło się znajome uczucie podniecenia, na środku klatki piersiowej obrys krzyża wypalał skórę przez materiał koszuli.

Ale cholerny kosz znowu się obracał. Głowa kobiety znikła z widoku, częściowo zasłonięta przez jedną z grubych lin nośnych. Z każdą mijającą sekundą balon wznosił się coraz wyżej. Zaczęły się pokazywać inne głowy, które na jego widok znowu szybko się chowały. Dostrzegł sześć, osiem, może więcej. Zostało mu niewiele czasu.

– Zamknij się, Shinto. – Chciał kopnąć psa, ale ten zwinnie umknął przed kopniakiem. Miał wieloletnią praktykę.

Może celować w kosz. Wiklina nie zatrzyma kul. Mógłby zdjąć większość, po prostu obstrzeliwując gondolę. Teraz, bo lepszego, czystsze strzału mieć nie będzie. Znowu patrzyła prosto na niego, nawet się wychyliła. Patrzyła na niego prawie tak, jakby go znała... Nacisnął lekko na spust.

I się zatrzymał. Nie może zabić nikogo więcej. Nawet jedna osoba to za dużo. To musi wyglądać na wypadek. Reszta będzie musiała zginąć podczas zderzenia z ziemią.

Żaden problem. W zasadzie będzie jeszcze zabawniej.

Opuścił strzelbę. Przez chwilę patrzył za odpływającym balonem, potem wyciągnął komórkę. Brak zasięgu. Tu go nigdy nie ma. Żaden z pasażerów balonu w najbliższym czasie nie wezwie pomocy ani nie zgłosi zajścia.

Za jego plecami rozległ się cichy jęk. Przypomniawszy mu, że jeszcze nie skończył tego, co miał zrobić. Wrócił do ogrodu, pies za nim.

Dziewczyna na ziemi wciąż żyła, ale ledwo. Krwawiła. Z rany na głowie i chyba z ucha. Chwytał pasmo czarnych włosów, nachylił się i przytknął je do twarzy. Pachniały tłuszczem i potem. Kiedy je z obrzydzeniem wypuścił, dziewczyna otworzyła oczy. Nie była w stanie skupić wzroku. Oczy miała czarne, ale już bez blasku. Jęknęła, nie próbowała się jednak poruszyć.

Chociaż nie miał na to czasu, przyglądał się jej przez kilka minut. Ułożył jej włosy tak, żeby zasłaniały twarz, ale już nie podniósł palców do nosa. Kolor był taki, jak trzeba, taki, jaki lubił, ale zapach nie. Odsunął się, wpatrzony w zarys szczupłego ciała pod brudnymi ubraniami. Do głowy przyszły mu myśli, za które

na pewno trafi do piekła. Przynajmniej tak by uznała jego matka.

Czas uciekał. Zarzucił strzelbę na ramię i przemierzywszy ogród i ruiny domu, wybiegł na zewnątrz frontowym wyjściem. Jego quad czekał. Wetknął kapelusz do kieszeni, uruchomił maszynę i ruszył. Shinto za nim. Jeśli musiał, potrafił biec za quadem nawet cały dzień.

Szok owinął się wokół balonu jak lodowaty wiatr. Jeden z mężczyzn w odległym rogu kosza wykrzykiwał polecenia, których nikt dobrze nie słyszał. Nastoletni chłopak, pstrykający komórką zdjęcia martwemu pilotowi, był kłębkim rozedrganych nerwowych ruchów. Natomiast jego ojciec stał nieruchomo, jak sparaliżowany. Matka i córka, obejmujące się kurczowo, starały się trzymać jak najdalej od zabitego mężczyzny.

Natalie wczepiła się w męża i krzyczała, że chce być na ziemi, że muszą ją sprowadzić na ziemię, że ona naprawdę dłużej nie wytrzyma i czy oni mogliby sprowadzić ją na dół.

Ziemia pod nimi straciła większość kolorytu, cały swój blask, bo na niebie prawie znikąd pojawiły się ciężkie chmury odzierające lasy w dole z ich barwnego piękna. Teraz rezerwat wyglądał jak bezлюдne pustkowia. Miejsce, z którego nie można oczekiwać żadnej pomocy.

Balon nadal się wznosił, nabierając prędkości. Jego cień w dole podążał za nim. Zrobiło się zimniej. Łagodne szczypanie na skórze z pierwszej części lotu ustąpiło miejsca ostremu kłusaniu, jak podczas zimowych poranków. Po raz pierwszy od chwili startu Jessica doświadczyła tępego bólu mdłości.

Na swojej dłoni poczuła dotyk innej, chłodnej.

– Co robimy? – spytała Isabel.

Naprzeciwko nich, po drugiej stronie przedziału pilota, trzech mężczyzn stało w gotowości. Byli bladzi, ale opanowani. Dziennikarz też.

– Potrzebujemy nowego pilota. – Jessica starała się zapanować nad głosem. Nie chciała, żeby zdradzał, jak bardzo jest przerażona. – To nie myśliwiec. Balon leci w górę i opada. To nie może być trudne.

Odezwał się jeden z mężczyzn, Nigel.

– Jestem inżynierem mechaniki. Ktoś uważa, że ma lepsze kwalifikacje?

– Niech ktoś coś zrobi, szybko! – zawyła Natalie. – Nie chcę tu zginąć.

– Nikt nie zginie. – Mężczyzna w czerwonym, Walter, facet o tubalnym głosie, pod wpływem strachu mówił jeszcze głośniej.

– Mamy mnóstwo czasu – oznajmił dziennikarz, Martyn. – Zanim zacznie nam brakować tlenu, możemy się wznieść na jakieś trzy tysiące metrów. Najważniejsze to nie panikować.

Bardzo rozsądna sugestia. Ale trudna do zrealizowania. Panika wisiała nad nimi, czaiła się jak gigantyczny drapieżny ptak. Jessica nie chciała podnosić głowy. Jeszcze by go zobaczyła, siedzącego na obramowaniu, łypiącego w dół, czekającego, aż całkiem stracą nad sobą panowanie. Zamiast tego spojrzała w dół. Ziemia się nie oddalała.

– Podsadź mnie, Walt. – Nigel wyciągnął ręce, żeby się chwycić pokrytych skórą słupków.

Natalie oderwała się od męża i zaczęła wyć. Wykrzykiwała przerażenie w coraz bardziej rzadniejące powietrze.

– Zamknij się! – Ostatni z trzech mężczyzn, Bob, wycelował palcem w męża Natalie i warknął: – Ucisz ją. Niech wszyscy się uciszą, inaczej sam powyrzucam was za burtę.

W jego stronę odwróciła się czerwona, wykrzywiona gniewem twarz.

– To doprawdy niepotrzebne.

– Wszyscy powinniśmy starać się zachować spokój – orzekła Isabel. – Jesteśmy przerażeni, ale to jeszcze nie koniec, możemy próbować się ratować.

Posłuchali jej. Krzyki zostały zdławione, szloch powstrzymany. Ten narzucony spokój był jednak kruchy jak bańka mydlana. Mógł prysnąć w każdej sekundzie.

Nigel, niebezpiecznie odsłonięty, chwiał się na krawędzi przedziału pilota. Gdy po chwili zeskoczył, miał poszarzałą twarz.

– Cholera. – Zwrócił się do swoich kolegów. – Nic tu nie widać. Musimy się pozbyć Seana.

Walter wybałuszył oczy.

– Jak to pozbyć?

– Sam zobacz.

Kiedy stojący najbliżej przeciskali się do przodu, Bob zrobił coś, co wydawało się idiotycznie zuchwałe. Złapał się słupków łączących balon z koszem i podskoczył, żeby usiąść na krawędzi. Wszyscy spojrzeli w dół. Przestrzeń na środku kosza była maleńka, a pilot był dużym mężczyzną, więc jego bezgłowe ciało zajmowało całą powierzchnię.

– Musimy go wyrzucić.

– Nie możemy tego zrobić. Połóż go.

– To nic nie da. Nie będziemy mogli dać kroku.

– Przenieśmy go do innego przedziału – zaproponował Walter.

Natalie znowu zaczęła zawodzić.

– Nie wkładajcie go do nas! Nie zniosę tego!

Dziennikarz odwrócił się w jej stronę.

– Przecież nie możemy go tak po prostu wyrzucić.

– Na litość boską, on nie żyje. Bardziej martwy nie będzie.

Jessica musiała coś powiedzieć.

– Już się nie wznosimy – oznajmiła. – A nawet sporo opadliśmy. Cokolwiek mamy zrobić, pospieszmy się.

Bob zeskoczył z krawędzi.

– Jessica ma rację. Nie czas na sentymenty. Musimy się go pozbyć.

– Przejdę do ciebie, Nigel – zaproponował Walter. – Pomogę ci.

Nigel kiwnął głową.

– Martyn, ty też pomożesz? Dasz radę? Szanowne panie, przykro mi, ale będziecie musiały popchnąć jego nogi i ręce.

– Nie ma sprawy – zapewniła Jessica.

Kiedy Walter zaczął się wspinać, żeby dołączyć do Nigela, nie mogła się opanować i znowu wyjrzała za burtę. Ziemia w dole była teraz o wiele bliżej. To dobrze czy?...

– Nie patrz – szepnęła jej do ucha siostra. – Mamy czas.

– To wielki facet. – Nigel i Walter pochyłali się w przedziale pilota. – Martyn, chwyć go za rękę i na mój znak ciągnij. W porządku, panowie, podnosimy.

Trzej mężczyźni dźwignęli ciało. Martwy pilot był ciężki, ale udało im się przerzucić tułów przez krawędź, a potem już zadziałała grawitacja.

– Och nie! Zaczekajcie! – krzyknęła Jessica.

Za późno. Nogi pilota przesunęły się po rattanie, ciało ześliznęło się z burty i zniknęło z widoku.

Balon natychmiast zareagował na utratę balastu – poszedł w górę szybciej niż wcześniej i popłynął w kierunku coraz gęstszych chmur.

Ze wszystkich stron rozbrzmiały okrzyki przerażenia. Wznosili się.

– Co się dzieje? – spytał ktoś.

– Straciliśmy ciało pilota – wyjaśniła Jessica. – Był ciężki, balon musiał zareagować. Zaraz się ustabilizuje. Zaczekajcie i nie panikujcie.

Łatwo powiedzieć, gdy balon nad nimi zdawał się powiększać, jego kolorowe pasy były coraz jaśniejsze.

W przedziale pilota Nigel obserwował wariometr, jedyny przyrząd w koszu przytwierdzony do słupka. Wpatrywał się w niego tak intensywnie, jakby siłą woli chciał sprawić, żeby nie pokazywał coraz większych liczb.

– Chryste, powinienem był o tym pomyśleć. – Przeciągnął ręką po twarzy, pozostawiając na niej czerwone smugi krwi pilota. – Jesteśmy na wysokości prawie sześciuset metrów.

– Nic nie szkodzi – orzekła Jessica. – Nad nami jest całe mnóstwo nieba. Poza tym balon wkrótce zwolni. – Odwróciła się ku przestraszonym twarzom pozostałych pasażerów. – To nieoczekiwana lekcja fizyki. A balon chyba już zwalnia.

Nie zwalniał. Wciąż się wznosili, a plugawe czarne ptaszysko nad nimi już rozpostarło skrzydła. Widziała ich cień i czuła, że wokół roznosi się ohydny smród.

– Ona ma rację! – zawołał dziennikarz. – Nie będziemy się wznosić w nieskończoność. Trochę poczytałem przed zapisaniem się na tę wycieczkę. Prędkość graniczna takiego balonu jak ten to około dwustu pięćdziesięciu metrów na minutę.

– Czyli ile, do cholery? – zdenerwował się Bob.

– Prawie tyle samo co w przypadku staromodnego spadochronu. – Dziennikarz spojrzął na siostry. – To oznacza, że nie zginiemy, szanowne panie. Może trochę się potłuczemy, ale nawet jeśli będziemy tylko dryfowali w dół, powinno być w porządku. Naprawdę nie ma potrzeby panikować. I żadnego wyskakiwania, inaczej balon znowu się wzniesie.

Na twarzach pasażerów w gondoli pojawiły się zmarszczki skupienia. Wszyscy przetrawiali słowa dziennikarza, próbowali je zrozumieć.

– Dzięki, Martyn – rzucił Nigel. – Walt, korzystasz na łodzi z radiostacji. Sprawdź, czy uda ci się rozgryźć tę tutaj. Musimy dać znać ludziom na ziemi, co się dzieje, i uzyskać pomoc. Poinstruują nas, jak mamy wylądować. To nie może być aż takie skomplikowane.

– Czy ktoś ma zasięg? – Jessica, aby przyciągnąć do siebie uwagę, trzymała komórkę w górze. – Trzeba wezwać pomoc dla tej dziewczyny na ziemi. I zawiadomić policję, żeby szukała tego faceta. Przez telefon byłoby szybciej, nie musielibyśmy czekać, aż Walter rozgryzie radio. Możecie wszyscy sprawdzić?

Nigel natychmiast wyjął z kieszeni swoją komórkę. Jessica pokręciła głową.

– Ta sama sieć co u mnie. Kto ma innego operatora?

Ludzie zaczęli wyciągać telefony, podnosić je, ustawiać w różnych miejscach, stukać nimi o boki gondoli.

– Nie przestawajcie próbować. W którymś momencie musimy złapać zasięg.

Nigel, wciąż wpatrujący się w wariometr, ciężko dyszał, jakby właśnie przebiegł maraton.

– No dobra – odezwał się – tuż przed śmiercią Sean powiedział, że do lądowania zostało nam piętnaście minut. To znaczy, że musimy być blisko. – Wyrzwał za burtę. – Potrzebuję, szanowni państwo, żebyście byli moją wieżą obserwacyjną. Rozglądajcie się za załogą naziemną, za odpowiednim miejscem do lądowania, dużym i płaskim. Ale przede wszystkim wypatrujcie przeszkód. Nie chcemy przecież wylądować na jakimś wysokim drzewie albo szczycie wzgórza.

– Nie widzę tu żadnej radiostacji – mruknął Walter. – Ktoś wie, jak ona powinna wyglądać?

Jessica podniosła na niego wzrok znad swojej komórki.

– Stary dom to nasz najlepszy i właściwie jedyny punkt orientacyjny – oznajmiła. – Majątek Harcourt. Musimy tylko ustalić, jak daleko odlecieliśmy. – Spojrzała na zegarek i dokonała w myślach szybkich obliczeń. – Minęło dwanaście minut, więc pokonaliśmy jakieś trzy kilometry.

Nigel chwycił pomalowany na czerwono metalowy trzonek zaworu.

– O ile się nie mylę, jeśli na to nacisnę, wyleci gaz i wzniesiemy się w górę – powiedział.

Kiedy nikt nie zaoponował, nacisnął zawór. W powietrze wystrzelił snop

ognia.

– Nie! Nie rób tego. Musimy zejść w dół.

– Muszę się zorientować, jak to działa. – Nigel jeszcze raz otworzył palnik.

– Przestań! Sprowadź nas na dół.

– Czy ja zaczynam ślepnąć? – wymamrotał Walter tak cicho, że tylko Jessica i Isabel, które stały najbliżej, go usłyszały. Spojrzały po sobie.

– Spokojnie, kochanie, on wie, co robi – uspokajał Natalie mąż.

– Nie, nie wie. Nie ma o tym zielonego pojęcia. Nikt z nas nie ma.

– W balonie nie ma żadnej radiostacji. – Jessica wypowiedziała te słowa niemal bezgłośnie, ale i tak poczuła, jak ich echo owija się dokoła jej głowy. Ptak z gnijącymi czarnymi piórami otworzył dziób i głośno zakrakał.

Balon zareagował na gorące powietrze i zaczął się wznosić.

– W balonie nie ma radia – powtórzył cicho Walter, zerkając na siostry.

– Musi być – odparła Jessica. – Wszyscy słyszeliśmy, jak Sean go używał.

– Mam zasięg. – Nastoletni chłopak trzymał wysoko swoją komórkę i obracał nią w powietrzu, jakby próbował uchwycić sygnał. – Ale bardzo słaby. Tylko jedna kreska.

– Zadzwoń na 999 – poinstruowała go Jessica. – Powiedz im, co się dzieje. Będą wiedzieli, co robić. A gdyby były jakieś problemy, przekaż mi telefon. Walter, co to jest za tym brezentem?

– Martyn, obok ciebie stoi gaśnica – zwrócił się Nigel do dziennikarza. – Kiedy wylądujemy, największym zagrożeniem będzie ogień, więc zorientuj się, jak się jej używa. I nie uruchamiaj jej za wcześnie.

– Robi się – odparł dziennikarz.

– O mój Boże, chyba nie spłonimy, prawda?! – zawyła Natalie. – Nie mogę spłonąć.

– Błagam, niech ją ktoś uciszy.

Mąż Natalie jedną ręką obejmował żonę, a drugą kurczowo trzymał się słupka.

– Ona jest tylko przestraszona. Wszyscy jesteśmy.

– Taa, jasne. Tylko że niektórzy z nas próbują zrobić coś konstruktywnego.

– Znowu straciłem zasięg – oznajmił nastolatek. – Przykro mi.

– Próbuj dalej. – Jessica też wpatrywała się w swój telefon. – Niech wszyscy próbują. Kiedyś musimy złapać sygnał.

– Jesteśmy za wysoko. – Matka i nastoletnia córka obejmowały się mocno. – Nie lećmy już wyżej.

– Nie polecimy – zapewnił Nigel, siląc się na uśmiech. – Chyba rozgryzłem, jak działa to ustrojstwo. Żeby się zniżyć, trzeba pociągnąć za tę kolorową linkę. Palnika użyję tylko wtedy, kiedy uznam, że opadamy zbyt szybko.

Owinął dłoń na lince, wahał się sekundę i pociągnął. Rozległ się odgłos

zasysania powietrza w płuca. Wszyscy spojrzeli w górę, by zobaczyć, jak środek powłoki opada, odsłaniając na szczycie pierścień dziennego światła. Gdy Nigel puścił linę, pierścień zniknął. Jessica zaczęła liczyć w myślach do dziesięciu. Przy ośmiu balon zaczął się zniżać.

W przedziale pilota Nigel wydał cichy pomruk satysfakcji.

– Hej, ludzie, pamiętajcie, żeby się rozglądać. Nie patrzcie na mnie ani na balon. Musimy wypatrzyć załogę naziemną. Jeśli macie telefony, użyjcie ich. Nathan, tak? Masz zasięg?

– Chwilami. – Nastolatek nie przestawał manewrować uniesioną komórką. – Ale spróbuję wysłać wiadomość.

– Jak ci idzie z radiem, Walt? Naprawdę przydałaby mi się jakaś porada z ziemi.

– Tato? – odezwała się nastolatka.

– Próbuj, Nathan. Czy ktoś zrobił zdjęcia temu sukinsynowi przy domu?

– Tato? – powtórzyła nastolatka trochę głośniej.

– Ja zrobiłem. – Martyn pokazał swój telefon.

– Dobrze. Wrzuć je na Twittera, Instagram, na cokolwiek. Ludzie muszą się dowiedzieć, co się stało.

– Co robisz? – Jessica usłyszała przy uchu głos siostry.

– Wysłałam Neilowi hasło do swojego laptopa – odparła. – Mam tam mnóstwo ważnych rzeczy. – Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do wystraszonej Isabel. – Tylko na wszelki wypadek. Znasz mnie, jestem przezorna.

– Nigel, tu naprawdę nie ma żadnego radia.

– Tato! Wszyscy!

Wreszcie skupili uwagę na dziewczynie. Pokazywała w tył, w stronę, z której przylecieli.

– Ten facet z bronią... On nas goni!

Balon zdążył odlecieć na sporą odległość. Patrick sprawdził położenie słońca i kierunek wiatru, zaciągając się przy tym mocno, by wylapać niesione wiatrem zapachy, i ruszył na wschód przez niezalesiony, odkryty teren podobny do tundry. Tylko kilka osób znało te sześćset kilometrów kwadratowych nicości lepiej od niego. Jeśli wiatr się utrzyma, miał całkiem niezłe pojęcie, gdzie balon może wylądować.

Wrzosa, dopiero zaczynające połyskiwać fioletem w porannym słońcu, porastały to zbocze gęściej niż gdzie indziej, ale koła jego dużego quada poruszały się po tym podłożu z łatwością. Większym problemem były niewidoczne kamienie, twarde i ostre. Pozostawiał za sobą ślady, wiedział jednak, że nadciągające od strony wybrzeża szare chmury dotrą tu w niecałą godzinę. Wkrótce zacznie padać i deszcz rozmyje ślady opon, a nawet jeśli nie, to będą nieodróżnialne od zostawionych przez farmerów i strażników leśnych.

Kiedy zjeżdżał w dół, przez zagajnik zarośli, stracił balon z oczu, ale zobaczył go znowu, gdy wyłonił się po drugiej stronie. Wisiał teraz na niebie o wiele niżej. Patrick policzył pasażerów, zaczynając od kobiety w zielonej kurtce. Sześć, dziewięć, dziesięć, jedenaście. Dwanaście, tak, na pewno dwanaście osób.

Skupiony na widoku w górze, podjechał zbyt blisko skalnego wzniesienia i przednie lewe koło zahaczyło o występ. Musiał się zatrzymać, wycofać i znaleźć drogę dokoła zwaliska kamieni. Podłoże było niepewne, bo strome wzgórza Cheviot ustępowały miejsca bagnom i ukrytym skałkom, więc jechał wolniej, ale i tak doganiał balon.

Powinien go doścignąć za jakieś dziesięć, piętnaście minut. Poruszył się podekscytowany na siedzeniu. Jeden dzień. Dwa polowania. Miewał gorsze poranki.

Nie, nie, nie możecie wszyscy patrzeć w tył. Patrzcie w stronę, w którą lecimy. I przestańcie się kręcić.

Pasażerowie nie zważali na instrukcje Nigela. Przeciskali się do krawędzi kosza zwróconej w kierunku, z którego przylecieli, i obserwowali mężczyznę na quadzie, który z całą pewnością jechał za nimi.

– Podniosę nas. – Nigel wypuścił płomień. – Będziemy lecieli wyżej do czasu, aż upewnimy się, że ten człowiek nam nie zagraża.

– Chyba nie da rady nas dogonić, prawda? – niepokoił się nastolatek.

Kolejny strumień ognia. Balon zaczął się podnosić.

– Czy ktoś nawiązał kontakt z ziemią? – spytał Nigel. – Macie zasięg? Walt, co z radiostacją?

– Ja wysłałem tweeta – odparł chłopak. – Ale nie wiem, czy ktoś go widział. Mam tylko czterdziestu trzech obserwujących.

– Ja się dodzwoniłem na numer alarmowy, ale połączenie się urwało – powiedział jego ojciec.

Jessica spojrzała na swój telefon. Nadal nie miała zasięgu. Ale zdjęcia, które zrobiła mężczyźnie na ziemi i martwemu pilotowi, były zapisane. Wiadomość do Neila przejdzie, gdy tylko pojawi się zasięg.

– Nie da rady ścigać nas długo – oznajmił Nigel. – Po drodze są rzeki, murki i inne przeszkody. Ludzie, patrzcie przed siebie, nie za siebie. Nie mogę sam robić wszystkiego. Mówcie, co się dzieje.

– Przed nami las! – zawołała Isabel. – Musimy go ominąć. I słupy wysokiego napięcia na południu.

– Facet zniknął – powiedział ktoś. – Nigdzie nie widzę quada.

Jessica odwróciła się i rozejrzała. Quad rzeczywiście zniknął.

– Jest w tamtej małej kotlinie – poinformował dziennikarz, wskazując palcem. – Jazda w górę i w dół po zboczach go spowolni.

Walter wstał. Twarz miał ściągniętą i bladą.

– Nigel, w gondoli nie ma radia.

– Musi być. Słyszeliśmy, jak Sean go używał.

– Sprawdziłem wszędzie. W każdej kieszeni, każdej torbie, wszędzie. Nigdzie go nie ma.

– Ja wiem, gdzie jest.

Jessica spojrzała na siostrę i w jej oczach zobaczyła łzy.

– Sean miał radio na szyi, na pasku – oznajmiła Isabel. – Kiedy go nie używał, musiał je wkładać do kieszeni.

– O czym ty mówisz? – spytał jeden z mężczyzn.

– Nie widzieliście tego. Nie wiedzieliście. To nie wasza wina.

Wszyscy pasażerowie wpatrywali się w stoicko spokojną Isabel z rozczarowaniem.

– Wyrzuciliśmy radio za burtę? Wyrzuciliśmy je razem z Seanem?

– Mówiłam wam! – zawyła Natalie. – Mówiłam, żeby tego nie robić.

– Nie, kurwa, nie mówiłaś! – wrzasnął Walter. – Mówiłaś, żeby nie wsadzać go do ciebie.

– Nie ma potrzeby używać takiego języka – warknął mąż kobiety.

– Jezu, jesteś debilem czy co? Spójrz na nas. Możesz zaproponować stosowniejszy język?

– Wypadałoby okazać nieco więcej szacunku.

– Dosyć! Cisza.

Posłuchali Nigela, dzięki Bogu. Teraz to on dowodził.

– Nie mamy żadnego sposobu na skontaktowanie się z ziemią? – spytał.

– Mamy telefony – odparł Bob. – Wcześniej czy później zasięg się pojawi.

Po prostu trochę dłużej będziemy musieli zostać w górze, to wszystko.

– Wysłałem kolejnego tweeta – powiadomił nastolatek. – I na pierwszy ktoś odpowiedział. Możliwe też, że przeszła moja wiadomość do dziadków.

Dzięki Bogu za młodych, pomyślała Jessica.

– Co się dzieje z facetem na quadzie? – spytała. – Zgubiliśmy go?

– Nie. Zwolnił, ale wciąż za nami jedzie – odparł dziennikarz. – Zdecydowanie powinniśmy zostać w górze.

– W porządku, pozostanie w górze wydaje się rozsądne, na razie. – Nigel przyglądał się butlom z gazem. – Problem w tym, że ta butla jest już prawie pusta – dodał. – Trzeba się zorientować, jak się je wymienia.

– Zaczekaj, przyjrzę się temu – zaproponował Walt.

Nigel strzelił płomieniem. Balon znowu się wzniósł. Kiedy rozległy się jęki protestu, Nigel wyjaśnił:

– Musimy być wysoko, zanim zaryzykuję odłączenie butli. I nie przestawajcie się rozglądać. Czy ktoś widzi jakąś drogę? Jakiś pojazd? Próbujcie z telefonami.

Znowu włączył palnik. Wariometr pokazywał tysiąc dwieście metrów... tysiąc czterysta... tysiąc sześćset... Balon przyspieszał. Zrobiło się wyraźnie zimniej.

– Chyba wiem, jak to zrobić, ale lepiej, żeby ktoś jeszcze na to zerknął – oznajmił Walter.

– Coraz bardziej zostawiamy go w tyle.

– No, to już coś.

Nagle świat pociemniał. Padł na nich jakiś cień. Balon gwałtownie się zatrząsł, wydał, a potem zaczął kurczyć.

– To nie może oznaczać nic dobrego – mruknął Martyn, patrząc w górę.
– Trafiliśmy na szkwał – uspokoił go Nigel. – Chyba powinniśmy zejść niżej. Sprawdź, co się da zrobić. Walt, daj, popatrzę. – Przeszedł na stronę kosza, gdzie stał Walter. – Trzeba szybko pociągnąć za tę linę.

Mężczyźni zamienili się miejscami.

– Za tę? – upewnił się Walt, łapiąc cienki kolorowy sznurek.

Nigel się nie obejrzał.

– Mam. Musimy odkręcić ten zawór i przełożyć rurkę. Taa, kolego. Kolorowa linka. Pociągnij lekko.

Walter pociągnął.

Jessica czuła przez sekundę nieważkość, coś podobnego do wrażenia, jakie się ma w szybko zjeżdżającej windzie. Jej żołądek podskoczył, zorientowała się, że kosz spada.

– Co się dzieje?

– Jezu, co się dzieje?

Kosz spadał dalej. Coraz szybciej. Jessica opadła na kolana, włosy dokoła głowy ulatywały w górę. Wielka siła pchała ją w dół, napierała na kości czaszki.

Do góry. Do góry. Szybko!

Wyciągnęła rękę, żeby się czegoś złapać. Czegokolwiek, co połączyłoby ją ze światem. Jej dłoń znalazła krawędź kosza. Dźwignęła się ciężko na nogi, jakby wydostawała się spod wody.

Kosz, spadając, kiwał się na boki. Strona z cięższymi pasażerami była bardziej przechylona. Ponad krawędzią widziała szaro-zielono-brązową szachownicę ziemi. Wirując, zbliżała się do niej.

Wszyscy w gondoli krzyczeli. Ona chyba też.

– Puść ją! Walt, puść! – Nigel jedną rękę owinął na linach nośnych, stopy oparł o coś na podłodze. – Puść!

Jessica wbiła spojrzenie w wariometr: tysiąc dwieście metrów... tysiąc... Odległość do ziemi malała z każdą sekundą.

Walter kucał na dnie kosza, dłonie miał puste.

– Puściłem.

– Za co ty, do cholery, pociągnąłeś?! – wrzasnął do niego Nigel.

Walter, poszarzały na twarzy, wskazał cienką czerwoną linkę.

...dziewięćset metrów... siedemset...

Oczy Nigela rozszerzyła panika, jakby czyjaś niewidzialna dłoń wymierzyła mu policzek.

– To nie ta. To nie za tę ciągnąłeś.

Nad ich głowami balon zapadł się, był tak blisko, że prawie można go było dotknąć.

...sześćset... pięćset... czterysta...

– Nie, nie, nie – łkała Natalie.

– Włączcie palnik! – Jessica usłyszała te słowa w swojej głowie, nie była pewna, czy ktoś je słyszał poprzez wycie wiatru i wrzaski. – Nie mogę do niego dosięgnąć. Nigel, użyj palnika.

Trzymając jedną rękę na ramie palnika, Nigel sięgnął i nacisnął zawór. Płomień strzelił wysoko. Dziesięć sekund. Nie była pewna, czy mają dziesięć sekund. Ziemia wciąż leciała w górę na ich spotkanie, szykowała się, by połknąć ich w całości. Nigel uruchomił palnik, ale potężny płomień, gorący i oślepiający, niczego nie zmienił. Powłoka balonu była oklapnięta, utrzymywała się nad nimi tylko dzięki pędowi, z jakim spadali.

...trzysta... sto sześćdziesiąt...

Jessica wpatrywała się w czerwoną linkę, tę, która spowodowała, że balon sflaczał. Tuż obok wisiała linka w pasy, ta, za którą pociągał Nigel.

– Linki są dwie! – krzyknęła do nich. – Pociągnijcie za tę drugą.

...sto... siedemdziesiąt...

– To może tylko pogorszyć sytuację.

– A może być jeszcze gorsza? – Wychyliła się, przez sekundę miała ochotę wyskoczyć, ale potem chwyciła prątkowany sznur i szarpnęła.

Nadal spadali. Zapadła cisza, jakby ludzie wokół niej byli zbyt przerażeni, żeby krzyczeć. Spojrzała w górę.

Balon zafalował, zachybotał się i niespodziewanie przybrał wcześniejszy kształt. Kosz podskoczył i zawisł w powietrzu nieruchomo, jakby chwycony przez gigantyczne dłonie. Uczucie gwałtownego spadania ustało.

...sześćdziesiąt metrów... pięćdziesiąt... czterdzieści pięć. Nadal spadali, ale już wolniej. Nigel znowu strzelił palnikiem.

...czterdzieści metrów... trzydzieści sześć...

Zaczęła liczyć. Siedem, osiem, dziewięć, dziesięć.

...dwadzieścia metrów... piętnaście... siedemnaście... osiemnaście. Stabilizowali się. Ktoś zwymiotował, głośno.

– Dzięki Bogu. – Na twarzy Nigela lśniły kropelki potu. – Niech nikt więcej nie dotyka czerwonej linki. – Ciężko dyszał, kiedy odwracał się do Waltera. – Puszczaj ogień. Zamienię butle.

Byli już bardzo blisko ziemi. Znowu mogli odróżnić szczegóły drzew. W oddali widać było zarys jakiegoś budynku i spizowy połysk drogi.

– Ktoś widzi tamtego gościa? – Bob znowu wdrapał się na krawędź kosza. – Na tej wysokości jesteśmy w zasięgu strzału.

– Musimy się wzbąć wyżej! – zawołała Isabel. – Uderzymy w słup! Szybko!

Wszystkie głowy się odwróciły. Byli niebezpiecznie blisko drutów wysokiego napięcia przecinających park na wysokości kilkunastu metrów.

Walter włączył palnik. Potem jeszcze raz. Słup z każdą sekundą był bliżej. A

oni dopiero zaczęli się wznosić. Balon szedł w górę powoli i leniwie.

– Trzymajcie się! – krzyknął Martyn. – Złapcie się czegoś.

Przelecieli tuż nad czubkiem słupa, tak blisko, że gdyby Jessica się wychyliła, mogłaby go dotknąć. Pasażerowie odetchnęli z ulgą, ale chwilę potem spód kosza uderzył w druty.

Huk był ogłuszający. Powietrze wokół wypełniło się iskrami. Gondola podskoczyła i przechyliła się gwałtownie. Natalie i jej mąż wypadli z niej jak śmieci z opróżnianego kosza. Poszybowali w powietrzu, wciąż spleceni w uścisku, zostawiając za sobą odór spalenizny. Rozległ się dźwięk przypominający odgłos syren. To krzyczała nastoletnia dziewczyna.

Kosz znowu uderzył w druty. Bob, który wciąż siedział niebezpiecznie wysoko na krawędzi, stracił równowagę. Zaczął młócić powietrze rękoma i też zwałił się w dół. Wylądował na przewodach wysokiego napięcia niecałe trzy metry pod koszem. Był tak blisko słupa, że prąd przeskoczył, przeleciał przez niego i obwód się zamknął. Ciało zaczęło podrygiwać, wiło się, spod ubrania wydobyły się smużki dymu, jak czmychające z kryjówki węże. Mężczyzna drgał spazmatycznie i krzyczał.

Poniżej niego Natalie i jej mąż uderzyli w ziemię.

– O mój Boże, o mój Boże, o mój Boże. – Palce matki zaciśnięte na ramionach dzieci były trupioblade.

– Zapnijcie pasy. – Księgowy przechylił się do rodziny. – Zapnijcie się, wszyscy.

Nigel próbował uruchomić palnik, ale płomień był zbyt słaby, żeby cokolwiek zmienić.

– Ludzie, spadamy. Nie panuję już nad balonem. Zapnijcie pasy.

– Uderzymy w te drzewa.

– Bella, zapinam cię. Cholera, nie ruszaj się.

Jessica czekała na zderzenie. Widziała gwałtowne falowanie złotego listowia, gdy drzewo pędziło na nich. Mimo to siła uderzenia ją zaskoczyła, posłała na posadzkę kosza. Walnęła głową w wiszącą luźno sprzączkę uprząży. Przez sekundę, zanim świat zniknął, widziała, jak jej siostra, której nie zdążyła przypiąć, wylatuje z gondoli. Fałdy czarnej sukni powiewały nad nią, głośno furkocząc. Bella wystrzeliła w powietrze i zniknęła z widoku.

Frunęła.

Dwadzieścia osiem lat wcześniej

Trójka dzieci siedziała na plaży blisko brzegu, między nimi, pośrodku, był zamek z piasku. Bańka entuzjazmu prysła, gdy dzieci uświadomiły sobie, że bez kubelków i łopatek, samymi rękami, nie zdołają zbudować zamku otoczonego wieżyczkami i blankami, jakie widywały w książkach.

Najmłodsze, zaledwie ośmioletnie, a mimo to najbardziej cierpliwe z całej trójki, uważało, że mogłoby poprawić wygląd nieforemnej góry piasku, dekorując ją muszelkami, kamyczkami i wodorostami, ale rodzeństwo już całkiem straciło zainteresowanie zabawą.

– Podróże w czasie – oznajmił najstarszy, blisko czternastoletni chłopiec. Jak siostry był wysoki na swój wiek, włosy miał ciemne, oczy brązowe, brwi gęste, usta czerwone i szerokie. Kiedy się uśmiechał, pokazywał duże, bardzo białe zęby.

– Gdybym tak mógł wrócić do czasów wielkich zbrodni i nie dopuścić, żeby się wydarzyły.

– Taa, to by było fajne – zgodziła starsza z sióstr.

Młodsza pomyślała, że owszem, byłoby fajne, ale z drugiej strony skutki mogłyby być gorsze od samych zbrodni. Była mądra jak na swoje osiem lat.

– Ja bym wybrała latanie. – Starsza siostra wyrzuciła ramiona na boki, udając, że ma skrzydła. – Żeby mogła wznieść się w powietrze i szybować w chmurach. Żeby mogła widzieć wszystko i polecieć wszędzie.

Młodsza pomyślała, że pomysł jest zachwycający. Ale i przerażający.

– A ty, Jessica? – spytał chłopiec. – Jakie supermoce chciałabyś mieć?

Jessica się zastanowiła. Czasami, a w zasadzie prawie zawsze, było jej trudno dotrzymać kroku tej dwójce.

– Chciałabym być niewidzialna – odparła, a potem, ponieważ nie wyglądali, jakby jej odpowiedź zrobiła na nich odpowiednio duże wrażenie, dodała: – Chciałabym mieć moc stawania się niewidzialną. No wiecie, żeby mogła ją uruchamiać i wyłączać. Nie musiałabym być niewidzialna przez cały czas.

Zapadła cisza. Jessice przemknęło przez myśl, że powiedziała coś złego, a może nawet głupiego.

– Jessie, jesteś taką małą myszką. Najczęściej i tak cię prawie nie widać – oznajmił w końcu jej brat.

– Nie dokuczaj jej. – Bella uśmiechnęła się do siostry. – Bycie niewidzialnym to wspaniała supermoc.

– Chodźmy do oczek wodnych. – Ned poderwał się i zaczął biec plażą. Bella

też się podniosła.

– A co z butami? – Jessica popatrzyła za siebie, w stronę wydm, na stos butów i skarpet, które tam zostały.

– Nic się z nimi nie stanie. – Bella podskakiwała, chciała już pobiec za bratem. – Woda tak daleko nie podejdzie. Poza tym, kto chciałby kraść trampki Neda?

Pobiegła. Tak szybko, że Jessica wiedziała, że nigdy jej nie dogoni. Mimo to ruszyła truchtem za rodzeństwem. Bella na nią zaczeka. Zawsze czeka.

Środa, 20 września

Kobieta na jego oczach wypadła z balonu, poleciała w stronę ziemi i wylądowała na mężczyźnie, który wypadł wcześniej. Głowę miała zwróconą w przeciwną stronę niż on, jej nogi leżały na jego tułowiu. Patrick podszedł bliżej. Ta para wyglądała bardziej jak pacynki niż ludzie, pacynki wrzucone do za małego pudełka. Ich bezwładne kończyny były wygięte pod dziwacznym kątem.

Oboje, mężczyzna i kobieta, nie ruszali się.

Zatrzymał quad dwadzieścia metrów przed nimi i zsiadł. Żeby nie mieć pokusy, strzelbę zostawił na siedzeniu i ruszył w stronę pary, wypatrując luźnych kamieni, głębokich kałuż czy niespodziewanych świadków. Shinto dotarł do nich pierwszy i zaczął ich obwąchiwać.

Kobieta nie była tą, którą miał nadzieję zobaczyć. Nie tą w zielonej kurtce, która się na niego gapiała, jakby chciała zapamiętać każdą linię, każdy łuk na jego twarzy. Albo jakby go znała. Pokręcił głową, odpędzając tę myśl. Ta kobieta była znacznie starsza, pod sześćdziesiątkę. Miała farbowane włosy z siwymi odrostami, szarą, obwisłą skórę i była gruba.

Tamta w zielonej kurtce była szczupła, wyglądała na wysportowaną. Na taką, co miałyby siłę uciekać, nawet walczyć. Zdusił falę ekscytacji.

Balonu już nie widział, ale nie mógł odlecieć daleko. Nie po takiej kolizji z drutami wysokiego napięcia. Podniósł wzrok. Nad nim wciąż wisiał jakiś człowiek. Kilka drutów się zerwało. Jeden podrygiwał, strzelając iskrami. Zapach przypominał wieczory, gdy jego rodzina urządzała sobie biwaki.

Przynajmniej tego ma z głowy. Troje odpadło. Zostało dziewięcioro, jeśli się nie myli, że na pokładzie było dwanaście osób. Pochylił się i przeszukał martwą parę. U mężczyzny w wewnętrznej kieszeni znalazł komórkę. Bezpośrednio pod gościem podrygującym na drucie znalazł drugą, w rzucającym się w oczy czerwonym futerale. Zabrał obie.

Zawołał psa i wrócił do quada. Szedł po miejscach, gdzie ziemia była twardsza, albo po kępach wrzosów, żeby nie zostawiać śladów podeszw. Uruchomił quad i znowu ruszył. Myślał o jednym – o ciemnowłosej kobiecie w zielonej kurtce.

Miał nadzieję, że nie zginęła. Nie chciał, żeby zginęła. Jeszcze nie teraz.

Ból był wszędzie, krążył po niej jak krew podczas transfuzji. Jessica słyszała jego głośne dudnienie w głowie i w krzyku tych dokoła niej. Kiedy kosz uderzył w drzewa po raz drugi, a potem trzeci, usłyszała łoskot czaszek zderzających się z twardymi powierzchniami, trzask łamiących się kości. Zgrzytanie metalu o metal. Druty piszczały jak oszalałe węże. Wiklina, przebita ostrą gałęzią, rozdarła się na jej oczach. Gałąź minęła ją o milimetr.

Kosz twardo walnął w ziemię i podskoczył. Potem jeszcze raz. Przy każdym uderzeniu czuła się tak, jakby ktoś rzucał nią o kamienny mur. Nie widziała już Nigela przy kontrolkach. Nie mieli już żadnego pilota.

Opadła na dno kosza. Patrzyła w górę, na balon, ale jego piękna kulista czasza poskręcała się w coś bezkształtnego, brzydkiego. Zdawało się, że powłoka zaraz na nią spadnie. Instynktownie wbiła się w róg. Próbowwała się skulić, przyciągnąć kończyny do ciała, ale straszliwie nią rzucało. Nie wypadła z kosza tylko dzięki uprząży, której się mocno trzymała. Mięśnie ramion miała naciągnięte, pozrywane. Gdy kolejny raz poderwało ich w górę, zgrzytanie i bębnienie ustały.

Pomyślała, że w koszu została już chyba tylko ona, że tylko jej nie wyrzuciło za burzę, ale potem usłyszała czyjś krzyk. Ktoś jeszcze trzymał się kurczowo krawędzi powyginanej wikliny, trzymał się i krzyczał.

– Nie miała pojęcia, gdzie jest jej siostra.

Kosz w coś uderzył i się przechylił. Jessica przewróciła się na bok, poszarpany czubek rozdarłej wikliny podrapał jej twarz. Gdzieś blisko rozległ się przeraźliwy wrzask, który, oddalając się w dół, stopniowo cichł. Potem kosz znieruchomiał.

– Bella!

Odpowiedział jej czyjś jęk. Chyba nie siostry, ale nie mogła być pewna.

– Bella, nie widzę cię.

Balon znowu wzbił się w niebo i na ułamek sekundy kosz znów otoczył najczystszy jaskrawy błękit.

Dwadzieścia dwa lata wcześniej

Jessica jeszcze nigdy nie widziała nieba w takim odcieniu błękitu.

Błękitu, który był czysty, jasny i głęboki, za delikatny na szafir, za mocny na chaber. Po prostu nie istniał żaden inny odcień, z którym można by go porównać. To był kolor wieczności, nieskończoności, kolor, w którym człowiek mógł się zatracić.

Ona jednak wiedziała, że dla niej ten błękit już na zawsze pozostanie kolorem smutku.

Morze też było błękitne. I spokojne. Tak spokojnego morza również jeszcze nigdy nie widziała. Woda idealnie odbijała opływowy kształt lecącej nisko wzdłuż linii brzegu mewy.

Jej siostra szła metr lub dwa przed nią. Jessica została w tyle, gdy zaczęła płakać.

– Nie rozumiem, Bella! – zawołała.

Isabel zatrzymała się, ale nie odwróciła. I nie rozłożyła ciężaru ciała równo na obie nogi. Tylko przystanęła, na chwilę. Nie chciała rozmawiać, powtórzyła jedynie to, co mówiła wcześniej.

– Nie oczekuję, że zrozumiesz, Jess. Na razie.

Jessice skończyły się argumenty. Pozostały jej tylko płacz i narzekanie, jak małemu dziecku.

– Najpierw mama, potem Ned, potem tata. A teraz ty. Tracę wszystkich!

Wyobraziła sobie, że tupie z całej siły w piasek. Jej rozpacz zamieniała się w furię. Ale była też przerażona. Miała czternaście lat, wciąż jednak dręczył ją naturalny dla małych dzieci lęk przed porzuceniem.

Wtedy Bella się odwróciła, podeszła do niej i ją objęła. Nadal była wyższa. Przez te wszystkie lata Jessica czekała, że dogoni siostrę. Teraz się zastanawiała, czy to się kiedykolwiek stanie.

– Będzie dobrze, Jess. Ciocia Brenda i wuj Rob cię kochają. Będą się tobą dobrze opiekowali. Za cztery lata pójdziesz na studia. Skończysz je z wyróżnieniem, a ja będę z ciebie dumna. A potem wyjdiesz za mąż, urodzisz dzieci. Będiesz szczęśliwa, a smutek, który ci teraz towarzyszy, będzie tylko wspomnieniem z przeszłości.

– A Ned? Dlaczego nie wolno mu wrócić do domu, żebyśmy mieszkali razem? Ty, ja i Ned?

Bella zeszywniała w objęciach siostry.

– To niemożliwe, Jess. Nie pytaj mnie o to więcej.

– Dlaczego? Co on zrobił? Dlaczego musiał wyjechać? A w ogóle, dokąd wyjechał?

Bella zaczęła się uwalniać z uścisku. Jessica ją zatrzymywała, ale Bella była silniejsza. Zawsze tak było. Wyrwała się z jej objęć.

– Kiedyś ci to wyjaśnię, Jess – obiecała. – Jak będziesz starsza. A na razie musisz się pogodzić z tym, że tak jest, i już.

– Wszyscy mnie zostawiają.

– Jess, nie mogę teraz z tobą mieszkać, ale nie zostawię cię nigdy. Obiecuję. Nigdy.

Środa, 20 września

Reszta pasażerów nie przeżyła. Zginęli wszyscy. Świadczyła o tym głęboka cisza, która zakradała się jej do ust, rozchodziła w dół, jak czarny szlam wypełniała sobą każde zagłębienie w jej ciele.

W zasadzie to nie było aż takie straszne, po prostu spokojne odchodzenie.

Wybuch wyrzucił ją w powietrze. Na twarzy poczuła piekące gorąco, potem wszędzie szczypanie drobnych ranek. Pomyślała o ogniach piekielnych, o tysiącach małych diabełków szturchających ją widłami. Zrobiła się ciężka. Całe ciało przeszył straszny ból, jakby ktoś zawiesił ją na linie na ogromnej wysokości.

Potem już nic.

Dwadzieścia jeden lat wcześniej

Kiedy ludzie zaczęli wstawać, płomień świec zamigotały. Msza zbliżała się do końca. Kilka kobiet przyciskało do twarzy chusteczki. Jessica słyszała pociąganie nosem, a nawet, tu i ówdzie, chlipanie.

– Piękna msza – powiedział ktoś z tyłu.

Jessica, w nowym czerwonym płaszczku i w nowym kapeluszu, stała zimna i nieporuszona, jak kamienny filar.

Przy dźwiękach podniosłej muzyki organowej orszak ruszył nawą. Jessica miała wrażenie, że oczy wszystkich skupione są na jej siostrze. Koronki jej długiej białej sukni lśniły w blasku świec, twarz wyglądała jak wykuta w marmurze. Na palcu lewej dłoni błyszczała obrączka ślubna.

Bella nigdy nie wyglądała piękniej. Kiedy głowy się obracały, żeby popatrzeć na tę piękną dziewczynę w sukni ślubnej, sunącą nawą do wyjścia z kościoła, Bella zdawała się uśmiechać do czegoś w oddali. Jessica poczuła na ramieniu czyjąś dłoń.

– Chodź, kochanie – powiedziała ciotka Brenda. Ona też na tę okazję sprawiła sobie nowy płaszcz i nowy kapelusz.

Za orszakiem kościół opuszczali parafianie. Jessica podniosła torebkę z ławki i dołączyła do reszty. Ciotka i wuj poszli za nią.

W przedsionku, na schodach, w ogrodzie stali ludzie. Rozmawiali, składali sobie gratulacje, udawali, że są szczęśliwi.

Ale tak nie było. Nikt tutaj nie był szczęśliwy. Oni wszyscy biorą udział w idiotycznej farsie. Tak jak jej mądra, silna, rozsądna siostra. Niewyobrażalne.

Jessica precyzyjnie się przez tłum i wyszła na zewnątrz. Schody miały sześć stopni. Zbiegła po nich. Wcześniej przed kościołem widziała pawie. Trochę się ich bała, ale teraz pomyślała, że mogłaby na nie zapolować.

Może któremuś skręci kark.

– Jess!

Odwróciła się. Na szczycie schodów stała Bella. Uniosła dół koronkowej sukni i zaczęła schodzić. Wyglądała pięknie. I bardzo, bardzo smutno.

– Wyglądasz patetycznie – oznajmiła Jessica. – To jakaś parodia. Gorzej, to odrażające.

Bella westchnęła.

– To coś, co muszę zrobić. A ty musisz to zaakceptować. Żyjesz tak, jak chcesz. Wybrałaś swoją drogę. Dlaczego nie pozwalasz, żebym ja wybrała swoją?

Jessica podeszła bliżej, tak żeby odpowiedź mogła wysyczeć siostrze prosto w twarz.

– Bo to nie ty. Spójrz na siebie. Cała w koronkach, panna młoda w taniej, używanej nylonowej sukni. A gdzie pan młody, Isabel? Mężatka bez męża? To jakiś żart.

– Przykro mi, że tak to widzisz. A teraz muszę już iść. Muszę iść się przebrać.

Odwróciła się i odeszła. W dopasowanej sukni wyglądała niewiarygodnie szczupło, jej długi kraniec ciągnął się za nią. Jessica wiedziała, że taką widzi siostrę ostatni raz. Kiedy ona i reszta oblubienic wrócą ze swoich pokojów i ponownie dołączą do wiernych w kościele, wszystkie będą obleczone w czerń.

– Nie zostaniesz tutaj! – krzyknęła. – Nie wiem, przed czym uciekasz. Nie obchodzi mnie, czego się boisz, ale to jest potworne.

Isabel szła, nie zatrzymywała się.

– Słyszysz mnie, Bella? Nigdy nie będziesz zakonnica.

Ludzie na stopniach, inne postulanki, które też przed chwilą złożyły formalne śluby, ich rodziny, kilka spowitych w czerń sióstr z zakonu karmelitanek, wszyscy spojrzeli w ich stronę.

Jessica odwróciła się tyłem do klasztoru i odeszła. Nie wiedziała, że można aż tak cierpieć.

Środa, 20 września

Gdzie jest? Co to za miejsce, takie ciemne i pełne bólu?

Nie wiedziała, że można aż tak cierpieć. Ból rozdzierał ją od środka na strzępy. Miażdżył, zamieniał w pył. Ciało miała pogruchotane. Nie mogła od tego bólu uciec, pożerał ją całą.

Nie oddychała normalnie. Dyszała, każdy oddech brała z trudem. Leżała oszołomiona, przerażona, nie mogąc się poruszyć. Wydawało jej się, że ból trawi ją już od bardzo dawna, że traciła przytomność i ją odzyskiwała.

Powietrze wokół niej skwierczało, trzeszczało jak wnętrzości rozstrojonego radia. Radio. Walter szukał radiostacji. Tylko że Walt wyskoczył z kosza, gdy ten po raz drugi uderzył w drzewa. Rzucił się przez krawędź i zniknął.

Co, na Boga, stało się z nią?

Pamiętała, że w mrokach przedświt jechała samochodem. Że potem otaczały ją blade, podekscytowane twarze.

Nigel – dzielny, mądry Nigel – krzyczący, żeby się zapięli, gdy spadali z niewyobrażalną prędkością przez ostatnie skrawki nieba.

Balon. Rozbili się.

Otworzyła usta. Nic się z nich nie wydostało. Spróbowała zamrunąć. Udało się. Przynajmniej tyle. Kilka razy poruszyła powiekami, żeby się pozbyć łez. Skupiła wzrok.

Była na drzewie. Otoczona suchymi, żółtymi liśćmi. Ze wszystkich stron wbijały się w nią ostre końce gałęzi. Pod karkiem czuła coś twardego, coś innego kłuło ją w szyję. Kiedy tam leżała, gapiąc się w górę, w plataninę gałęzi i liści, uzmysłowiła sobie, że oplatający ją ból się zmienia, koncentruje. Teraz już potrafiła określić, co ją boli, a co nie. Większa część ciała tętniła bólem. Potrafiła też stwierdzić, że leży na boku, z jedną nogą uwięzioną w gałęziach powyżej, druga zwisała.

Usłyszała głośnie trzepotanie. Przekręciła głowę, chociaż miała wrażenie, że szyja ledwie utrzymuje jej ciężar. Balon. Był blisko, mniej niż trzy metry, zwisał, pusty i bezużyteczny, z gałęzi. Szarpany wiatrem podskakiwał, rozciągał się, chciał się uwolnić, pofrunąć ostatni raz, ale gałęzie trzymały mocno. Potem znowu coś ją rozproszyło, jakiś głos bezpośrednio pod nią.

– Pomocy! Pomocy! Czy ktoś mnie słyszy?

Ktoś jeszcze żyje. Zaczęła obmacywać najbliższe otoczenie. Wiedziała, że jest wysoko. Bała się, że usłyszy skrzypienie, co będzie oznaczało, że gałąź pod nią

pęka. Ręce nareszcie słuchały jej poleceń. Mogła kręcić głową. W górze widziała pionowy szlak utworzony z połamanych gałęzi. A także, kilkanaście centymetrów wyżej, za daleko, żeby dosięgnąć, prawie niewidoczny między żółtymi liśćmi turkusowy futerał telefonu komórkowego.

Z jakiegoś powodu ten telefon był bardzo, ale to bardzo ważny.

Patrick wjechał quadem na ostatnie wzniesienie i się uśmiechnął. Balon oplatał drzewo jak kolorowy papier pakowy. Kosz, przechylony, wisiał zaledwie kilkanaście centymetrów nad ziemią. Patrick sięgnął po telefon. Sygnału wciąż nie było, ale dowiedział się, że od chwili, gdy balon przelatował nad starym domem, minęło prawie pół godziny. Jeśli pilot utrzymywał kontakt z załogą naziemną, ci ludzie mogą być niedaleko. Zostało mu niewiele czasu.

Kiedy podskakując na wybojach, pokonywał wrzosowisko, o mały włos przeoczyłby leżącego w kępach wrzosów mężczyznę. Wrzosa były o tej porze roku najwyższe, dlatego prawie w całości zakrywały ciało. Gdyby nie jaskrawa kurtka, minąłby tego człowieka, nie zauważając go. Wyłączył silnik, znowu w pewnej odległości od ciała, i podbiegł.

Starał się nie ulec panice, ale załoga naziemna zawsze podąża śladem tych balonów.

Facet wypadł. Inaczej nie leżałby tak daleko od balonu. Prawą nogę miał złamaną, wygiętą pod nienaturalnym kątem. Konia z taką kontuzją na pewno by zastrzelił, bez wahania. Tym bardziej psa.

Mężczyzna jeszcze żył. Nawet z odległości kilku kroków było widać, że oddycha z trudem, szybko. Było słyhać, jak głośno zasysa powietrze w pokiereszowane płuca. Zebrana w ustach krew skapywała na wrzosa.

Patrick stanął nad rannym. Nie potrafił ocenić, czy mężczyzna zdaje sobie sprawę, że ktoś jest obok. Potem opadł ciężko kolanami na jego plecy. Przekręcił mu głowę twarzą do ziemi, wziął głęboki wdech i pociągnął w górę i w bok.

Kręgi szyjne pękły z satysfakcjonującym trzaskiem.

Zanim znalazł telefon, musiał facetowi przeszukać trzy kieszenie. Wsunął komórkę do własnej, razem z tą, którą zabrał martwej parze, i tą znaną pod mężczyzną wiszącym na drutach wysokiego napięcia. Czworko z głowy, zostało ośmioro. Matka i dwójka nastoletnich dzieci. Kilku mężczyzn.

No i kobieta w zielonej kurtce. Ją zostawiał sobie na sam koniec.

Wsiadł na quad i podjechał pod balon. Musiało w nim dojść do jakiegoś wybuchu. Niedużego, bo już się nie paliło, ale widział, że w niektórych miejscach wiklina jest osmolona. Ku gałęziom drzewa unosiły się wąskie strużki dymu.

Już pieszo podszedł ostrożnie jeszcze bliżej. Jeśli ktoś przeżył i jest w stanie walczyć, najprawdopodobniej będzie w koszu. Miał do balonu kilka metrów, gdy usłyszał czyjeś wołanie.

– Ktoś tu jest? Pomocy!

To by było na tyle, jeśli chodzi o starania, żeby nie było go słyhać. Ta kobieta najwyraźniej usłyszała warkot quada.

– Mój syn jest poważnie ranny. A ja mam chyba złamaną nogę. Nie wiem, gdzie są mój mąż i córka. Możesz mi pomóc, proszę?

Tak, może. I ma całkiem niezłe pojęcie, gdzie jest mąż. Kilka kroków od kosza leżało ciało, rozciągnięte na zwalisku ostrych kamieni. Pięcioro z głowy. Facet podczas eksplozji został poparzony. Patrick podszedł bliżej, przyjrzał się czerwonej, spalonej skórze.

– Twój mąż stracił twarz! – zawołał. – Jedzie od niego jak od spalonego mięcha. A przez koszulę sterczy chyba jedno żebro.

Chwila ciszy, potem:

– Kim pan jest?

– Nie bój się. Przyjechałem pomóc. Zaraz będzie lepiej.

Kobieta nie odpowiedziała.

Dał krok w stronę kosza i usłyszał jej skomlenie.

– Cześć. – Zajrzał ponad krawędzią.

Spojrzała w górę, zanim wyciągnęła rękę, jakby chciała osłonić leżącego obok niej syna. Jej wykręcona noga nie poruszała się.

– Syn ma tylko piętnaście lat – wydusiła. – Błagam, nie rób nam krzywdy.

Jej syn nie żył. Jego ciało nabierało już chorobliwego białawego odcienia.

– Daj mi jego telefon.

Wytrzeszczyła oczy.

– Ale ja nie wiem, gdzie on jest.

Złapał ją za włosy i pociągnął. Rozległ się mdlący chrzęst trących o siebie pękających kości. Kobieta krzyknęła.

Odwrócił się, wypatrywał odpowiednich rozmiarów kamień i schylił się po niego.

Była bardziej wytrzymała, niż to sugerował jej wygląd. Musiał walnąć trzy razy, zanim ją wykończył. Siedmioro wyeliminowanych. Zostało pięcioro.

W środku kosza tkwił koleś, który najwyraźniej wyobrażał sobie, że jest pilotem. Metalowa rama, do której był przytwierdzony palnik, prawie idealnie prosto odcięła mu głowę od tułowia. Krew nadal się lała, chociaż już słabszym strumieniem. Faceta nie ominął podmuch wybuchu.

Do odnalezienia zostały mu już tylko cztery osoby. Jedna z nich to nastoletnia dziewczynka. I kobieta w zielonym.

Nie odrywając wzroku od horyzontu, nasłuchując, obszedł kosz, żeby zajrzeć do reszty przedziałów. Tylko jeden mężczyzna, zwinięty w rogu. W kałuży krwi. Kiedy podszedł bliżej, dostrzegł błysk czegoś białego. Z szyi mężczyzny sterczała kość. W górnej kieszeni jego kurtki znalazł telefon. Idzie mu jak z płatką. Tyle że ma coraz mniej czasu.

Ciemnobrązową czuprynę dostrzegł w chwili, gdy już myślał, że nic więcej tu nie zdziała, że musi zaufać swojemu szczęściu, że nikt więcej nie przeżył. Pod

szerokim pniem buku leżała kobieta.

Stojąc w kompletnym bezruchu, napawał się tą chwilą. Naprawdę nie chciał, żeby się okazało, że ona nie żyje. Potem coś usłyszał. Szelest. Dochodził bezpośrednio z nad jego głowy.

Uczepiona kurczowo pnia, wdychając jego wilgotny trocinowy zapach, przerażona, że się omsknie, centymetr po centymetrze zsuwała się w dół do chwili, aż przez gęstwinę gałęzi mogła dojrzeć porośniętą trawą ziemię i róg przechylonego kosza.

W dole quad zbliżał się coraz bardziej. Gdy w końcu jego silnik ucichł, pomyślała, że zatrzymał się tuż pod nią. Usłyszała podekscytowane szczekanie psa, kobieta pod drzewem znowu zaczęła wołać.

– Halo, możesz mi pomóc?! Proszę.

Po ziemi przesuwiała się ciemna postać, na widoku pojawił się jakiś mężczyzna. Za gardło schwyciło ją przerażenie. Nie, nie. Ten człowiek nie przyjechał tu, żeby pomóc. Nie miała pojęcia, skąd to wie, ale po prostu wiedziała. Zacisnęła mocno oczy i usłyszała łoskot kamienia walącego raz za razem w czaszkę, a potem nieludzki zduszony krzyk opuszczający usta konającej kobiety.

Później cisza.

Tylko przez sekundę. Jego cień zbliżył się do pnia, jego stopy miażdżyły z chrzęstem rozsiane u podstawy orzeszki bukowe. Cofnęła głowę na sekundę, zanim spojrział w górę.

Słyszała jego oddech, czuła, jak jego spojrzenie przeczesuje liście i gałęzie.

– Jest tam kto?! – zawołał.

Przycisnęła twarz do pnia i zamknęła oczy. Pokusa, żeby się odezwać, żeby zakończyć to nieznośne napięcie, była przytłaczająca. Nagły poryw wiatru potrząsnął gałęziami, liście zaszeleściły. Wiatr poderwał porwaną płachtę balonu. Jakby był po stronie mężczyzny, jakby chciał ściągnąć ją z drzewa, podwinąć czaszę i odsłonić jej kryjówkę.

– Hej! – zawołał znów mężczyzna w dole.

Bawi się z nią. Widzi ją. Gdyby stanął na palcach, dosięgnąłby do niej. Ciężko dysząc, czekała na chwilę, gdy na kostce poczuje uścisk jego palców.

– Tu policja. Karetka już jedzie. Jest tam na górze ktoś? Potrzebujesz pomocy?

Nie jest z policji. Wiatr przeciągnął zimnymi palcami przez gałęzie, jakby mężczyzna w dole posłał ku drzewu swoje mroczne myśli, żeby ją odszukały. Miała wrażenie, jakby między liśćmi, unosząc je, biegały małe złe stworki obwąchujące wszystko w poszukiwaniu jej zapachu. Potem usłyszała skrzypienie wyschniętej trawy, gdy się odwrócił i wyszedł z cienia rzucanego przez drzewo.

To nadal gra. On się z nią bawi. Chce ją wywabić. Albo może...

Trzymając się mocno, ześliznęła się niżej, aż znalazła kolejny konar. Niebezpiecznie teraz odsłonięta, widziała, że mężczyzna odchodzi. Znała go. Przez

jej głowę przemknęły sceny: jak podnosi strzelbę, jak uderza kamieniem w głowę młodej dziewczyny. Jak ich ściga.

Jego zakryte kapeluszem włosy były długie, kręcone, sięgały karku. Ramiona szerokie, nogi silne. Szedł w kierunku postaci na ziemi. Postaci, którą rozpoznała od razu. Gdy był wystarczająco blisko, zatrzymał się. Tracił ciało jej siostry butem.

Dlaczego jej siostra tam leży, dlaczego się nie porusza?

Poczuła, że musi coś zrobić. Ale ciało nie chciało jej słuchać. Była sparaliżowana przerażeniem.

Mężczyzna stał nad jej siostrą i się w nią wpatrywał. Ciężko łykając powietrze, patrzyła, jak nagle klęka, nachyla się i... Wyglądało to tak, jakby wachał włosy siostry.

Jego głowa cofała się i przysuwała, jak u jakiegoś zwierza wężącego za jedzeniem. Widziała, jak unoszą się jego ramiona, gdy zaciągał się zapachem. W końcu przestał i z kieszeni wyjął telefon komórkowy. Wpatrzony w jego ekran, drugą dłonią wykonał jakiś gest, zacisnął dłoń w pięść. Potem zaczął stukać w klawiaturę. Nie przerywając, wstał i wrócił do quada. Uruchomił go, wykręcił i odjechał z telefonem przyciśniętym do ucha. Pies pobiegł za nim.

Kiedy quad zupełnie znikł z widoku, opuściła się na ziemię. W jej zamroczonym, zdezorientowanym umyśle istniała tylko jedna myśl. Mężczyzna nie zabił jej siostry. Nawet nie próbował. To oznaczało, że jej siostra nie żyje.

Kiedy Patrick wrócił do ruin w majątku Harcourt, było tuż po dziewiątej. Przed domem stał stalowoszary land rover jego matki, obok mercedes brata. Patrick zgasił silnik, uzmysławiając sobie przy okazji, że wstrzymuje oddech. Jego dwaj starsi bracia wysiedli z auta i oparli się o jego bok.

Z defendera wygramoliła się przysadzista rudowłosa kobieta. Jej kalosze zostawiały w błocie głębokie odciski. Szerokie biodra opinała obcisła spódnica; w aucie się podciągnęła i teraz odsłaniała grube nogi w grubych czarnych rajstopach. Kobieta była w srebrnej wutowanej kurtce ze złotymi suwakami, przy obwisłej skórze brody dyndały ogromne koła kolczyków. Z papierosem zaciśniętym w zębach ruszyła w stronę Patricka. Kiedy była odpowiednio blisko, żeby się zamachnąć, zrobiła właśnie to: wymierzyła synowi policzek – szybki, mocny. O mało nie urwało mu nosa.

– Daj spokój, ma. – Przynajmniej odzyskał oddech. Oczekiwanie na uderzenie zawsze było najgorsze.

– Jak mogłeś nie usłyszeć pieprzonego balonu? Gdzie ona jest?

Pokazał za siebie, w stronę domu, w kierunku ogrodu. Matka ruszyła, jej kalosze chlupały przy każdym kroku. Bracia poszli za nią. On był ostatni. Shinto wskoczył do samochodu matki i ułożył się na tylnej kanapie.

Dziewczyna była tam, gdzie ją zostawił. Matka podeszła, przykucnęła i przytknęła gruby palec do szyi leżącej. Druga dłoń powędrowała do różańca na jej szyi.

– Żyje? – spytał William.

– Ledwie. – Mary się wyprostowała. Bracia Patricka pochylili się, podnieśli nieprzytomną dziewczynę. Całą czwórką ruszyli z powrotem na front domu.

– Mów, co się stało, idioto – warknęła matka.

– Zastrzeliłem tego faceta od palników – zaczął. – Reszta zginęła podczas zderzenia. – Patrzył w ziemię, ale kątem oka widział, że matka się przeżegnała. Prawą dłonią ścisnęła złoty krzyżyk różańca.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece – wymamrotała.

– Oni go wyrzucili z tego balonu – dodał. – Wiem, gdzie jest. Znajdziemy go, ukryjemy ciało, nikt się nigdy nie skapnie, że to nie był wypadek.

– Myślisz, kretynie, że nie mieli ze sobą telefonów? Robili zdjęcia, wysyłali wiadomości.

– Tu nie ma zasięgu. A ja zebrałem wszystkie telefony, które udało mi się znaleźć. – Odchylił kieszeń kurtki, żeby pokazać kolekcję komórek. Miał ich osiem.

– Już samo to wzbudzi podejrzenia. Cała kupa ludzi w balonie i nikogo z

telefonem?

– Na Twitterze pojawiło się mnóstwo wpisów – oznajmił Charles. William otworzył tylne drzwi mercedesa i dziewczyna została wepchnięta do środka. – Ale to tylko udostępnienia i komentarze. Nic z samego balonu oprócz tweeta od tej pierwszej pary. Ale o tobie nie wspomnieli.

– Będziemy mieli cholerne szczęście, jeśli się okaże, że nikt nie wysłał esemesa, nie zrobił zdjęć. I skąd wiesz, że znalazłeś wszystkich?

– Bo policzyłem. Kiedy ich ścigałem. Dwunastu pasażerów. Znalazłem dziesięciu. Wszyscy nie żyją.

– Znalazłeś dziesięciu?

– Zabrakło mi czasu, ale nie martw się, ma, reszta też na pewno zginęła.

– Musimy znaleźć pilota – rzucił stanowczo Charles.

– Wiem – odpowiedziała matka. – Zanim to całe pieprzone wrzosowisko zapełni się robactwem. Na miłość boską, naprawdę nie jest to nam teraz potrzebne. Nie w tym tygodniu.

Dwanaście lat wcześniej

Dwie kobiety, jedna w obszernym luźnym zielonym swetrze, druga w luźnym czarnym habicie zakonu sióstr karmelitanek, szły po zaspach z liści. Jesień przyszła do Northumberland późno, babie lato przeciągnęło się aż do października, liście zaczęły więdnąć i spadać dopiero pod koniec miesiąca. Teraz, w pierwszym tygodniu listopada, wciąż było wyjątkowo ciepło, w przyklasztornym sadzie jabłka wciąż trzymały się gałęzi.

– Bella – odezwała się Jessica, podnosząc wiklinowy kosz.

– Tak? – mruknęła jej siostra. Jabłko, po które sięgała, spadło do jej dłoni i trafiło do kosza.

– Zawsze, kiedy mam jakiś problem, kiedy coś mnie gryzie, wiesz, co wtedy robię?

Isabel obeszła drzewo, żeby dosięgnąć gałęzi po drugiej stronie.

– Odnoszę wrażenie, że zaraz sama mi powiesz. Podsuń mi, proszę, drabinkę.

Jessica przystawiła do pnia niskie plastikowe schodki. Sprawdziła, czy stoją stabilnie, i dopiero wtedy się odsunęła, żeby siostra mogła się wspiąć.

– Wyobrażam sobie, że z tobą rozmawiam – dokończyła. – Przedstawiam ci swój punkt widzenia, a ty odpowiadasz.

Isabel, dobrą głowę wyższa na drabince, chwilę się zastanowiła.

– I te moje porady są dobre? – spytała.

– Najczęściej mówisz to, co chcę usłyszeć.

– To nie bardzo brzmi jak ja. – Z trzema jabłkami w dłoniach Isabel zeskoczyła. – Masz ładny sweter. Nowy?

– Tak. Kupiłam w Hobbs. Jak ty to robisz?

Isabel ruszyła do następnego drzewa.

– Co?

– Jak rozwiązujesz problemy? Też rozmawiasz o nich ze mną w myślach? A może z Hildegardą? Albo, no nie wiem, z...

– Panem Bogiem? – odpowiedziała Isabel. – Co to za kolor?

– Zielony – odparła Jessica. – Rozmawiasz?

– Gdybym wiedziała, że jako policjantka będziesz taka dociekliwa, chyba nie doradzałabym ci, żebyś kończyła szkołę policyjną.

– Pytam poważnie, Bella.

Isabel chwilę milczała. Potem powiedziała:

– Mam bardzo niewiele problemów, które wymagają aż takich wysiłków. A sweter nie jest zielony, tylko koniczynowy. Albo szmaragdowy. Przymierzyłabym go, ale... – Kiwnęła głową w stronę drugiego krańca sadu, gdzie w ogródku warzywnym pracowało kilka innych zakonnicek. – No, sama rozumiesz.

Jessica poczuła ucisk w żołądku. Isabel zawsze to robiła. Słuchała cierpliwie przez wiele godzin, jak Jessica opowiada o swoim życiu, ale gdy się zapytało o jej sprawy...

– Jak jest dobrze – spróbowała znowu – gdy coś mi wychodzi w pracy albo kiedy w zeszłym roku dostałam tę pochwałę, zawsze sobie wyobrażam, że mnie oglądasz przez ukrytą kamerę i mnie dopingujesz.

– Co oczywiście robię, zawsze. Nawet jeśli nie ma żadnej ukrytej kamery. O co ci tak naprawdę chodzi, Jess?

– Nie jestem dla ciebie ważna, co?

Isabel zatrzymała się w pół kroku. Jeśli wierzyć wyrazowi jej twarzy, była szczerze zdumiona.

– Jess!

Jessica machnęła ręką na znak, żeby Isabel nie przestawała zrywać jabłek.

– Och, wiem, że mnie kochasz. Nie wątpię w to. Ale to dla ciebie bez różnicy, czy jestem, czy mnie nie ma. Ze mną czy beze mnie żyłoby ci się równie dobrze.

Isabel wreszcie potraktowała siostrę serio. Jej głos, gdy odpowiadała, był niski, poważny.

– To nieprawda. Wcale tak nie jest.

– Nie mam do ciebie o nic pretensji, słowo. Obie wybrałyśmy swoje drogi w życiu, tylko że nie mogę przestać myśleć o różnicy między nami. Gdybyś mnie straciła, przeżyłabyś to. Ale ja... Gdybym to ja straciła ciebie... myślę, że to byłby mój koniec.

Środa, 20 września

Ciało siostry leżało kilka kroków dalej. Szeroko otwarte oczy, bezkrwista, blada twarz... Nie było żadnych wątpliwości. Osoba, którą kochała najbardziej na świecie, odeszła. Czy w takim razie to oznacza też jej koniec?

Kiedy ciało pilota spadło na ziemię, Patrick zapisał sobie w pamięci miejsce, w którym to się stało. Łagodne zbocze, wąski strumień na południowym zachodzie, nieduży zagajnik zimozielonych drzew na północy. Mimo to odnalezienie zwłok zajęło mu prawie godzinę.

Pilot spadł w zarośla. Gigantyczne szpice trybuli i łopianu wysokością przewyższały wzrost człowieka. Wszędzie były pokrzywy, a grube łodygi podagrycznika wkręcały się w koła quada. Zbliżając się do właściwego miejsca, słyszał za sobą land rovera matki, a za nim mercedesa brata.

Chwilę się zastanowił, potem skręcił w lewo. Tutaj podłoże było miększe. Gdyby się zakopali, jego narwana matka mogłaby tego nie wytrzymać. Objechał zwalisko kamieni i dostrzegł go. Ułatwiła to jaskrawa przeciwdeszczowa kurtka, mieniąca się na zboczu bielą, błękitem i żółcią. Pilot leżał na plecach, twarzą do góry. To znaczy byłoby tak, gdyby miał twarz. Patrick podjechał i zgasił silnik. Za nim to samo zrobili matka i brat.

Mary, podchodząc do ciała, przeżegnała się. Charles i William natychmiast poszli w jej ślady. Po chwili on też się przeżegnał. Czasami łatwiej jest robić to co inni. Popatrzyli w dół, na pozbawionego głowy trupa.

– Pobłogosław nas, Panie. Własna matka by go nie rozpoznała – mruknęła Mary.

– Policja rozpozna – rzucił Charles. – Odciski palców. Uzębienie. DNA.

– No to mu te palce odetnijmy – podsunął William.

– Idiotyczny pomysł. I tak go rozpoznają. Musimy się go pozbyć. Pat, przeszukaj mu kieszenie.

Patrick przeszukał. W wewnętrznej znalazł komórkę i portfel. Pilot nazywał się Sean Allan.

William, z czerwoną, poparzoną słońcem wygoloną czaszką, patrzył na martwego mężczyznę z taką miną, jakby ktoś obsikał mu buty.

– Czegoś tu nie łapię – mruknął. – Znaczący tego, gdzie się podziała jego głowa.

Patrick nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, jaką minę ma jego matka. Kochała wszystkich swoich synów, ale często powtarzała, że niektórzy jej to ułatwiają, a inni nie.

– Zestrzeliłem ją – wyjaśnił i zabrał się do przeszukiwania zewnętrznych kieszeni kurtki pilota.

– Taa, wiem, ale ona powinna gdzieś tu być. To kości, krew i... Z czego jest mózg?

– Z mózgu – burknął Charles.

– No tak, ale mówię, że to wszystko nie znika po odstrzeleniu.

– Nawet zepsuty zegar dwa razy na dobę pokazuje dobrą godzinę – wymamrotała Mary. – Ślady po tym człowieku będą w balonie. Policja je znajdzie. Nawet jeśli nigdy nie znajdą tego. – Szturchnęła zwłoki stopą. – Będą wiedzieli, że coś kofnęło.

– Możliwe. – Patrick nie przestawał przeszukiwać kieszeni. W kurtce było ich całe mnóstwo. – Ale nie będą wiedzieli co. A do czasu, gdy uzyskają pewność, że są podstawy, żeby wszcząć śledztwo, nie zostanie nic do zobaczenia. Poza tym szczęście mi dopisuje. – Podniósł to, co znalazł: radiostację z balonu.

– Nie mogli wezwać pomocy – oznajmił. – Te debile wyrzuciły radio. A tu nie ma zasięgu. Nie mogli nikogo powiadomić o tym, co się stało.

Charles, który miał najbardziej wyczulony słuch, odszedł kawałek od grupy.

– Ktoś jeszcze to słyszy?

Przez sekundę nasłuchiwali.

– Helikopter – stwierdziła Mary. – Kurwa mać, pakujcie go do wozu.

Przemaszerowała do defendera i otworzyła drzwi z tyłu. Jej synowie podnieśli zwłoki, wpakowali je na siedzenie, przykryli plandeką i zatrzasnęli drzwi.

– Do domu? – rzuciła Mary.

– Ja dojadę później – odparł Patrick. – Muszę się jeszcze czymś zająć.

Nie miała pojęcia, jak długo siedziała przy zwłokach siostry. Nie była nawet pewna, czy przez ten cały czas była przytomna. Wiedziała tylko, że przez ból głowy jest jej niedobrze, że jej ubranie jest zimne i się do niej klei, że nogi ma tak słabe, że wątpiła, czy kiedykolwiek zdoła się na nich utrzymać.

Niebo w górze było teraz ciemniejsze. Na horyzoncie widziała szare ukośne smugi sięgające ziemi. Nadciągała potężna burza.

Las, w którym się rozbili, porastał jeden z najniżej położonych krańców parku. Tam, gdzie nie zasłaniały go drzewa, widok rozciągał się na sporą odległość w każdą stronę. Nigdzie nie dostrzegła żadnych zabudowań, żadnych dróg. Jedynym śladem obecności człowieka były linie wysokiego napięcia.

Ciała zabitych leżały wszędzie. Matka i syn, trochę dalej ojciec. Dziennikarz, bezgłowe zwłoki mężczyzny w czerwonej kurtce. Tyle trupów. Może i ona jest trupem. Może wokół niej krążą duchy tych wszystkich martwych ludzi. Siedziała i zastanawiała się, co, na Boga, się tu wydarzyło.

Gdzieś poza zasięgiem wzroku rozbrzmiało ujadanie psa. Potem, poprzez huk nadciągającej burzy, dotarł do niej warkot silnika quada. Oddalony, ale coraz głośniejszy. Zbliżał się. Znów, jak rozgrzany do czerwoności ołów, przez jej ciało przeląła się fala paniki. On wraca.

Ajax! Tutaj! Ajax, chłopcze!

Inspektor Ajax Maldonado zatrzymał się, westchnął i odwrócił. Przez recepcję w jego stronę drobiła mała, pomarszczona Karaibka. Kobieta szła zadziwiająco szybko, zważywszy na jej wiek, posturę i balkonik, który przy każdym kroku wyrzucała przed siebie.

– Teresa, jak się tu dostałaś? – O ile wiedział, mieszkała daleko, a samochodu nigdy nie miała.

– Numer siedemnasty – wydyszała. – Te łachudry znowu u mnie były. Namazały przekleństwa na płocie z tyłu. Tym razem czerwoną farbą.

– Tereso, dlaczego nie poszłaś na Clifford Street, jak ci mówiłem? Albo nie zadzwoniłaś? Tu jest komenda. Nie zajmujemy się... – Chciał powiedzieć „drobnymi skargami”, ale ugryzł się w język. Z Teresą lepiej było nie zadzierać.

Kobieta się nastroszyła.

– Wy tu macie chyba samych idiotów! Wybacz mi łacinę, ale nie potrafią odróżnić dupy od łokcia. Mówiłam im, że znam szefa, mówiłam, że chodziłeś do szkoły z moim Clarkiem, a oni powiedzieli, że nigdy o tobie nie słyszeli, że nowym szefem jest jakiś Jones. Komendant John Jones. Dlaczego mówiłeś, że to ty jesteś szefem?

Nie było sensu prosić, żeby ściszyła głos. Byłoby jeszcze gorzej.

– Nigdy nic takiego nie mówiłem, Tereso.

Podeszła bliżej i się wyprostowała. Patrzenie na niego z podniesioną głową musiało sprawiać jej ból, ale zdawała się nie zwracać na to uwagi. Strzepnęła krople deszczu z jego kurtki. Za chwilę wyjmie chusteczkę, napluje na nią i zacznie mu wycierać gile spod nosa.

– To ile gwiazdek ma ten Jones w takim razie? – zapytała.

– Więcej niż ja. – Podniósł balkonik i odwrócił kobietę z powrotem w stronę recepcji. – A teraz załatwię kogoś, kto cię odwiezie. Jakąś miłą młodą policjantkę, co ty na to?

– Jakiegoś miłego młodego policjanta – odpowiedziała i zasznurowała usta.

– A sam wpadnę do ciebie wieczorem. Sprawdzę, co się dzieje.

Zerknęła na niego z ukosa.

– O której?

– Wypijemy herbatę i spróbuję zmyć farbę.

– Zrobisz to? – Jej okrągła pomarszczona twarz się rozświetliła. – Wieczorem?

– Taa. Zapowiada się, że dzisiaj będzie spokojnie. Pewnie wyjdę wcześniej – odparł z nadzieją, że nie wypowiedział tych słów w złą godzinę. – Ale tylko jeśli

obiecasz, że więcej tu nie wrócisz.

– Dlaczego? – Znowu podniosła głos. – Boisz się, że pomyślą, że jestem twoją matką? – Odrzuciła głowę w tył i zagdakała jak wiedźma z Endor. – Chłopcze, gdybyś był mój, byłbyś o wiele przystojniejszy.

Pięć minut później, kiedy już wyprowadził Teresę z budynku, Ajax dotarł na pierwsze piętro.

– Dzień dobry, szefie. – Stacey, która jego zdaniem przekupiła obsługę recepcji, żeby co rano dawali jej znać, że już przyjechał, czekała na szczycie schodów. – Chciałam pana złapać, zanim przy czymś pan utknie.

– Jestem cały do twoich usług, Stacey. – Ruszył korytarzem do swojego biura w głębi.

– Sir! – Otworzyły się drzwi gabinetu komendanta, zza których wychylił się posterunkowy w samej koszuli, bez marynarki.

– Za minutkę, Chappers! – zawołał. – Wysłucham tylko raportu Stacey.

Znowu ruszył, świadomy, że teraz idzie też za nim posterunkowy Steve Chapman.

– Konkluzje z Cheltenham – zaczęła Stacey, przyspieszając kroku, żeby nadążyć. – Zajęłam się tym w pierwszej kolejności. Rzecz w tym, że mail, który przechwycili, przyszedł z serwera bez żadnej historii wymiany z kimkolwiek ważnym, więc prawdopodobnie nie ma sensu się nim przejmować.

– Jakiś żartowniś? – Ajax otworzył drzwi i swoją czapkę rzucił na stojący wieszak. Nie trafił.

Stacey pochyliła się i podniosła czapkę.

– Z drugiej strony, biorąc pod uwagę, że to taki ważny mecz, i w obliczu ostatniego zaangażowania Wielkiej Brytanii na Bliskim Wschodzie zagrożenie podnosi imprezę do kategorii C-plus.

– Sir. – Posterunkowy Chapman czekał w drzwiach. – To naprawdę...

Ajax podniósł palec. Następnego dnia wieczorem Newcastle miało rozegrać mecz towarzyski z AC Milan w St James Park. Centrala Łączności Rządowej uzyskała informację o możliwości zaistnienia incydentu terrorystycznego. Sprawy nie traktowano jako wysoce priorytetowej, ale mimo wszystko policja okręgowa musiała zachować maksymalną czujność.

– W Parku Narodowym rozbił się balon na gorące powietrze. – Chapman już prawie krzyczał. – Z trzynastoma osobami na pokładzie. Podobno wszyscy zginęli.

Ajax na wiadomość zareagował sekundą milczenia – bo tego chyba wymagała – potem zanurzył twarz w dłoniach. Kiedy znowu spojrział w górę, zobaczył, że przy drzwiach zdążył się już zebrać spory tłumek. Pozwolił sobie na szybkie zerknięcie na jedyne stojące na jego biurku zdjęcie. Młodej kobiety, promiennie uśmiechniętej, z ciemnymi kręconymi włosami.

– W porządku, ludzie. – Podniósł głowę. – Centrum operacyjne w sali 201.

Potrzebujemy kryptonimu akcji i tylu wolnych linii, ile się da. Chappers, zadzwoń do Alana z IT.

– Kryptonim już jest, sir. Operacja Pożar. Sprawdziłem. A linie są załatwione.

– Zuch. Ty, Stacey, Becks i George idziecie do 201. Wszystkie komputery mają być włączone, tablice czyste, mapy parku przygotowane. Stacey, jesteś odpowiedzialna za wydawanie komunikatów. Jak tylko będziemy mieli oświadczenie, wrzuć je na naszą stronę główną razem z numerami telefonów alarmowych. Musimy też jak najszybciej przygotować oświadczenie dla prasy. Spróbuj coś dla mnie napisać.

George trzymał w górze telefon.

– Właściciel firmy balonowej – oznajmił. – Richard Allan.

Ajax przejął słuchawkę.

– Już do pana jadę. Proszę czekać w biurze, przy telefonie. Będę u pana w ciągu godziny.

Sekundę przed tym, zanim Ajax zwolnił hamulec ręczny w samochodzie, dołączyła do niego MoJo. Wnętrze auta wypełniło się zapachem jej perfum przywodzącym na myśl lasy sosnowe i słodki aromat dymu drzewnego. Ajax się uśmiechnął, ucisk w jego piersi odrobinę zelżał.

– Dzień dobry. – Z ręką na kluczyku w stacyjce odwrócił się do MoJo tylko po to, żeby na nią spojrzeć.

Też się uśmiechnęła.

– Zgłosiłam się jako pierwsza – wyjaśniła.

Protokół procedur w sytuacjach kryzysowych obowiązujący policję okręgową w Northumberland stanowił, że w przypadku każdego poważnego lub potencjalnie poważnego incydentu do chwili ustalenia właściwego podziału kompetencji, dochodzenie musi prowadzić funkcjonariusz wyższej rangi. Ten sam protokół zalecał, aby starszy oficer dobierał sobie do pomocy doświadczonego szeregowca. Ajax i MoJo pracowali ze sobą już nie raz.

– Wprowadzili cię? Wiesz, o co chodzi? – spytał, dość głośno, żeby było go słychać pomimo dudniącego w dach auta deszczu. Przez szybę zalewaną szarymi strugami prawie nic nie było widać. Do północnego krańca Parku Narodowego mieli około stu kilometrów. Miał nadzieję, że tam pogoda jest lepsza.

– Niezupełnie.

– Firma balonowa mieści się w Kelso – zaczął. – Balon wystartował z miejsca położonego jakieś dwadzieścia kilometrów dalej na południowy zachód. Krótco po szóstej rano. Lądować miał godzinę później, gdzieś na terenie Parku Narodowego. Nie wylądował, ale najwyraźniej to nic nadzwyczajnego. Te balony często zbaczają z kursu, więc na początku nikt w firmie się nie zmartwił.

MoJo zerknęła na zegarek, chociaż prawdopodobnie wiedziała, że dochodzi dziesiąta. Dobry policjant zawsze jest świadomy czasu.

– Pilot był doświadczony? – spytała.

– Właściciel powiedział, że jeden z najlepszych. Ale to rozumiałe, że tak twierdzi, facet był jego synem.

– No tak.

– Tuż przed dziewiątą ci z okręgu północnego odebrali telefon od miejscowego farmera – ciągnął. – Farmer zobaczył lecący nisko nad jego ziemią balon i nie był z tego powodu zachwycony. Balon wystraszył mu owce czy coś tam. Więc zaczął za nim gonić quadem. Zamierzał zrugać pilota. Po jakimś czasie kręcenia się po okolicy znalazł go. Wisiał na drzewie. Prawdopodobnie jest sporo ofiar.

– Okej, przelećmy listę kontrolną. Centrum operacyjne wyznaczone?

Ajax wyjechał na główną szosę.

– Tak. – Docisnął gaz, żeby zdążyć przed zmianą świateł. Na poboczu tworzyły się już kałuże.

– Ludzie wysłani?

– Trzy radiowozy. Karetka z dwójką sanitariuszy jest w drodze. Wezwałem też pogotowie lotnicze. I trzy wozy strażackie.

– Szpital i kostnica powiadomione? – Opuściła głowę, żeby otrząsnąć długie czarne włosy z kropel deszczu. Teraz miała je ufarbowane na odcień jagodowy. Nie przepadał za nim.

– Lecznica Berwick i szpital Borders General są w pogotowiu. Powiadomiłem też Newcastle General. Mówimy o wielu ofiarach, maksymalnie trzynaście osób.

– Służby parkowe poinformowane? – MoJo odsłoniła lusterko pasażera i nachyliła się do niego.

– Tak. Zaalarmowali już swoje ekipy poszukiwawcze. Poprosiłem też o wsparcie jednostki z psami. Mobilizacja zajmie im co najmniej godzinę. A ty dlaczego nie szykujesz się w toalecie na posterunku jak inne dziewczyny?

Zadzwoił telefon pokładowy. MoJo się skrzywiła, kiedy zobaczyła, kto dzwoni. Ona i Stacey nigdy się nie spotkały twarzą w twarz.

– Mów, Stacey – rzucił Ajax.

– Sir, na Twitterze jest wpis. Na razie niewiele osób go przeczytało, ale wie pan, jak te rzeczy się rozchodzą. Z tego, co udało nam się wywnioskować, jeden z pasażerów wysłał wiadomość, kiedy jeszcze byli w powietrzu, potem tweet kilka razy został przekazany.

– Co w nim jest? – spytał. – Co jest w tym tweecie?

– Chwileczkę. O, mam. „Balon poza kontrolą nad Parkiem Narodowym Northumberland. W czerwone, żółte, niebieskie pasy. Zadzwoń na 999. #SOS #pomocy!” Ludzie z parku zauważyli tweeta, zaczęli prosić personel i gości, żeby rozglądali się za błędzącym balonem. Za chwilę wszyscy się dowiedzą, że się rozbił. Na miejscu może pan zastać tłumy. Och, i było już kilka telefonów.

– Od rodzin czy prasa?

– Na razie prasa. I na razie odsyłamy ich z kwitkiem, ale długo się tak nie da. Gdy się rozłączył, telefon od razu znów zadzwonił.

– Dostaliśmy od Milanu ostateczne wyliczenia, Ajax. Sprzedali dziesięć tysięcy biletów. Spodziewają się, że dodatkowe dwa tysiące przyjdzie w ciemno. Pięćdziesięciu funkcjonariuszy to najwięcej, co mogą zapewnić.

– Super. Zrób mi przysługę, Gaz. Powiadom szefa, że musimy oddelegować tam całą dwusetkę naszych i że będziemy musieli trzymać kciuki, żeby jutro wieczorem nic się nie wydarzyło, bo dobrzy obywatele hrabstwa Northumberland będą zdani wyłącznie na siebie.

Kolejny telefon. Znowu Stacey.

– Sir, mamy listę pasażerów – oznajmiła. – Trzynaście osób, łącznie z pilotem, tak jak myśleliśmy.

– Jakież dzieci? – spytał, zerkając przy tym na MoJo.

– Firma nie zabiera na loty osób poniżej czternastego roku życia – odpowiedziała Stacey. – Ale była para starszych nastolatków. Nathan i Poppy Carlton, z rodzicami, Harrym i Helen.

– Kiepsko. Ktoś jeszcze, o kim powinienem wiedzieć?

– Kilku turystów, małżeństwo w średnim wieku, jakiś samotny facet. Och, i zakonnica – dodała. – Siostra Maria Magdalena. Poleciała z siostrą. Lot był prezentem na czterdzieste urodziny. Dla zakonnicy, nie dla siostry.

– Widzę go. – MoJo nachyliła się, żeby zetrzeć parę z szyby. Dziesięć minut wcześniej zjechali z szosy i kierując się wskazaniem GPS-u, jechali po wrzosowiskach do miejsca wypadku. Kiedy Ajax skręcił, też go zobaczył. Balon wisiał na drzewie, jego jaskrawe kolory kłóciły się z kolorystyką jesiennej ulewy. Trochę dalej stały samochody służb. Kilka policyjnych land roverów. Karetka. Było też całe mrowie ludzi, w tym kilku cywilów. Taśma policyjna dokoła skupiska drzew. Kosz, nadpalony, rozerwany. Ajax zatrzymał się kawałek przed taśmą i razem z MoJo wysiedli z auta. Podszedł do nich umundurowany policjant.

– Nie jest dobrze, sir – oznajmił. Całą trójką ruszyli w stronę taśmy. – Nie znaleźliśmy nikogo, kto przeżył.

Dwadzieścia metrów przed drzewami na quadzie siedział jakiś mężczyzna. W cywilnym ubraniu i w tweedowej czapce. U jego boku dwa psy, owczarki szkockie. Skulone, trzęsły się z zimna.

– Chuff Reynolds – poinformował posterunkowy. – Miejscowy farmer. To on znalazł balon. Chyba jest w szoku. Ratownicy powinni go obejrzeć, ale to teraz nie najważniejsze.

Ajax szedł dalej. Policjanci w mundurach wbijali paliki w ziemię i rozciągali dodatkową taśmę, żeby nad ciałami rozstawić namioty. Pierwsze zobaczył, gdy zostało mu do niego jakieś trzydzieści metrów. Mężczyzna w niebieskiej nieprzemakalnej kurtce leżał na brzuchu, twarzą do ziemi.

Przykucnął, przyłożył palec do szyi. Skóra była zimna i mokra, jej kolor nabierał już barwy kościelnych gromnic. Puls niewyczuwalny. Podsunął kurtkę w górę i z kieszeni wyciągnął portfel.

– Inspektor Maldonado?

Dźwignął się z kucków. Przed nim stał mężczyzna w kurtce z logo firmy balonowej. Twarz barwy popiołu, szczęka zaciśnięta.

– Richard Allan – przedstawił się. – Rozmawialiśmy przez telefon. Jestem właścicielem firmy.

– Ma pan jakiś pomysł, co tu się stało, panie Allan?

Allan popatrzył na krzykliwe przystrojone drzewo i spuścił wzrok.

– Na pewno nie wylądował w sposób naturalny. To raczej oczywiste, patrząc na to pobojuwisko.

– Lądowanie awaryjne, to ma pan na myśli?

Mężczyzna pokręcił głową.

– Awaryjne nie skończyłoby się tak tragicznie. Ludzie przeżywają takie lądowania. Ten balon po prostu runął na ziemię.

Podeszli kilka kroków bliżej. Allan, ociągając się, z wyraźną niechęcią.

– Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to że ktoś przez przypadek pociągnął za linkę rozrywacza – wyjaśnił.

– Za co?

– Linka rozrywacza. To taki czerwony sznurek w przedziale pilota. Służy do szybkiego opróżnienia powłoki, kiedy kosz jest już na ziemi. Jeśli się ją pociągnie w powietrzu, powłoka się zapada i całość leci w dół jak kamień.

– Po co ktoś miałby coś takiego robić, na Boga?

– Pilot tego nie zrobił – rzucił z przekonaniem Allan. – Może jakiś samobójca, ale Sean pociągnąłby po prostu za inną, za tę prążkowaną, która z powrotem nadmuchałaby balon. Nawet gdyby ktoś pociągnął za czerwoną linkę, Sean, pod warunkiem że byłby na pokładzie, uratowałby sytuację.

Stali teraz bardzo blisko kosza.

– Ale myślę, że tu się wydarzyło coś jeszcze. Widzi pan te ślady przypalenia? – Wskazał czarne smugi na wiklinie. – To mi wygląda tak, jakby kosz w pewnym momencie wpadł na druty elektryczne. No i wybuchła jedna z butli.

Odwrócili się i popatrzyli w stronę odległych słupów wysokiego napięcia. Coś z nimi nie było do końca w porządku.

– Zaraz tam kogoś poślę – mruknął Ajax. – Ale teraz chcę obejrzeć kosz. Jeśli pan woli zostać, nie musi mi pan towarzyszyć.

Ruszył przed siebie. Widział już wiele miejsc wypadków. Zjawiał się na nich jako jeden z pierwszych. Mimo to nie było mu łatwo. Na karku czuł oddech MoJo, musnęła krótko jego dłoń.

– Trzyście osób w balonie – wymamrotał. – Jak to możliwe, że widzę tylko jedną?

– Większość była przypięta – odpowiedziała. – Pewnie wciąż są w koszu. To nie będzie piękny widok, AJ.

Zatrzymał się przed gondolą i zajrzał do środka. Bezpośrednio pod nim leżały dwa ciała. Nastoletni chłopiec, którego imienia nie mógł sobie przypomnieć, i kobieta, prawdopodobnie jego matka.

Pilot nadal tkwił w swoim przedziale. Nadal przypięty. Głowa praktycznie zwisała. Jeśli pilot jest na swoim miejscu, to co tu się wydarzyło, do diabła?

– To nie Sean – oznajmił głos za jego plecami. Allan jednak podszedł za nim

do kosza.

Ajax odwrócił się i spojrzał na mężczyznę, który był ojcem pilota.

– Jest pan pewien?

– Sean był wielki. Wysoki, barczysty. I miał rude włosy. Ten tam to pewnie jeden z pasażerów, ale co robi w przedziale pilota, w jego uprzęży, tego nie wiem.

W koszu był jeszcze jeden pasażer, też martwy. Przysadzisty mężczyzna w średnim wieku.

– A gdzie reszta? – spytała MoJo.

Allan popatrzył w górę, na koronę drzewa. Ajax też.

– Coś tam jest.

– Widzę – potwierdził Allan. – Ale nie ciało. Jakaś tkanina.

– Dużo połamanych gałęzi. Wygląda, jakby ktoś przez nie spadał.

Odsunęli się od kosza i zobaczyli, że w ich stronę po zboczu idą technicy kryminalistyczni.

– Znaleźliśmy pięć osób – mruknął Ajax. – Zostało jeszcze osiem.

Jakiś funkcjonariusz czekał, żeby z nim porozmawiać.

– Sir, jest kolejne ciało. Dwadzieścia metrów w tamtą stronę.

Kobieta na ziemi nie wyglądała na martwą, a tylko jakby spała. Leżała na plecach, oczy miała zamknięte, ramiona wyciągnięte wzdłuż ciała. Wydawało się, że nic się jej nie stało, ale gdy się podeszło bardzo blisko, było widać, że coś dziwnego dzieje się z linią karku.

Czarny habit, który ją okrywał, był podarty i brudny, ale krzyżyk na szyi spoczywał idealnie pośrodku niedużego biustu. Gdyby kobieta stała, jej włosy prawdopodobnie sięgałyby do brody; były kręcone, z kilkoma pasemkami siwizny przełamującymi głęboki brąz. Welonu nigdzie w pobliżu nie było.

– Siostra Maria Magdalena – oznajmiła MoJo. – Była bardzo ładna.

Ajax podszedł do martwej zakonnicy, stanął nad nią i popatrzył. Jedna strona twarzy nienaruszona, idealna. Wysoko osadzone kości policzkowe, półksiężyc ciemnych rzęs pod łukami brwi. Pełne, wydatne usta. Druga strona ledwie przypominała twarz. Siostra Maria padła ofiarą wybuchu butli.

– Sześcioro zabitych – wymamrotał. – Nieciekawie to wygląda.

– Dziewięcioro – poprawił posterunkowy. – Znaleźliśmy trzy kolejne ciała.

Od wpatrywania się w górę na wiszące na drucie wysokiego napięcia osmolone ciało Ajaxa zaczęła boleć szyja.

– Musimy ściągnąć tego biednego sukinsyna. Kiedy będzie tu ktoś z zakładu energetycznego?

– Za godzinę, sir.

Zaklął.

– Nie chcemy, żeby zdjęcia tego tutaj trafiły do Internetu.

– Gdzieś w okolicy odetną ludziom prąd. – MoJo też przyglądała się zerwanym drutom i mężczyźnie, który je przerwał. W średnim wieku, w stroju do pieszej wędrówki. Twarz jak pozbawiona wyrazu maska na Halloween.

– Jak daleko stąd do najbliższego miasta, wsi, osady? – spytał Ajax.

Jeden z jego podwładnych miał mapę parku.

– Jakies pięć kilometrów na południowy zachód jest Yethlom, miasto. Wszystkie inne miejscowości są małe. Wioski z jedną ulicą. W tym małych dziurach często wyłączają prąd. Ludzie są przyzwyczajeni. Ale za kilka godzin zaczną się wkurzać.

Nadchodził kolejny policjant. Ajax patrzył ponad jego ramieniem na miejsce, gdzie był rozstawiany biały namiot.

– Natalie i Raymond Hastings, sir. – Funkcjonariusz miał ze sobą notes. Jego zadaniem było dopasowanie ciał do nazwisk pasażerów z listy firmy balonowej. – Oboje mieli przy sobie dowody. Ale powiem panu, inspektorze, co mnie zaczyna zastanawiać.

– Co takiego?

– Przed chwilą pytałem Roba. Robi inwentarz. Nie znaleźliśmy jeszcze ani jednej komórki.

– Inspektorze Maldonado!

Ajax się odwrócił. W jego stronę od radiowozu na szczycie pola biegł posterunkowy. Był zdyszany, gdy do nich dotarł.

– Ta kobieta w koszu – sapnął. – Helen Carlton. Ona żyje.

– Jakim cudem, na rany boskie, żeśmy to przeoczyli? – Ajax wyskoczył z samochodu. Ratownicy nieśli nosze z Helen Carlton do helikoptera. – Rzadko kiedy denat wygląda bardziej martwo.

Razem z ratownikami do helikoptera szedł lekarz.

– Ja też myślałem, że nie żyje. Ale była cieplejsza od syna, więc sprawdziłem reakcję źrenic.

– Dokąd ją zabierają? Do Newcastle?

– Tak sądzę.

Ajax usunął się z drogi, żeby ratownicy mogli wnieść nosze na pokład. Potem, gdy śmigło zaczęło się obracać, cała grupa odsunęła się jeszcze dalej.

– Ona nie przeżyje – mruknęła MoJo. – Nie z takimi obrażeniami.

Ajax odwrócił się do stojącego obok posterunkowego.

– A córka?

– Jeszcze jej nie znaleźliśmy – odparł policjant, po czym dodał: – Ale Jane chciałaby panu coś pokazać. – Miał na myśli młodą technik kryminalistyki u jego boku.

– Może uprzedzam wypadki – zaczęła kobieta, idąc razem z Ajaxem w stronę drzewa, na którym rozbił się balon. – Ale dokładnie obejrzałam wnętrze gondoli i nie jestem przekonana, czy mamy pełny obraz wydarzeń.

– To znaczy? – Ajax zatrzymał się metr przed koszem.

Pokazała na środek wiklinowej struktury, na miejsce, gdzie wcześniej stał pilot.

– Znalazłam tam ślady krwi – powiedziała. – Nic zaskakującego, zważywszy na siłę uderzenia. Ale jest tam też inna substancja organiczna. Widzi pan, pod tym skórzanym uchwytem?

Ajax popatrzył na błyszczącą szaraworóżową plamę.

– Co to za substancja?

Kobieta lekko się spłoszyła.

– Daleko mi do całkowitej pewności, ale bardzo możliwe, że to tkanka mózgowa. A żaden ze znalezionych pasażerów nie doznał aż tak poważnych obrażeń głowy, żeby doszło do rozbryzgu mózgu.

– Żaden z tych, których znaleźliśmy do tej pory – zauważył.

– Ale nikt z takimi obrażeniami nie mógłby się oddalić – odparła technik. – Ani z własnej woli wyskoczyć.

– Zgoda, to raczej niemożliwe – przyznał. – Proszę mnie informować o postępach, dobrze? – Ruszył z powrotem do samochodu. – W porządku, czyli teraz brakuje trzech osób, łącznie z pilotem. I z Poppy, nastolatką. Trzeba je szybko znaleźć. Niech ludzie współpracujący z załogą naziemną balonu przejdą z nią po prawdopodobnej trasie przelotu przez park. Jeśli pasażerowie wyskoczyli, wypadli lub ktoś ich wypchnął, znaleźć musimy ich my, a nie rodzina albo piknikowicze.

Dotarł do auta i się odwrócił.

– Jak się nazywała ta kobieta? Siostra tej zakonnicy?

– Jessica Lane, sir.

Dziesięć lat wcześniej

Bella?

– Hm?

– Pamiętasz, że jak byłam mała, to w nocy, gdy przyśniło mi się coś złego, zakradałam się do twojego pokoju?

– Aż za dobrze. – Ton Isabel sugerował, że nie było to najradośniejsze z jej wspomnień, ale z drugiej strony, lubiła dokuczać siostrze.

– Kładłam się obok ciebie, słuchałam, jak oddychasz, patrzyłam na ten mały uśmiezek na twojej twarzy.

– Ta część ci się śniła. W mojej sypialni było za ciemno, żebyś mogła coś widzieć.

Jessica chwilę się zastanowiła.

– Nie, wydaje mi się, że na zewnątrz była latarnia. Wiesz, że nadal jesteś jedyną ze wszystkich znanych mi osób, która się uśmiecha, gdy śpi?

– Muszę mieć nadzieję, że twoje doświadczenie w tym obszarze jest ograniczone.

– Wyobrażałam sobie, że jeśli dostatecznie długo będę cię przytulała, wpuścisz mnie do tych swoich radosnych snów.

– Te radosne sny były twoje, moja droga, nigdy moje. A ta latarnia na ulicy nie świeciła. Nasz... ktoś rozbił kamieniem żarówkę i później nikt tego nie naprawił.

– Och, teraz sobie przypominam. To była sprawka Neda.

Isabel wstała.

– Musimy iść. Już podają herbatę.

Jessica patrzyła za siostrą, jak podchodzi do drzwi biblioteki i je otwiera. Kiedy wyszły na korytarz, Isabel pomaszerowała przed siebie. Wciąż była bardzo sprawna, jeśli chciała, chodziła bardzo szybko. W pantoflach na wysokich obcasach i obcisłej spódnicy Jessica z trudem za nią nadążała.

– Kiedy zmarła mama, było mi smutno, ale nigdy się nie bałam – zaczęła znowu. – Wciąż miałam tatę. Dbał, żebym nie chodziła głodna i miała dach nad głową. Zaczekaj, Bella. Dlaczego się tak spieszysz?

Isabel trochę zwolniła.

– Hilda nie znosi, jak się spóźniamy. Jess, czy ta twoja opowieść dokądś zmierza?

– Tak. Chcę coś ustalić. Nie możesz chwilę poczekać, no naprawdę?

Isabel się nie zatrzymała.

– Ale przede wszystkim miałam ciebie – ciągnęła Jessica. – Z dnia na dzień zamieniłaś się w mamę. Pamiętam, jak wstawiałaś wcześniej rano i w tej małej butelce szykowałaś dla mnie mleko. Pamiętam, jak rodzynkami rysowałaś buźki na pudełku z płatkami śniadaniowymi. I zawsze pamiętałaś, żebym do szkoły poszła z czekoladowym ciastkiem w tornistrze.

Dotarły do drzwi świetlicy. Isabel się odwróciła, jej dłoń była mocno zaciśnięta na klamce.

– Skończyłaś?

– Prawie. Tylko jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Jak odpowiesz, skończę. Kiedy to wszystko się popsuło, Bella? Dlaczego tata zrobił to, co zrobił? Dlaczego Ned zniknął? Kiedy mi powiesz, co się z nami stało?

Isabel nacisnęła na klamkę, otworzyła drzwi i pozwoliła im zamknąć się za sobą. Gdyby Jessica w porę nie wstawiła stopy między nie a framugę, zamknęłyby się na jej twarzy.

– Bella! – warknęła ze złością.

Środa, 20 września

Obudził ją własny krzyk. Przez sen wołała chyba imię siostry. Leżała na ziemi, z trzech stron osłaniały ją skalne ścianki. Nie była to jaskinia, ale mimo wszystko coś najbardziej zbliżonego. Nie miała pojęcia, jak się tu znalazła.

Potem plątanina dźwięków i obrazów wróciła, scena wypadku odgrywała się w jej głowie z tą paskudną mieszanką impetu, parzącego gorąca i krzyków. Pamiętała, albo tylko jej się wydawało, że pamięta, że wisiała na drzewie. Bardzo długo, wydawało się, że przez wieczność. Wsłuchiwała się w szept liści i jęki wiatru.

Może to nie wiatr tak zawodził.

Pamiętała, że przedzierała się przez gałęzie, że spadała, drąc sobie ubranie, rozdrapując ręce. I ludzie. Twarze przepływające przed jej ledwie przytomnym umysłem. Słodki nastoletni chłopak, mężczyźni w jaskrawych kolorowych kurtkach, jakaś przerażona kobieta, która nie przestawała krzyczeć. Kim oni wszyscy byli i dlaczego ona była pewna, że wszyscy nie żyją?

Usiadła. Mdłości i ból walczyły ze sobą o jej uwagę. W wypadku rozbiła sobie głowę. Tępy ból obejmował prawie całą czaszkę. Za lewą skronią coś straszliwie dudniło. Po urazie głowy nie powinno się spać, zmęczenie często bywa oznaką obrażeń wewnętrznych. Może ona też nie przeżyje zderzenia. Może jej godziny są policzone. Jest jak skazaniec, nieświadomy, że zegar bezlitośnie odlicza ostatnie minuty jego życia.

Pamiętała, że znalazła siostrę, jej piękna twarz była spalona, szczupła szyja skręcona.

I szczekanie psa, przekonanie, że mężczyzna na quadzie wraca. Uciekła do lasu, w górę po wzniesieniu, potem czymś, co wyglądało jak szlak wyznaczony przez zwierzęta. Szła wiele godzin. A może to były tylko minuty. Wstrzymała oddech, nasłuchując odgłosów quada albo psa, ale na zewnątrz jaskini panowała cisza.

Przy jej boku leżał plecak, którego nigdy wcześniej nie widziała. Przyniosła go ze sobą z miejsca wypadku? Znalazła go tam? Niebieski, z czarnymi suwakami. Nie był jej. A jednak uświadomiła sobie, że wie, co jest w środku. Butelka wody. Babeczki z masłem orzechowym. Sweter – zielony – może go teraz włożyć, jest jej zimno. Rozpięła plecak i wyciągnęła sweter. Miała rację. W środku było wszystko, co spodziewała się tam znaleźć. A także portfel z pieniędzmi. I kluczyki. Czy ona ma samochód? Przypominała sobie, albo tylko jej tak wydawało, że jechała

jakimś małym autem, srebrnym. Nie miała pojęcia, gdzie ono jest.

Jazda w ciemności przedświtu, ogień na horyzoncie. Wyjątkowe podniecenie. Czy to było dzisiaj?

Wyczołgała się z kryjówki. Kiedy spała, zeszła mgła, widoczność zmniejszyła się do kilku metrów w każdym kierunku. Podłoże pod jej stopami wskazywało jej jednak, że jest na stromym zboczu. Wciąż trwał dzień, ale światło za mgłą było matowe, mdłe. Nie wiedziała, gdzie jest północ, południe, wschód, zachód. Czy powinna pójść w prawo, w lewo, przed siebie.

– Nie bądź martwa – wymamrotała, nie do końca pewna, do kogo to mówi. Nikt nie odpowiedział.

Ogarnęło ją nagłe uczucie osamotnienia, przygniotło ją jak ciężar, który miała dźwigać już do końca życia. Ruszyła w drogę. W dół, bo tak było łatwiej.

Oficjalnie rodzina Faa mieszkała w dworku Faa, kamiennym otynkowanym domu stojącym we wsi Kirk Yetholm w południowo-wschodniej Szkocji. Nieoficjalnie nikt z rodziny nie spał w żadnej z czterech sypialń. Sypialnie były przeznaczone do zupełnie innych celów, a rodzina mieszkała w przyczepach kempingowych, na podwórku z tyłu domu.

Dom, przyczepy i podwórko otaczał wysoki płot ze stalowej siatki. Wszędzie szwendały się psy, w dzień i w nocy, skradały się w cieniach, zawsze wypatrując zbłąkanego lisa, cwane go zajęcia czy głupiego człowieka.

Za płotem rozciągał się wąski pas lasu. Za nim w przeszłości były kopalnie odkrywkowe, ale obecnie teren składał się z porośniętych trawą gór i dolin. Krajobraz był trochę księżycowy. Rodzina wypasała tam hodowane przez nią srokaty kuce. Nie miała do tego prawa, ale właściciel ziemi dawno przestał się burzyć. Dla terenu nie miał innego wykorzystania, a żaden rozsądnie myślący człowiek, jeśli nie musiał, nie zadzierał z rodziną Faa.

Młody chłopak dostrzegł quad i otworzył bramę. Patrick wjechał na teren posesji i objechawszy ognisko, podjechał do największej z przyczep. Matki.

Młody odór gazu z butli używanego do ogrzewania, zmieszanego z silnym zapachem różanych perfum używanych przez matkę uderzył w niego w chwili, gdy otworzył drzwi przyczepy. Bezpośrednio przed nim, na wysokości oczu, na ścianie wisiało białe-czarne zdjęcie karawanu ciągniętego przez konie i czarnookiej Cyganki na miejscu woźnicy. Praprababka, tak zawsze twierdziła matka, choć Charles się zarzekał, że pamięta, jak matka kupowała to zdjęcie w sklepie ze starociami.

Przyczepa matki była zawałona meblami. Niektóre pasowały, większość była utknięta byle jak. Ulubione przez matkę tkaniny z kwiecistym wzorem, wszystkie gryzące się ze sobą, leżały wszędzie.

Matka, bracia i dwóch wujów pili herbatę. Matka przed zachodem słońca nie pozwalała nikomu tykać niczego mocniejszego, chociaż sama się tej zasady raczej nie trzymała. Patrick wielokrotnie wyczuwał alkohol w jej oddechu. Grała w dziwną grę w sześć kości, której zasad nigdy nie chciała wyjaśnić żadnemu ze swoich synów.

- Mów – rzuciła, nie podnosząc oczu.
- Wciąż brak dwóch ciał. Trzech, włączając to na tyle twojego samochodu.
- Wciąż brak dwóch osób. – Matka z wściekłością rzuciła kośćmi o stolik. – Nie wiemy, czy nie żyją. Mężczyźni czy kobiety?
- Kobiety. Jedna trzydzieści kilka lat. Druga to dziecko.
- Nazwiska?

- Jessica Lane, Poppy Carlton.
- Wiemy, jak wyglądają?
- Jeszcze nie. Pracujemy nad tym.

Mary sięgnęła ponad poplamionym fornirowanym drewnem blatem po wymiętolony atlas samochodowy i otworzyła go na zaznaczonej wcześniej stronie. Patrick podszedł bliżej. Strona zawierała mapę Parku Narodowego. Matka zakreśliła kołem miejsce, w którym spadł balon.

– Musimy się tam dostać. – Odwróciła się do swoich braci. – Zabierzcie wszystkich. Jeśli te dwie przeżyły, to się zgubiły albo są ranne, inaczej już by wezwały pomoc. Ktoś powinien sprawdzić dolinę. Gdy ludzie się zgubią, szukają wody. Zabierzcie psy.

– Ma, tam będzie pełno policji – zauważył Charles.

– Ubierzcie się jak spacerowicze. W parku jest ich zawsze jak mrówek. I ktoś musi zostać na drodze. Jeździć w tę i z powrotem i wypatrywać.

– A ty co będziesz robiła? – spytał William, jedyny, który był wystarczająco odważny. Albo wystarczająco głupi.

Mary uniosła brwi.

– Ja zostanę tutaj. Zrobię sobie coś do jedzenia i będę koordynowała operację. Jest jakiś powód, dla którego jeszcze tu tkwicie?

Mężczyźni wstali.

– Jak wam poszło? – zwrócił się Patrick do wuja. – Czy ona...

Tommy wspólnie z wujem Jeremym dostali zadanie dostarczenia nieprzytomnej dziewczyny do szpitala.

– Zmarła godzinę po przywiezieniu – odparł. – Teraz leży w kostnicy. Jesteś cholernym szczęściarzem.

– Raczej cholernym psycholem – burknął William, przepychając się do wyjścia.

Gdy drzwi przyczepy się zamknęły, Mary spojrzała na swojego najmłodszego syna.

– No już, gadaj, czego mi nie mówisz?

Westchnął.

– Zabrali kogoś do szpitala.

Matka położyła dłonie na stole. Miała brudne paznokcie. Na każdym palcu tkwiła przynajmniej jedna srebrna obrączka.

– Kogoś przeoczyłeś?

Pokręcił głową.

– Ma, ona wyglądała na martwą. Powinna być martwa.

– Dokąd ją zabrali?

– Newcastle General. Helikopterem.

– Szkoda, że jego też nie zestrzeliłeś.

Nic na to nie odpowiedział.

Mary zamknęła oczy i ciężko westchnęła.

– Lepiej tam pojedź.

– Nie ma sensu. Będzie na sali operacyjnej. Pojadę później. Jeśli jeszcze będzie trzeba. Nie sędzę, żeby przeżyła.

Znowu się na niego zamachnęła, ale stał za daleko.

– Lepiej się módl, żeby nie przeżyła, ty pieprzony idioto.

Z mgły wyłonił się jakiś kształt, za prosty na drzewo, za wąski na człowieka. Nie pozwalając sobie na nadzieję, pokuśtykała ku niemu po wykrotach. Nie wiedziała już, jaka to pora dnia, zresztą chyba sam dzień, ponury, zasnuty gęstą mgłą, tego nie wiedział. Zdawało się, że ona i siostra tak dawno temu jechały w ciemności przedświt i na tle ciemnego nieba ujrzały migotanie ognia w balonie, a potem do niego wsiadały, akurat gdy noc ustępowała miejsca srebrnej poświacie i następnie różowemu brzaskowi. Tak dawno, gdy świat był taki, jaki powinien być. Teraz cały składał się jedynie ze smutku i z mokrego, szarego zmierzchu. Teraz chodziło w nim tylko o zmęczenie i o ciężar w jej głowie, niepozwalający zebrać myśli.

Wcześniej wypita wodę i zjadła babeczkę z masłem orzechowym, ale zaraz wszystko zwymiotowała. Teraz znowu potrzebowała się czegoś napić, była bliska wyczerpania. I odnosiła wrażenie, że od chwili opuszczenia jaskini chodzi w kółko. Przez mgłę straciła poczucie kierunku, które mogłaby mieć, gdyby było cokolwiek widać.

Mroczna postać przed nią stawała się coraz wyraźniejsza. Znak, pokazujący dwa przeciwne kierunki. Nie mogła przeczytać, co jest na nim napisane, dopóki nie znalazła się tuż przed nim.

„Witamy w Anglii”, obwieszczała strzałka wskazująca w jedną stronę. „Witamy w Szkocji”, mówiła druga. Gąbczasty blok w jej głowie nieco się rozrzedził, kiedy zdała sobie sprawę, gdzie jest. Przez przypadek natknęła się na pradawny szlak pielgrzymów, ten ciągnący się blisko sto kilometrów z Melrose na szkockim pograniczu do Lindisfarne na wybrzeżu Northumbrii. Stała na szlaku Świętego Cuthberta.

Anglia czy Szkocja?

Mieszka w Anglii. Dom to Anglia. Tak naprawdę nie musiała się nawet zastanawiać.

Osiem lat temu

Jessica dotknęła ostatniego ze słupków wyznaczających przejście. Kawałek słupka się odłamał i został jej w palcach. Przystawiła dłoń do twarzy, poczuła słony zapach wody morskiej i długich zielonych wodorostów wyrzuconych na piasek przez przyływ. Otworzyła usta, żeby się odezwać, ale zupełnie niespodziewanie coś zablokowało jej gardło.

– I właśnie tą drogą Święty Cuthbert przybył na Świętą Wyspę i ją pobłogosławił – powiedziała krocząca obok niej Isabel. Przez większą część ostatnich kilku kilometrów ich trzydniowej pieszej wędrówki pogwizdywała i nuciła. – A kiedy podniósł się z kolan, oświadczył, że za żadne skarby nie zamierza powtarzać tej potwornej drogi i że zostaje. A wy, palanty, wybudujcie mi tu opactwo.

– Urocza historyjka – mruknęła Jessica.

Mokry, zbity, nakrapiany kałużami piasek, po którym szły, im były bliżej stałego lądu, nabierał coraz większej masy. Pojawiały się skałki, częściej niż kępy suchej, ostrej trawy. Prawie dotarły do celu. Jessica obejrzała się za siebie, na siedem pozostałych kobiet – wszystkie obleczone w czern, jak Isabel – idących razem z nimi. Dobrze, że w pewnej odległości, zważywszy na nieparlamentarny język siostry.

Dotarły do pasa kamieni przy drodze. Jessica przeszła nad nimi i stanęła na asfalcie.

– Lindisfarne – rzuciła, wsłuchując się w piękne brzmienie nazwy. Kilka razy ją powtórzyła. – W gruncie rzeczy to nawet poruszające.

Jakieś dwa kilometry dalej, ponad niskim wzniesieniem wyspy, widziała szczyt zamku. Zaraz za zakrętem czy dwoma wąskiej szosy znajdowało się opactwo. Tymczasem Isabel siedziała na skałce i wytrzepywała piach z topornego czarnego buta.

– Pomimo towarzystwa, w jakim przyszło mi się znaleźć – dodała Jessica.

Isabel podniosła głowę, sprawdzała, skąd wieje wiatr.

– Żartuję – rzuciła szybko Jessica. Wzięła kilka głębokich wdechów. – Wycieczka była wspaniała. Choćby tylko dlatego, że mogłam się na kilka dni wyrwać z pracy.

Ponad plażą spojrzała na połyskujące wody morza.

– To twoje zadanie, żeby wiedzieć, kiedy są przyływy? No bo wiesz, te obrazki z zatopionymi samochodami były dość przerażające. Ile czasu nam

zostało?

Lindisfarne, czyli Święta Wyspa, w zasadzie nie była wyspą, a tylko stawała się nią w czasie przyptywów. Gdy był odpływ, można się było na nią dostać, idąc czterokilometrową ścieżką zaznaczoną wysokimi słupkami. Gości przestrzegano, żeby nie korzystali z niej bez doświadczonego przewodnika, bo kiedy przyptyw powracał, ścieżka szybko znikwała pod wodą. Większość pieszych wędrowców odwiedzających Lindisfarne wybierało bezpieczniejszą drogę wałem, chociaż tam także samochody regularnie utykały na mieliźnie, a czasem nawet je zmywało.

Isabel mocno zawiązała sznurówkę.

– Mnóstwo – rzuciła. – Reg już czeka z autobusem. A Hilda będzie czekała u Świętego Aidana. Będzie dziękowała za nasze bezpieczne przejście. Pół godziny na kolanach, szybka zupa w starostwie i przed zmierzchem cię odstawimy.

Miały jakiś kwadrans przewagi nad resztą grupy. Korzystając z okazji, że są same, Jessica przysiadła przy siostrze i spytała:

– Myślisz czasami o Nedzie?

Isabel nie odpowiadała, a pozostałe zakonnice coraz bardziej się zbliżały.

– Tamto życie zostawiłam za sobą dawno temu – odparła w końcu. – Teraz mam nową rodzinę. Rodzinę w Bogu. A ty naprawdę powinnaś mówić do mnie siostrzo Mario Magdaleno. Kiedyś się zapomnisz i powiesz Bella w obecności matki Hildegardy.

– Brenda powiedziała mi, że straciła z nim kontakt, gdy wyszedł z wojska – ciągnęła Jessica. – Zastanawiałam się tylko, czy coś o nim słyszałaś.

Twarz Isabel ściągnęła się, stwardniała.

– Nie. Jak miałabym słyszeć? Nikt nie wie, gdzie jestem. Poza tobą, ciotką Brendą i wujkiem Robem. Nikt.

– No, już się tak nie złość. Przecież jesteś w klasztorze, a nie w jakiejś satanistycznej sekcji.

Zwykle niezdarna, Isabel dźwignęła się z kamienia, zaplątując się przy tym w skraj własnego habitu.

– Nie chcę o tym znowu rozmawiać – oznajmiła.

Pomachała do reszty zakonnice, które jeszcze przedzierały się przez plażę. Podniosła rękę i potrząsnęła kciukiem. Wszystko w porządku? Kiedy od kobiety na przedzie dostała znak potwierdzenia, znowu się odwróciła i ruszyła mokrą nadmorską szosą w stronę miasta. Jak zawsze, żeby nadażyć, Jessica musiała iść nieco szybciej, niż to było dla niej wygodne.

Środa, 20 września

To co? Chcesz powiedzieć, że pilot popełnił samobójstwo? Że wyskoczył?

John Jones, pełniący obowiązki szefa policji terytorialnej i bezpośredni przełożony Ajaxa, odepchnął się z krzesłem do tyłu, daleko od biurka.

– To jedna z ewentualności, sir – przytaknął Ajax. – Jego zwłok nie było nigdzie w pobliżu balonu. Jeden z pasażerów przejął jego rolę i popełnił jakiś poważny błąd. Załoga naziemna jest przekonana, że do rozbicia prawdopodobnie by nie doszło, a już na pewno nie byłoby ono aż tak drastyczne, gdyby Sean Allan znajdował się na pokładzie i był w pełni sprawny.

Ajax znowu zaczął się zastanawiać, czy powinien podzielić się z przełożonym teorią technik kryminalnej Jane o śladach tkanek mózgu w gondoli.

– Ale jego tam nie było, tak? – upewnił się Jones.

Jane sama nie miała pewności. Lepiej z tym poczekać.

– Helikopter ratunkowy kilka razy przeleciał nad prawdopodobną trasą, jaką pokonał balon. Niczego nie znalazł – odparł Ajax. – Na ziemi też mamy zespół ludzi. Z psami.

– Ktoś był u niego w domu, szukał listu?

Ajax zerknął na zegar. Mijała druga, umierał z głodu.

– Państwo Allan, rodzice pilota, upierają się, że syn czuł się dobrze. Był zdrowy, bez żadnych problemów psychicznych. Ale jak ich trochę przycisnąłem, dowiedziałem się, że rok temu się rozwiódł i że rozwód nie do końca przebiegał spokojnie. Mógł cierpieć na niezdiagnozowaną depresję. Mógł wciąż być wściekły.

Jones odwrócił się do okna.

– Oni nadal przeszukują teren? W taką pogodę?

– Helikopter został odwołany, gdy zeszła mgła, ale jak tylko się przejaśni, wyleci znowu.

– Cóż, jeśli faktycznie wyskoczył, znajdą go.

Ajax ciężko westchnął i wszedł głębiej do gabinetu.

– Rzecz w tym, sir, że mogą nie znaleźć. Nie od razu. Te balony często przelatują nad jeziorem Harcourt, a piloci starają się lecieć nad wodą najniżej, jak się da. Z tego, co mi wiadomo, to niezgodne z przepisami, ale i tak to robią. Cóż, zastanawiam się, czy nie wyskoczył właśnie wtedy. Gdy przelatywali nad jeziorem.

Ciemne brwi szefa prawie się złączyły.

– Nie zginąłby.

– A jeśli miał obciążone kieszenie? Jezioro jest głębokie. Nie stawiałbym na

to, że zdołamy szybko cokolwiek z niego wyłowić.

– Słyszałem, że nie znaleziono żadnych telefonów komórkowych. Trochę to dziwne, nie uważasz?

Poddając się, Ajax wysunął krzesło i usiadł.

– Myślałem o tym i nie jestem pewien. Kiedy ci ludzie już wiedzieli, że z balonem dzieje się coś złego, pierwszym impulsem było pewnie wyciągnięcie telefonów i próba wezwania pomocy. W parku zasięg jest słaby, więc musieli próbować wielokrotnie. Jeśli podczas zderzenia trzymali telefony, pewnie im wypadły i poleciały daleko. Jestem przekonany, że w ciągu kilku najbliższych godzin większość odnajdziemy.

– I podobno wciąż brakuje dwóch ciał? – wypytywał dalej szef.

Ajax zerknął do swoich notatek.

– Dwóch kobiet. Piętnastoletniej Poppy Carlton i dorosłej kobiety, Jessiki Lane. Prawdopodobnie nie żyją, jeśli się kierować stanem reszty, ale nie wolno nam wykluczać niczego. Helen Carlton wciąż się trzyma, albo trzymała, pół godziny temu. – Nagle dotarło do niego, że szef znieruchomiał i stoi jak zamurowany. – Wszystko w porządku, sir?

Jones spuścił wzrok na podłogę.

– Przeczytaj jeszcze raz te nazwiska.

– Poppy Carlton. Jessica Lane.

Znowu cisza. Tym razem dłuższa. Ajax popatrzył w stronę drzwi. Potem szef coś wymamrotał.

– Co proszę, sir?

– Znałem pewną Jessicę Lane. – Jones mówił do blatu biurka. – Dawno temu. – Podniósł oczy. – Co jeszcze o niej wiemy?

Ajax otworzył notes.

– Pod czterdziestkę, metr sześćdziesiąt kilka, szczupła, ciemne włosy do ramion, w jasnozielonej kurtce. To wszystko, co uzyskałem od załogi w firmie balonowej. Adres zamieszkania w Yorku, jako osobę bliską podała siostrę Marię Magdalenę z klasztoru Wynding pod Fenham na wybrzeżu.

Jones wstał i się odwrócił. Zwrócony plecami do Ajaxa, wpatrywał się w okno zalewane strugami deszczu.

– Wiemy, kim dla tej Lane była ta zakonnica? – spytał.

– Podobno siostrą. – Ajax zobaczył, że ramiona szefa napinają się.

– I ta siostra jest z klasztoru? Fenham to niedaleko, prawda? Naprzeciwko Świętej Wyspy. Nie mylę się? Ktoś tam był, żeby ją poinformować?

– Siostra też leciała balonem. To był prezent na jej czterdzieste urodziny. Jej ciało znaleźliśmy szybko. Sir, sądzi pan, że to ta sama Jessica Lane? Zna ją pan?

Jones się odwrócił.

– Nieee. – Znowu wyciągnął krzesło. – Moja byłaby o wiele starsza. Miałaby

więcej niż trzydzieści kilka lat. Była starsza ode mnie. Pospolite nazwisko, jak sądzę. No dobrze, co jeszcze mamy?

– Wszystkie ciała zostały przewiezione do Newcastle General. Sekcje zaczną się jutro, ale mogą potrwać kilka dni. Kosz jest w drodze do laboratorium.

– Jeśli te dwie kobiety przeżyły, musimy je szybko odnaleźć – oznajmił Jones. – Na pewno będą wiedziały, co się wydarzyło, poza tym mogą być w ciężkim stanie. Czego potrzebujesz, żeby poszukiwania mogły być prowadzone nocą?

– Już rozmawiałem z pogotowiem lotniczym. Odradzają prowadzenie poszukiwań w takich warunkach. Widoczność może być zerowa, a sprzęt wykrywający ciepłość ciała może mieć ograniczone zastosowanie, skoro wszędzie jest tyle owiec.

Szef kiwnął głową, choć wydawało się, że bez entuzjazmu.

– W takim razie niech wylecą, jak tylko zrobi się jasno. A co z ekipami z psami?

– Jak mówiłem, wciąż tam są. Władze parku też wysłały swoich ludzi.

– Musimy zrobić, co się tylko da, żeby odnaleźć te kobiety.

– Zrobimy, ale... – Ajax nie dokończył myśli. Nie było to potrzebne. – Jeśli to wszystko, sir, chciałbym się odmeldować. Muszę sprawdzić, jak zespół daje sobie radę z powiadamianiem rodzin. No i chcę jeszcze skoczyć do tego klasztoru.

Jones patrzył na niego pustym wzrokiem.

– Nikt tam nie odbiera telefonu – ciągnął Ajax. – Z tego, co mi wiadomo, to zakon zamknięty. Z klauzulą milczenia. Milczą całymi dniami. Ale ktoś jednak musi ich powiadomić, że siostra Maria nie wróci na wieczorne modły.

– Wynding? Pod Fenham?

– Zgadza się. Więc, czy mogę...

– Oczywiście. Proszę iść.

Ajax się odwrócił.

– Jeszcze jedno, Ajax.

Dłoń miał już zaciśniętą na klamce.

– Tak, sir? – Odwrócił się wolno.

– Wszystko u ciebie w porządku? Pytam o samopoczucie. Zawsze jesteś ogarnięty, nie wspominając o zarobieniu. Ale ten wypadek chyba cię poruszył?

Ajax ostrożnie dobierał słowa.

– Nie tego się spodziewałem z rana. Ale przecież właśnie to mają do siebie takie tragiczne wypadki, czyż nie?

– No tak. Więc teraz jedziesz do zakonnicy? No, dobrze. Dzięki, Ajax. I informuj mnie o postępach.

Ajax, wychodząc, obejrzał się za siebie. Szef wrócił pod okno, żeby dalej wpatrywać się w zalaną deszczem matową taflę szyby.

Szła przed siebie przez wysokie trawy, od których przemokły jej buty, a potem i skarpetki. Szła nawet wtedy, gdy już prawie nie czuła nóg, kiedy oblepione błotem buty stały się jedynie ciężarem do wleczenia za sobą przy każdym kroku. Szła, gdy wilgoć w powietrzu przesiąkała cienką materię jej ubrań, gdy włosy zrobiły się ciężkie, obwisły i zaczęły się kleić do szyi jak wodorosty do kamieni.

Przez jakiś czas próbowała śledzić, ile przeszła, liczyć kroki, wypatrywać słońca, ale w którymś momencie z tego zrezygnowała. Później nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy to właściwie było i dlaczego tak postanowiła, ale wydawało jej się, że wtedy, gdy zaczęła słyszeć głosy.

Na początku były ciche. Cichy okrzyk za jej plecami, rzucone szeptem przekleństwo tuż za jej lewym ramieniem. Ignorowała je, mówiła sobie, że to tylko przejściowa konsekwencja szoku, uderzenia w głowę, ale głosy, domagając się uwagi, jazgotały dalej. Głosy wygłodniałych, z obolałymi stopami, wyczerpanych, wszystkich tych, którzy szli tą ścieżką przed nią. Niektóre śpiewały, niektóre się modliły, niektóre cicho i gniewnie wyznawały swoje grzechy. Czasami te głosy mówiły starodawnymi dialektami, których nie rozumiała, innymi razami rozprawały o programach telewizyjnych emitowanych w ostatnich latach.

Przez chwilę szła z nią też siostra. Opowiadała historie z czasów, gdy obie były dziećmi. A potem, kiedy fale mdłości w jej żołądku ustąpiły ostatecznie miejsca atakom szarpiącego głodu, usłyszała śpiew.

Nic nie przeszkodzi

Kroczyć drogą

Jego celem jest

Być pielgrzymem

Kolejne głosy z zaświatów? Rozejrzała się na boki, popatrzyła w dół zbocza. Deszcz nadal padał. Chmury wisiały nisko, było ciemno. Ale wcześniejsza mgła wraz z upływem dnia się roziała.

Usłyszała, że ktoś się zaśmiał. Potem chór, realny czy wyobrażony, zaintonował drugą zwrotkę. Przewodził mu mocny tenor.

Kto nękać będzie go

Ponurą nauką...^[1]

Śpiewający zbliżali się, szli za nią tą samą ścieżką. Potem pojawiła się głowa osłonięta kapturem żółtej kurtki. Ktoś się wspinał w jej stronę po zboczu. Dołączył następny kolorowy kaptur, potem trzeci. Przynajmniej dwie z tych osób to byli mężczyźni.

Mężczyźni. A jej szuka właśnie mężczyzna. Grupa była liczna. Czy ten człowiek jest między nimi? Nie słyszała warkotu silnika quada, ale może on jest

sprytny i zostawił gdzieś swój pojazd.

Dlaczego właściwie chce ją dopaść?

Mężczyzna na przedzie, wiodący tenor, miał sześćdziesiąt kilka lat. Trzymał laskę, a w zasadzie długi kij przypominający laskę czarodzieja. Mężczyzna po jego lewej ręce był starszy, niższy i szczuplejszy, kobieta z prawej tęga i rumiana. Dziesięć osób. Żadna nie wyglądała jak tamten mężczyzna, ale...

Piechur na przedzie zobaczył ją, podniósł rękę, żeby uciszyć kompanów. Twarz miał pełną, wszystkie zmarszczki na niej wyginały się w górę.

– Ukłony. Witamy, towarzyszu pielgrzymie. – Walijczyk.

– Ukłony – wychrypiała, przesuwając spojrzenie od jednej twarzy do następnej. Jeśli on tu jest, nie zdąży uciec. Nie ma sił nawet na to, żeby iść.

– Proszę wybaczyć, że to powiem, ale chyba nie ubrała się pani stosownie do pogody. I podarła sobie pani swoją śliczną kurtkę.

Powiodła wzrokiem za spojrzeniem pielgrzyma i zobaczyła, że rzeczywiście rękaw jej kurtki jest rozdarty, i to mocno.

– Przewróciła się pani? – spytała jedna z kobiet. – Cała jest pani posiniaczona i pokaleczona. I strasznie pani zmokła.

Zaczęli ją otaczać, zbili się wokół niej jak stado wilków. Chcieli być mili, przynajmniej tak jej się wydawało, ale wołałaby, żeby po prostu...

– Cóż, możemy coś na to poradzić. – Do przodu wysunęła się inna kobieta. Ściągnęła z ramienia plecak.

– W porządku, ludzie – odezwał się Walijczyk. – Chwila oddechu. Nick, zostało nam jeszcze trochę kawy dla tej młodej damy, która wygląda, jakby zaraz miała zamarznąć?

– Proszę. – Kobieta w czerwonej wiatrówce podawała jej nieprzemakalną kurtkę. – Zapasowa – wyjaśniła. – Proszę wziąć. Nie wysuszy pani, ale przynajmniej zatrzyma trochę ciepła.

– Och nie, nie powinnam.

– Ależ powinna pani, powinna. – Tenor podawał jej kawę w cienkim plastikowym kubku. – Noc prawdopodobnie spędzamy w tym samym miejscu. W hostelu w Wooler? Tam ją nam pani zwróci.

– Paskudne rozdarcie. – Kobieta w czerwonym skafandrze wciąż wpatrywała się w jej kurtkę. – Zaczepiła nią pani o coś?

Zamknęła oczy, przyplłynęło nagłe wspomnienie tego, jak spada przez drzewo, jak drapią ją gałęzie i się jej czepiają.

– Spokojnie. – Czyjaś dłoń chwyciła ją za ramię. – Niech się pani napije kawy. I włoży kurtkę. Trochę się rozgrzeje.

Kurtka była cienka, ale duża. Miała kaptur, sięgała prawie do uda. Do końca dnia uchroni ją przed dalszym moknięciem.

– Dziękuję – rzuciła. Podniosła kawę do ust, przekonała się, że jej

temperatura jest w sam raz, i praktycznie wlała ją w siebie.

– A teraz proszę powiedzieć, czy potrzebuje pani jakiejś pomocy? – spytał tenor. – Większej, niż my możemy zaoferować, to mam na myśli. Jesteśmy na pustkowiu, ale wszyscy mamy komórki. Jeśli pani chce, możemy się skontaktować z właściwymi służbami.

Służbami? Co to w ogóle znaczy? Jakie służby? Ona musi iść do domu, musi powiedzieć siostrze, że nic jej nie jest. Do domu to w tamtą stronę, tak? Popatrzyła nad ramieniem tenora w kierunku zbocza i drzew w oddali.

Drzewa. Tragiczne zderzenie. Rozdarta powłoka balonu. Krzyki ludzi.

Jej siostra nie żyje. Wszyscy nie żyją. Może ona też. Może jest tylko duchem i nawet on teraz się wymyka, rozmywa na oczach tych pielgrzymów, i to dlatego patrzą na nią z takim niepokojem.

– Ona chyba powinna usiąść.

– Jeff, dzwoni i sprawdź, czy da się tu kogoś ściągnąć.

Kogoś? Kogo? Do kogo oni dzwonią? Wydają się mili, ale skąd ma to wiedzieć na pewno?

– Nic mi nie jest – zapewniła szybko. Była zaskoczona, jak donośnie i czysto zabrzmiał jej głos. – Naprawdę. Już mi przeszło. Dziękuję.

Nie przekonała ich. Mówiły o tym ich zmarszczone brwi i to, jak na siebie zerkali. Nie może pozwolić, żeby zadzwonili po pomoc. Mogliby zadzwonić do niego.

– Jesteście państwo bardzo mili – powiedziała, oddając kubek. – Bóg zapłać.

Tenor się rozpromienił.

– Mam na imię Jeff, a to moja żona Hannah. Wymieniłbym imiona reszty tych nicponi, ale nie chcę pani przeciązać. Powiem tylko, że jesteśmy grupą baptystów z Little Crinton w Buckinghamshire, choć pewnie to też niezbyt interesująca informacja.

Chciał, żeby się uśmiechnęła, patrzył na nią wyczekująco, więc zmusiła się i uniosła kąciki ust.

– A pani ma na...

Pyta o jej imię. Dlaczego chce wiedzieć, jak się nazywa?

– Maria – rzuciła. To było pierwsze, co jej przyszło do głowy. Dlaczego tak powiedziała? Nie ma na imię Maria.

– Proszę się nie obrazić, że pytam, ale czy idzie pani do samego końca?

– Och, na litość boską, Jeff! – Żona pielgrzyma szturchnęła go w ramię.

Szła już kiedyś tą drogą. Zaraz, zaraz, dokąd ona prowadzi?

– Idę do Lindisfarne – powiedziała. – Na Świętą Wyspę.

– Wspaniale. Bez wątpienia jeszcze panią zobaczymy po drodze. Chociaż mamy w grupie kilka starszych osób, prawda, Steve? Możemy nie dać rady dotrzymać tempa komuś tak młodemu jak pani. Ale może pani znowu do nas

dołączyć w dowolnym momencie. Będzie nam naprawdę bardzo miło. – Zaczął się odwracać, zatrzymał się jednak, jakby wpadł na jakąś myśl. – Wie pani co, wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli zostanie pani z nami jeszcze przez jakiś czas. Aż się pani poczuje bardziej dziarsko.

Żona mężczyzny, Hannah, wciskała jej do ręki następny kubek kawy. Do czasu, gdy ją wypić, grupa była gotowa do wznowienia wędrówki. Byli zdeterminowani, żeby zabrać ją ze sobą.

Ruszyli. W dół zbrocza, co ułatwiało marsz. Gorąca kawa, którą wypić, też pomagała. Nie chcąc się narzucać, ustawiła się na samym końcu, ale już po chwili dołączyły do niej dwie idące z tyłu kobiety.

– Była pani wczoraj w Yethlom? – spytała jedna z nich. – Jakoś sobie nie przypominam, żebym widziała panią w Plough. Landrynkę?

Przyjęła cukierek z wdzięcznością.

– Byłam. Ale nocowałam u znajomej. U kogoś, z kim byłam na rekolekcjach w zeszłym roku. – Przeżyła chwilę zaskoczenia. Kto by pomyślał, że potrafi tak dobrze kłamać? I w ogóle, po co to robi? Dlaczego zwyczajnie nie powie, co się stało?

Tylko co konkretnie się stało?

– Mówili nam, że tam straszy – odezwała się kobieta po drugiej stronie. – Ale jedyne, co nie pozwalało mi zasnąć, to chrapanie Jeffa. Proszę się poczęstować toffi. Ja za landrynkami nie przepadam.

– Dziękuję. – Toffi dołączyło do landrynki w jej ustach.

Dlaczego nie powie, co się stało? Tak, ale jak? Jak powiedzieć grupie obcych osób, że straciła wszystko i że nie wie, jak przetrwa następną godzinę, nie wspominając o reszcie życia? I że ktoś próbował ją zabić i będzie znowu próbował, jeśli ją znajdzie? A także to, że wypadek z balonem to była jej wina.

Nie, to nie tak. Jak miałyby to być jej wina?

Wraca do domu. Ci ludzie jej w tym pomogą. Tylko to się teraz liczy.

Szli dalej, ona milczała.

Przekonała się, że spokojnie daje radę dotrzymać kroku pielgrzymom. Większość wyglądała na sześćdziesięciolatków, poza tym tempo dodatkowo spowalniał Jeff, który upierał się, żeby regularnie robili przystanki i podziwiali widoki oraz wysłuchiwali jego opowieści o życiu Świętego Cuthberta albo spontanicznie zaśpiewali jakąś pieśń.

Kiedy się wspięli na kolejne wzniesienie, Jeff zawołał, żeby się zatrzymali.

– Jakaś grupa zmierza ku nam z przeciwka – obwieścił. – Zaskakujące. Odwrotna pielgrzymka.

– Sataniści – zażartowała kobieta z landrynkami, przyglądając się z wesołym uśmiechem grupie sześciu osób nadchodzących ścieżką w ich kierunku. W przeciwieństwie do pielgrzymów, nie szli w pojedynkę czy w parach, ale szerokim

szpalerem, wychodzącym poza ścieżkę na kilka metrów po każdej ze stron.

– Wyglądają jak jakaś ekipa poszukiwawcza – zauważył mężczyzna obok Jeffa.

– Trochę dziwna ekipa.

Najgorsza z możliwych. Ci ludzie szukali jej.

Mężczyzna na przedzie grupy był w filcowym kapelusiku i w luźnej skórzanej kurtce. Włosy miał ciemne, kręcone, sięgające ramion. Mimo pogody kurtka była rozpięta, pod nią biały podkoszulek z dekoltem w serek. Ale ona nawet bez tego charakterystycznego ubioru rozpoznałaby tę przysadzistą sylwetkę, ten skradający się krok, to, jak zaciskał dłonie w pięści i jak, idąc, roztwierał je jak szpony. To on. Ten sam.

Znalazł ją.

U jego boku, bez smyczy, biegł jego pies, owczarek niemiecki. Był duży nawet z mokrą sierścią przyklejoną do ciała. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyła, że na szyi mężczyzny wisi ciężki złoty krzyż na łańcuszku. Niósł ze sobą coś, co wyglądało jak kij do podpierania, ale sposób, w jaki nim wywijał, sprawiał, że przypominał bardziej pałkę. Zaraz za nim szedł mężczyzna z krótkimi włosami i ciemną brodą. Miał na sobie watowaną kurtkę, ręce wetknięte głęboko w kieszenie. Oprócz jednej kobiety z bardzo długimi jasnymi włosami cała reszta to byli mężczyźni.

Ma swoich ludzi. Nie jest sam.

Obejrzała się. Nie miała szans nigdzie się ukryć. Ucieczka też nie wchodziła w grę.

Zamknęła oczy i znowu zobaczyła rzeź na miejscu wypadku, usłyszała trzask rozłupywanej głowy jakiejś kobiety. Już przez sam fakt, że jest w gronie pielgrzymów, sprowadzała na nich ogromne niebezpieczeństwo. Widziała, do czego ten mężczyzna jest zdolny.

Nieświadomy zagrożenia Jeff sprowadził ich na dół. Gawędząc z idącym obok Nickiem, szedł z wysoko podniesioną głową. Ale reszta grupy ucichła, w jej szeregi zakradła się nerwowość.

– Kto męstwo ujrzyć chce, niech tutaj przyjdzie – zanuciła cicho.

Kilka osób się obejrzało, kilka uśmiechnęło. Zawsze miała ładnie brzmiący, przyjemny głos. Śpiew odbierał jej dech, którego i tak jej brakowało, ale coś jej kazało nie przestawać.

Grupa wspinająca się na wzgórze już prawie do nich docierała.

– Nie zachwieje taki się – dołączył Jeff, którego śladem szybko poszła Hannah, a potem cała reszta.

– Chociaż wicher wieje.

– Dzień dobry. – Jeff zszedł ze szlaku, grzecznie ustępując drogi nadchodzącym. Reszta grupy uczyniła to samo. Ona też, przywierając blisko do

kobiety z landrynkami. Przeciągnęła palcem po obrzeżu kaptura, aby się upewnić, że włosy ma schowane, potem szybko wetknęła rękę do kieszeni, żeby nikt nie zauważył, jak bardzo się trzęsie.

– Idziecie ze Świętej Wyspy? – spytał Jeff, zwracając się do mężczyzny w kapeluszu.

Ten kilka chwil się w niego wpatrywał.

– Szukamy pewnych osób – odparł w końcu, głosem niskim i ochryłym, jakby miał chore gardło. – Dwóch młodych kobiet. Widzieliście po drodze kogoś, kto się zgubił? Samotnego. Może rannego?

Czekała, aż pielgrzymi odwrócą się w jej stronę i w ten sposób ją wydadzą. Ale nikt tego nie zrobił.

Poza tym, jak to dwóch młodych kobiet? To ktoś jeszcze przeżył? A może to podstęp? Żeby sprawdzić, jak zareaguje, żeby myślała, że jej siostra jednak żyje. Tylko że to przecież niemożliwe.

– Nikogo takiego niestety nie widzieliśmy – odpowiedział Jeff głośno i zdecydowanie. – Rano wyruszyliśmy z Yethlom z grupą kościelną z Liverpoolu. Przemili ludzie, ale szli o wiele szybciej od nas i zostawili nas w tyle. Poza nimi, mogę przysiąc na wszystko, nie widzieliśmy żywej duszy.

To przecież niemożliwe. Widziała martwą twarz siostry, dotykała jej nadgarstka, szukała pulsu i nie znalazła.

Mężczyzna w kapeluszu przez chwilę przyglądał się Jeffowi, potem go minął i zaczął skanować twarze innych.

– Ktoś coś widział? – Akcent miał szkocki, ale z odcieniem czegoś jeszcze. Czegoś, co kazało jej pomyśleć o gorących, zakurzonych krainach, bardzo odległych. Wydawało się też, że oddycha bardzo głęboko, przez nos, jakby próbował wywęszyć trop.

Jej serce zaczęło mocno walić.

– Te kobiety mogą być ranne – ciągnął. – Mogą potrzebować pomocy. – Teraz stał pośrodku grupy. Jeszcze kilka sekund i zajrzy też w jej twarz. Wtedy ją rozpozna.

Pies znalazł się nagle przy jej nogach. Był nią bardziej zainteresowany niż innymi, prawie jakby witał się ze starym przyjacielem. Jego pan to zauważył. Pies podniósł głowę i zaczął obwąchiwać kieszeń jej kurtki. Chciała go odepchnąć, ale wiedziała, że jakikolwiek ruch ściągnie na nią uwagę.

W dodatku nie wiedziała, jak długo jeszcze wytrzyma na stojąco.

– Na pewno pomożemy każdemu, kogo spotkamy – zapewnił Jeff. – Życzymy powodzenia.

Po tych słowach znowu ruszył przed siebie, w dół wzgórza. Reszta poszła za nim. Grupa poszukiwawcza przyglądała się im, zaglądała w twarze. Ona starała się trzymać głowę w dole, mieć spuszczonego wzrok. Mężczyznę w kapeluszu minęła w

odległości dwóch kroków. Mogłaby przysiąc, że kiedy przechodziła obok, usłyszała, jak wciąga powietrze przez nos.

– Można pańskiemu psu dać ciasteczko? – Kobieta z landrynkami sięgała do przepastnej kieszeni. Pies, albo reagując na słowo „ciasteczko”, albo wyczuwając coś w głębi kieszeni, doskoczył do kobiety.

– Nie karmimy go, kiedy pracuje. – Mężczyzna w kapeluszu, rozproszony przez psa, poszedł dalej. – To nie kanapowiec.

– Och, dobra psina, bardzo dobra.

Kątem oka zobaczyła, że kobieta z landrynkami odważnie się nachyla, żeby pogłaskać owczarka, a ten w odpowiedzi merda ogonem. Obok przeszedł mężczyzna w watomanej kurtce, potem kobieta z blond włosami. Między tymi ludźmi było jakieś podobieństwo, jakby byli spokrewnieni.

Teraz szli już wszyscy pielgrzymi. Wyminąwszy grupę poszukiwaczy, wrócili na szlak. Ona jednak nadal nie mogła odzyskać oddechu. Wystarczy, żeby jedno z tej obcej grupy powiedziało: „Wiecie co, ta w niebieskiej wiatrówce była jakaś dziwna. Przyjrzyjmy się jej jeszcze raz”.

Idź dalej. Krok za krokiem. Idź, nie zwalnij.

– Nie podobali mi się ci ludzie – oznajmiła kobieta z toffi, kiedy byli już poza zasięgiem słuchu poszukiwaczy.

– Dlatego lepiej się nie oglądać! – zawołał Jeff, ale nie za głośno, tylko tak, żeby usłyszeli go idący na samym końcu. – Zwykle jest to odbierane jako oznaka agresji, a tego teraz nie chcemy, prawda?

Nie obejrzała się, ale przez całą drogę w dół i w górę następnego wzniesienia czuła na sobie spojrzenie. To on na nią patrzył. Wiedział, że przeżyła wypadek. Nie przestanie jej szukać.

Kiedy Ajax podjechał pod bramę klasztoru Wynding, zobaczył, że jest zamknięta. Nie było domofonu, nie było nawet dzwonka. Wysoki kamienny mur po obu stronach bramy ciągnął się wzdłuż drogi tak daleko, jak sięgał wzrok.

- A bramy raju zostaną przed tobą zamknięte – wymamrotała MoJo.
- Nie udawaj, że kiedykolwiek otwierałaś Biblię. – Ajax wcisnął klakson.
- Nikt cię nie usłyszy.

Wysiadł z samochodu. Wiatr wiał bezpośrednio od morza, powietrze zdawało się nasączone drobinami siarki i solanką. Na sekundę zamknął oczy, poczuł wilgoć na twarzy, zlizął z ust sól. Budynek klasztoru stał nie więcej niż pół kilometra od morza, otaczający go teren wznosił się w górę aż do wydm.

W tym najmniej zaludnionym hrabstwie w całej Anglii nie potrafił sobie wyobrazić większego pustkowia. Było tam kilka drzew, wysuszone, jałowe wrzosowiska wokół zdawały się ciągnąć w nieskończoność.

Droga, na której zaparkował, nie miała nawet statusu drogi dojazdowej, znana była z tego, że podczas silnych opadów regularnie ją zalewało. W promieniu ośmiu kilometrów nie stały tam żadne inne domy ani zabudowania. Według kobiety z najbliższej poczty, którą pytał, jak dojechać do klasztoru, zakonnice trzymały jeden samochód, rzadko widywany we wsi. Kiedy się tam pojawiały, przyjeżdżały na rowerach.

Zaczynało już zmierzchać. W biurze musiał zostać dłużej, niż chciał, a w drodze do klasztoru złapał go popołudniowy korek. Było już po osiemnastej i domyślał się, że w takich domach zakonnych to późna pora.

Podszedł do bramy. Główny budynek klasztoru stał jakieś dwieście metrów za nią, prowadził do niego zachwaszczony żwirowy podjazd. Budynek wyglądał jak z epoki późnoelżbietańskiej, chociaż Ajax wiedział, że w tym miejscu religijny przybytek istniał już od ponad ośmiuset lat. Był z ciemnoszarego kamienia, dach z czarnego łupku. Przyległa kaplica miała miniaturową wieżę z figurką Chrystusa na szczycie. Okna małe i okratowane. W coraz słabszym świetle dnia dostrzegł zmierzający ku niemu powiewający czarny habit.

- Och, ty człowieku małej wiary! – zawołał za siebie przez ramię.

Zakonnica, drobna kobieta po sześćdziesiątce, uśmiechała się łagodnie, kiedy z kieszeni wyciągała duży klucz, którym otworzyła kłódkę. Nie patrzyła na Ajaxa ani na samochód. Ajax podszedł do bramy, chcąc pomóc w jej otwieraniu, ale kobieta podniosła obie ręce na znak, żeby tego nie robił. Pokręciła głową. Wciąż nie nawiązała z nim kontaktu wzrokowego.

– Zakon z klauzulą milczenia – syknęła MoJo z samochodu. – Założę się, że nie wolno jej się odezwać.

Zakonnica otworzyła jedno skrzydło bramy, potem drugie i pokazała gestem, żeby wjechał. Ajax zrobił to, zaczekał, aż zakonnica zamknie bramę, po czym wyskoczył i otworzył tylne drzwi samochodu, żałując, że nie opróżnił wcześniej tylnej kanapy z pustych torebek po chipsach i porzuconych dokumentów.

Lekki uśmiezek, z każdą sekundą coraz mniej łagodny, za to raczej coraz bardziej przerażający, nie zniknął, niemniej zakonnica pokręciła głową i go wyminęła. Spokojnym, równym krokiem zaczęła iść z powrotem w stronę budynku, krocząc samym środkiem podjazdu. Ajax nie miał jak jej ominąć, musiał jechać za nią.

– To chyba jakiś żart.

MoJo cicho zachichotała.

– Myślę, że tutaj musimy trzymać się ich zasad. Bądź wdzięczny, że podjazd nie ma kilometra.

Ajax uruchomił samochód i zwolnił hamulec ręczny. Zakonnica była dwadzieścia metrów przed nim.

– To jakiś absurd – burknął, przeciągając dłonią przez włosy.

– Zatrąb na nią.

– Nie będę trąbił na zakonnice.

– Jest miejsce, żeby ją objechać.

– Mam jechać po trawie? Wyląduję za to w piekle.

Nie widząc alternatywy, wrzucił jedynkę i ruszył.

MoJo usiadła prosto.

– Wsiądę i pójdę razem z nią. Zakładasz się, że uda mi się ją nakłonić do mówienia, zanim dotrzemy do wejścia?

– Błagam, nie zmuszaj mnie, żebym włączył blokadę dla dzieci.

Pożałował tych słów w chwili, kiedy skończył zdanie. Nawet teraz nie można było przy MoJo wspominać o dzieciach, o tym, że mogłyby się pojawić w jej życiu. Opadła z powrotem na siedzenie, skurczyła się na nim. Wiedział, że minie trochę czasu, zanim znowu się odezwie.

Zakonnica szła dalej w tym samym stałym tempie. Ajax jechał za nią. Kiedy wreszcie dotarli do budynku, zatrzymał auto i wyskoczył z niego. Nie oczekując, że zakonnica się odezwie, pozwolił jej podejść do dużych drewnianych drzwi frontowych i je otworzyć. Zniknęła w środku, zostawiając drzwi otwarte. W tym samym momencie gdzieś blisko rozległ się wysoki, upiorny skrzek.

– Co to było, do diabła? – wymamrotała wystraszona MoJo.

Ajax cofnął się i rozejrzał. Nic. Może tylko...

Po prawej stronie klasztoru, jakieś dwadzieścia metrów od niego, ciągnął się wysoki kamienny mur, a na jego szczycie siedziało coś dużego. Nie posąg, zdecydowanie nie. To coś się ruszało, prześlizgiwało bokiem. Przeraźliwy skrzek rozległ się znowu i odbił echem od wieżyczek starej kaplicy.

– Proszę się nie bać. To tylko pawie – oznajmił z wnętrza budynku niski, matowy głos. – Niedługo pójdą spać. Zapraszam, proszę wejść.

Paw rozpostarł swój fantastyczny barwny ogon i zeskoczył z muru. Zaczął truchtać w ich stronę, zwabiony bijącymi ze środka domostwa mdławymi wyziewami kuchennymi. Zapach przypominał Ajaxowi obiady szkolne i to, jak zmuszony do zjedzenia pasternaku zwymiotował na buty kucharki.

W korytarzu czekała kolejna zakonnica. Ajax okazał swoją legitymację i się przedstawił. Za nim, zaskakująco cichym głosem, MoJo uczyniła to samo. Zakonnica poprawiła na nosie okulary w grubych oprawkach i przyjrzała się legitymacji. Uścisku dłoni nie zaproponowała.

– Matka Hildegarda. Witam w klasztorze Priory.

Matka Hildegarda była wysoka i mocno zbudowana. Chyba po siedemdziesiątce, choć trudno to było wywnioskować z jej prawie pozbawionej zmarszczek twarzy. Oczy za okularami miały ciepły odcień szarości. Twarz otaczała mlecznobiała materia, czarny habit spływał prawie do ziemi. Krzyż na szyi był złoty, większy i bardziej ozdobny niż ten, który widzieli na szyi siostry Marii Magdaleny. Zakonnica z zaciekawieniem przyglądała się Ajaxowi. W pewnej chwili zmarszczyła czoło, skrzywiła się i dała ku niemu krok. Podniósłszy lewą rękę, dotknęła jego czoła, drugą dłonią wykonała znak krzyża, mamrocząc przy tym jakieś błogosławieństwo.

Był zbyt zaskoczony, żeby coś powiedzieć.

– Mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe. – Zakonnica odsunęła się i zajrzała mu głęboko w oczy. – Coś kazało mi to zrobić. Nie wiem co, ale wygląda pan, jakby tego potrzebował.

Ajax poczuł dziwne wzruszenie.

– Mam za sobą nie najlepszy okres. I nie, nie mam siostrze za złe. Wychowałem się w rodzinie katolickiej.

– Wiem.

Hildegarda odwróciła się na pięcie i odeszła. Ruszyli za nią korytarzem do szerokich schodów z rzeźbionymi balustradami. Zakonnica wspięła się na górę, oni za nią. Na pierwszym piętrze poprowadziła ich do dużego pokoju umeblowanego jak biuro. Pod oknem drewniane biurko, stare, ale nie zabytkowe. Cztery fotele obite materiałem w kwiaty, modne w latach osiemdziesiątych minionego wieku, nieduży wzorzysty dywan na poza tym gołej drewnianej podłodze. W pomieszczeniu unosił się zapach jak w domu starców. I potu starszej kobiety.

Matka Hildegarda pokazała im, żeby usiedli, i do nich dołączyła.

– Domyślam się, że przyjechał pan, inspektorze, żeby nas poinformować o śmierci naszej siostry Marii Magdaleny? To bardzo uprzejme z pana strony. Przypuszczam, że był pan dzisiaj bardzo zajęty.

Cóż, to nieco ułatwiało sprawę.

– Słyszała matka o tym w telewizji, tak? – spytał. – O wypadku balonu.

Znowu się uśmiechnęła. Uśmiechem nieskończonej cierpliwości.

– Rzeczywiście mamy w klasztorze odbiornik telewizyjny. Stoi w świetlicy, ale siostry wolą przeznaczoną na to godzinę wykorzystywać na oglądanie seriali komediowych. Bardzo lubią *Ojca Teda*. I *Teorię wielkiego podrywu*. To dlatego, że jedna z siostr uczyla fizyki i reszta uwielbia patrzeć, jak pęka ze śmiechu z żartów o nauce. Wiadomości jednak nie oglądamy. Pora ich nadawania zbiega się z nieszporama i kompleta.

– W takim razie, skąd...

– Siostra Maria Magdalena miała wrócić o dwunastej. Zgoda na wyjścia poza obręb klasztoru jest udzielana bardzo rzadko, a godziny powrotów muszą być surowo przestrzegane. Gdyby zaistniała nieunikniona zwłoka, siostra zadzwoniłaby do biura. Mam automatyczną sekretarkę na te momenty, kiedy mnie tu nie ma. – Spojrzała na zegarek. – To było blisko siedem godzin temu i w tym czasie otrzymałam kilka wiadomości od pana kolegów. Wiedziałam, że musiało się stać coś bardzo złego.

– Przykro mi to mówić, ale ma matka rację. Balon spadł, nikt się tego nie spodziewał. Na miejscu wypadku znaleźliśmy ciało siostry Marii Magdaleny. Jeszcze raz, ogromnie mi przykro.

Hildegarda przeżegnała się i na sekundę przymknęła oczy.

– Nie podobał mi się pomysł z tą wycieczką, ale zawsze trudno mi było odmawiać Jessice. – Zaalarmowana, otworzyła szeroko oczy. – Jessica? – powtórzyła. – Co z siostrą siostry Marii Magdaleny, Jessicą?

– Ją też matka zna?

– Oczywiście. Od lat nas odwiedza. Przyjeżdża prawie co miesiąc, czasami nawet dwa razy w miesiącu. Mam uczucie, jakbym obserwowała jej dorastanie. To była taka słodka dziewczynka. I taka... o mój Boże.

Zakonnica ukryła twarz w dłoniach. Ajax poczuł, że MoJo posyła mu to swoje wymowne spojrzenie. Ilekroć je widział, zawsze myślał, że MoJo zaraz coś ugryzie. Albo kogoś.

W końcu, z wyraźnym wysiłkiem, matce Hildegardzie udało się zapanować nad emocjami. Gdy opuściła dłonie, były wilgotne.

– Proszę mi wybaczyć – rzuciła. – Choć bardzo się staramy ich pozbyć, ludzkie ułomności są ogromnie trudne do wykorzenia. Bardzo lubiłam Jessicę.

– Jej ciała nie znaleźliśmy – oznajmił Ajax. – Więc nie wiemy na pewno. Ale byłoby nieuczciwe z mojej strony, gdybym powiedział matce, że mam jakieś nadzieje. Z trzynastu pasażerów wyprawy potwierdzono zgon dziewięciorga. Dziesiąta osoba jest w szpitalu w stanie krytycznym.

Po policzku sędziwej zakonnicy potoczyła się łza.

Nagle gdzieś w głębi budynku odezwały się dzwony. Ajax zdusił chęć

wzdrygnięcia się, Hildegarda podniosła się z krzesła.

– Zaraz rozpoczną się nieszpory. Niestety muszę iść. Pomodlimy się za dusze wszystkich uczestników tej fatalnej wyprawy. Z Bogiem, inspektorze. Siostra Winifreda odprowadzi pana do bramy. – Na sekundę spojrzenie zakonnicy powędrowało do fotela, na którym siedziała MoJo. Zmarszczyła czoło, potem zdobyła się na kolejny uśmiech. – Z Bogiem – powtórzyła.

Ajax nie ruszył się z miejsca.

– Matko Hildegardo, przykro mi, że przeszkadzam w tak smutnym momencie, obawiam się jednak, że musi mi matka poświęcić jeszcze chwilę.

Zakonnica się wyprostowała.

– Czekają na mnie siostry.

– Mimo to prosiłbym, żeby matka jeszcze na moment usiadła.

Późnym popołudniem zeszli z ostatniego wzgórza, pokonali pole i wkrótce potem dotarli do Wooler. Mimo kilkogodzinnej wędrówki po trudnym, nierównym terenie czuła się lepiej. Głowa ją wprawdzie nadal bolała, ale już nie tak bardzo. W chłodnym, świeżym powietrzu ból stał się znośniejszy. Marsz pomógł rozmasować zeszywniałe, obolałe ciało.

Kiedy znaleźli się na głównej ulicy, zwróciła się do grupy pielgrzymów. To, co chciała im powiedzieć, ćwiczyła w myślach już od pół godziny.

– Muszę jeszcze wpaść na pocztę, zanim ją zamkną. Czy mogę oddać kurtkę później, w hostelu?

– Oczywiście – odpowiedziała kobieta, która pożyczyła jej wiatrówkę. – I zapraszamy, żeby dołączyła pani do nas przy kolacji.

– Dziękuję. – Odwróciła się i już miała odejść, ale na ramieniu poczuła czyjaś dłoń.

Jeffa.

– Możemy pani jakoś pomóc? – spytał, zadziwiająco cichym jak na niego głosem.

Jego życzliwość była rozbijająca, przez chwilę miała ochotę o wszystkim mu powiedzieć. Ale jest już blisko. W Wooler może wsiąść w autobus, taksówkę, może zadzwonić.

– Już to zrobiliście – odpowiedziała. – Do zobaczenia wieczorem.

Sądziła, że pielgrzym powie, że na to czeka, bo to było w jego stylu. Ale nie powiedział. Znowu dotknął jej ramienia.

– Z Bogiem – rzucił, zanim się odwrócił i na przedzie grupy odszedł ulicą. Patrząc za nim, czuła się tak, jakby stała na kruchym lodzie, świadoma, że za chwilę wyląduje w lodowatej przerębli.

Na poczcie kupiła jedną kopertę. Z notesu na kontuarze wyrwała kartkę i naskrobała na niej kilka słów. Zakleiła kopertę, a potem, ostrożnie, na wypadek gdyby miała spotkać kogoś z grupy pielgrzymów, udała się do hostelu. Zostawiła tam kopertę zaadresowaną na Jeffa i wyszła.

Sto metrów dalej, przy budce telefonicznej, jakiś mężczyzna w luźnej skórzanej kurtce i filcowym kapelusiku wysiadał z land rovera. Drugi, w kurtce niebieskiej, watomanej, wysiadł drzwiami od strony pasażera.

Cofnęła się do hostelu i patrzyła, jak mężczyzna w kapeluszu idzie ulicą. Zatrzymał pierwszego przechodnia i chwilę rozmawiał. Widziała, jak ten ktoś, starsza pani, kręci głową, po czym mężczyzna odchodzi i idzie dalej. W tym czasie ten w niebieskiej kurtce ruszył w jej stronę, a z land rovera wysiadła kobieta z burzą jasnych włosów. Przeszła przez ulicę.

Jaka była głupia. W tej części hrabstwa jest tylko kilka miejscowości. Wiadomo było, że będą jej szukali w największej z nich. Wymknęła się na ulicę i ruszyła w kierunku przeciwnym do centrum miasteczka.

Szlak Świętego Cuthberta przecinał Wooler przy B6348. Gdy zeszła z drogi i skierowała się przez otwarty teren na północny wschód, słońce zaczęło chylić się ku zachodowi. Ból głowy wrócił, trzęsła się z głodu, wokół niej znowu odezwały się głosy zmarłych.

Hildegarda wytarła resztki łez opuszkami palców, podeszła do biurka i zadzwoniła małym metalowym dzwonkiem. Odwróciła się do okna, wbiła wzrok w coś na zewnątrz. Nad jej ramieniem Ajax nie widział nic oprócz ciemniejszego nieba.

Chciał podjąć rozmowę, kiedy usłyszał zbliżające się korytarzem kroki. Drzwi się otworzyły i dopiero wtedy Hildegarda się odwróciła.

– Przekaż siostronom, żeby na mnie nie czekały – powiedziała do osoby stojącej w wejściu. – Przyjdę, jak tylko będę mogła.

Drzwi się zamknęły, kroki oddaliły. Sędziwa zakonnica pozostała przy oknie, jej twarz była bez wyrazu.

– Matko Hildegardo, okoliczności, w jakich doszło do wypadku balonu, nie są do końca jasne – zaczął Ajax. – Pilot miał duże doświadczenie. Miał na koncie wiele takich przelotów. Balon był sprawdzony. Warunki pogodowe bardzo dobre. Ta katastrofa nie miała prawa się wydarzyć.

Jej twarz odrobinę złagodniała.

– I w czym ja mogę panu pomóc?

– Coś zaszło podczas lotu. Nie możemy wykluczyć, że wypadek spowodowały działania któregoś z pasażerów lub kilku z nich.

Na gładkim czole zakonnicy pojawiły się głębokie zmarszczki.

– Czy matka ma jakieś podstawy sądzić, że siostrę Marię Magdalенę coś trapiło? Zauważyła matka coś dziwnego w jej zachowaniu w ostatnich kilku tygodniach?

Twarz zakonnicy nie zmieniała wyrazu.

– Podejrzewa pan, że to nasza siostra spowodowała ten wypadek?

Ajax szybko pokręcił głową.

– Nie ma jakichkolwiek podstaw do takich podejrzeń. Takie samo pytanie zadam wszystkim krewnym pasażerów.

Spojrzenie zakonnicy przeniosło się z Ajaxa na sufit.

– Zachowywała się tak jak zawsze, czyli normalnie – oznajmiła. – Nie przypominam sobie, żeby robiła coś niezwykłego. Jeśli już, to może była bardziej... no nie wiem... ożywiona? Na jej czterdzieste urodziny zaplanowałyśmy małą uroczystość, przyjeżdżała jej siostra. To zawsze wprawiało ją w dobry nastrój. Nie wiedziała o locie balonem, chociaż reszta z nas już tak. To miała być niespodzianka. Wszystkie siostry były bardzo podekscytowane. – Westchnęła. – Naszą misją w tym miejscu jest walka z pokusami, z zainteresowaniem sprawami doczesnymi. Ale zdaje się, że jesteśmy w stanie jedynie te pokusy tłumić.

– Czy siostra Maria Magdalena była tu szczęśliwa?

Matka Hildegarda wbiła w niego surowe spojrzenie.

– Była oblubienicą Chrystusa. Naszym zdaniem dla kobiety nie ma większego powołania.

Ajax wstał.

– Mógłbym zobaczyć jej pokój?

Sądząc po minie Hildegardy, można by pomyśleć, że poprosił o obejrzenie bielizny zakonnicy.

– Jej pokój?

– Tak, prywatną przestrzeń. Miejsce, w którym trzymała swoje rzeczy.

– My nie posiadamy żadnych rzeczy, inspektorze. Przechodząc w stan zakonny, wyrzekamy się dóbr osobistych. I nie mamy własnych pokoi. Cele, w których siostry śpią, podlegają rotacji. Żeby się nie przywiązywać do konkretnego miejsca.

– W takim razie chciałbym zobaczyć celę, w której spała zeszłej nocy.

– Nie mogę na to pozwolić.

Ajax powiedział sobie, że ma do czynienia ze starszą panią, która nic nie wie o świecie i która właśnie usłyszała złe wiadomości. Z drugiej strony, sam też miał za sobą okropny dzień.

– Matko Hildegardo, to początek czegoś, co może prowadzić do bardzo poważnego dochodzenia. Nie będę miał żadnych problemów z uzyskaniem nakazu przeszukania. Decyzja należy do matki.

Na twarzy zakonnicy pojawił się błysk wściekłości. Potem kobieta ją zdusiła.

– Proszę poczekać na mnie przed biurkiem – poleciła.

Na korytarzu Ajax i MoJo popatrzyli na siebie.

– Nie wydawała się zbyt przejęta śmiercią Marii Magdaleny – rzuciła cicho MoJo. – Zauważyłeś?

– Tak.

Drzwi się otworzyły, matka Hildegarda wyszła na korytarz i bez słowa ruszyła przed siebie, w stronę przeciwną niż schody. Poszli za nią. Zapach kolacji znikł, zastąpiła go woń kadzideł. Ajax zorientował się, że zbliżają się do kaplicy.

Poczuł w żebrach palec MoJo.

– Matko, proszę wybaczyć szczerą – odezwał się. – Ale trudno było nie zauważyć, że bardziej się matka przejęła śmiercią Jessiki niż jej siostry.

Zakonnica przystanęła.

– Takie wywarłam na panu wrażenie, inspektorze? No cóż, żałuję. Śmierć każdego to powód do ogromnego smutku. Ale i do świętowania, ci bowiem, których straciliśmy, są już z Naszym Panem. – Znowu ruszyła.

– Ona się z ciebie nabija – szepnęła MoJo.

– Jak długo Maria przebywała w zakonie?

Hildegarda zwolniła, Ajax miał szansę ją dogonić.

– Siostra Maria Magdalena dołączyła do nas w wieku lat osiemnastu. Na ogół nie przyjmujemy tak młodych kobiet, mających mniej niż dwadzieścia jeden lat. Życie oblubienicy Chrystusa jest trudne i nie dla każdego. Ale ówczesna matka przełożona uznała, że jej powołanie jest silne. Zatem tak, wbrew porodom kilku starszych siostr, została przyjęta.

– Dwadzieścia dwa lata – mruknął Ajax. – Nie da się powiedzieć, że nie wytrzymała i zboczyła z kursu.

Dotarli do końca korytarza, gdzie w ścianie naprzeciwko znajdowało się zakratowane okno. Dobiegał przez nie śpiew zakonnice. Hildegarda przystanęła, żeby Ajax mógł zerknąć w dół.

Kaplica poniżej była ogromna, z łukowymi witrażami na trzech ścianach. Posadzka w szachownicę z białych i czarnych kafli, trzy rzędy ławek po każdej stronie, zwróconych do środka. Gasnące światło dnia na zewnątrz rzucało cienie na pomieszczenie, płomienie świec tańczyły poruszane niewidzialną bryzą.

Siostry, w liczbie blisko pięćdziesięciu, zajmowały ławki najbliższej ołtarza i śpiewały po łacinie i bez akompaniamentu.

– Pięknie – rzucił. – Jest matka szczęśliwą osobą, że może tego słuchać każdego dnia.

– Chcąc być z panem szczerą muszę wyznać, że byłam przeciwna przyjęciu siostry Marii Magdaleny do zakonu. Przekonywałam, że jest za młoda, żeby decydować się na tak wielkie poświęcenie. Ale prawda wyglądała tak, że po prostu powątpiewałam w szczerą jej powołania.

– Kiedy matkę przekonała?

Oczy zakonnice znowu zrobiły się zimne. Odwróciła się i poprowadziła ich w górę kolejną wąską klatką schodową. Na szczycie Ajax musiał schylić głowę. Byli na poddaszu. Po obu stronach korytarza znajdowały się rzędy wąskich drzwi. Zapach nierozcieńczonej kobiecości był tu silniejszy. Bielizna i nieumyte ciała, pot, duszący odór toalet. Przeszli za Hildegardą do połowy korytarza, tam zakonnica otworzyła drzwi i wpuściła ich do środka.

Pokój – nie bez przyczyny nazywają to celą, pomyślał Ajax – miał trzy metry na dwa, dokładnie tyle samo, co cele w komisariacie. Jedyne umeblowanie stanowiły wąskie metalowe łóżko i drewniana komódka. Tylne ściana ścięta, okno z widokiem na morze.

Nad łóżkiem wisiał drewniany krzyż.

– Prowadzimy proste życie – oznajmiła zakonnica. Zabrzmiało to, jakby była z tego powodu ogromnie dumna.

– Żadnych osobistych przedmiotów?

– Rodzinne fotografie są dozwolone, ale nie na widoku. Zdaje się, że w szufladzie znajdzie pan zdjęcie samej siostry i Jessiki.

Biorąc to za przyzwolenie, Ajax przemierzył pokój i wysunął szufladę małej

drewnianej komódki. Znalazł w niej pudełko chusteczek higienicznych, kosmetyczkę, podpaski, różanec i oprawione w ramkę zdjęcie dwóch dziewcząt.

Zaniósł je do światła, czując, że MoJo pcha się za nim.

Maria Magdalena, starsza z sióstr, na zdjęciu nie miała więcej niż siedemnaście lat. Jej twarz była jeszcze młodzieńczo pulchna i gładka, promienna, ciemne kręcone włosy lśniące, sięgające za ramiona. Oczy brązowe. Jessica była trochę młodsza, o nieco jaśniejszej karnacji, odrobinę mniej ładna. Ale tylko odrobinę. Siostry były zaskakująco do siebie podobne.

– Były bardzo ładne – orzekł, czując ukłucie wyrzutów sumienia, bo sobie przypomniał, że przynajmniej oficjalnie Jessica nie jest jeszcze uznana za zmarłą. Matka Hildegarda go nie poprawiła.

– Kolejny powód, dla którego uważałam, że Maria Magdalena nie nadaje się do życia zakonnego. Jej twarz, nawet osłonięta welonem, przyciągała uwagę. Zakonnice przez cały czas praktykują cnotę skromności. W dawnych czasach, żeby pomóc zwalczać próżność, piękna zakonnica była oszpecana. Oczywiście nie popieram tego rodzaju praktyk.

– Jak miała na imię? Zanim została Marią Magdaleną? Pamięta matka?

Twarz zakonnicy mówiła, że zapomina bardzo niewiele.

– Isabel.

– Isabel Lane?

– Nie. Jessica była krótko zamężna. Dawno temu pokazała nam swoje zdjęcia ze ślubu. Ale o tym, że się rozwiodła, nigdy nie wspomniała. Same to odgadłyśmy.

– Więc Isabel miała na nazwisko...

– Jones. Isabel Jones. Jessica pewnie też była znana pod tym nazwiskiem. W policji. Ale tego nie wiem na pewno.

Ajax wytrzeszczył oczy.

– Jessica jest policjantką?

Zakonnica wyglądała na rozbawioną.

– Zakładałam, że pan wie.

– Mieliśmy do dyspozycji tylko dane z firmy balonowej. Listę adresów i nazwiska bliskich, bez miejsca pracy. Wie matka gdzie? W jakiej formacji?

– Obawiam się, że nie. Ale chyba nie gdzieś tutaj, bo musiała do nas dojeżdżać. Adres, jaki mamy, jest z Yorku.

Ajax kiwnął głową. Ktoś z obszaru North Yorkshire Police pojedzie do domu Jessiki w Yorku przekazać wiadomość komukolwiek, kogo tam zastaną. Jessica jako bliską osobę podała swoją siostrę, siostrę Marię Magdalenę.

– Przykro mi, inspektorze, ale naprawdę muszę już kończyć. Pragnę się pomodlić za dusze naszych drogich sióstr. Oczywiście zapraszam, proszę do nas dołączyć.

– Bardzo dziękuję, ale czeka mnie jeszcze kilka godzin pracy. Mogę zatrzymać to zdjęcie? Tylko na krótko. Przypilnuję, żeby je matce zwrócono.

Hildegarda kiwnęła głową i wyprowadziła ich z celi, a potem ruszyli korytarzem i po schodach na parter.

– Winifreda otworzy panu bramę. Przypuszczam, że to za wcześnie, żeby spytać, co się stanie z ciałem siostry Marii Magdaleny? Bo mamy tu niewielki cmentarz, a siostra Maria chyba nie miała innej rodziny poza Jessicą.

Prawie by o tym zapomniał. O głównej sprawie, dla której tu przyjechał.

– Zostanie wydane rodzinie, kiedy tylko będzie to możliwe. A jeżeli nikt się po nie nie zgłosi, koroner zapewne postanowi, że należy je wydać zakonowi. Ale muszę matkę o coś poprosić. To będzie trudne, jednakże konieczne.

– Chce pan, żebym zidentyfikowała ciało?

– To nie musi być matka.

Westchnęła.

– Oczywiście, że to muszę być ja. Jeszcze dzisiaj?

– Może być jutro. Przyślę samochód, zawiezie matkę do kostnicy.

– Dziękuję. Czy ona jest bardzo...

– Tylko twarz jest trochę zniekształcona. Ale na pewno ją matka rozpozna.

– A Jessica? Będziecie jej szukali?

– Naturalnie i miejmy nadzieję, że nie będzie musiała matka oplakiwać obu sióstr.

Policjantka. Interesujące.

– Sir, nie obawia się pan, że się pan spóźni? – spytał Ajax.

Komendant zerknął w dół na swoją wieczorową marynarkę. Obciągnął białą koszulę, jakby zapomniał, w co jest ubrany.

– Najwyżej stracę koktajl z krewetek. Wiemy skąd?

– Jeszcze nie – odparł Ajax. – Chociaż stawiałbym na North Yorkshire, wzięwszy pod uwagę, że mieszkała w York.

– Bynajmniej – odezwał się Chapman. – Rozmawiałem z North Yorkshire. Nie była od nich. Posłali kogoś pod jej adres, ale nikogo tam nie zastali. Rozmawiali z sąsiadką. Powiedziała, że chyba na kilka dni wyjechali.

– Wyjechali?

– Lane mieszka z narzeczonym. Neilem Fishburnem. To policjant z North Yorkshire. Dom jest własnością obojga.

– Być może przyjechał tutaj – rzucił Ajax. – Chociaż dziwne, że się nie zgłosił. – Rozejrzał się. – Bo się nie zgłosił?

Stacey, która zajmowała się kontaktami z krewnymi ofiar, pokręciła głową.

– Ta sąsiadka mówiła też, że Lane często wyjeżdża – ciągnął Chapman. – Pakuje się z samego rana w poniedziałek, a wraca dopiero w piątek wieczorem. Być może to oznacza, że pracuje w jednostce poza miejscem zamieszkania.

– Już byśmy mieli od niej jakiś sygnał – stwierdził komendant. – Jeśli przeżyła. Miała na skontaktowanie się... Ile? Dziesięć godzin? To samo z tą dziewczyną.

– Nie wygląda to najlepiej – przyznał Ajax. – Sądzę, że musimy się przygotować na dwa kolejne ciała.

Po przyjeździe pod szpital Newcastle General Patrick zatrzymał się w najodleglejszym rogu parkingu, tam, gdzie, jak wiedział, kamery monitoringu nie miały zasięgu. Był w tym szpitalu już wiele razy. Kupił bilet parkingowy i z torbą na ramieniu przez recepcję udał się do najbliższej ogólnodostępnej toalety.

W kabinie przebrał się w strój chirurga, długie włosy spiął w kitkę. Przed wyjazdem z domu porządnie wyszorował ręce, mimo to teraz obejrzał je jeszcze raz. Lekarze zawsze mają nieskazitelnie czyste dłonie. Na szyi zawiesił smycz ze szpitalnym identyfikatorem (podrabianym, ale przekonującym na pierwszy rzut oka) i wyszedł z torbą z toalety. Poszedł do szatni dla lekarzy, tam zaraz za drzwiami zostawił torbę.

W szpitalu właśnie zbierane były naczynia po kolacji, za chwilę rozpoczynała się szczytowa pora odwiedzin. Zaczynała się też nocna zmiana, liczba personelu była tymczasowo ograniczona.

Przeszedł szybko do oddziału intensywnej opieki, wstukał kod, który został mu przesłany esemesem wcześniej, i odszukał pokój Helen Carlton. Wśliznął się do środka, z kieszeni wyciągnął strzykawkę i w żyłę na lewym nadgarstku kobiety wstrzyknął czterdzieści mililitrów insuliny.

Potem wyszedł. Zakładał, że minie jakieś dziesięć do piętnastu minut, zanim zaczną się konwulsje i personel medyczny zostanie zaalarmowany. Jego wtedy już dawno tu nie będzie.

Pora wieczornych odwiedzin dawno minęła. Na parkingu przed szpitalem było sporo wolnych miejsc, ale Ajax się nie spieszył. Zaparkował dość daleko od wejścia. Kiedy tam szedł, zauważył znajome auto posterunkowego Steve'a Chapmana. Chapman przyjechał zająć się papierkową robotą w kostnicy.

Helen Carlton leżała w sali przy głównym oddziale. Otaczała ją maszyna, oddychała za pomocą respiratora.

– Przepraszam?

Ajax się odwrócił. Za nim stała szczupła pielęgniarka, Azjatka.

– Pan pewnie z policji. – Przeciągnęła wzrokiem po mundurze, którego jeszcze nie zdążył zmienić. – Ma pan coś wspólnego ze sprawą wypadku balonu?

– Chwilowo ją prowadzę. – Wyciągnął legitymację i się przedstawił. – Zdaje się, że jeszcze nie zdążyliśmy skontaktować się z rodziną pani Carlton. Jej mąż zginął w tym samym wypadku.

– Wiem. To straszne. Może pan chwileczkę zaczekać? Chciałaby z panem porozmawiać nasza dyrektor administracyjna.

– Właśnie zamierzałem wychodzić.

– Proszę zaczekać. Myślę, że chodzi o coś ważnego.

Po powrocie do dworku Faa Patrick otworzył kłódki, tę u góry drzwi wejściowych i tę u dołu. Odciągnął rygle, przekreślił klucz w zamku i wszedł do środka, po czym odsunął się od drzwi, żeby przepuścić idących za nim Williama i Cat. William niósł jedzenie, Cat resztę. Gdy już byli w głębi, znowu zamknął drzwi na klucz i schował go do kieszeni.

Tym razem nie chciał ryzykować.

Z powodu zabitych okien w domu było ciemno nawet w najśnieczniejsze dni. Usłyszał, jak dłoń Cat prześlizguje się po ścianie, aż znalazła kontakt. W korytarzu zabłysła pojedyncza żarówka. Ruszyli w stronę schodów.

Patrick nie wiedział, kiedy ostatnio w tym domu mieszkali ludzie, ci zwyczajni. W rodzinie nikt aż tak daleko nie sięgał pamięcią. Teraz, dekady po tym, jak dom nadawał się do zamieszkania, z sufitów sypał się tynk i pokrywał wszystko jak brudny śnieg. Odłazące ze ścian tapety zamieniały się w papkę na gnijących dywanach. A same były tak poplamione i zniszczone, że określenie ich oryginalnych kolorów i wzorów było niemożliwe.

Przy wtórce odgłosu kapania przeciekającego kranu w kuchni szli po trzeszczących pod ich stopami mysich odchodach przez lepące się do ciała pajęczyny. Na gołych deskach schodów połyskiwały srebrzyste nitki wydzielin ślimaków.

Na froncie przez szczelinę między drzwiami a framugą do domu wdarły się kłacza jeżyn. Nikt ich nie usunął, więc krzew się rozrósł, kolczaste macki sięgały aż do schodów. W ślad za jeżynami poszedł bluszcz, który czepiając się ścian, zaczął je zarastać.

Oprócz zatrzymujących światło dykt w każdym z okien wisały też zasłony, brudne i podarte. Kiedy bryza, którą wpuścili ze sobą, przepłynęła przez dom, zasłony zaczęły się kołysać, a pasy odpadającej tapety szeleścić.

W tym domu nigdy nie było cicho. Kiedy przestawali hałasować ludzie, zaczynały to robić inne mieszkające tu stworzenia. W szparach gnieździły się szczury, pod dachem nietoperze, wszędzie przemykały karaluchy, stonogi i chrząszcze.

Jakby na zawołanie, Patrick i reszta usłyszeli nad głowami chrobotanie. Robactwo zawsze się uaktywniało na odgłos otwieranych drzwi.

Cat, która pierwsza wchodziła na schody, zmarszczyła nos. O ile Patrick wiedział, instalacja hydrauliczna nie była zepsuta, ale w nigdy niesprzątanym ani niewietrzonym domu zawsze będzie śmierdziało.

Ktoś zaczął bębnić w jedne z zamkniętych drzwi na górze.

– Zaczyna się – burknęła Cat. Najbardziej z nich wszystkich nienawidziła tej

roboty.

Trójka mieszkająca w domu była zamknięta w jednym z pokoiów, największej z czterech sypialni, z dołączoną łazienką. Patrick wszedł do pokoju pierwszy, za nim Cat, na końcu William.

Około trzydziestopięcioletnia kobieta stała na środku. Nastoletni brat i siostra wciskali się w ścianę w głębi.

– Gdzie ona jest? – spytała kobieta. Mówiła z obcym akcentem. – Gdzie jest moja przyjaciółka?

Patrick zignorował pytanie. Odwrócił się i patrzył, jak Will niesie jedzenie do wysokiej komody w rogu.

– Co, do jasnej cholery? – William machnął ręką z poirytowaniem. – Patrzcie. Zjedli tylko połowę.

Cat podeszła do niego.

– No bo co za piczka kupiła placek wieprzowy i kanapki z bekonem? – rzuciła cicho. – Przecież wiecie, że oni nie jedzą takich rzeczy.

William się nadał.

– Jak naprawdę zgłodnieją, zeżrą wszystko. Zostawmy im to, aż zjedzą.

– Przymknij się, Will – warknął Patrick. – Stare jedzenie zabieramy. Nie trzeba nam dzisiaj żadnych burd.

– Musicie pójść z nami do pokoju obok – zwrócił się do kobiety. – Ty pierwsza, wtedy ta dwójka będzie widziała, że nie ma się czego obawiać. Tylko na zastrzyk, na szczepionkę. Jest potrzebna, żeby można wam było wyrobić dokumenty.

Kobieta pokręciła głową.

– Twoja przyjaciółka była głupia – ciągnął. – Szukamy jej. Jeśli znajdziemy, zanim zrobi to policja, sprowadzimy ją z powrotem i wszystko będzie dobrze. Jeśli to policja ją znajdzie, odeślą ją do domu. Nic na to nie poradzimy. A teraz chodź, idziemy do pokoju. Nie denerwuj się, bo naprawdę nic ci nie grozi.

Nauczył się być uprzejmy dla tych ludzi, postępował z nimi ostrożnie. Wzbudzanie w nich strachu i wrogości miało się z celem. Wtedy tylko jeszcze bardziej się opierali. Po kilku pierwszych razach, kiedy to sprawy nie ułożyły się najlepiej, ludzie przetrzymywani w tym domu byli traktowani dobrze. Byli karmieni, mieli ciepło, mieli zapewnione bezpieczeństwo. Po tym, przez co przeszli w czasie podróży, ten dom naprawdę nie był aż takim złym miejscem.

Kobieta zrobiła niepewny krok przed siebie. Pozwoliła Cat chwycić się za ramię i zaprowadzić do sąsiedniego pokoju, tego, w którym trzymali sprzęt medyczny i dokumenty. Patrick odetchnął z ulgą. Już całkiem dobrze radził sobie z mieszkańcami domu, potrafił nakłonić ich do tego, żeby zachowali spokój i chcieli współpracować.

Oczywiście na widok skórzanych pasów i tak każdy z nich wpadał w panikę.

Wieczory pod koniec września są krótkie i chłodne, więc niebo szybko z gołębioszarego zrobiło się antracytowe. Powietrze było wilgotne. Drzewa, które mijała, strząsały lodowate krople, krzaki smagały ją zimnem. Nawet błoto pod jej stopami zdawało się pożądać jej butów, czepiało się ich i zasysało je przy każdym kroku, jakby próbowało ściągnąć je z jej nóg.

Głowa znowu ją bolała. Po rozstaniu z pielgrzymami głosy powróciły. Wraz z zapadającym zmierzchem coraz bardziej ponure i groźne. Po zachodzie słońca jej widmowi towarzysze zaczęli być widoczni, konkretyzowali się. Kątem oka widziała podążające za nią ciemne przygarbione postacie. Czasami mówiły o smutku, ale przede wszystkim o winie. Te odważniejsze podchodziły blisko, tak że czuła na karku ich oddech, gorący i cuchnący.

Jej wina. Całe zło, które się wydarzyło, to jej wina. To przez nią siostra była w balonie. Gorzej, to przez nią zginęli ci wszyscy ludzie. Gdyby nie ona, żyliby teraz.

Małeńkie rączki szarpały ją za włosy, a ona na to pozwalała. Witała ten szarpiący ból z radością do momentu, gdy sobie uświadomiła, że tak naprawdę to za włosy ciągną ją gałązki krzaków, które mijała.

Szlak z Wooler w przeważającej części prowadził po mniejszych drogach i wiejskich duktach, ale w pewnej chwili musiała ponownie pokonać otwarty teren, a tam z całą mocą uderzył w nią wiatr. Kiedy księżyc się chował, nawet ziemia pod jej stopami stawała się zdradliwą mieszanką niewidocznego błota, kamieni i kałuż.

Nigdzie żadnego światła, nawet najmniejszego błysku na horyzoncie świadczącego o bliskości siedliska ludzi. W tej ciemności nie miała szans dojrzeć pasterskich chat ani szałasów dla podróżnych, o których wiedziała, że są przy tym szlaku. Mogła je mijać, nie widząc ich, choć były kilka kroków od niej.

Kiedy księżyc znalazł się wysoko nad nią, doszła do wniosku, że zbliża się północ. Zaczęła się rozglądać za jakimś miejscem na następne kilka godzin.

Jedziemy, ma.

Ciach. Ciach. Mary się nie odwróciła, nie przerwała swojego zajęcia, ale Patrick wiedział, że go usłyszała. Cat i William, z naręczem rzeczy, szli przodem do przyczep.

– Dostałem telefon – ciągnął. – Psy policyjne złapały trop na miejscu wypadku.

Podniosła głowę, sekator zawisł nad martwą różą. Zawsze przycinała róże dopiero po zachodzie słońca. Twierdziła, że wtedy lepiej to znoszą.

– Trop prowadził do obrzeża lasu, ale po jakichś dwóch kilometrach go zgubili. Przy szlaku. Tym nazwanym od tego świętego.

Sekator zatańczył przed matką, kiedy się żegnała.

– To może nie mieć nic wspólnego z wypadkiem. Może to trop sprzed wielu dni, ale pojedziemy tam. Pójdziemy dalej szlakiem. W obie strony. Will i Jez wezmą konie.

W tym momencie Mary się odwróciła. W jej dłoni tkwiła łodyga zwiędłego kwiatu. Róże, które rosły w małym ogródku za domem, były jedynymi kwiatami hodowanymi na ziemi Faa. Wszystkie inne, jakie się pojawiały, a latem pojawiało się ich sporo, rosły dziko. Ale nie róże. Róże były ważne dla jego matki. Były czarne, jedyna znana odmiana czarnych róż pochodzenia naturalnego na świecie. Mary opowiadała, że te róże rosły kiedyś tylko w Turcji, ale gdy przodkowie Faa jechali z Indii do Europy, przywieźli ze sobą sadzonki. Ukradzione, jak głosiła legenda, bo czarne róże były bardzo pilnie strzeżone. Z jakiejś przyczyny, której nikt nie rozumiał, na szkockim pograniczu świetnie się czuły, dobrze tu rosły i do dziś dnia każda panna młoda z rodziny Faa miała je w bukietku.

Z wnętrza domu dobiegł jakiś łoskot, potem jęk bólu. Patrick i Mary spojrzeli w górę, na zabite okna nad ich głowami. Potem popatrzyli na siebie.

– Co się tu wydarzyło wczoraj wieczorem? – Mary kiwnęła głową w stronę tylnych drzwi domu. Rygle zewnętrzne były zasunięte.

Wzruszył ramionami.

– Nie mam cholernego pojęcia, ma. Psy szalały. Wiesz, jakie są, gdy na teren dostanie się borsuk. Wypuściłem Shinto. Odbiegł. Stałem w drzwiach i starałem się wypatrzeć, co go tak zaalarmowało.

Nieforemna twarz Mary wykrzywiła się.

– Stałeś w drzwiach? Uciekła, gdy ty stałeś w drzwiach?

Kopnął leżący luzem kamień.

– Może wyszedłem kilka kroków na zewnątrz, na kilka sekund. Straciłem z oczu tego przeklętego psa. Pobiegł w róg podwórka.

– Zostawiłeś drzwi otwarte?
– Byłem niedaleko. Tylko minutkę.
– Jak się wydostała z obejścia? O to pytam. Co zrobiła, kurwa? Wdrapała się na parkan?

Popatrzył w stronę płotu. Miał prawie trzy metry wysokości, siatka o gęstym splocie z ostrego mocnego drutu. Nikt nie pokonałby tego płotu.

– Nie miałem okazji przejść się po terenie za dnia – odpowiedział. – Może coś tam jest. Nie wiem... jakieś przejście pod siatką. Dziura wykopana przez lisy. Ta dziewczyna była drobna, to możliwe.

Mary chwilę gromiła go wściekłym wzrokiem, potem się odwróciła i znowu zajęła przycinaniem róż.

– To się musi skończyć. – Ciach. Ciach. Kolejne zeschnięte łodygi opadły na ziemię.

Czekał na to.

– Mieliśmy pecha. Ale to minie. Wszystko będzie dobrze.

– To nie miało zajść aż tak daleko. Ona nigdy by tego nie chciała.

Imię, którego matka nigdy nie wypowiadała, zawisło ciężko w powietrzu między nimi.

– Nie możemy odwołać jutrzejszego wieczoru – rzucił stanowczo.

– Ale to będzie ostatni raz.

Jest zła. Ale jej przejdzie. Przekona ją później.

– Na razie zajmę się porządkami po tym wypadku – oznajmił. – Pogadamy potem.

Dyrektorka, niczego nie wyjaśniając, zaprowadziła Ajaxa do zamkniętych drzwi bloku operacyjnego.

– Na pewno nie może pani powiedzieć, o co chodzi? – dopytywał się.

Wstukała kod.

– Lepiej, jak pan Wallace to zrobi.

Przez drzwi weszli na szeroki korytarz. Na suficie migotały jarzeniówki. Jedną ścianę zajmowały puste łóżka do transportu. Poza tym było tam pusto, większy ruch panował w jednym z pokoiów na końcu.

Rozległ się odgłos kroków. Ajax odwrócił się i zobaczył, że w ich stronę idzie dwóch lekarzy w zielonych kitlach. Nie zwracając uwagi ani na niego, ani na dyrektorkę, minęli ich i przez uchylne drzwi szybko weszli do ostatniej sali.

Dyrektorka zatrzymała się przed nią i sięgnęła po słuchawkę telefonu wewnętrznego. Ajax próbował podsłuchiwać. Usłyszał tylko: „Jest tu”.

Za ich plecami coś zagrzecotało. Przyszła ekipa sanitariuszy. Przepchnęli się obok Ajaxa, zaparkowali nosze na kółkach, jeden zerknął do środka przez szybę. Pokręcił głową.

– Jeszcze nie skończyli – powiedział do kolegi. Zostawili wózek i wrócili tą samą drogą, którą przyszli.

Duże wahadłowe drzwi znowu otworzyły się gwałtownie i na korytarz wyszło dwóch chirurgów. Ajax nie przyjrzał się parze wchodzącej wcześniej, ale nie sądził, żeby to byli oni. Ci byli cali ubabrani krwią. I obaj nieśli duże białe torby, solidne, prostokątne, trochę jak piknikowe torby lodówki, tyle że z boku miały czerwony napis: NARZĄDY LUDZKIE DO TRANSPLANTACJI. Chirurgi odeszli korytarzem.

Drzwi znowu się rozchyliły. Mężczyzna, który wyszedł przez nie tym razem, był wysoki, bardzo szczupły, prawdopodobnie w średnim wieku, ale trudno to było stwierdzić na pewno, bo dolną część twarzy zasłaniała maska, a włosy czepek. Jego fartuch był przesiąknięty krwią. Tak samo rękawiczki, maska i czepek.

Ajax opanował chęć, żeby się odsunąć.

Lekarz stał w drzwiach i się rozglądał, jakby nie do końca pewien, dlaczego tu jest. Potem jego spojrzenie spoczęło na dyrektorce administracyjnej. Skinął głową i ruszył korytarzem do jakiegoś pokoju z boku, gestem przywołując ich za sobą.

Weszli do niedużego, pomalowanego na biało składziku. Chirurg stał tyłem, ściągnął maskę, potem rękawiczki. Rzucił je do kosza na odpady chirurgiczne, po czym znieruchomiał, ciężko oddychając. Jego dłonie, czyste i blade bez rękawiczek, były zaciśnięte w pięści.

Ajax zerknął pytająco na dyrektorkę, ale ona tylko wodziła wzrokiem od niego do chirurga. Nie otrzymawszy odpowiedzi z tego źródła, rozejrzał się po pomieszczeniu. W tej absurdalnej sytuacji strasznie mu brakowało MoJo, no ale ona nigdy nie wchodziła do szpitali.

– Inspektorze Maldonado.

Odwrócił się.

– To ja.

Chirurg spojrział w dół na swój pokryty krwią fartuch.

– Zgaduję, że raczej woli pan pominąć uścisk dłoni.

– Dobrze pan zgaduje – potwierdził Ajax. – Proszę wyjaśnić, o co chodzi.

– Nazywam się Ralph Wallace. Susan Hammond, naszą dyrektorkę do spraw administracyjnych, już pan poznał. Jest tu z nami, ponieważ, jeśli przystanie pan na to, o co zaraz poproszę, trzeba będzie szybko się zająć papierkową robotą. Jestem w trakcie operacji i zaraz muszę wracać. W ogóle nie powinienem stamtąd wychodzić.

– Co jest aż tak ważne, że ryzykuje pan życie pacjenta?

– Pacjent jest martwy. Pobieramy narządy do przeszczepów od młodej kobiety, która zmarła dzisiaj po upadku podczas wspinaczki górskiej na skutek poważnych obrażeń głowy. Wątroba, nerki, serce, płuca, rogówka – wszystko, co da się pobrać. Była młoda i zdrowa. Pochodziła z Bliskiego Wschodu, a my mamy bardzo niewielu dawców z tej konkretnej grupy etnicznej. Kurierzy już czekają na odebranie narządów i przewiezienie do odbiorców z północno-wschodniej części kraju.

Ajax pomyślał o chirurgach, którzy wychodzili z sali operacyjnej. Ściągnięte twarze, poplamione krwią fartuchy, torby, które nieśli.

– W normalnych okolicznościach nigdy nie widzę się z ludźmi, zwłaszcza z takimi, których nie znam, zaraz po operacji pobrania narządów – ciągnął Wallace.
– Normalnie nawet by mi się nie śniło wyjść z sali w trakcie operacji. Dzisiaj jednak było to nieuniknione.

– Proszę wybaczyć, że to powiem – zaczął Ajax – ale nie wygląda pan najlepiej.

Płatki nosa mężczyzny zacisnęły się, gdy wziął głęboki wdech.

– Czuję się świetnie, inspektorze. Pan też dzisiaj musiał się zajmować poważnym wypadkiem. Oglądał pan straszliwe obrażenia. Bardzo możliwe, że ludzie w potwornym bólu. Dlatego wie pan, co to znaczy trauma.

– Tak sędzę.

– Ludzie nas nie doceniają, bo nie opowiadamy... bo nie wolno nam mówić, jak traumatyczne są operacje pobierania narządów. W bardzo krótkim czasie musimy otworzyć ciało i wydrzeć z niego wszystko, co sprawiało, że kiedyś funkcjonowało. Fizycznie to wycieńczające, bałagan jest niewyobrażalny, a kiedy

dawca jest młody, to ludziom pękają serca. Ale robimy to, bo to ratuje życie. Nieunikniona śmierć może przynieść dobro, jeśli tylko będziemy działali szybko.

Być może chodziło o widok, może o zapach, o tę całą krew, ale Ajax poczuł, że robi mu się słabo.

– Jak ja mogę pomóc?

– Dowodzi pan działaniami związanymi z wypadkiem balonu.

Kiwnął głową.

– Jedyna osoba, która go przeżyła, Helen Carlton, została przywieziona do nas krótko po jedenastej rano – wyjaśniał Wallace. – Natychmiast została zabrana na salę operacyjną. Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy, i przez jakiś czas mieliśmy nadzieję, ale pod wieczór jej stan się pogorszył. Obawiam się, że nie ma szans na wyzdrowienie.

Ajaxowi przemknęło przez myśl, że tak chyba będzie dla niej lepiej.

– Jej mąż i syn nie żyją – poinformował lekarza. – Córka prawdopodobnie też, chociaż jeszcze jej nie znaleźliśmy.

– Tak właśnie słyszałem. Potworna sprawa.

– Widziałem ją kilka minut temu. – Ajax odwrócił się do dyrektorki. – Wciąż jest na oddziale.

– Czterdzieści minut temu stwierdziliśmy śmierć mózgu – odparła kobieta. – Przy życiu utrzymuje ją respirator.

– Potrzebujecie zgody rodziny, żeby go wyłączyć? Bo obawiam się...

– Nie. Potrzebujemy ich zgody na pobranie narządów.

– Rozumiem.

– Pacjentka miała przy sobie kartę dawcy – oznajmiła dyrektorka. – Jej mąż też, ale został przywieziony za późno. Jak pan wie, zgodnie z prawem przed pobraniem narządów musimy uzyskać na to zgodę krewnych, nawet jeśli zmarła osoba jasno zadeklarowała swoją wolę.

– Chyba rozumiem, do czego zmierzacie, ale nawet jeśli znajdziemy Poppy Carlton i będzie w stanie umożliwiająca udzielenie zgody, to trzeba pamiętać, że ma dopiero piętnaście lat. Nie może autoryzować tego, że wyłączycie aparaturę i otworzycie jej matkę.

– Pan nas nie zrozumiał – odezwał się Wallace. – Prosimy o znalezienie krewnych Helen Carlton. Siostry, rodziców, kuzynów, kogokolwiek. Jeśli do rana uzyskamy ich pozwolenie, uratujemy kilka istnień ludzkich.

Przez ciało Ajaxa przelała się fala czystego wyczerpania.

– Obecnie w Wielkiej Brytanii jest siedem tysięcy śmiertelnie chorych osób, które dzięki przeszczepowi albo zachowają życie, albo ich stan ulegnie olbrzymiej poprawie – oświadczył chirurg.

– Rozumiem. – Ajax poczuł, że szczeka sama mu się zaciska.

– Na liście oczekujących mam ojca trójki dzieci z ciężko chorą wątrobą. Bez

przeszczepu zostaną mu co najwyżej dwa lata życia. Wiem, że mają z Helen zbieżne HLA^[2] i zgodną grupę krwi. Ten pacjent mieszka godzinę drogi stąd. Do rana mógłby być już po przeszczepie.

Cisza. Gdzieś w pokoju tykał zegar. Chirurg zachwiał się i żeby zachować równowagę, wyciągnął rękę.

– Zobaczą, co da się zrobić – obiecał Ajax.

Szła, czujnie nasłuchując, w stronę maleńkiego światełka w oddali. To musi być jakaś odosobniona farma, a na takich trzymane są psy. Zwykle na łańcuchu, ale nie zawsze. Z drugiej strony, każde schronienie będzie lepsze od nocy spędzonej na otwartym terenie.

Kiedy podeszła jeszcze bliżej, przekonała się, że dom na farmie jest duży. Cztery okna na pierwszym piętrze i podwójne drzwi frontowe, otwierające się na niewielki ogrodzony ogród. Widziała, że światło pali się w dwóch oknach na piętrze.

Boki drogi dojazdowej do farmy porastała trawa. Szła tamtędy, blisko żywopłotu, chociaż wiedziała, że szanse, by ktoś ją zobaczył, nawet ktoś wyglądający przez okna, były nikłe. Dokoła było ciemno, jej kroki zagłuszał szum wiatru. Kiedy dotarła do małego półkolistego żwirowego podjazdu przed domem, zatrzymała się. Stały tam dwa samochody.

W tym miejscu już nic jej nie ochraniało przed wiatrem, który wył w kominie, ześlizgiwał się po spadzistym dachu i potrząsał koronami drzew rosnących wokół farmy. Na tle ciemnego nieba widziała, jak się kołyszą i przeginają, zupełnie jakby chciały do niej dosięgnąć.

Zabudowania gospodarcze znajdowały się za domem. Żeby się do nich dostać, musiała przejść po żwirze. Nagły ruch na polu sprawił, że podskoczyła, ale okazało się, że to tylko odbiegał wystraszony czymś koń. Pusta stajnia byłaby idealna. Mogłaby się zakopać w sianie.

Pojazdy należące do gospodarstwa, land rover, traktor, pług, stały z boku domu. Za nimi zobaczyła obrys olbrzymiej stodoły otwartej z czterech stron, z dachem jako jedynym zabezpieczeniem przed deszczem i wiatrem. Ale bele siana ją osłonią. Ruszyła w tamtą stronę, czując na głowie drobne kropelki deszczu, bo znowu zaczęło padać.

Siano w stodole ułożone było wysoko, dwanaście bel lub więcej w najwyższym stosie. Ale bele poniżej tworzyły coś w rodzaju stopni, po których farmer mógł się wdrapywać na szczyt. Zaczęła się wspinać po tych stopniach, instynktownie czując, że na górze będzie bezpieczniejsza. W pewnym momencie dotarła do dziury między dwoma dużymi stosami. Zaskoczona tym, jak ciężkie są bele z sianem, zdołała przesunąć dwie i wskoczyła w otwór, jaki po sobie zostawiły. Wszędzie wokół niej było teraz ściśle upakowane siano. Dach w górze osłaniał ją przed deszczem. Tej nocy już jej nie grozi, że umrze; przynajmniej nie z wychłodzenia.

Ajax, jestem w koszuli nocnej. Nie mogę cię teraz wypuścić. Ludzie będą gadali.

Ajax wyprzedził ciężarówkę i zjechał na lewy pas. Szosa była zapchana nawet o tej godzinie, wiedział, że jazda nie będzie łatwa. Uśmiechnął się jednak na wspomnienie starszej pani udającej, że się krępuje pokazać w koszuli nocnej. Była jaskrawofioletowa, watowana, ze złotymi guzikami. Widział już kiedyś tę koszulę. Stara Karaibka wybrała się w niej do sklepu na rogu. Współczuł każdemu, kto się wtedy gapił albo roześmiał.

– Wybacz, Tereso, powinienem zadzwonić wcześniej – przeprosił. – Ale niestety moje plany na miły spokojny dzień nie wypaliły.

Usłyszał odgłos tłumionego ziewania.

– Zajmowałeś się tym wypadkiem z balonem, co? – spytała. – Oglądałam w wiadomościach. Biedni ludzie, niech Pan pobłogosławi ich dusze.

– Spróbuję przyjechać jutro, Tereso. Ale jeśli mi się nie uda, to nie dlatego, że nie chcę, ale dlatego...

– Za dużo pracujesz. Gdzie teraz jesteś? Na pewno nie w domu, co? Słyszę samochody.

Przyhamował, żeby uniknąć zderzenia z autem zjeżdżającym z wiaduktu.

– Muszę jeszcze coś załatwić. Ale nie powinno mi to długo zająć – skłamał.

– Przyjedź mimo wszystko. Niech ci idioci sobie plotkują. Zostawię pod wycieraczką klucz. Możesz się przespać w starym łóżku Clarka, a rano zrobię ci przepyszne karaibskie śniadanie. Co ty na to?

Uśmiechnął się na myśl o stekach z glazurowanym ananasem i o pikantno-słodkich frytkach.

– Jestem za długi na łóżko Clarka, będą mi wystawać nogi. A jeśli w tej części miasta będziesz zostawiała klucz pod wycieraczką, to w końcu ktoś cię zamorduje we śnie.

– Ha! Nikt nie będzie miał odwagi ze mną zadrzeć. Mam ciebie i Clarka, to najlepsza ochrona domu. Jestem jak matka chrzestna.

Clark, syn Teresy i najlepszy kumpel Ajaxa ze szkoły, blisko połowę swojego dorosłego życia spędził w więzieniu. Miał kontakty, o których Ajax wolał nie myśleć.

– Idź spać, dobra kobieto. Zadzwonię jutro.

Zakończył rozmowę i zjechał na pas szybkiego ruchu.

Obudziła się nagle. Śniły jej się wlepione w nią z góry ślepia, czyjś dyszący w jej twarz gorący oddech. Zachmurzenie chyba już minęło i odsłonił się księżyc, bo teraz widziała ciemny zarys dachu stodoły, pomarszczoną fakturę snopów siana, cętki gwiazd, niestety zbyt oddalonych, żeby mogły przyjść jej z pomocą. I ogromnego owczarka niemieckiego, nie więcej niż pół metra od niej. Znała tego psa. Jego pies ją znalazł. On sam zaraz też się pojawi.

– Shinto!

Jego głos. Tubalny, ochrypy, z akcentem – osobliwą mieszanką akcentu ze szkockiego pogranicza i jakiegoś obcego. Jest w stodole, szuka psa.

A pies obie przednie łapy wepchnął do otworu, który był jej kryjówką. Zainteresowany już nie jej zapachem, ale jakimś nowym, wetknął nos w róg stogu.

– Shinto! Do nogi. Wracaj tutaj. – W dole rozległy się kroki i cicha rozmowa. Nie jest sam.

Pies podniósł łeb. Zobaczyła błysk ostrych kłów w jego rozwartej paszczy. Chyba nie pozwolą, żeby to pies ją zabił? Tych, którzy ocaleli z wypadku, zabijali szybko, ciosem w głowę, gwałtownym skręceniem karku. Nie będą chyba aż tak okrutni i nie wydadzą jej na pastwę wściekłego psa?

Psom nie wytacza się spraw o morderstwo. Nie trafiają za to do więzienia.

Odpuszczając sobie szczura, czy co tam innego ją na razie uratowało, pies podczołgał się do niej i błysnął brązowymi ślepiami. Nie potrafiła powstrzymać cichego jęku przerażenia, gdy jego łeb zawisł nad nią, a kropla śliny spadła na jej policzek. Słyszała miarowy, dudniący rytm. To mogło być tylko jej serce.

– Shinto? – Znowu, tym razem z irytacją.

Dudnienie przyspieszyło, ale teraz potrafiła je umiejscowić. Jednak to nie jej serce. Ogon psa bębnił rytmicznie w siano. Pamiętając, że Shinto dał się pogłaskać kobiecie od toffi, wyciągnęła do niego rękę.

– Dobry piesek. – Szept pochłonęło otaczające ją siano, pies przytknął łeb do jej dłoni. Podrapała go za uchem. Shinto pacnął ją łapą na znak, że nie chce, żeby przestawała.

Potem zeszywniał. I skoczył. Jego pazury wbiły się w jej skórę. Shinto wyskoczył z dziury i w tym samym momencie usłyszała szczekanie innego psa.

Krzyki na dole. Ujadanie, teraz już kilku psów. Odgłosy, jakby ktoś biegł. Snopy światła z latarek na dachu stodoły. Potem straszliwy zgiełk, charczenie, warczenie. Pod nią w stodole walczyły psy. Kiedy głos, który rozpoznała, zaczął na nie krzyżeć, wcisnęła się głębiej w swoją dziurę. Inni przeklinali i wrzeszczeli. Jakiś nowy męski głos, donośniejszy od reszty, domagał się wyjaśnień. Chciał wiedzieć, co się, do cholery, dzieje, czy mają cholerne pojęcie, która jest godzina, i

że zaraz wzywa policję.

Harmider psiej bójki przycichł. Wyobraziła sobie tę scenę: dwa psy, nadal na siebie powarkujące, trzymane za obroże, drapiące pazurami posadzkę stodoły.

– Zabierz go. Zapnij na łańcuchu. I uspokój resztę.

Ujądanie ustało.

– Czego chcesz, Faa?

Mężczyzna, który na nią polował, odpowiedział:

– Szukam kogoś. Dzieciaka. Dziewczyny. Pokłóciła się z matką. Uciekła.

– I dlaczego myślisz, że jest tutaj?

– Ktoś ją widział w Wooler, szła szlakiem pielgrzymów. Sprawdzamy wszystkie miejsca w jego pobliżu.

– My nikogo nie widzieliśmy.

Między dwoma mężczyznami wyczuwało się wrogość. I strach. Właściciel farmy bał się mężczyzny, który jej szukał. Który miał na nazwisko Faa.

– W takim razie nie będzie ci przeszkadzało, jak się rozejrzemy?

– Żaden dzieciak by tutaj nie przyszedł. Raczej poszedłby do miasta.

Traciecie tylko czas.

– Możliwe, ale to mój czas i mogę go tracić, ile chcę.

Znów wyobraziła sobie scenę na dole. Faa trzyma wrywającego się Shinto. Farmer stoi wyprężony. Boi się, ale nie chce tego po sobie pokazać.

– A policja też szuka tej dziewczyny? – spytał.

– Nie zawracaliśmy głowy policji. Naszych szukamy sami. – Inny głos, podobny do głosu faceta o nazwisku Faa, ten sam akcent.

– Daję wam pięć minut. A potem wynocha z mojej posesji.

Cisza przez kilka długich sekund. Później odgłos, jakby się ktoś odwrócił, odszedł i do kogoś wołał.

– Pat, skończyliśmy – oznajmił ten drugi głos z akcentem. – Tu nikogo nie ma.

– Taa. – Trzeci głos. – To musiał być fałszywy alarm. Obie nie żyją. Szukaliśmy wszędzie, gdzie mogły pójść.

– Daj mi jeszcze chwilę. Muszę... No, nie wiem. Mam przeczucie. – To znowu jego głos. Ma na imię Pat. Patrick? Patrick Faa.

– Ma chce, żebyśmy wracali.

– I musisz się zająć tymi telefonami.

Trzy różne głosy. Wszystkie z takim samym nie do końca szkockim akcentem. Wysokość i intonacja podobne. Trzech bliskich krewnych.

Prawie słyszała, jak Patrick Faa wzdycha z frustracją.

– No dobra, jeszcze tylko raz szybko się rozejrzę i spływamy. Ruszaj, kolego.

Rozległo się drapanie pazurów, pies znowu został spuszczonej ze smyczy.

Tym razem będą go obserwowali, zobaczą, że wspina się po balach.

Ujrzała promień światła tańczący na dachu stodoły. Poczwała, że siano się kołysze. Ktoś ciężki zaczął się wspinać na stóg. Na krawędzi otworu pojawiła się duża męska dłoń. Za ułamek sekundy ten mężczyzna ją zobaczy. Dłoń się przysuwała, aż znalazła się zaledwie centymetry od niej. Lewa. Widziała ciemne włosy, brzeg rękawa kurtki i dziwną bransoletkę: pasma splecionych czarnych włosów złączonych grawerowaną srebrną klamrą.

Potem stóg się zachwiał. Usłyszała ciche przekleństwo i dłoń zniknęła. Mężczyzna spadł. Coś ciężkiego wylądowało na posadzce stodoły. Potem kroki.

Leżała, nie mając odwagi się poruszyć, nasłuchiwała oddalających się głosów. W końcu rozległ się warkot uruchamianego silnika.

Miała wrażenie, że zanim znowu udało jej się zasnąć, minęła cała wieczność.

Sześć lat wcześniej

Siostry siedziały w kaplicy klasztoru Priory. Były same. W kaplicy było zimno, bo ogrzewanie włączano tylko na czas mszy. Isabel znalazła jakieś płaszcze, obie owinęły się nimi od stóp do głów. Było też ciemno, bo Isabel nie pomyślała, żeby włączyć światło, a może nie chciała tego zrobić. Z oddali dwie okutane kobiety mogły wydawać się nierozróżnialne, dwie zakonnice rozmawiające w kaplicy o doktrynach religijnych czy o cudach życia dla Chrystusa.

Jessica nie potrafiła wyobrazić sobie nic bardziej ohydneho od tego, co właśnie usłyszała.

Niedaleko na posadzce z kafli stał kunsztownie rzeźbiony konfesjonał, gdzie siostry klękały i wyznawały swoje grzechy przed Bogiem i przed wizytującym klasztor księdzem. Jakże to adekwatne.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? – spytała.

– Lepiej ci się zrobiło? Jesteś szczęśliwsza, że wiesz? – odpowiedziała pytaniem Isabel.

– Oczywiście, że nie.

– Dlatego właśnie nie mówiłam.

– Mimo wszystko miałam prawo wiedzieć.

Isabel westchnęła.

– Kiedy to się stało, byłaś za mała. Jeszcze przez długi czas byłaś za mała. Nie mogłam cię tym obciążać.

– Ciocia Brenda, wuj Rob? Oni wiedzieli?

Isabel przytaknęła.

– Później, kiedy byłaś już wystarczająco duża, spytałam się siebie, jaki to ma sens. On tak dawno temu zniknął z twojego życia, a teraz, gdy jesteś dorosła, niczym ci już nie zagraża.

Jessica w fałdach czarnej wełny odszukała dłoń siostry.

– Nic z tego nie rozumiem – oznajmiła. – Dlaczego tata czegoś nie zrobił? Czy to było już po tym, jak...

Isabel westchnęła.

– Szczerze mówiąc, Jess, sama mam problem z dokładnym określeniem, kiedy to było. Mam wyrwy w pamięci z tamtego okresu. Ale nie, wydaje mi się, że on już był w wojsku, kiedy tata... no cóż, kiedy zmarł.

Jessica odsunęła się, usiadła prosto na twardej drewnianej ławce.

– Tata wiedział – mruknęła. – Odesłał go z domu, żeby nas chronić. A potem nie mógł żyć sam ze sobą, ze stratą mamy, z tym, co zrobił Ned.

– Jess, uspokój się. – Isabel wyciągnęła zimną dłoń. – Nie mamy pojęcia, co się działo w głowie taty. Nigdy się nie dowiemy, co go popchnęło do tego, co zrobił.

– Ja wiem – sprzeciwiła się Jessica. – Nie obchodzi mnie, co mówisz. Ja po prostu wiem. – Wzięła głęboki wdech, żeby się nieco uspokoić, znowu złapała dłoń siostry. – I to dlatego się ukrywałaś przez te wszystkie lata?

Chwila ciszy.

– Bardzo przykra interpretacja mojego powołania, Jessico – rzuciła w końcu Isabel.

– Jesteś najsilniejszą osobą ze wszystkich mi znanych. Nie było nic, czego nie mogłabyś zrobić, a teraz... – Przerwała.

– A teraz? – ponagliła ją Isabel.

– Teraz nie robisz nic.

– Byłaś małym dzieckiem, Jess. Przyznaj, że jest możliwe, że pamięć cię zwodzi i że ja nigdy nie byłam taką osobą, jaką wykreowałaś w swojej głowie. Poza tym matka Hildegarda regularnie nam powtarza, że jesteśmy najsilniejszymi kobietami ze wszystkich. Kiedy w zimowe poranki rozbijamy lód na wodzie, żebyśmy mogły umyć twarz, albo kiedy nosimy szczapy drewna z krańców obejścia, myślę, że w jakimś sensie ma rację.

Jessica uzmysłowiła sobie, że bardzo mocno ściska rękę siostry. Musi przestać. Zrobi jej krzywdę, a przecież ona już i tak wiele przeszła.

– Powinnyśmy go odszukać – oświadczyła. – To mu nie może ująć bezkarnie.

– Odpowie przed Bogiem, Jess. – Głos Isabel zabrzmiał twardo, beznamyślnie. – Przynajmniej tak tu mówimy każdego dnia, że grzesznicy będą odpowiadali przed Bogiem.

– I ty w to wierzysz?

Odpowiedź nie padła.

– Ja mimo wszystko chcę go odnaleźć – upierała się Jessica. – Chcę, żeby odpowiedział przede mną. I przed prawem.

Isabel podniosła się z ławki.

– Powiedziała policjantka. Ale zakonnica ma obowiązek wybaczyć. Miałam lata na opanowanie tej lekcji. – Ruszyła w stronę prezbiterium. Kiedy tam dotarła, uklękła i ukryła twarz w dłoniach.

Jessica też się podniosła. Obcasy jej pantofli stuknęły głośno, gdy podchodziła do klęczącej siostry.

– Może on żałuje? – rzuciła do jej pleców. – Może chce ci to jakoś wynagrodzić?

Żadnej reakcji.

– Krew nie woda, Isabel.

Siostra gwałtownie odwróciła do niej twarz.

– Nie traktuj mnie jak dziecka, Jess. To nie ciebie to spotkało i nie ty będziesz mi mówiła, jak mam sobie z tym poradzić.

Isabel dźwignęła się z kolan.

– Jeżeli chcesz, możesz go szukać – oświadczyła twardo. – Nie mogę i nie będę cię powstrzymywała, ale nawet przez moment sobie nie wyobrażaj, że odegrasz rolę kogoś w rodzaju wysłannika pokoju, że nas ze sobą pogodzisz. Nigdy się z nim nie spotkam, nigdy więcej nie zamienię z nim ani jednego słowa, nie wysłucham go. A jeśli będziesz próbowała mnie do tego zmusić, ciebie też nie będę chciała więcej widzieć.

Czwartek, 21 września

Patrick wrócił do dworku Faa o trzeciej nad ranem. Przed przyczepą matki paliło się ognisko. Płomienie strzelały wysoko. Podszedł tam i natychmiast przyduślił go dym z ogniska i opary z papierosów i skrętów.

Przy ognisku siedzieli dorośli członkowie jego rodziny. Niektórzy na tanich metalowych lub plastikowych składanych krzesłach, inni na kanapach wyjętych z samochodu. Jeszcze inni na ułożonych jedno na drugich oponach. Nic wolnego już nie było. Nikt nie zaproponował, że przyniesie mu coś do siedzenia.

– Dwie rzuciłem między słupami a rzeką – oznajmił. – Jedną do bagna blisko jednego z ciał. Resztę między drzewa, tam, gdzie spadł. Znajdą je jutro, jak będzie jasno. Wściekną się, że je przeoczyli.

Podkradnięcie się na miejsce wypadku, rozrzucenie komórek, które ukradł martwym i konającym pasażerom, było ostatnim zadaniem w tym bardzo długim dniu. Kiedy komórki zostaną odnalezione, policja pomyśli, że były w rękach pasażerów – naturalna sprawa – i wypadły, gdy balon spadał.

– A Jimmy jest pewien, że nic w nich nie zostało? – spytała Mary. Jak wiele starszych osób, nie ufała nowoczesnej technologii.

Za to piętnastoletni Jimmy miał smykałkę do tych rzeczy. Od powrotu ze szkoły siedział przy komputerze i ściągał na niego zawartość komórek pasażerów. Sprawdzał, czy są w nich jakieś wiadomości wysłane w ostatnich minutach przed rozbiciem się balonu i zdjęcia zrobione Patrickowi. W dwóch telefonach znalazł jakieś, niewyraźne i ziarniste. Usunął je. Nastoletniemu chłopakowi udało się przesłać tweety i jednego esemesa, ale nie napisał, co spowodowało wypadek.

– Tak. Są czyste jak łąka – zapewnił ojciec Jimmy’ego. Między palcem wskazującym a kciukiem trzymał papierosa, jego jarzący się koniec tkwił w zagłębieniu dłoni w ochronie przed wiatrem. – Chociaż jak ktoś podłubie głębiej, to jakieś ślady znajdzie. Musimy mieć nadzieję, że nikomu nie będzie się chciało.

– No tak, ale wyczyściliśmy tylko osiem sztuk – przypomniała Mary. – Z komórką pilota będzie dziewięć. W balonie było trzynaście osób. Gdzieś tam mogą być jeszcze cztery telefony.

– Nie każdy ma telefon – zauważył Charles.

– Jak wam poszło? – spytał Patrick. Charles i William mieli pozbyć się ciała pilota.

– Dwanaście metrów pod wodą, w Hoselaw Loch – odpowiedział Charles. – Samochód matki szorowaliśmy przez dwie godziny.

– Więc jesteśmy w domu?

– Nie, nie jesteśmy – warknęła Mary. – Wciąż nie odnalazło się dwóch pasażerów.

– Znajdą ich rano – powiedział z przekonaniem Patrick. – Wcześniej wysłali tam helikopter. Namierzyli dwa ciepłe miejsca. Są przekonani, że to ciała. Z samego rana po nie polecą. Te kobiety nie żyją. Gdyby żyły, znaleźlibyśmy je dzisiaj. Jutro o tej porze będzie po wszystkim.

– Lepiej, żeby tak było. – Mary wstała, rzuciła papierosa na ziemię i go przydepnęła. Potem odwróciła się i odeszła do swojej przyczepy. Biorąc to za sygnał, że dzień nareszcie dobiegł końca, inni też się podnieśli. Niektórzy się pożegnali, inni po prostu sobie poszli. Przy ognisku został tylko Patrick.

Ajax dotarł do domu tuż przed brzaskiem. Poszedł prosto na górę, rozebrał się już na schodach i do łóżka wczołgał się nagi. Było nagrzane, pachniało słodko, poczuł się jak w raju.

MoJo odwróciła się i z cichym zaspanym westchnieniem przytuliła do niego.

– Udało się? – wymamrotała w jego lewe ramię.

Leżał, wpatrując się w sufit, wiedząc, że za dwie godziny musi znowu wstać.

– Znalazłem jej rodziców w Yarm. Przywiozłem ich, żeby mogli się pożegnać, a potem przekazałem w ręce policjantki zajmującej się krewnymi. W chwili, gdy rozmawiamy, Helen Carlton jest pozbawiana wszystkich części zamiennych.

MoJo wyciągnęła się i pocałowała go w ucho.

– Postąpiłeś, jak należy.

– Będzie się to liczyło na moją korzyść, jak myślisz?

– W dniu Sądu Ostatecznego? Och, myślę, że jak najbardziej.

– Po zmroku wysłaliśmy helikopter z termowizjerem. Rozkaz szefa. Znaleźli kilka interesujących miejsc. Udamy się tam z samego rana. Odpukać, może znajdziemy Jessicę Lane, Poppy Carlton i pilota i wpuścimy na miejsce ekspertów od takich wypadków.

– Dobrze, ale teraz już śpij – powiedziała.

– Ja nigdy nie śpię, maleńka. Przecież wiesz.

Przeciągnęła dłonią po jego piersi.

– To pomyśl o czymś miłym.

Sześć lat wcześniej

Patrol z włączonym kogutem i na sygnale był teraz za nim. Nie mógł dłużej udawać, że ścigają kogoś innego. Ajax zjechał na pobocze, zgasił silnik i wysiadł. Zmierzająca ku niemu policjantka była drobna i szczupła. Jej towarzysz, wielki chłop, kierowca, został w radiowozie.

Policjantka wkroczyła w krąg światła padającego z latarni. Dokonał szybkiej lustracji. Wysoka jak na kobietę, szczupła, ale silna. Wyglądała, jakby uprawiała jakiś sport, wioślarka, pływaczka, szerokie ramiona, ale z długimi, szczupłymi nogami. Ciemne spodnie leżały na niej idealnie. W mundurze rzadko kto wygląda dobrze, ale na tej kobiecie... o tak...

– Proszę się odsunąć od samochodu. – Była kilka metrów od niego, szła zdecydowanym krokiem, ale bez pośpiechu. Ciemne włosy spięte z tyłu w kok. Mogłaby być modelką pozującą jako policjantka w jakimś magazynie modowym.

– O co chodzi, pani funkcjonariusz?

– Wie pan, że tu obowiązuje ograniczenie do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę?

Ajax z wymowną miną omiótł spojrzeniem szeroką drogę, na której z łatwością obok siebie zmieściłyby się trzy auta. Potem spojrział w stronę stojących daleko od szosy domów z ogródkami na froncie. Nikt tu nie parkował na ulicy. Nikt nie musiał. Droga była zupełnie pusta.

– Nie widzę żadnego znaku – odpowiedział.

– Kilometr wcześniej był. Widocznie pan nie zauważył. – Wyciągnęła notes i spojrziała na tablicę rejestracyjną. – Zresztą na terenie zabudowanym zawsze obowiązuje ograniczenie do pięćdziesięciu kilometrów. Radar pokazał, że jechał pan blisko sześćdziesiątką. Proszę trzymać ręce na widoku.

Zignorował polecenie. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął legitymację, ale trzymał ją schowaną w dłoni. Policjantka jednak ją dostrzegła, zacisnęła zęby i dała krok ku niemu. Zwrócił uwagę na jej brwi, gęste i czarne, na ciemne oczy w kształcie migdałów. Usta szerokie i wydatne, broda spiczasta, z dołeczkiem. W świetle latarni skóra wyglądała na białą jak papier.

– Jak się nazywasz, kochanie? – spytał.

Powiedziała, takim tonem, jakby go wyzywała, i pokazała legitymację. Nachylił się, żeby lepiej widzieć.

– Czy ludzie mówią do ciebie MoJo? – zapytał.

– Nie, jeśli są mądrzy.

– Przedstawię się. Ajax Maldonado. Nadkomisarz z wydziału śledczego. – Pokazał legitymację. Drugi funkcjonariusz, który przysłuchiwał się rozmowie przez otwarte okno samochodu, spuścił oczy.

Policjantka wbiła wzrok w stopy.

– Proszę wybaczyć, sir. Nie wiedziałam.

Ajax poczuł ukłucie zawodu, że tak szybko skapitulowała.

– Nie ma sprawy, kochanie. Wszyscy popełniamy błędy. – Odwrócił się, żeby wrócić do auta. – Życzę miłego wieczoru.

– Ajax? – Wyciągnęła rękę, żeby przytrzymać drzwi na miejscu. – Jak ten płyn do czyszczenia?

Położył dłoń na jej dłoni. Miał zamiar ją odsunąć, ale przez chwilę nie zrobił nic.

– Jak legendarny bohater grecki. – Mrugnął do niej.

Wypisała mu mandat. Pół roku później byli po ślubie.

Czwartek, 21 września

Jeszcze nie było widno, ale ona już się obudziła, a raczej obudziły ją odgłosy na farmie. Niskie muczenie krów w oborze, ujadanie psów, jednostajne zgrzytanie maszyn. Zesztywniała przez noc. Przekręciła się na plecy, nogi wystawiła na zewnątrz swojej kryjówki w kształcie trumny. Podniosła głowę i zobaczyła, że oprócz niej w stodole nie ma nikogo innego.

Wolno, bo cała była obolała, zgramoliła się z góry siana. Podwórko wciąż spowijała ciemność, strużki światła dobiegały z domu i z obory.

Głowa już jej nie bolała tak jak wczoraj. I miała przecucie, że dzisiaj nie będzie słyszała głosów. Dzięki Bogu. Wczoraj przez jakiś czas wędrowała w towarzystwie zmarłych, ale teraz odnosiła wrażenie, że oni odeszli.

Przekradając się od jednego zacienionego miejsca do następnego, czuła zapach świeżego mleka. Wczoraj nie zjadła nic oprócz paczki czekoladowych babeczek z masłem orzechowym i kilku cukierków, którymi poczęstowały ją te dwie kobiety z pielgrzymki. Ale przy szklaku prowadzącym na Świętą Wyspę, całkiem niedaleko, jest wieś. W plecaku ma pieniądze. Kupi sobie jedzenie. Dzisiaj znowu będzie w stanie stawić czoło żywym.

Dziś dotrze do ludzi, których kocha. Będzie mogła płakać.

Dzisiejszy dzień doprowadzi ją do domu.

W jedną noc ciepła jesień zamieniła się w chłodną. Od zachodu ciągnął zimny wiatr, niebo miało kolor kleju do tapet; chmury, brylaste, ciężkie, wyglądały, jakby uszczknęły coś z jego faktury.

Brak słońca tłumiał kolory Parku Narodowego. Wszędzie, gdzie patrzył, Ajax widział zgaszone brązy, błoto, barwy umierającego świata. Jego mundur był przesiąknięty wilgocią, miał wrażenie, że przenika ona nawet do kości.

Stał pod dużym bukiem, jakieś trzydzieści metrów od miejsca, gdzie spadł balon. Policyjny alpinista minutę wcześniej zniknął między gałęziami i liśćmi korony drzewa. Drugi członek zespołu – specjalistycznej komórki policyjnej wzywanej, gdy wymagane jest wspinanie się na duże wysokości – podawał linę koledze w górze. Kilkaset metrów dalej kolejny zespół w nieprzemakalnych kombinezonach ochronnych przeszukiwał bagnisko.

– Za każdym razem, gdy ktoś wyskoczył lub wypadł, balon ponownie wystrzeliwał w górę – powiedział policjant z sekcji alpinistycznej. – Ten facet, Richard, wyjaśnił mi to wczoraj. Ci, co zostali, musieli myśleć, że balon nigdy się nie zatrzyma.

Chociaż minęła dopiero siódma rano, ich zamiar, żeby przeprowadzić ponure zadanie bez publiczności, nie wypalił. Wokół ogrodzonego terenu zebrała się już niewielka grupka obserwatorów. Głównie ludzie z mediów, ale też kilku zwykłych gapiów, takich, co jak mijają drastyczny wypadek na autostradzie, zwalniają.

Ajax znał niektóre osoby w tym tłumku. Dziennikarz z lokalnej stacji informacyjnej BBC, reporter z „Newcastle Times”. Dostrzegł Richarda Allana z firmy balonowej i kilka osób w jaskrawej kolorowej odzieży trekkingowej. A także ciemnowłosego mężczyznę w filcowym kapeluszu.

– Chyba coś mam. – Głos zabrzączał z krótkofalówki. Ajax podszedł bliżej. Wymienił spojrzenie z alpinistą na ziemi.

– Co to jest, Paul? – spytał alpinista.

– Chwila, zaczekaj. – Trzeszcząca odpowiedź niczego im nie wyjaśniła.

Ajax obszedł drzewo, żeby mieć lepszy kąat widzenia.

– Tam na górze ktoś jest? – Zaczynała go boleć szyja. Kolega alpinisty podniósł palec na znak, żeby był cicho.

Krótkofalówka znowu zatrzeszczała.

– Patrzę na zwłoki młodej dziewczyny.

– AJ – usłyszał znajomy głos za plecami. Przetarł twarz. Poziom adrenaliny, która nie dała mu zasnąć w nocy, zaczynał się niebezpiecznie obniżać.

– AJ – powtórzyła MoJo. – Są tu dziadkowie.

Odwrócił się w stronę tłumy gapiów. Za pierwszym razem nie zwrócił na

nich uwagi. Cicha, niepozorna para siedemdziesięciolatków, którzy wczoraj stracili prawie wszystko, a mimo to bez słowa skargi dali się wyciągnąć z łóżek i przewieźć sześćdziesiąt kilometrów na południe, żeby wydać zgodę na rozłożenie zwłok córki na części. Teraz mieli się dowiedzieć, że „prawie wszystko” to beznadziejnie optymistyczne określenie. Za chwilę otrzymają ostatni cios.

Ajax poprosił alpinistów, żeby się wstrzymali na kilka minut – niech wszystko przygotowują, ale jeszcze nie ściągają ciała – po czym ruszył w stronę grupy obserwatorów. Dziadkowie stali blisko tego ciemnowłosego mężczyzny w kapeluszu.

– Eileen, Tom, proszę, chodźcie ze mną. – Odciągnął parę od reszty. – Znajdziemy dla was jakieś miejsce, gdzie będziecie mogli usiąść.

Poszli za nim, Eileen drobiła po trawie w nieodpowiednich butach. Nie potrafiła zapanować nad nerwami, nie zaczekała, aż znajdą się poza zasięgiem słuchu mediów.

– Ma pan jakieś nowe wiadomości? Znaleźli Poppy? – Pytania z miejsca wywołały poruszenie.

– To dziadkowie? Nadal macie nadzieję, że wnuczka przeżyła?

– Ajax, to prawda, że ktoś przeżył? Że twoi ludzie jej szukają?

Obejmując Eileen jedną ręką, odwrócił się.

– Konferencja prasowa o dziesiątej, chłopaki.

– To tutaj? – spytał Tom. – To w tym miejscu spadł balon? Niczego nie widzę.

– Spadł jakieś trzydzieści metrów dalej. Tam. – Ajax pokazał miejsce wypadku. Balon już nie oblepiał korony drzewa jak część suszącego się prania zwiana ze sznurka przez wiatr. Poprzedniego dnia późnym wieczorem został ściągnięty, razem z koszem, i odesłany do laboratorium. – Tam znaleźliśmy Helen i Harry’ego. I Nathana.

Stacey zauważyła, że Ajax ją woła, więc podbiegła.

– Zostawię państwa z posterunkową McElvoy – oznajmił. – Muszę wracać do Newcastle na konferencję prasową. Stacey zaprowadzi was do samochodu, będziecie mogli tam usiąść. – Obejrzał się na drzewo i zespół alpinistów. Podawali na górę kolejne liny. I nosze. Takie z workiem na zwłoki.

Ustawił się między dziadkami i tym, co się działo na drzewie.

– Zaczekacie w samochodzie, aż pojawią się nowe informacje – dokończył.

Patrick został do momentu, gdy się upewnił, że ciało ściągnięte z drzewa było jedynym znalezionym przez policję. Od plotkujących gapiów usłyszał, że to zwłoki dziecka. Patrzył, jak worek z nimi został zapakowany do furgonetki z kostnicy, a potem w niej odjechał. Potem obserwował odjeżdżające zespoły policyjne. Nic więcej tu nie ma. Ekipa w pobliskim bagnisku kontynuowała poszukiwania, ale wiedział, że ta kobieta nie skończyła w bagnie. Widział ostatnie kilka minut balonu w powietrzu. Nie przelatował nad bagniskiem.

Choć wydawało się to niemożliwe, kobieta, oddaliła się z miejsca wypadku. Uciekła. I wciąż ucieka.

Sir, tylko słówko.

Steve Chapman dosłownie wyskoczył na korytarz przed Ajaxa, który nie po raz pierwszy się zastanowił, czy szklane ściany biur to rzeczywiście dobre rozwiązanie.

– Idę do szefa – oznajmił. – Też chce zamienić ze mną jedno słowo, co zwykle oznacza, że jestem w opałach. A za dziesięć minut rozpoczyna się konferencja prasowa.

Chapman tego ranka nie przyjmował odmowy.

– Rzecz w tym, sir, że kiedy byłem wczoraj wieczorem w Newcastle General, poproszono mnie o zgłoszenie śmiertelnego wypadku. Uważam, że powinniśmy się temu przyjrzeć.

Drzwi na końcu korytarza otworzyły się i stanął w nich komendant, wymownie spoglądający na zegarek.

– Zostałem zatrzymany, sir – przeprosił Ajax, podchodząc. – Chapman uznał, że mamy za mało roboty.

– To coś szybkiego, Steve? – zapytał komendant. Zaprosił obu do swojego biura. Przy stole konferencyjnym siedział policyjny doradca medyczny, chudy jak tyka Standish, który nerwowo bawił się długopisem.

– Wczoraj do szpitala została przywieziona młoda kobieta. – Chapman od razu przeszedł do rzeczy, jakby się obawiał, że komendant zmieni zdanie. – W bardzo złym stanie... Dzień dobry, doktorze Standish... Nazywała się Tahmina Farrah. Szła ścieżką na klifie w pobliżu Howick, potknęła się i spadła. Poważne obrażenia głowy. Zmarła krótko po przywiezieniu.

Zamilkł, żeby nabrać powietrza.

– Słuchamy – zachęcił Ajax, chociaż wyraz twarzy komendanta sugerował, że to może długo nie potrwać.

– Miała przy sobie kartę dawcy, bliscy wyrazili zgodę, więc zabrano ją na salę operacyjną. Newcastle ma bardzo dobrego chirurga transplantologa. To był ich szczęśliwy dzień, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Standish wygiął brwi w łuk.

– Byłem tam – poinformował Ajax. – Rozmawiałem z nim wczoraj. Walker? Wallace? Akurat był w trakcie pobierania narządów.

– Wallace – potwierdził Chapman. – Akurat z nim nie rozmawiałem, ale kilku młodszych chirurgów, anestezjolog i sekretarka dowiedzieli się, że jestem w szpitalu, i chcieli się ze mną spotkać.

– Po co? – zainteresował się Ajax.

– Nie pasowało im, że dziewczyna miała takie poważne obrażenia głowy, ale

reszta ciała była nienaruszona, nie licząc zadrapań i siniaków. Gdyby spadła z dużej wysokości, powinna mieć połamane żebra, nogi, ręce, powinna mieć głębokie rany praktycznie wszędzie. Ale nie miała. Chcieli przekazać swoje wątpliwości koronerowi, ale Wallace, lekarz prowadzący, się nie zgodził.

– Jakież uwagi, Paul? – zwrócił się komendant do doradcy medycznego.

– Trudno coś powiedzieć. Bywa różnie w takich przypadkach – odparł Standish. – Pewnie będzie sekcja. Jeśli wykaże coś podejrzanego...

– Taa, ale naprawdę niepokojącą rzeczą jest to, że nie da się skontaktować z jej krewnymi, z dwójką facetów – wtrącił się Chapman. – Numery, które podali, nie odpowiadają.

Chwila ciszy, podczas której komendant i Standish patrzyli na siebie, marszcząc brwi.

– Załóż akta tej sprawie – polecił Ajax. – Chociaż pewnie już to zrobiłeś. I wyślij kogoś do szpitala po zeznania. Sprawdźcie kamery monitoringu, dopilnujcie, żeby sekcja została pilnie wykonana. Może będziesz musiał znaleźć kogoś innego do dalszych działań przy tej sprawie, Chapman. Bo na razie potrzebuję cię do sprawy z balonem.

Kiwając głową na znak podziękowania, posterunkowy wyszedł z gabinetu.

– Powinniśmy już chyba zejść na dół – zauważył Ajax.

– Pięć minut zaczekają – odparł komendant. – Słyszałem o twojej nocnej wyprawie do Yarm.

Ajax nie odpowiedział.

– No i? – indagował szef.

– Z całym szacunkiem, sir, ale teraz mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Komendant westchnął.

– Czeka nas ciężki tydzień. Byłby ciężki nawet bez tego wypadku z balonem. Zwłaszcza ty będziesz miał kupę roboty, a jednak decydujesz się poświęcić noc i sen na prośbę jakiegoś lekarza, którego nawet nie znasz. Chyba niczego na razie nie poplątałem?

– Nie, na razie wszystko się zgadza, co do joty.

Paul Standish wstał.

– Chcecie, żebym zaczekał na zewnątrz?

– Może dobrze by by... – zaczął komendant.

– Nie – wpadł mu w słowo Ajax.

– Masz cholerne szczęście, że rodzice Helen Carlton nie złożyli skargi za niewrażliwe zachowanie – oznajmił szef. – Jakby wystarczająco wiele nie przeszli.

– Ralph Wallace dzwonił dzisiaj do mnie z samego rana – odparł Ajax. – Powiedział, że dzięki zgodzie Eileen i Toma na wydanie zwłok córki uratowano życie co najmniej siedmiu osobom.

– Nie wątpię w to. – Szef przeszedł w róg gabinetu i zdjął z wieszaka

marynarke. – Posłuchaj, Ajax. Wiem, że tego typu sytuacje zawsze będą dla ciebie ważne, ale policja to nie miejsce na prywatne krucjaty.

– Chciałem tylko pomóc. I jeszcze raz, z całym szacunkiem, zostały nam tylko trzy minuty.

– Taa... właśnie dlatego zaprosiłem Paula. Usiądź na chwilę.

Ajax usiadł.

– Nie mam przekonania do tej konferencji prasowej – ciągnął komendant. – Rozmawiałem z Paulem o prawdopodobieństwie tego, że Jessica Lane i Sean Allan przeżyli wypadek, i o tym, w jakim stanie mogą się znajdować. Powtórz mu to, co mówiłeś, Paul.

– W bardzo złym, zważywszy na rozmiar obrażeń, jakich doznali pozostali pasażerowie – oznajmił Standish. – Nikt nie wyskakuje z balonu i wychodzi z tego cało. Bardzo prawdopodobne, że nadal są na terenie parku, martwi albo bardzo ranni.

– Nie sprzeciwiam się temu zdaniu, ale to nie powód, żeby odkładać konferencję – stwierdził Ajax. – Już i tak odwlekliśmy ją o całą dobę. Dostanie się nam, i to bardzo, jeśli ją teraz odwołamy.

– A co powiesz, jak będą pytali, co w balonie robiła policjantka i dlaczego przebywała w Northumberland? – rzucił szef. – Na litość boską, przestań patrzeć na ten zegar. Widzę go i wiem, która jest godzina.

Ajax westchnął.

– Nie ujawniliśmy informacji o zawodzie Jessiki Lane, więc wątpię, że takie pytanie się pojawi, ale o ile wiemy, przyjechała tu odwiedzić siostrę, a lot balonem był niespodzianką urodzinową. Nie rozumiem, w czym pan tu dostrzega problem, sir.

– Jeśli Jessica Lane przeżyła wypadek, dlaczego się nie skontaktowała? Każdy w miarę przyzwoity policjant zostałby na miejscu, starałby się udzielić pierwszej pomocy, nawiązać kontakt z pogotowiem. Dlaczego nic z tego nie zrobiła?

– Wszystko to dobre pytania, sir, sugerujące, że kobieta po prostu nie przeżyła wypadku.

– Albo że dzieje się coś więcej, coś, o czym nie wiemy.

Ajax kolejny raz pomyślał o tkankach mózgu w koszu. Nie, nie będzie się teraz z tym wyrywał. Może dopiero, jak będzie wiedział coś na pewno.

– Dzięki za poświęcony czas, Paul. Będziemy w kontakcie – zwrócił się komendant do Standisha, po czym zapiął marynarkę i z szafki wyjął czapkę. Swoje niezadowolenie potrafił przekazać prostymi gestami, na przykład mocnym wciśnięciem czapki na głowę.

Ajax wyszedł za przełożonym na korytarz. Był wyższy od Jonesa i mocniej zbudowany. W tłumie wyróżniał się też ciemną karnacją, zwłaszcza w

północno-wschodniej Anglii. A jednak wiedział, że nigdy nie będzie miał takiej prezencji jak komendant. Nawet w sposobie, w jaki Jones wchodził do sali konferencyjnej i się rozglądał, zanim bez pośpiechu zdejmował czapkę, zawierała się idealnie wyważona mieszanka autorytetu i kurtuazji. Kawalek od drzwi Jones zwolnił, żeby Ajax mógł do niego dołączyć.

– Ajax, miałem jeszcze z tobą porozmawiać o dzisiejszej nocy – zaczął, mówiąc ciszej, bo na tym piętrze słuchać mógł każdy. – Dostaliśmy kolejny cynk od chłopaków z wybrzeża. O możliwości przyplłynięcia łodzi z imigrantami.

– Dzisiaj? W nocy?

– Podobno tak. Facet z portu usłyszał, że ma wcześniej skończyć pracę i iść do domu. Ale zapłacą mu jak za całą dniówkę. Podobno jego szef to straszna kutwa. Nie zapłaciłby złamanego grosza, gdyby nie musiał, chyba że coś się szykuje.

– I chcesz, żebym wysłał tam ludzi, którzy mieli jechać do St James Park?

– Pytam tylko, czy da się to zrobić bez ryzyka.

– Da się i pewnie ujdzie nam to na sucho. Nikt tak naprawdę nie wierzy, że to ostrzeżenie to coś poważnego. Ale...

Nie dokończył. „Ale” zawisło w powietrzu.

Jones zerknął w stronę sali konferencyjnej. Przed wejściem stała szefowa pionu prasowego, młoda kobieta o surowej twarzy, czekając, żeby ich wprowadzić.

– Jeśli coś się stanie i się wyda, że ludzi ze stadionu odesłaliśmy do wyłapywania azylantów – bo w światowej prasie będą azylantami, a nie nielegalnymi imigrantami – znajdziemy się po uszy w gównie.

– Ładnie powiedziane, sir.

Szefowa komunikacji z mediami pchnęła drzwi i weszła do sali. Jones ruszył za nią. W wejściu przystanął, rozejrzał się, potem ściągnął czapkę.

– Witam szanownych państwa – powiedział głośno. – Dziękujemy za przybycie.

W pomieszczeniu zrobiło się ciszej, rozległy się westchnienia satysfakcji i wyczekiwania. Komendant Jones działał tak na ludzi.

Rogiem grzanki wytarła tłuszcz z talerza, popiła resztką herbaty. Nie najadła się, wciąż była głodna, ale po pochłonięciu całego angielskiego śniadania ze wszystkimi dodatkami i z dodatkową grzanką wiedziała, że kolejne zamówienie ściągnęłoby na nią uwagę.

Za ladą był telefon. Może właścicielka kawiarni pozwoli jej z niego skorzystać, jeśli zaproponuje, że zapłaci.

Tylko że właścicielka już wcześniej zadawała kłopotliwe pytania: skąd jest, czy pierwszy raz idzie szlakiem Świętego Cuthberta i czy ma nadzieję dotrzeć do Lindisfarne przed końcem dnia, bo zapowiada się, że znowu będzie deszczowy. Och, i czy jest pewna, że dobrze robi, że idzie sama, no bo pielgrzymi to nie problem, ale przez wieś przechodziły jakieś podejrzane typki. Właścicielka nie chciałyby, żeby na przykład jej córki podróżowały po tych opuszczonych drogach w pojedynkę.

Trzy matki z małymi dziećmi słuchały każdego słowa.

Może lepiej, jeśli znajdzie gdzieś budkę telefoniczną.

Do kawiarni weszli nowi goście. Kierowca tira, chyba nie Anglik, i starszy mężczyzna, rzadko odrywający wzrok od gazety. Właścicielka była zmuszona się nimi zająć.

– Zrób głośniej, Madge.

Wysoko na ścianie w rogu sali cicho grał telewizor ustawiony na wiadomości BBC. Kobieta w niebieskiej kurtce, o nieskazitelnej twarzy i z idealną fryzurą, stała przed zagajnikiem buków i opowiadała o tym, jak wycieczka życia dla trzynastu pechowców zamieniła się w katastrofę.

– „Podczas upadku balonu zginęło co najmniej dziesięć osób, ale liczba ofiar śmiertelnych może jeszcze wzrosnąć. – Wiatr cały czas nawiewał reporterce włosy na twarz, musiała je co chwila strzepywać z oczu i z ust. – Policja na razie nie potwierdza, że dziś rano znaleziono jedenaste ciało, ale coraz więcej przemawia za tym, że z tego tragicznego wypadku żaden z pasażerów nie wyszedł żywy. Jedną z nieodnalezionych jeszcze osób jest pilot, czterdziestoletni Sean Allan”.

Na ekranie telewizora pojawiło się zdjęcie pilota w ubraniu firmowym.

– „Być może nigdy się nie dowiemy, co się wydarzyło podczas tego lotu wycieczkowego ani dlaczego rutynowy lot mógł się zakończyć tragiczną katastrofą”.

Obraz się zmienił, na ekranie widać było teraz dużą nowoczesną salę. Ludzie siedzieli jak w teatrze, zwróceni twarzami do długiego stołu. Spiker zapowiedział relację na żywo z komendy Policji Northumbrii w Newcastle.

Do sali weszła młoda kobieta, za nią dwóch wysokich mężczyzn. Ten idący

jako drugi był potężny, miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt i szerokie bary. Karnacja ciemna, włosy czarne, kręcone. Wyglądał jak ktoś pochodzenia śródziemnomorskiego albo nawet północnoafrykańskiego. Mężczyzna usiadł za tabliczką z napisem „Inspektor Ajax Maldonado”. Ten drugi, który szedł pierwszy, komendant, był w mundurze pobłyskującym wypolerowanym metalem i insygniami. Włosy krótkie, jeszcze nie wszystkie siwe. Wyraziste rysy twarzy, przystojny, oczy ciemnobrązowe. Usiadł, podziękował zebranych za przybycie i zerknął w dół do notatek.

Odgłos kubka, który wypadł jej z dłoni i wylądował na blacie stołu, natychmiast przyciągnął do niej uwagę gości kawiarni.

– „Z przykrością muszę poinformować, że dziś z samego rana mój zespół znalazł na miejscu wypadku zwłoki piętnastoletniej Poppy Carlton – zaczął komendant. Ludzie w kawiarni z powrotem zwrócili głowy w stronę telewizora. – Ze wstępnych oględzin wynika, że denatka zginęła od razu. Liczba ofiar śmiertelnych wczorajszego tragicznego wypadku wzrasta tym samym do jedenastu. Rodziny wszystkich ofiar zostały poinformowane. Myślamy jesteśmy z nimi.

– Czy nadal macie nadzieję, że znajdziecie kogoś, kto przeżył?

– Oczywiście. Ale ponieważ wypadek był bardzo poważny oraz biorąc pod uwagę obrażenia, jakich doznały osoby, które zginęły, musimy być ostrożni i realistyczni.

– Zamierzacie poszerzyć obszar poszukiwań?”

Tym razem komendant oddał głos inspektorowi.

– „Poszukiwania są prowadzone na obszarze prawdopodobnej trasy przelotu balonu, od miejsca startu pod St Boswells do miejsca, w którym balon spadł – oznajmił Maldonado. – W poszukiwaniach pomagają nam pracownicy firmy balonowej. Ale niestety działamy trochę po omacku. Dokładne określenie ruchów wiatru jest trudne, podobnie jak ich zrekonstruowanie”.

Na końcu sali wstał jakiś mężczyzna w szarym garniturze.

– „Czy to prawda, że kiedy balon spadał, do siedzenia pilota był przypięty ktoś inny, co by oznaczało, że pilota nie było już wtedy na pokładzie?”

– W balonie nie ma siedzenia pilota jako takiego – wyjaśnił Maldonado. – Ale rzeczywiście rozpatrujemy ewentualność, że pilot opuścił balon jakiś czas przed wypadkiem i że to właśnie brak doświadczonego pilota był główną przyczyną katastrofy”.

Na przedzie jakaś kobieta podniosła rękę.

– „Ma pan jakieś przypuszczenia, co mogło spowodować, że pilot wyskoczył z balonu?”

Maldonado popatrzył na nią surowo.

– „Nie, nie mam.

– Czyli nie wiecie, dlaczego doszło do tego wypadku?”

Maldonado zmarszczył brwi.

– „Za wcześnie, żeby o tym mówić, a wolałbym nie spekulować”.

Mężczyzna w drugim rzędzie podniósł mikrofon.

– „Co z drugim brakującym pasażerem?”

Maldonado spojrzał na komendanta, odczekał chwilę, po czym udzielenie odpowiedzi przejął na siebie.

– „Druga brakująca osoba to trzydziestosześcioletnia Jessica Lane z Yorku. Była na pokładzie balonu z siostrą”.

Znowu podniósł się mężczyzna w tylnym rzędzie.

– „Jeśli tych dwoje – Jessica Lane i Sean Allan – przeżyło, dlaczego nie skontaktowali się z policją, z pogotowiem? Dlaczego ich nie znaleźliście?”

Maldonado odchylił się na oparcie, jakby chciał pokazać, że jest zrelaksowany.

– „Dwa bardzo dobre pytania, które niestety nie pozwalają nam przejawiać zbytniego optymizmu. Chociaż oczywiście istnieje możliwość, że któraś z tych osób, czy nawet obie, doznały wstrząsu mózgu. Miały siłę, żeby się oddalić z miejsca wypadku, ale były pod wpływem szoku i osłabione. Urazy głowy miewają nieprzewidywalne skutki. Może zanim zaginieni stracili siły, odeszli jakiś kawałek, na tyle daleko, że oddalili się od obszaru naszych poszukiwań. Wczoraj, krótko po spadnięciu balonu, zaczęło mocno padać. Zaginieni mogli chcieć znaleźć jakieś schronienie, ale byli na to zbyt słabi.

– Myślę, że powinniśmy pamiętać – wtrącił się komendant – że Park Narodowy Northumberland zajmuje obszar blisko sześciuset kilometrów kwadratowych. I jest otoczony o wiele większym obszarem terenów wiejskich. Nie ma tam żadnych miast, a wsi jest bardzo niewiele. Mówimy o olbrzymim i trudnym do przeszukania terenie, nawet ze specjalistycznym sprzętem, jakim dysponujemy”.

Duży płaski ekran na ścianie za mężczyznami ożył, pojawiły się na nim dwa zdjęcia portretowe. To po prawej było już pokazywane, przedstawiało pilota w ubraniu firmowym. Na drugim była kobieta z kręconymi ciemnymi włosami przypiętymi po bokach lśniącymi spinkami. Wyglądała na młodszą niż trzydzieści sześć lat. Na zdjęciu Jessica Lane uśmiechała się, była umalowana, w kolczykach i w szmaragdowozielonej kurtce.

– „Wszystkich, którzy przebywają dzisiaj lub będą przebywali na terenie parku, prosimy, aby mieli oczy i uszy otwarte – ciągnął Maldonado. – Podobnie, jeśli ktoś zauważył coś niezwykłego wczoraj po południu, takie osoby również prosimy o kontakt. Musimy pilnie porozmawiać z pilotem, poza tym oboje zaginieni mogą potrzebować pomocy medycznej”.

Musi wyjść. Porwała z oparcia krzesła pożyczoną (ukradzioną) niebieską kurtkę i założyła ją na zieloną. Naciągnąwszy kaptur na twarz, wymknęła się z kawiarni. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, obejrzała się.

Za szybą sześcioro gości kawiarni patrzyło na nią ze zdumieniem.

Będą pisali, że pilot wyskoczył – oznajmiła szefowa pionu prasowego. Ona, Ajax i komendant stali w korytarzu i omawiali dopiero co zakończoną konferencję. – Po głośnym incydencie na pokładzie samolotu Germanwings i tajemniczym zniknięciu tego malezyjskiego samolotu samobójstwo pilota to chwytna historia.

– Przykre dla rodziców, ale nie widzę, w jaki sposób mogłoby to uderzyć w nas – zauważył komendant.

– Ja na razie też nie – odparła kobieta. – Trzeba jednak pamiętać, że wkrótce będziemy musieli wyjawic, że Jessica Lane była policjantką. Jeśli do tego czasu nie dowiemy się, z jakiej była formacji, wyjdziemy na głupków. No i jest jeszcze ten tajemniczy brak telefonów komórkowych.

– Ach, przepraszam – odezwał się Ajax. – Zapomniałem powiedzieć. Tuż przed rozpoczęciem konferencji dzwoniли do mnie z miejsca zdarzenia. Dziś rano znaleźli tam sześć telefonów. Były rozrzucone w różnych miejscach, tak jak przypuszczałem. Na każdym kilka nieudanych prób połączeń z numerami ratunkowymi. I to na razie wszystko. Posłuchajcie, musicie mi wybaczyć. Mam zabrać matkę Hildegardę do kostnicy i już jestem spóźniony.

– A to musisz być ty? Nie ma nikogo innego?

Ajax przeciągnął ręką przez włosy.

– Powiedziałem, że po nią przyjadę. Będę pod telefonem, gdyby ktoś mnie potrzebował.

– Inspektorze!

Ajax odwrócił się i w otwartych drzwiach centrum operacyjnego zobaczył głowę Stacey.

– Właścicielka kawiarni przy telefonie, z jakiegoś Belford! – zawołała. – To małe miasteczko, coś około ośmiu kilometrów od wybrzeża.

Kiwnął głową.

– Wiem.

– Mówi, że Jessica Lane była w jej kawiarni, jadła śniadanie. Zobaczyła siebie w wiadomościach i wybiegła.

– Kiedy to było?

– Niespełna pięć minut temu.

Ajax ruszył do centrali, reszta tuż za nim.

Dzieci bawiły się jednym ze starych drewnianych kół. Leżało na żwirze, było wypłowiałe, obłaziło z farby. Dzieciaki się goniły, przeskakując między szprychami. Patrick, żeby dotrzeć do swojej furgonetki, musiał obejść koło łukiem. Miał nadzieję, że uniknie spotkania z matką, ale pojawiła się na widoku, gdy dochodził do drzwi kierowcy. Matka i kilka innych kobiet zaplatały warkocze jednej z jego młodszych kuzynek.

– Dokąd się wybierasz? – Nie spojrzała w górę. W zębach trzymała czerwoną wstążkę.

– Ktoś ją widział. Tę kobietę, która odeszła. Muszę tam pojechać.

– Widział gdzie? – Wyjęła wstążkę z ust i zaczęła ją wplatać w długie ciemne włosy dziewczynki siedzącej na odwróconej beczce. Odwrócił wzrok. Nigdy nie potrafił spokojnie patrzeć na ten cały rytuał z pleceniem warkoczy.

– W Belford – odpowiedział.

– To kawał drogi. Policja będzie tam pierwsza.

– Nie, nie będzie. Nie mają w pobliżu dostępnych radiowozów.

– Wiesz przynajmniej, kogo szukasz? – spytała Mary. – Masz jakieś zdjęcie?

– Jimmy ma znaleźć i mi przesłać.

Mary wypuściła warkocz i podeszła do niego. Ze względu na obecność dzieci zniżyła głos.

– Pat, bardzo ryzykujesz. Nawet jeśli cię widziała, nie zidentyfikuje cię. Nie wie, kim jesteś. Teraz lepiej trzymać się od niej z daleka. Zbyt wielu jej szuka. I mamy środek dnia. Co zrobisz w środku dnia?

– Widzimy się później, ma. – Wskoczył do furgonetki i uruchomił silnik.

– I w tym cały cholerny problem. – Matka podeszła do drzwi kierowcy. Chciała je otworzyć, ale je zablokował.

– Nie szukasz jej, bo musisz! – zawołała za nim, gdy ruszył. – Robisz to, bo ci to sprawia radochę!

Nie chciała, żeby usłyszał to, co powiedziała później. Przynajmniej tak mu się wydawało. Zniżyła głos i do połowy się odwróciła. Mimo to usłyszał, miał uszy wielkie jak pieprzony nietoperz, nigdy mu nic nie umykało.

– Ten chłopak nie jest normalny – rzuciła do jednej z pozostałych kobiet. – Nigdy nie był. I nigdy nie będzie.

Nie wolno jej biec. Nie może biec. Jeśli zacznie, na pewno rzucą się za nią w pogoń. Czuła, że śniadanie, które zjadła, przewala się jej w żołądku. Musi się gdzieś ukryć, mieć chwilę na zastanowienie. Idąc szybko, skręciła w pierwszą napotkaną uliczkę. Znowu padało, ale to akurat dobrze. Ludzie będą chodzili ze spuszczoneymi głowami.

Jessica Lane z Yorku. Jedyna osoba, która przeżyła wypadek balonu. Szuka jej cały kraj. On też.

I znajdzie.

Uliczka, w którą skręciła, okazała się ślepa. Dlaczego nie zauważyła znaku? Na końcu stał kościół.

„W szoku i osłabiona”, powiedział Maldonado. Osłabiona na pewno, ale czy w szoku? Przypomniały jej się głosy zmarłych, które słyszała poprzedniego dnia, widmowe halucynacje, niemożność zebrania myśli, niemożność przypomnienia sobie, co się stało. Doznała wstrząsu mózgu, teraz to było oczywiste.

Przez przedsionek kościoła wyszła na ścieżkę. Czuła, że zaraz zwymiotuje. Zwróci dopiero co zjedzone śniadanie. Zatrzymała się, przytrzymała nagrobka.

– Mogę jakoś pomóc?

W wejściu do kościoła stał mężczyzna, ksiądz. Był w czarnych spodniach i watomanej czarnej kurtce, ale pod spodem widać było koloratkę. Włosy krótkie, piaskowe, wyglądały, że mogłyby się kręcić, gdyby zapuścił je trochę dłuższe.

– Źle się pani czuje? Przynieść szklanek wody?

Był młody, nie więcej niż trzydzieści pięć lat, i jedną rękę trzymał na klamce drzwi.

– Chce pani na chwilę wejść do środka? Bo na zewnątrz strasznie pani zmoknie.

W jego prostym przyjaznym uśmiechu było coś, co ją do niego przyciągało. Dała krok przed siebie.

– Jestem katoliczką.

Uśmiechnął się szerzej.

– A ja nie jestem małostkowy. Oczywiście wielu z was, w zasadzie wszyscy, powiedzieliby, że właśnie w tym tkwi nasz problem, ale teraz już za późno na zmiany. Więc proszę wejść, moja droga, i odpocząć.

Rozejrzała się – nikogo w pobliżu nie dostrzegła – i weszła za księdzem do kościoła.

– Zimno tu jak w psiarni. Chodźmy lepiej do zakrystii. – Poprowadził ją boczną nawą, ale ona w połowie drogi się zatrzymała.

– Nie ma ksiądz na to czasu – rzuciła. – Nic mi nie jest, naprawdę.

Zerknął na zegarek na nadgarstku.

– Za pół godziny mam spotkanie z kościelnymi. Do tego czasu będę kiwać palcem w bucie. Zrobi mi pani przysługę.

W zakrystii było ciepło, mimo to ksiądz, zanim zniknął za następnymi drzwiami, włączył piecyk elektryczny.

– Czajnik już wstawiony! – zawołał. – Może być kawa?!

Pomieszczenie było niewielkie. Pod jedną ścianą duża drewniana szafa, na przeciwnej lustro. Okno wychodziło na dziedziniec kościelny i pole za nim. Powinna już je pokonywać, starać się wrócić na szlak Świętego Cuthberta.

Na biurku stały fotografie. Jedna, w dużej srebrnej ramce, była portretem młodej kobiety z ciemnymi włosami i bladą twarzą w kształcie serca. Na drugiej był mały chłopiec, ledwie potrafiący siedzieć, z jasnymi imbirowymi włosami, uśmiechający się do obiektywu. Kwaśny zapach wyczuła, jeszcze zanim dostrzegła parę zabłoconych tramppek w rogu. I otwartą torbę sportową.

Ksiądz wrócił, niosąc dwa kubki. Na jednym z nich balansował talerz z ciasteczkami.

– Proszę usiąść, rozpiąć kurtkę, napić się i rozgrzać. Od razu poczuje się pani lepiej. – Odstawił kubki na stół, rozpiął własną kurtkę i ją ściągnął. Pod spodem miał skórzano-wełniany sweter. – Niech pani powie, jeśli zrobi się za gorąco. Imbirowego pierniczka?

Patrzyła na niego oszołomiona. Odstawił pierniki i podał jej pudełko z chusteczkami.

Przez chwilę cicho płakała, przyciskając chusteczkę do twarzy, żeby w razie czego zagłuszyć mogący się jej wyrwać szloch. Kiedy się już nieco uspokoiła, ksiądz pudełko chusteczek zamienił na kubek z kawą, a potem przyglądał się jej, jak pije.

– Lepiej? – spytał.

Pokręciła głową.

– Wczoraj zmarła moja siostra.

A więc to prawda. Powiedziała to w końcu. I w ten sposób stało się to rzeczywistością.

Ksiądz przez sekundę milczał, potem powiedział:

– Przykro mi to słyszeć.

– Myślę, że nie dam rady żyć dalej bez niej. – Znowu się rozplakała i już nie starała się robić tego cicho.

Ksiądz pozwolił jej szlochać. Przestała, gdy jej się wydało, że w kościele słyszy jakiś hałas. Wydmuchała nos, wzięła kilka głębokich wdechów. Potem obejrzała się na drzwi.

– Powiedziałyby pani o sobie, że jest osobą wierzącą? – spytał ksiądz.

Pociągnęła nosem.

– Już mówiłam, że jestem katoliczką.

W kącikach jego ust pokazały się cienkie linijki zmarszczek.

– Wiele osób tak siebie określa. Co nie znaczy, że wierzą w Boga.

– Moja siostra wierzyła. A była najmądrzejszą, najrozsądniejszą osobą, jaką znałam.

Na pewno się zorientował, że nie odpowiedziała na pytanie, ale nie naciskał.

– Co mogę zrobić, żeby pani ulżyć? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Nic. Nawet nie powinno mnie tu być. Powinnam wyjść.

– Może zadzwonię do kogoś z rodziny? Do rodziców? Innego rodzeństwa?

Gdy w rodzinie jest żałoba, rodzina powinna być razem.

Nie mogła powstrzymać drżenia, musiała zaczekać, aż minie samo.

– Nie mam nikogo – oznajmiła. – Rodzice zmarli wiele lat temu. Innych bliskich nie mam.

Spojrzał w stronę drzwi.

– Czy pani coś zagraża?

– Dlaczego ksiądz tak sądzi?

– Siedzi pani sztywno wyprostowana. Wierci się niespokojnie. Zerka przez ramię na drzwi albo przez moje w stronę okna. Wiele razy widziałem rozpacz, widziałem też strach. Pani ma klasyczne objawy jednego i drugiego.

Wzięła głęboki wdech.

– Wczoraj byłam świadkiem popełnienia straszliwej zbrodni. Ze wszystkich przeżyłam tylko ja, tylko ja wiem, co się naprawdę wydarzyło.

– W takim razie powinniśmy zadzwonić na policję. – Obejrzał się na stojący na biurku telefon. Kiedy znowu odwrócił głowę, szybko podniósł dłoń i przestraszony zawołał: – Nie, proszę nie wpadać w panikę. Nie zadzwonię, obiecuję. Proszę usiąść, niech się pani uspokoi.

Zatrzymała się przy drzwiach.

– Nie chce pani zawiadomić policji, tak? – spytał, żeby się upewnić.

Pokręciła głowę tak gwałtownie, że znowu zaczęła ją boleć.

– To by było najgorsze, co mogłabym zrobić.

Część 2

56

Dwa lata i osiem miesięcy wcześniej

Jessica przecięła szeroki pas nabrzeżnego asfaltu w dokach Tilbury i zatrzymała się przy policyjnej furgonetce. Kiedy wysiadała, wyrwało jej się ziewnięcie, ale chłód styczniowej nocy szybko ją otrzeźwił. Nawet o tej porze doki tętniły życiem. Ludzie i pojazdy byli wszędzie. Potężne statki zdawały się stać nienaturalnie blisko, woda w ciemności lśniła oleistą czernią, ramiona dźwigów pięły się do nieba jak drapieżne stwory.

Tylne drzwi policyjnej furgonetki były otwarte, ze środka sączyło się ciepłe światło. Przy drzwiach stało kilku funkcjonariuszy, w mundurach i po cywilnemu. Zaparkowane nieopodal chaotycznie radiowozy rozświetlały otoczenie szybkim migotaniem niebieskich świateł. Jessica pokazała swoją legitymację dowodzącemu sierżantowi.

W furgonetce było czternaście osób, niektóre na nią patrzyły, inne wolały patrzeć w dół. Nie było wiadomo, jakiego są pochodzenia. Jak dotąd nikt z nich nie zdradzał oznak, że rozumie angielski. Zostali odkryci godzinę temu, w ładowni frachtowca. Kapitan statku właśnie się zarzekał, że nic nie wiedział o obecności tych ludzi na pokładzie.

– *Braucht jemand ärztliche Hilfe?* – Czy ktoś potrzebuje opieki lekarskiej? Patrzyła od jednej pary ciemnych oczu do następnej. Ci ludzie byli brudni, wyglądali na wygłodzonych. Nie było między nimi małych dzieci, dzięki Bogu.

– *Es besteht keine Notwendigkeit, Angst zu haben. Wir können helfen.* – Nie ma potrzeby się bać. Możemy wam pomóc.

Jak wcześniej, żadnej reakcji.

Zmieniła język na polski.

– Skąd jesteście? Czy ktoś potrzebuje lekarza?

Nic.

– No trudno, nic więcej nie zrobię – wymamrotała, szykując się do wyjścia z auta. – Próbowałam po niemiecku i po polsku – powiedziała sierżantowi. – Pytałam, skąd są, czy potrzebują lekarza. Powiedziałam, żeby się nie bali.

Kiedy policjant podał jej rękę, żeby pomóc jej wsiąść, za plecami usłyszała cichy jęk. Odwróciła się i przechwyciła spojrzenie jednego z najmłodszych. Chłopca. Już nie dziecka, ale też nie dorosłego. Miał może piętnaście lat. Był

bledszy niż reszta, jego twarz pokrywała cienka warstewka potu.

Cofnęła się i podeszła do niego. Podniosła rękę, a kiedy się nie odsunął, wierzchem dłoni dotknęła jego czoła.

– Sierzancie, ten wygląda na chorego. – Odwróciła się z powrotem do obserwującego ją funkcjonariusza. – Ma wysoką gorączkę. – Wyciągnęła rękę, zachęcając chłopca, żeby z nią poszedł. Nie poszedł, tylko raczej zwałił się na nią. Kobieta z jego prawej natychmiast przyciągnęła go z powrotem.

– Pani jest jego matką? – spytała Jessica. – *Sind Sie die Mutter?* Może pani z nim pójść, jeśli jest jego matką, ale musimy go zawieźć do szpitala.

– *Ja* – odpowiedziała kobieta. – *Ich bin seine Mutter.*

Jessica i matka chłopca siedziały obok siebie w poczekalni ostrego dyżuru szpitala Basildon. W trakcie czterdziestu minut od przyjazdu i od chwili przekazania chłopaka lekarzom Jessice udało się wyciągnąć od kobiety kilka faktów na temat grupy imigrantów.

Zaczęła od zapytania o imię chłopca i otrzymała odpowiedź, bo matki są zaprogramowane, żeby mówić, jak się nazywają ich dzieci. Imię, Muhamed, powiedziało jej coś jeszcze. Imigranci byli muzułmanami.

Ci ludzie, których widziała w furgonetce, mieli orientalny wygląd – ciemne włosy, karnacja, oczy – ale niewiele osób z Bliskiego Wschodu zna niemiecki, więc zgadła, że chodzi o Bośnię, i została nagrodzona zaskoczonym spojrzeniem, a potem pojedynczym potwierdzającym skinieniem głowy.

– Jak długo Muhamed jest chory? – spytała.

Matka podniosła dziesięć palców.

– Dziesięć dni.

W ich stronę zbliżały się kroki. Jessica spojrzała w górę, zobaczyła mężczyznę w zielonym fartuchu.

– Posterunkowa Lane?

– To ja. – Wstała. – A to Dula, matka Muhameda.

– Proszę ze mną.

Poszły za lekarzem do małego pokoju zabiegowego. Muhamed leżał na boku na wąskim metalowym łóżku, oczy miał zamknięte.

– Może pani powiedzieć matce, że zajęliśmy się synem i że teraz czeka na wolne łóżko. Jeśli chce, może z nim dzisiaj zostać na noc.

Jessica przetłumaczyła pierwszą część, ale co do pozostania w szpitalu, wątpiła, żeby Dula otrzymała na to zgodę. Inni imigranci zostali przewiezieni na posterunek w Basildon, a stamtąd prawdopodobnie trafią do aresztu imigracyjnego w Middlesex.

– Co jest chłopcu? – spytała lekarza. – Miał wysoką gorączkę.

– Poważna infekcja. – Lekarz miał ponurą minę. – Podaliśmy antybiotyki, więc przez kilka godzin będzie otępiaty. Umyjemy go, kiedy już zostanie przyjęty

na oddział.

– Ale wyzdrowieje, tak? – Jessica zauważyła, że Dula się w nią wpatruje.

W odpowiedzi lekarz podszedł do łóżka i delikatnie odkrył Muhameda. U dołu pleców, po prawej stronie widniał duży świeży opatrunek. Skóra wokół była czerwona i zaogniona.

– Co mu się stało? – spytała Jessica.

– Nie było jeszcze szansy wykonać prześwietlenia, ale postawiłbym duże pieniądze na to, że niedawno miał usowaną nerkę.

Dula nadal mocno ścisnęła dłoń syna. Głowę miała zwieszoną.

– Dula? – zwróciła się do niej Jessica.

W odpowiedzi matka Muhameda wstała. Ściągnęła kurtkę, potem sweter i pokazała im brudny opatrunek na własnych plecach.

– Ci ludzie sprzedają swoje nerki – oznajmił lekarz. – Prawdopodobnie takie same blizny znajdziecie u wielu innych...

Wawrzyny w to późne zimowe popołudnie mieniły się srebrzystym szronem, ścieżkę pokrywały niezgrabione liście. Słońce zamieniło się w mętną żółtą kałużę. Drzewa obrastające mur otaczający klasztor Wynding ostro odcinały się na tle szarego nieba, a tam, gdzie nie docierało do nich światło słoneczne, były jak czarne szkielety. Dwie siostry opuściły teren przyklasztorny, przechodząc przez skrzypiącą, obłożoną z farby żelazną bramę.

– Sprzedali nerki, żeby zapłacić za podróż do Wielkiej Brytanii? – Zwykle blada twarz Isabel od szoku zrobiła się jeszcze bledsza.

– To się po prostu nie mieści w głowie – przytaknęła Jessica. – Ten chłopiec miał tylko czternaście lat.

Wiatr wokół nich był ostry i głośny, nawet jak na wczesny luty, rzucał mewami wysoko w niebo, sypał siostrom piaskiem w twarz. Kiedy się oddaliły od osłony muru, habit Isabel zaczął łopotać wokół ciała. Złapała brzegi czarnego serżowego płaszcza i szczerzej się nim opatulila.

Dotarły do wydm i zaczęły się wspinać, z każdym krokiem coraz głębiej zapadając się w piach. Kiedy weszły na szczyt, dyszały ze zmęczenia. Wiatr uderzył w nie tu z odnowioną mocą.

– Ale już z nim wszystko dobrze? – upewniła się Isabel.

– Tak. Z jego rodzicami i dwójką starszych braci też. Mimo że wszyscy mają tylko po jednej nerce. I dobra wiadomość brzmi, że prawdopodobnie otrzymają zgodę na pozostanie w kraju.

– Zapłacili bardzo wysoką cenę za ten przywilej.

Przed nimi chmury wisiały nisko, wyglądały groźnie, morze było wzburzone, masa wirującej szarości i bieli. Trudno było określić, gdzie dokładnie jedno się kończyło, a drugie zaczynało. Nawet Święta Wyspa w oddali i jej zamek na szycie były niewyraźne, czasami widoczne, czasami nie. Podczas spacerów po

plaży siostry często widywały przepływające po morzu żaglówki, łodzie rybackie, promy pasażerskie. Dzisiaj w oddali płynął tylko jeden szary statek transportowy.

Isabel zaczęła schodzić, szukając kęp traw, na których mogłaby oprzeć stopy. Musiała krzyczeć i odwracać głowę, żeby Jessica ją słyszała.

– Co w takim razie możesz zrobić?!

– Bardzo niewiele! – odrzyknęła Jessica. – Możemy patrolować doki, ale kiedy kraj jest wyspą, do upilnowania jest całe mnóstwo małych portów. Możemy spróbować się dowiedzieć, co to są za gangi, kto im tu pomaga, ale ludzie, których ratujemy, i przemytnicy, których wyłapujemy, najczęściej wiedzą bardzo niewiele o strukturach dowodzenia. Weźmy na przykład tę ostatnią grupę. Przewożący ich ludzie zmieniali się w trakcie podróży kilkakrotnie. Bośniacy przeprowadzili ich przez Chorwację, ale potem ludzie z gangu, który przewoził ich przez Francję, mówili po francusku z południowoafrykańskim akcentem. Później w Hiszpanii pojawili się nowi, hiszpańska załoga dowiozła ich do Tilbury.

Isabel przystanąła w połowie drogi, żeby wytrząsnąć coś z buta.

– Wygląda to na rozległą i groźną sieć.

– Mnie to mówisz? Zatrzymaliśmy załogę statku. Tym, czego się od niej dowiemy, podzielimy się z Interpolem, ale to duży problem. Tak wielu zdesperowanych ludzi chce się dostać do bogatych państw. Żeby to osiągnąć, są gotowi zrobić wszystko. No i jest też całe mnóstwo podejrzanych drani, pozbawionych skrupułów typków, którzy przyjmą wszystko, co im wpadnie w brudne łapska.

Po dotarciu na plażę przecięły pas miękkiego, sprężystego piasku i weszły na twardszy i mokry na brzegu. Ruszyły nim, Isabel przytrzymując welon, żeby nie opadał jej na twarz.

– I ludzie mogą żyć tylko z jedną nerką? – spytała.

– Mogą. Oddawanie nerki członkowi rodziny zdarza się często, nawet tutaj. Gdybyś ty zachorowała, pewnie bym się z tobą jedną podzieliła.

Twarz Isabel stwardniała.

– Miło z twojej strony, ale mam wrażenie, że szkoda by było marnować na mnie zdrowy narząd.

Jessica stanęła jak wryta.

– Co ty pleciesz?

– Oj nic – mruknęła Isabel. – Tak tylko chlapięłam, bez zastanowienia. Chodź, nie zwalnij.

Kilka minut szły w milczeniu.

– Naprawdę nie wiem, jak ty się możesz powstrzymać, żeby tu nie popływać – odezwała się w końcu Jessica. – Oczywiście mówię o lecie. Nie teraz.

– W klasztorze mamy niewiele pokus – odpowiedziała Isabel. – Rzadko zawracam sobie głowę opieraniem się tym, które się pojawiają.

Jessica spojrzała na siostrę, na jej piękną, nieporuszoną twarz okoloną białym welonem, a potem znów na wzburzone, spienione morze.

– Naprawdę? – rzuciła.

– Morze w księżycowe noce wygląda ogromnie zachęcająco – odparła Isabel. – A nam nadal wolno brać kąpiel tylko raz w tygodniu. Prr!

Nagły podmuch wiatru mocno uderzył w obie kobiety, zdzierając welon z głowy Isabel, a razem z nim czepeczek pod spodem. Minęły lata, odkąd Jessica widziała włosy siostry. Teraz były poprzetykane pasemkami siwizny, ale już nie tak krótkie, jak zapamiętała. Za to wciąż się mocno kręciły. Na wietrze tańczyły wokół jej głowy i wpadały do oczu.

Jessica rzuciła się w pogoń za welonem, ale Isabel była szybsza. Pomimo ograniczającego ruchu habitu i płaszcz prześcignęła siostrę. Welon spadł na łachę mokrego piasku, blisko fal. Isabel podniosła go i truchtem wróciła.

– Watykan wystawia reprezentację na olimpiadzie? – spytała Jessica.

Isabel oddychała prawie normalnie, nie miała zadyszki. Wetknęła welon w rękaw i odpowiedziała:

– W sprincie zawsze złoję ci tyłek. – Potem dodała: – Czyli co, zabrali ci tę sprawę? Możesz wracać do szukania skradzionych samochodów?

– Tak. Znaleźli innego, lepszego tłumacza. Już mnie nie potrzebują. Ale jedno mnie zastanawia. Coś, co powiedziała Dula, kiedy tydzień później pojechałam ich odwiedzić w obozie.

– Co to było?

– Powiedziała, że nikt nie chce trafić do portów na północy.

– Nikt nie chce trafić do portów na północy? – Isabel skrzywiła się, częściowo z powodu wiatru, częściowo w reakcji na to, co właśnie usłyszała.

– W północnej Hiszpanii było takie miejsce, w którym trzymali ich przez kilka dni – zaczęła wyjaśniać Jessica. – Mnóstwo ludzi tam czekało na przewiezienie. Najwyraźniej do Anglii prowadzi wiele różnych dróg. To miejsce to coś w rodzaju... węzła. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Jestem zakonnica, nie idiotką.

– Wybacz. Cóż, kiedy czekali, aż ktoś ich będzie mógł przetransportować, rozmawiali z innymi. Jedna z kobiet, którą poznał Muhamed, była bardzo ładna. Aż boję się pomyśleć, co musiała oferować tym ludziom za przewóz, ale tak czy owak, jeden z przemytników powiedział jej, że cokolwiek by się działo, niech unika północnych portów. Londyn, Kent, Essex, nawet Anglia Wschodnia, ale nie północ. Na północy jest niebezpiecznie.

– Co to może oznaczać? – zdziwiła się Isabel.

– Nie wiemy. Oni też nie wiedzieli. Poza tym, że nikt nie chce wylądować na północy Anglii.

– Powinnyśmy wracać – rzuciła Isabel. – Matka Hildegarda się wkurzy,

nawet na ciebie, jeżeli przez nas reszta będzie musiała czekać na podwieczorek.

Kobiety ruszyły z powrotem plażą.

– Chętnie dołączyłabym do was podczas komplety – oznajmiła Jessica. – Sądysz, że to możliwe?

– Oczywiście, tylko potem nie będę mogła już się z tobą pożegnać.

– Wiem.

Po ostatniej modlitwie dnia zakonnice udawały się na spoczynek, szły do swoich pokoi w milczeniu. Nie wolno im było rozmawiać aż do następnej godziny rekreacji.

U podnóża wydm był krótki piaszczysty trakt, który zaprowadził je z powrotem do bramy klasztoru.

– Czekaj chwilę. – Dłoń Jessiki znieruchomiała na ciężkiej żelaznej futrynie. – Ta brama jest na noc zamykana na kłódkę. Jak się dostajesz do środka po tych swoich wypadach na kąpiele na golasa przy księżycu?

Isabel weszła i starannie zamknęła bramę.

– Nie mówiłam nic ani o kąpielu na golasa, ani o kąpielu w jakimkolwiek stroju. Znowu pozwalasz ponosić się wyobraźni. – Zatrzymała się, twarzą była zwrócona do muru. – Ale skoro już o tym mówimy, to jeśli ktoś potrzebowałby się wydostać z terenów przyklasztornych w nocy, to zaprawa w tym murze jest dość stara. Jest tu kilka miejsc – na przykład popatrz tam i tam – na których da się oprzeć stopę.

Jessica przyjrzała się murowi z szarego kamienia. Prawdopodobnie był tak stary jak sam klasztor. Zakon nie miał pieniędzy, żeby go odnowić. Nagle przypomniała jej się scena z dzieciństwa, gdy z siostrą wdrapywały się na murek, żeby dostać się do ogrodu sąsiadów. Isabel jak zawsze szła pierwsza, wspinała się zręcznie i szybko. I jak zawsze, kiedy Jessice udało się wdrapać na szczyt, jej starsza siostra stała na ziemi po drugiej stronie i z szeroko roztwartymi ramionami czekała, żeby ją złapać.

– A jak wychodzisz z samego klasztoru? Nie uwierzę, że nie jest zamykany.

Stopy Isabel zaczęły chrząścić na ścieżce prowadzącej do budynku.

– Spójrz przed siebie. Widzisz ten daszek z tyłu nad kuchnią? To miejsce nazywamy niższym tarasem.

Jessica ruszyła za siostrą.

– Hm.

– A teraz popatrz na tę wąską półkę opasującą budynek na poziomie parteru. Cóż, nie jest tak wąska, jak się stąd wydaje. I jest całkiem solidna. Otacza budynek i dochodzi do okna łazienki, które ma kiepskie zamknięcie. Oczywiście cały czas mówię tylko hipotetycznie, chyba rozumiesz?

Jessica dała krok przed siebie i odwróciła się, blokując ścieżkę.

– Bella, dlaczego po prostu nie odejdziesz? Już dawno nie musisz tu być.

Odejdź, wyjedź ze mną.

Isabel wpatrywała się w nią ciemnymi oczami z taką miną, jakby nie do końca rozumiała, o czym Jessica mówi.

– Możesz zamieszkać ze mną. Pomogę ci się wdrożyć w normalne życie. Jeszcze nie jest za późno. Nie może być.

Isabel spuściła wzrok, a kiedy się odezwała, jej głos był twardy jak lód.

– Nie bądź śmieszna. Jestem tu bardzo szczęśliwa.

– Nie masz w życiu żadnego celu.

Starsza siostra popatrzyła na Jessicę z naganą.

– I to mówisz właśnie ty? Ze wszystkich ludzi? Przecież zawsze byłaś głęboko wierząca.

Jessica wiedziała, że nie wygra w tej potyczce. Nie teraz.

Może nigdy.

Zeszła siostrze z drogi i obie ruszyły ku cieniom rzucanym przez budynek. Gdy szły, Jessicę znowu ogarnęło wrażenie, że na jej siostrę nasuwa się płachta ciszy. Zawsze jednak starała się zwalczać to wrażenie.

– Mam ci coś przywieźć, jak przyjadę następnym razem?

Isabel uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Trampki mi się trochę zużyły, ale zaczekaj z tym do moich urodzin.

– Ale to dopiero za pół roku.

– Matka Hildegarda źle patrzy na prezenty. Na jeden w roku przymknie jeszcze oko.

Szły dalej, ku tylnym drzwiom klasztoru.

– I co zamierzasz zrobić?

Isabel nie mówiła już o prezentach.

– Nic – odparła Jessica. – Stacjonuję w Londynie. Kiedy natkniemy się na kolejnych nielegalnych imigrantów, możemy ich zapytać, dlaczego północ to złe miejsce. Wysłałam już komunikat do posterunków na północy. Ale wiesz, północ to może być wszędzie, od Whitby po Aberdeen, więc dopóki nie wypłynie coś nowego, tak naprawdę zrobić można niewiele.

W kaplicy zaczął bić dzwon. Czas rekreacji dobiegł końca. Isabel opuściła welon, chowając pod niego ciemne loki. Kiedy były już blisko budynku, spuściła głowę, dłonie wsunęła w szerokie rękawy. Habit, tutaj nieszarpany wiatrem, opływał jej sylwetkę ponurymi fałdami. Zaczęła iść wolniej, a Jessicę ogarnęło znajome uczucie straty. Jej siostra zamieniała się z powrotem w zakonnicę.

Zanim „coś nowego” wypłynęło, minęły dwa miesiące.

Plac zabaw ku pamięci Diany w londyńskich ogrodach Kensington roił się od małych dzieci, ich matek i opiekunek. Jessica po drodze do olbrzymiej repliki pirackiego statku musiała obejść skuloną szlochającą syrenkę i siusiającego w krzakach Spider-Mana. Żeby się nie zderzyć z rozpędzonymi malcami, schodziła dwa razy ze ścieżki.

Kiedy docierała do centralnego punktu ogrodu, do jej kieszeni zakradł się chłód, zaczął podszczypywać palce. Mogła włożyć rękawiczki, czapkę. Plac wokół niej był obsadzony zimozielonymi krzewami, ale wszędzie indziej w parku drzewa nadal nosiły na sobie nagą zimową oprawę. W drodze tutaj mijała rosnące przy alejce żonkile, tylko że jeszcze w pąkach. Bały się już rozwinąć i zmierzyć z późnowiosennym chłodem.

Przy obrzeżu otaczającej piracki statek łąchy piasku dostrzegła kobietę w czerwonym płaszczu. Po trzydziestce, z pochodzenia Hinduska, twarz wyrażała napięcie, zdenerwowanie. Kobieta wpatrywała się w pokład statku. Na oczach Jessiki pomachała w jego stronę, po czym podniosła telefon i zrobiła zdjęcie.

Jessica podeszła i usiadła obok kobiety. Ławka była zimna nawet przez ubranie. Żadna z nich się nie odezwała. Jessica postawiła sobie na kolanach dużą torbę, którą ze sobą przyniosła, i wyciągnęła z niej niebieskiego pluszowego miśka.

– Trochę się niepokoiłam, że pani nie wpuszczą. – Jasmine Sharma spojrzała na Jessicę dużymi bursztynowymi oczami. – Zapomniałam o regulaminie. O zakazie wstępu dla dorosłych bez dzieci.

– Jakoś się wkręciłam – odparła Jessica.

– Tutaj nikt nie zobaczy, że rozmawiamy. – Spojrzenie Jasmine powędrowało do pokładu statku pirackiego. – Te gęste krzaki zasadzili tu specjalnie. Żeby nieodpowiednie osoby nie mogły przyglądać się dzieciom.

Z masztu na statku chudy śniady chłopiec pomachał do matki. Jasmine odmachała. Jessica też. Potem jeszcze pomachała niebieskim miśkiem.

– Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, mówiła pani, że niepokoi panią lekarz z Harley Street, z którym się konsultował pani ojciec – zaczęła. – Wspominała pani, że być może ten lekarz zachowuje się nieetycznie, że robi coś nielegalnego.

Jasmine nie odpowiedziała. Jessica wetknęła miśka z powrotem do torby. Spełnił już swoje zadanie.

– Słucham – ponagliła.

– Trochę ponad rok temu u ojca wykryto zaawansowaną chorobę serca – zaczęła Jasmine. – Wszczepili mu rozrusznik, kazali przejść na specjalną dietę, dostał lekarstwa, ale jego stan się pogarszał. Lekarze zaczęli mówić o miesiącach,

nie latach, i że jedynym możliwym leczeniem długoterminowym byłby przeszczep serca.

– Przykro mi to słyszeć.

– Niestety serc do przeszczepów jest mało. Tak nam przynajmniej mówiono. Większość chorych w tym kraju umiera, zanim przeszczep staje się realny, i prawie żadne serce nie nadaje się dla ludzi z Azji.

Uwagę Jessiki przyciągnął dobiegający z pobliza krzyk. Odwróciła się, natychmiast czujna. Ale to było tylko jakieś dziecko.

– Ojciec nie był jeszcze bardzo stary – oznajmiła Jasmine. – Sześćdziesiąt cztery lata. Nie chciał umierać. Zaczął rozpytywać między znajomymi i kolegami z pracy. Po kilku miesiącach ktoś mu polecił chirurga transplantologa z Harley Street – ciągnęła. – Ralpa Wallace’a. Ojciec umówił się na wizytę.

Jessica zapisała sobie nazwisko w pamięci.

– Poszła pani z nim?

– Nie, ale rozmawialiśmy, jak wrócił. Powiedział, że pan Wallace bardzo go podniósł na duchu.

– Czym?

– Powiedział ojcu, że w innych krajach przepisy nie są aż tak surowe, a ludzie mniej przeczuleni. Mówił, że za granicą ludzie chętniej oddają narządy, bo się im za to płaci, co tutaj jest nielegalne – wyjaśniła Jasmine. – Powiedzmy na przykład, że jakaś młoda kobieta ginie w wypadku drogowym. Szpital, wiedząc, że może sprzedać narządy osobom, które na nie czekają, dobrze za nie zapłaci rodzinie. Rodziny są pragmatyczne. Straciły kogoś bliskiego, ale pieniądze pomogą tym, którzy jeszcze żyją.

– Cóż, widzę w tym pewną logikę – przyznała Jessica. – Ale to by oznaczało, że pani ojciec musiałby na operację wyjechać na przykład do Indii.

– Nie, niekoniecznie. Mógłby zostać tutaj. Serce zostałoby mu przywiezione.

Jessica wyobraziła sobie śmigłowiec pogotowia lotniczego, sanitariuszy biegających po dachu, przejmujących drogocenne białe torby. Tyle że...

– Ale jak to możliwe? Czy narządy nie muszą być przewiezione w kilka godzin? Nie da się dostarczyć serca z Indii, nie nadawałoby się już.

– Nie, nie da się. Sprawdziłam. Serce po pobraniu wytrzymuje maksymalnie dziesięć godzin. Nie ma możliwości sprowadzenia go z Indii.

– Więc jak?

– Sprowadza się dawcę.

– Martwego?

Jasmine lekko wzruszyła ramionami.

– Nie, nie martwego. A przynajmniej niezupełnie. Ze śmiercią mózgową, inaczej oczywiście donacja nie wchodziłaby w grę. Ale maszyny utrzymujące dawcę przy życiu byłyby włączone. Razem z zespołem medycznym zostałyby

dowieziony specjalnie przystosowanym samolotem do Wielkiej Brytanii, tak żeby pobranie narządów mogło się odbyć w tym samym szpitalu co przeszczep.

– No, brzmi to dość ponuro – mruknęła Jessica.

– Ponuro? Przecież to chyba prawie na pewno nielegalne?

– Czy pani ojciec zadawał temu chirurgowi jakieś trudne pytania?

– Oczywiście. Ojciec nie był draniem. Pan Wallace wyjaśnił, że ponieważ transakcja finansowa odbyłaby się w Indiach, wszystko byłoby jak najbardziej legalne. A ponieważ przeszczep byłby prywatny, w tym kraju jest to sprawa między chirurgiem a pacjentem.

– Ale pani ten pomysł się nie spodobał?

– Nie, ani ojcu. Chciał żyć, ale nie za wszelką cenę.

– Dlaczego nie poszedł z tym na policję?

– Myślał o tym. Jeśli mam być do końca szczerą, sądzę, że nie chciał się pozbawiać alternatyw. Ale potem jego stan się pogorszył. Zmarł dwa tygodnie temu.

– Przykro mi.

Cisza. Jessica znowu się rozejrzała, popatrzyła w stronę drzew i krzaków, na płotki, na niebieskiego miśka w swojej torbie.

– No więc dlaczego się pani boi? – spytała.

Żadnej odpowiedzi.

– Dlaczego chciała się pani spotkać ze mną tutaj, gdzie nikt nie pomyśli, że jesteśmy kimś innym, a nie tylko dwiema matkami?

Po raz pierwszy Jasmine oderwała oczy od syna i spojrzała na ziemię.

– Poszłam się zobaczyć z panem Wallace'em. Kilka dni temu. Męczyło mnie to, o czym mówił ojciec. Czułam, że nie mogę tego tak zostawić.

– Aha.

– Powiedział mi, że to nonsens. Twierdził, że to ojciec pytał o możliwość sprowadzenia narządów z zagranicy i że on mu to odradzał, bo taka operacja byłaby niebezpieczna. Powiedział, że ojcu musiało się coś pomylić, że w ostatnich dniach życia ludzie często bywają zdesperowani.

– To akurat może być prawda.

Jasmine otworzyła torebkę i sięgnęła do środka.

– Wczoraj rano w skrzynce na listy znalazłam to.

Podowała Jessice sztywną brązową kopertę. Jessica odwróciła ją i spojrzała na zdjęcie, które z niej wypadło. Był na nim chłopiec około pięcioletni, w szkolnym mundurku, na placu zabaw. Zdjęcie zostało zrobione zza sztachetek ogrodzenia.

– To Raffy – powiedziała Jasmine. – Mój starszy syn. Zdjęcie zostało zrobione w jego szkole, przysłane anonimowo. Ponieważ przyszło tak szybko po moim spotkaniu z panem Wallace'em, nie mogłam nie połączyć faktów. Uznałam, że to groźba. Jestem głupia?

Jessica wsunęła zdjęcie z powrotem do koperty. Mogłaby je oddać do analizy odcisków palców, ale miała przeczucie, że żadnych by nie znaleziono.
– Niekoniecznie – odpowiedziała.

I jak brzmi nazwisko tego chirurga? – Dyrektor Krajowej Bazy Danych Przeszczepów trzymała długopis zawieszony nad notesem.

Jessica spuściła wzrok.

– Wolałabym teraz nie mówić. Moja informatorka bardzo się denerwowała, że w ogóle ze mną rozmawia. Obiecałam jej całkowitą poufność.

Dyrektorka zamknęła notes i z wymowną miną dopiła kawę.

– O ile dobrze rozumiem, ta pani nie uczestniczyła w żadnym ze spotkań. Mogła błędnie zrozumieć to, co przekazał jej ojciec.

– Bardzo prawdopodobne, ale zanim zamknę sprawę, mogłaby mi pani powiedzieć, czy to, co mówiła, jest w ogóle możliwe?

Dyrektor pokręciła głową i odstawiła filiżankę na spodek. Widać było, że jest poirytowana.

– Och, problem, który opisała, istnieje. W Wielkiej Brytanii brakuje narządów do przeszczepów, zwłaszcza dla chorych pochodzących z Bliskiego Wschodu, Indii i Azji.

– Bo w tych kulturach krzywo patrzą na przekazywanie narządów?

Dyrektorka spojrzała na kogoś za szybą działową jej biura i podniosła palec.

– Po części – odparła. – Chociaż oddawanie narządów to drażliwa kwestia w każdej kulturze. Braki wynikają głównie z tego, że tutaj, w Wielkiej Brytanii, biała rasa jest liczniejsza. Kolejny powód to to, że ludzie z tych grup etnicznych częściej zapadają na pewne choroby uszkadzające najważniejsze narządy.

– A pochodzenie etniczne jest istotnym czynnikiem? – dopytywała Jessica. – Nie da się wstawić... proszę mi wybaczyć obcesowość... czarnego serca do białego ciała?

– To trochę bardziej skomplikowane. Mówiła pani, że czytała naszą stronę?

Jessica skinęła głową. Żeby uniknąć porannych korków na M4, wstała wcześniej i na komendę w Bristolu dotarła godzinę przed czasem. Miała kiedy trochę „powkuwać”.

– W takim razie wie pani, że w Wielkiej Brytanii istnieje jedna centralna lista wszystkich, którzy potrzebują przeszczepu, i wszystkich, którzy postanowili zostać dawcami. Kierujemy tą bazą stąd.

– I to wy dopasowujecie pary? Coś w rodzaju skupionej na narządach agencji towarzyskiej?

Dyrektorka nie okazała żadnych oznak tego, że dowcip Jessiki ją rozbawił.

– Kiedy narządy są dostępne...

– W wyniku śmiertelnego wypadku?

– Czasami naturalnej choroby, która nie zniszczyła narządów. Kiedy tak się

dzieje, pod warunkiem że rodzina nie wycofa zgody, szpital z terenu zamieszkania potencjalnego dawcy daje nam znać, a my identyfikujemy najlepszego biorcę.

Taka ogromna władza nad ludzkim życiem.

– Jak to jest robione? Po prostu wybieracie tego, kto czekał najdłużej?

– Czas oczekiwania to istotny czynnik. Ale najważniejsze to, żeby grupa krwi i HLA – ludzkie antygeny leukocytów – były zgodne. Później stosujemy system matrycowy, który uwzględnia takie zmienne, jak wiek biorcy, sytuacja życiowa, jakość funkcjonowania po przeszczepie, miejsce zamieszkania.

– Zamieszkania?

– Tak, owszem. Jeśli mamy serce w Glasgow i dwóch potencjalnych biorców, jednego z Edynburga, a drugiego z Truro, wtedy, jeśli wszystko inne jest takie samo, wybierzemy tego z Edynburga.

– Dziękuję, dobrze to wiedzieć.

– Tak więc sama pani widzi, że w Wielkiej Brytanii nie odbywają się żadne przeszczepy, o których nie wiemy, którymi nie kierujemy, których nie autoryzujemy. Żaden szpital, żaden zespół lekarzy nie przeprowadziłby przeszczepu, który nie jest koordynowany przez nas. System jest przejrzysty i zabezpieczony.

Gdy to mówiła, jej spojrzenie popłynęło do wiszących na ścianie fotografii w ramkach. Na jednej dyrektorka pozowała do zdjęcia z premierem.

– A co do pomysłu szmuglowania dawców żyjących, ale ze śmiercią mózgu przez nasze główne porty lotnicze, cóż, to po prostu absurd.

Zachodzące słońce malowało chmury i morze miękkim kremowym różem, wydmy mieniły się ciepłą żółcią. Jessica podniosła jedną bosą stopę i patrzyła, jak kapie z niej błyszcząca strużka i spada z powrotem do wody.

– Absurd, tak? A jednak ta twoja znajoma, inteligentna, wykształcona kobieta, uważa, że jej inteligentny, wykształcony ojciec mówił dokładnie o tym – rzuciła Isabel.

Jessica westchnęła.

– Ta zapracowana dyrektorka obiecała, że jeśli będę gotowa podać nazwiska chirurga i pacjenta, to się temu przyjrzy. W przeciwnym razie jedynym jej wnioskiem może być to, że chodzi tylko o starszego i wystraszonego człowieka, któremu coś się pomieszało.

– A więc to wszystko? – obruszyła się Isabel. – Koniec śledztwa?

Gdzieś dalej na plaży rozległ się podekscytowany pisk. Jedna z hałaśliwszych zakonnice wypuściła brzeg habitu z rąk i machała ramionami tak, że groziło jej, że zaraz się przewróci. Inna szybko podeszła, chwyciła panikującą siostrę za ramię i odciągnęła ją na brzeg. Po płyciźnie brodziło siedem kolejnych odzianych w czerń postaci, rozchlapwały wodę albo stały spokojnie i wpatrywały się w morze. Za nimi niskie wzgórza Świętej Wyspy błyszczały złotem w świetle

wczesnego wieczoru.

– Zdaje się, że siostra Belinda weszła głębiej, niż zamierzała – zauważyła Isabel. – Tam jest szelf. Dość szybko robi się głęboko. Ups, poleciała.

Jessica się uśmiechnęła, widząc, jak siostra Belinda, która znowu straciła równowagę, wpadła po pachy w wodę i swój szok wykrzykuje w niebo.

– Nie było żadnego śledztwa – sprostowała, odpowiadając na pytanie Isabel.
– Była zgłoszona skarga, no, w pewnym sensie, ale ta kobieta, o której mowa, bała się zgłosić sprawę oficjalnie. Ja natomiast od głównej instancji zajmującej się przeszczepami usłyszałam, że to, co ona twierdzi, jest po prostu niemożliwe.

Isabel nic na to nie odpowiedziała.

– To naprawdę wygląda surrealistycznie. – Jessica przeciągnęła spojrzeniem po plaży. Dwadzieścia siostr, blisko połowa z przebywających w klasztorze, wyszło na zewnątrz na wieczorną godzinę rekreacji. Wszystkie oprócz dwóch ściągnęły buty i skarpety, żeby pochodzić po wodzie. – Jak ci się udało przekonać matkę Hildegardę, żeby się zgodziła?

– Wszystkie siostry w klasztorze poza mną mają zainfekowane stopy. Kurzajki, grzybica, wrastające paznokcie. Podczas godziny rekreacji zdejmują buty i porównują dolegliwości.

Jessica się skrzywiła.

– Zdajesz sobie sprawę, że już nigdy nic nie zjem?

– Udało mi się przekonać matkę, że regularne moczenie stóp w wodzie morskiej pomoże wyleczyć choroby. Zgodziła się, ale tylko na brodenie. – Isabel się uśmiechnęła. – Ale powoli przekonuję ją też do zbawiennych skutków kąpieli w morzu. Ta zgraja jest trawiona przez kandydozę.

– Nie, proszę. Już więcej nie mów.

– Naprawdę nie możesz nic więcej zrobić?

– W sprawie problemów zdrowotnych w klasztorze?

– W sprawie tego lekarza z Harley Street. Nie możesz kogoś do niego posłać? No wiesz, jakiegoś szpiega.

– Nazywamy to teraz „niejawną inwigilacją”. Zwykle wygląda to tak, że ktoś dołącza do ekipy sprzątającej albo do personelu administracyjnego, ale odkrycie czegoś może zająć miesiące, jeśli faktycznie jest coś do odkrycia.

– Ale będziesz miała na to oko, tak? – upewniła się Isabel. – Nie odpuścisz tego?

Jessica znowu się uśmiechnęła.

– Mam dwa sumienia. Jedno swoje, drugie siostry, zakonnicy karmelitanki.

– Powinnaś się tylko cieszyć, naprawdę. Możesz korzystać z własnej głowy i, kiedy tylko zechcesz, z mojej. Bo, Bóg mi świadkiem, przez większość czasu zupełnie nie mam czym jej zająć.

– Bella, czy ty nigdy nie masz ochoty się stąd wyrwać? Wiem, mówiłaś

tysiąc razy, że nie chcesz odejść. Ale wiele zakonnice pracuje. Są nauczycielkami, opiekują się chorymi.

Twarz Isabel znowu spochmurniała.

– Nie jestem ani nauczycielką, ani pielęgniarką.

– Mogłabyś pracować w biurze. Przy komputerze.

– Obsługuję komputer, który każdy z zewnętrznego świata nazwałby antykiem, i prowadzę biuro, którego miejsce jest na stronach powieści Dickensa. Wszystko, co potrafię, to modlić się i myśleć.

Jessica przystanąła.

– I ukrywać?

Isabel obejrzała się na plażę, gdzie większość sióstr wyszło już z wody.

– Powinnyśmy wracać – rzuciła. – Mam dyżur przy pawiach.

Wyszły na brzeg i wróciły do miejsca pod wydmami, gdzie zostawiły buty.

– Tak się zastanawiałam – zaczęła Isabel, kiedy usiadła na piasku, żeby otrzepać stopy. – Istnieją jakieś statystyki, do których mogłabyś zajrzeć? Mam na myśli faktyczną liczbę przeprowadzonych przeszczepów w odniesieniu do różnych grup etnicznych. Jeśli liczba przeszczepów u Azjatów i czarnych znacząco wzrosła albo jeśli na jakimś terenie są przeprowadzane częściej, mogłoby to oznaczać, że dzieje się coś podejrzanego.

Włożyły buty i wstały. Jessica pokazała, żeby siostra zaczęła się wspinać na wydmę pierwsza. Inne zakonnice zeszły już z plaży, ich śmiech ciągnął się za siostrami jak porzucone śmietki.

– Chyba sporo rozmyślasz o tej sprawie? – rzuciła Jessica.

– Ależ skąd. Myśli zakonnicy przez cały czas są skupione na relacji z Bogiem.

– Czyli myślisz tylko wtedy, kiedy przyjeżdżam?

– No tak, tylko kiedy tu jesteś. No więc jak, mogłabyś?

– Próbowałam. I zauważyłam pewne zmiany, z roku na rok. Rzecz w tym, że ogólnie liczby, które nas interesują, są zbyt małe, żeby wyciągnąć z tego jakieś znaczące wnioski. No ale nielegalne operacje, jeśli się zdarzają, pewnie nie są ujawniane w żadnych oficjalnych rejestrach.

– Pewnie nie.

– Dowiedziałam się jednak jednego. Ralph Wallace prowadzi konsultacje na Harley Street, ale ma też gabinet na północy.

Isabel się obejrzała.

– Gdzieś blisko?

– Niedaleko. W Newcastle. Dzieli czas między nim a Londynem.

– I czy to coś... niepokojącego?

– Nie, raczej nie. Porównałam średnią liczbę przeszczepów przeprowadzanych w Londynie z tymi przeprowadzonymi na północnym

wschodzie. Tych w Londynie było trochę więcej. Ale biorąc pod uwagę populację etniczną w miastach takich jak Newcastle i Londyn, prawdopodobnie można się było tego spodziewać. Na pewno nie było tego aż tyle, żeby należało wszczynać alarm.

– Ale ciebie to nie uspokaja?

– Tak, mnie nie. Naprawdę nie potrafię tego wyjaśnić, Bella, ale wiem, że Jasmine mówiła prawdę.

Dotarły na szczyt wydm. Inne siostry były już na terenie przyklasztornym.

– Tak, ale może Wallace nie mówił – zauważyła Isabel.

– Co przez to rozumiesz?

– Może składa wielkie obietnice, kasuje forszę, a potem pozwala pacjentowi umrzeć, zanim ten się doczeka cudownego pojawienia się ratujących życie narządów.

Jessica udała, że jest oburzona.

– Zakonnicom wolno tak szastać tym słowem?

– Narządy?

– Cud.

– Jeśli ona, a raczej jej ojciec, mówili prawdę, niczego nie pokręcili, to muszą być inni pacjenci, którym ten lekarz proponował to samo. Mogłabyś zdobyć listę jego pacjentów?

– Bez nakazu sądu nie, ale nie zwrócę się z tym do szefa, bo z czym? – Jessica westchnęła. – To zmierza donikąd, Bella. Powinnam to zostawić. I zostawię.

Isabel głośno się roześmiała.

– Nie, nie zostawisz.

Czwartek, 21 września

Nadal stała, w połowie drogi do drzwi.

– Nie mogę zadzwonić na policję – powiedziała. – Nie tutaj. Nie w Northumberland.

Ksiądz ściągnął brwi.

– Nie rozumiem.

– Nie mogę im ufać.

– Policji? – Był wyraźnie zszokowany.

– Nie mogę powiedzieć, dlaczego tak jest, ale mam uzasadnione powody.

Zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił je przez zasznurowane usta.

– Ma to jakiś związek z rozbiciem się balonu?

Widok tego, jak się wzdrygnęła, powiedział mu wszystko, co musiał wiedzieć.

– Oglądałem wiadomości na iPadzie, zanim się pani zjawiała. I bardzo się cieszę, że jest pani cała i zdrowa, Jessico.

Wróciła do krzesła i usiadła.

– Brała pani pod uwagę, że być może jest w szoku? Na skroni ma pani brzydką ranę, może pani mieć wstrząśnienie mózgu. Może nawet przechodzi pani coś w rodzaju szoku pourazowego. I dlatego być może przesadza pani w kwestii tego, co pani zagraża. Może błędnie interpretuje pani wydarzenia.

– Chodzi o coś jeszcze – wyznała. – Popełniłam straszliwy błąd. Zrobiłam coś i dopiero teraz zdałam sobie sprawę z następstw. Muszę naprawić swój błąd.

– Rozumiem – rzucił, chociaż jego mina wyraźnie świadczyła, że nie rozumie.

Oboje podskoczyli na odgłos znowu otwierających się drzwi kościoła.

– To pewnie kościelni. – Wstał. – Proszę tu zaczekać.

Wystawił głowę za drzwi zakrystii.

– Dzień dobry, Stan. Witaj, Olive. Dacie mi jeszcze sekundkę?

Cofnął głowę.

– Muszę porozmawiać z tą dwójką, ale jeśli zaczeka pani w kościele, potem podwożę panią, gdzie pani potrzebuje. O czwartej muszę być z powrotem w Bamburgh, żeby odebrać syna, ale do tego czasu jestem do pani dyspozycji.

Podniosła się.

– Nie mogę księdza o to prosić.

– To naprawdę żaden problem. Gdzie chciałaby pani, żebym panią

podwiózł?

Zastanowiła się, ale nie trwało to dłużej niż sekundę.

– Do Yorku. Muszę coś znaleźć i coś sprawdzić. Muszę jechać do Yorku.

– Ma pani pieniądze?

– Oczywiście.

– W Belford jest stacja kolejowa, ale, mówiąc szczerze, nie radzę się tam pokazywać. Jeśli szuka pani policja, ktoś tam będzie. Mogę panią podwieźć aż do Berwick-upon-Tweed. Stamtąd jest już bezpośrednie połączenie z Yorkiem. I więcej pociągów.

– Dziękuję.

– Naprawdę nie wiem, kiedy się stałem takim ekspertem od unikania policji, ale proszę też mieć w pamięci, że jeśli skorzysta pani z telefonu komórkowego, karty kredytowej czy wyjmie pieniądze z banku, wysledzą panią bardzo szybko.

Uśmiechnęła się.

– To naprawdę bardzo miłe.

Ksiądz otworzył drzwi zakrystii.

– Z tyłu za nawą jest pokój, obok głównego wejścia. Spotykają się tam grupy matek z małymi dziećmi. Są tam fotele i grzejnik, który można włączyć. Proszę tam na mnie poczekać.

– Nie powiedział mi ksiądz, jak ma ksiądz na imię.

– Harry. – Uśmiechnął się. – Harry Laycock, pastor parafii Świętej Marii w Belford, do pani usług.

Ze spuszczoną głową, unikając kontaktu wzrokowego z dwójką kościelnych, odeszła nawą i znalazła pokój dla matek z dziećmi. Były tam trzy wąskie okna, z których jedno wychodziło na przedsionek kościoła.

Ścieżką szedł w tę stronę przysadzisty ciemnowłosy mężczyzna w filcowym kapeluszu. Patrick Faa ją znalazł.

Opierając się pokusie, żeby wyważyć drzwi kościoła kopniakiem – wiedział, że coś takiego strasznie wkurzyłoby jego matkę – Patrick nacisnął klamkę i pchnął je. Zawiasy były dobrze naoliwione. Drzwi nie wydały żadnego dźwięku, kiedy wszedł do środka.

Z przyzwyczajenia dotknął krzyżyka na łańcuszku i się przeżegnał.

Przed nim był wysoki kamienny łuk oddzielający prezbiterium od nawy. Po lewej na białej ścianie galeria widokowa. Była też wieża. Mnóstwo miejsc, w których można się ukryć.

Ona tu jest. W powietrzu unosił się jej zapach, rozpoznawał go. Zapach świeżego taniego mydła i lekki odorek smażonych potraw. Ludzie w kawiarni, którzy naprawdę uwierzyli, że jest detektywem, mówili, że przed śniadaniem długo siedziała w łazience. Myła się tam.

Głosy. Nie jest sama. To zmienia sytuację.

Z tyłu kościoła, po obu stronach, znajdowały się drzwi. Po kształcie ścian zorientował się, że za nimi są wewnętrzne pokoje. Ale głosy – niewyraźne, trudno było powiedzieć: męskie czy żeńskie – dochodziły z frontu, może zza organów albo z pomieszczenia, gdzie ksiądz trzyma szaty liturgiczne.

Poszedł w lewo, rozejrzał się po małej kuchni i łazience. Były tu drzwi prowadzące na zewnątrz, ale zamknięte od środka. Pokój po drugiej stronie wejścia okazał się salą zabaw z kolorowymi dziecięcymi plakatami na ścianach i pudełkami zabawek w rogu. Tani kwiatowy zapach czuć tu było wyraźniej.

Pomieszczenie miało okno wychodzące na przedsionek.

Teraz już mniej pewny siebie opuścił pokój i ruszył główną nawą. Sprawdził wszystkie rzędy ławek, a na końcu zatrzymał się przed drzwiami zakrystii.

– W takim razie, jeśli możesz poprowadzić nabożeństwo w przyszłym tygodniu, Stephen – powiedział męski głos – a Olive w kolejnym, to chyba do powrotu George’a mamy załatwione zastępstwo.

Usłyszał cichy pomruk zgody. Potem coś o dekorowaniu kościoła kwiatami w przyszłym tygodniu.

– W porządku. Jeśli to wszystko, to muszę was przeprosić, bo ktoś na mnie czeka.

Odgłos ludzi podnoszących się, odsuwających krzesła.

– Przepraszamy, pastarze. Trzeba było nas uprzedzić.

– Nie, nie. To niespodziewana wizyta. Ale ta osoba ma drobny problem, więc nie chciałym, żeby długo czekała.

Drzwi zakrystii się otworzyły. Peter szybko się odsunął, schował za organami. Patrzył, jak jakiś mężczyzna i kobieta – nie ta, której szukał – idą na tył

kościola, otwierają drzwi i wychodzą. Ksiądz kręcił się jeszcze w zakrystii.

Najciszej, jak mógł, Patrick zszedł ze schodków prezbiterium i nawą dotarł do drzwi frontowych. Zaciągnął rygiel na górze, potem na dole. Gdziekolwiek się ukrywa, nie uda jej się szybko stąd wydostać.

Odchylił kurtkę, wyciągnął nóż, który zawsze tam nosił, i ruszył z powrotem ku zakrystii.

Jeszcze nigdy nie zabił księdza.

Proszę powiedzieć, gdy matka będzie gotowa.

Ajax stał obok sędziwej zakonnicy. Zawsze pilnował, żeby widzieć twarze osób identyfikujących zwłoki. Pierwsze spojrzenie i reakcja – albo potwierdzenie najgorszych obaw, albo szok zmieszany z niechętną nadzieją – niezmiennie mówiły mu wszystko, co potrzebował wiedzieć.

Matka Hildegarda stała centymetry od zasłoniętego okna sali oględzin w kostnicy, bliżej, niż stawała większość ludzi. Oczy miała zamknięte, jej usta drżały. Oddech przyspieszony, dłonie zaciśnięte w pięści.

Czekał. Przeżegnała się i otworzyła oczy.

– Już – oznajmiła.

Ciężkie fioletowe zasłony rozsunęły się. Kilka kroków od szyby leżały zakryte zwłoki szczupłej młodej kobiety. Asystent ściągnął prześcieradło z głowy.

Ajax przyglądał się Hildegardzie, czekał na jej reakcję.

Nie pojawiła się. Nigdy tego wcześniej nie widział. Zupełny brak jakiegokolwiek reakcji. Zakonnica popatrzyła na zwłoki. Mrugnęła. Popatrzyła jeszcze trochę. W końcu dała krok w przód, tak że prawie dotykała szyby. Podniosła rękę, oparła je na oknie i nachyliła się.

Mogłaby tak patrzeć na węża w zoo, zafascynowana, ale zarazem czując odrazę. Ajax też w końcu spojrzął na ciało.

Ciemne włosy denatki zostały umyte, zniknęła z nich krew, która była tam jeszcze wczoraj. Leżały na łóżku, rozrzucone dokoła głowy jak ciemna chmura. Skóra na twarzy, szyi i ramionach była jak wnętrze muszli, oprócz miejsc poparzeń.

Odwrócił się do Hildegardy.

– Może matka wejść do środka, jeśli chce – powiedział, proponując opcję zwykle niedostępną dla tych bardziej emocjonalnych odwiedzających. Ale wydawało się mało prawdopodobne, żeby matka Hildegarda straciła nad sobą kontrolę.

– Nie, dziękuję. Stąd widzę bardzo dobrze. Ma bardzo poranioną twarz.

– Matko Hildegardo, może matka potwierdzić, że to jest kobieta, którą znała matka jako siostrę Marię Magdalenę?

Zakonnica okazała wreszcie jakieś emocje, ale Ajax mógł je określić jedynie jako znużenie. Hildegarda zamknęła oczy, rysy jej twarzy się wygładziły.

– Tak, oczywiście – odpowiedziała. – To nasza umiłowana siostra. Będziemy się modliły za jej duszę.

– Dziękuję – rzucił. – Teraz odwiozę matkę do domu.

Otworzyła oczy. Gwałtownie.

– A co z Jessicą? Ona też tu jest?

A1 była jak gigantyczny wściekły potwór ryczący gdzieś za rogiem. Odnalazła ją łatwo, słyszała jej odgłosy już przed kościołem. Pokonała pola i teraz była pod autostradą, szła wzdłuż niej na północ.

Ale pole, które próbowała przejść, było zaorane, błotniste. W ciągu kilku minut jej buty podwoiły swoją wagę, całe były oblepione ziemią. Musiała często przystawać i otrzepywać błoto, co niewiele zmieniało, bo już po chwili buty znowu były ubłocone. Szła jednak dalej, wiedząc, że do Berwick-upon-Tweed ma prawie dwadzieścia pięć kilometrów.

Szła zbyt blisko autostrady. Każda przejeżdżająca ciężarówka zalewała ją deszczem oleistej wody, błota i nawet małych kamyczków. Do pewnego stopnia osłaniał ją przed tym żywopłot, który zatrzymywał prysznic strzelający spod kół samochodów osobowych, ale ciężarówki były za duże.

Pokonanie pierwszego pola zajęło jej całą wieczność. Kilka razy się przewróciła, upadła. Zaczynała tracić wiarę w siebie.

– Jessica!

Serce załomotało jej w piersi. Odwróciła się. Na poboczu powyżej, przeskoczywszy za barierkę i przecisnąwszy się przez gęstwinę gałęzi niskich młodych drzewek, stał pastor ze Świętej Marii.

Co to oznacza? Czy wezwał policję? Czy Faa jest z nim?

Harry zaczął się gramolić w dół.

– Stoję z autem na górze! – zawołał, kiedy był wystarczająco blisko. – Zjechałem na pobocze, gdy tylko się dało.

– Jak mnie pastor znalazł?

– Widziałem z okna zakrystii, że pobiegła pani w stronę pola. – Spojrzał w dół na swoje buty i się skrzywił. – Po wyjściu kościelnych w kościele zobaczyłem jakiegoś faceta. Nie spodobał mi się. Choćby dlatego, że zaryglował główne drzwi. Uznałem więc, że lepiej zachować się dyskretnie, i zwałem przez zakrystię. Chodźmy, zawiozę panią do Berwick.

Nie obrazi się matka, jak o coś zapytam? – powiedział Ajax. Wyjeżdżali właśnie z parkingu.

– Nie, nie obrażę – odparła Hildegarda. – Ale czy odpowiem, to już zupełnie inna sprawa.

– Dlaczego z dwóch sióstr to wyraźnie Jessica była matki ulubienicą?

– Dla Naszego Ojca wszystkie dusze są równie drogie, inspektorze Maldonado. Faworyzowanie kogokolwiek byłoby niestosownością.

Spróbował znowu.

– W takim razie może była z nią matka bardziej związana?

Przez kilka sekund myślał, że nie usłyszy odpowiedzi. Potem zakonnica westchnęła.

– Chyba zawsze czułam, jeśli to nie zabrzmiało głupio, że dostałyśmy nie tę siostrę. To Jessica miała prostą, niekwestionowaną wiarę. Widziałam jej radość w kaplicy, przyjemność, jaką czerpała z prostych rytuałów. Rozumiała powołanie zakonnice, nie musiała się nawet nad tym zastanawiać. A zarazem tak bardzo kochała życie. Podnosiła ludzi na duchu. Była samą radością.

– A Maria Magdalena nie?

– Nikt tak naprawdę nie wiedział, co się dzieje w głowie siostry Marii Magdaleny. To była silna kobieta. Gdyby było inaczej, początkowe lata w zakonie mogłyby ją złamać.

– Brzmi to nieco brutalnie.

Posłała mu ostre spojrzenie.

– Życie w zamkniętym klasztorze to nie spacerki w czarnych habitach i modlenie się przy świecach, inspektorze. To życie w bezustannej surowej dyscyplinie. Tylko nieliczni się do tego nadają. Nigdy bym nie przypuszczała, że siostra Maria Magdalena jest jedną z takich osób. A jednak... – Jej ramiona pod ciemnym płaszczem uniosły się lekko i opadły.

– A jednak została.

Zadzwoił telefon. Stacey. Zjechał na pobocze, przeprosił Hildegardę i wysiadł. Kiedy słuchał, co ma do powiedzenia posterunkowa, przyglądał się starej zakonnicy siedzącej nieruchomo na miejscu pasażera.

– Dzięki, Stace – rzucił i wrócił do samochodu. – Chyba mam dla matki dobre wiadomości, matko Hildegardo.

Odwróciła się do niego.

– Jak to?

– Już z rana otrzymaliśmy informację, że ktoś widział Jessicę w Belford. Nic nie mówiłem, bo nie udało nam się jej znaleźć, nie chciałem wzbudzać w matce

płonnych nadziei. Ale okazuje się, że wczoraj też ją widziano. W Wooler. I grupa wędrowców z Buckinghamshire jest przekonana, że przez jakiś czas szła z nimi szlakiem Świętego Cuthberta.

Twarz zakonniczy uległa przemianie.

– Jessica żyje? Naprawdę żyje?

– Wszystko na to wskazuje. A także na to, że idzie do klasztoru. Jedźmy, sprawdzimy, czy już tam dotarła.

Pociąg jechał na południe, w stronę Yorku. Ludzie wsiadali i wysiadali. Ona trzymała głowę zwróconą do okna, nie spoglądała na osoby siadające na kanapie obok niej.

Kiedy pociąg zatrzymał się w Durnham, jej wagon znalazł się naprzeciwko kawiarni. Przez duże okno wystawowe zobaczyła ekran telewizora. Znowu pokazywano nagranie z porannej konferencji prasowej.

Czy w tym kraju jest choć jedna osoba, która jej nie szuka?

No dobra, sytuacja wygląda tak – zaczął Ajax. – Ponieważ... – Przerwał, bo drzwi sali konferencyjnej się otworzyły i do środka wśliznął się komendant. – Ponieważ na miejscu wypadku nie było ciała ani żadnych osobistych rzeczy, także telefonu komórkowego, i ponieważ otrzymaliśmy trzy odrębne, lecz wiarygodne zgłoszenia, że widziano Jessicę Lane, jest teraz uznana za osobę zaginioną.

Zrobił przerwę i przeniósł wzrok na drugie z przypiętych do tablicy zdjęć.

– Podobnie jest z Seanem Allanem, chociaż w balonie znaleźliśmy jego torbę i nie mieliśmy żadnych zgłoszeń, że ktoś go gdzieś widział.

– Ajax, wybacz, że proszę o powtórzenie tego, co już na pewno omawiałeś, ale mógłbyś jeszcze raz powiedzieć, kto i gdzie widział dziś rano Jessicę Lane? – Komendant wzrok miał wbity w blat stołu.

Ajax spojrzął na Stacey i kiwnął głową.

– Widziano ją w kawiarni Birdcage w Belford – zaczęła policjantka. – Kiedy tam weszła, wyglądała jak śmierć na chorągwi. Słowa właścicielki kawiarni, nie moje. Długo była w łazience, pewnie się myła, a potem zamówiła ogromne śniadanie. Kiedy w telewizorze w kawiarni leciała relacja z konferencji prasowej, wstała i wyszła. Ktoś za nią poszedł, ale stracił ją z oczu. Zadzwonili do nas natychmiast. Ale jak zwykle najbliższy radiowóz był pechowo czterdzieści minut drogi stamtąd. Gdy już tam dotarliśmy, kobieta wsiąkła.

Komendant zmarszczył czoło.

– A więc ona wie, że jej szukamy, i świadomie nie chce, żebyśmy do niej dotarli?

– Trudno założyć coś innego – potwierdził Ajax. – W tamtym momencie sądziliśmy, że może idzie do klasztoru. Szlak Świętego Cuthberta nie przecina Belford, ale inny dobrze znany, Northumberland Coast, już tak. Potem, kilka kilometrów na północ, łączy się ze szlakiem Świętego Cuthberta. Stamtąd oba biegną na północny wschód, w stronę Fenwick i Świętej Wyspy. Pojechałem do klasztoru Wynding, ale nie było tam po niej śladu. Kilku naszych monitoruje tę część szlaku, chodzą w obie strony. Postawiliśmy też radiowóz przy klasztorze.

– Tylko dlaczego miałyby chcieć iść do klasztoru? – zastanawiał się komendant.

– Dobre pytanie – zgodziła się Stacey. – Rozmawiałam o tym z Paulem Standishem. Powiedział, że najbardziej prawdopodobne jest to, że jest w szoku, być może ma uraz głowy i instynktownie próbuje dostać się do miejsca, w którym czuła się bezpiecznie. Odwiedza klasztor od dwudziestu lat. Mieszkała tam jej jedyna krewna i jest związana z matką Hildegardą.

– Oczywiście to tylko spekulacje – wtrącił Ajax. – Ale wiemy, że jej

samochód nadal stoi na parkingu firmy balonowej. I że nikt nie wrócił do domu w Yorku.

– Więc jest pod wpływem szoku, zrozpaczona po stracie siostry, błąka się po okolicy, zdawałoby się, że bez celu, ale generalnie zmierza w kierunku klasztoru, tak? – streścił całość komendant.

– Tak właśnie myśleliśmy – potwierdził Ajax. – Do chwili, gdy młody Chappers dostał odpowiedź z Krajowego Związku Zawodowego Policjantów.

– Zamieniam się w słuch – mruknął komendant.

– Skontaktowałem się z nimi wczoraj wieczorem, po tym, jak inspektor poprosił, żebym dowiedział się czegoś o tej Lane – zaczął Chapman. – Ponieważ sprawa nie jest pilna, powiedzieli, że mam poczekać do następnego dnia. Trzy razy musiałem ich popędzać, ale w końcu pół godziny temu dali swojego rodzaju odpowiedź.

– Spodoba ci się to – rzucił Ajax.

– Jessica Lane od ponad roku pracowała w Narodowej Agencji do spraw Przestępczości – podjął Chapman. – Kiedy zapytałem o więcej szczegółów – w którym komisariacie czy w którejś ze specjalnych jednostek, jaki stopień, mundurowa czy z Kryminalnego Biura Śledczego – usłyszałem, że jej siedzibą był Scotland Yard, ale ze względu na charakter pracy stacjonowała w różnych miejscach na terenie całego kraju. I że miała stopień sierżanta. To wszystko. Więcej nie chcieli ujawnić.

Komendant odchylił się do tyłu, jakby dostał cios w głowę.

– Co takiego?

– Podziękowali, że ich poinformowaliśmy, i poprosili, żeby dawać im znać o postępach.

– Nie skontaktowała się z nimi?

– Przynajmniej się do tego nie przyznali.

– Ma przy sobie swój telefon?

– Nie znaleźliśmy go. Musimy założyć, że tak.

– Siedziba w Scotland Yardzie. Biuro bawi się z nami w kotka i myszkę. Założę się, że była kimś w rodzaju tajnego agenta – oznajmił Ajax. – Pytanie brzmi, czy sprawa, którą prowadziła, miała cokolwiek wspólnego z wypadkiem balonu.

– Nie podoba mi się to – burknął komendant. – Pod naszym nosem toczy się tajna akcja policyjna, o której nic nie wiemy, a jeden z funkcjonariuszy związany z akcją bierze udział w tragicznym wypadku, którego przyczyn nie jesteśmy w stanie ustalić. Przypuszczam, że z laboratorium nic jeszcze nie przyszło?

Nikt nie odpowiedział. Pytanie było retoryczne.

Ajax westchnął.

– Nie mówiłem o tym, bo nie chciałem wprowadzać zamętu, ale jedna z

techników kryminalnych, która była na miejscu wypadku, mówiła, że w koszu wypatrzyła tkankę mózgową. Nie była pewna.

Czekał.

– Tkanę, która prawdopodobnie nie pochodziła od żadnego z nieżyjących pasażerów – dodał. – Czaszki wszystkich denatów, których znaleźliśmy, były całe, nienaruszone.

– To znaczy, że skoro Jessica żyje, to musiał być Sean Allan, pilot – odezwała się Stacey.

– Jeśli to była tkanka mózgową – zauważył Ajax.

– Okaleczony lub zabity, zanim balon się rozbił – dodał Chappers. – Inaczej jego ciało byłoby w koszu.

– Jeśli to były tkanki mózgu – powtórzył Ajax.

– Co mogło się wydarzyć w lecącym balonie, żeby doszło do takiego uszkodzenia czaszki? – zastanowiła się Stacey. – Uderzenie w głowę to za mało.

– Postrzał? – podsunął Chapman.

– Wiedziałem, że tak będzie. – Ajax pokręcił głową. – Naprawdę powinniśmy poczekać na wyniki z laboratorium.

– Jeszcze jedno – odezwał się Chapman. – Jak wiemy, narzeczony Jessiki Lane, Neil Fishburn, też służy w policji. Wyjechał na kilka dni i nie można się było z nim skontaktować, ale dzisiaj wieczorem ma wrócić.

– Myślę, że ona chce się dostać do Yorku – oznajmiła Stacey. – Większość kobiet w jej sytuacji chciałaby wrócić do domu. Zwłaszcza jeśli narzeczony też ma wrócić.

Komendant wstał.

– Zadzwoń do kryminalnych. Może ze mną będą bardziej rozmowni.

– Jeśli ta kobieta jest w coś zaplątana – stwierdził Ajax – może się udać dokądkolwiek.

– Właśnie. A my, dopóki uważamy, że wciąż przebywa na naszym terenie, mamy prawo jej szukać – odparł szef. – Chcę o tym wiedzieć, jeśli się okaże, że użyła swojego telefonu czy którejś z kart kredytowych. I niech jej wypatrują chłopaki z monitoringu. Szczególną uwagę niech zwrócą na dworce kolejowe i przystanki autobusowe.

– Jeśli świadomie stara się nie rzucać w oczy, będzie wiedziała, jakie sztuczki zastosować, sir – zauważyła Stacey. – Uważam, że powinniśmy skupić nasze wysiłki na Yorku.

– Słusznie – zgodził się komendant. – Skontaktujcie się z North Yorkshire. Poproście, żeby obserwowali dom. Jeśli nie mają ludzi, podeślemy im kogoś od nas.

– Wszyscy wolni funkcjonariusze będą dziś wieczorem w St James Park – przypomniał Ajax.

Komendant się skrzywił.

– Zapomniałem o tym. Trudno, trzeba się oprzeć na North Yorkshire. Chyba masz rację, Stacey. Myślę, że będzie próbowała dotrzeć do Yorku.

Głos matki przez telefon zawsze brzmiał starzej. Patrick słyszał, jak wyściełająca jej płuca nikotyna drapie się w górę, do gardła.

– Nie podoba mi się to, Pat. Nic się tu nie trzyma kupy – gderła. – Jeśli to policjantka, dlaczego nie skontaktowała się ze swoimi? Nawet jeśli nie ma telefonu... bo jakiś durny złodziej wszystkie zwinął... mogła podejść do najbliższego domu.

– Nie wiem, ma – odparł, bo coś odpowiedzieć musiał. – Nikt nie wie. – Zerknął na zegarek. Połowa dnia już dawno minęła.

– Co ona robiła w tym balonie? Szpiegowała? Boże, pobłogosław nas i zbaw, mogła z tego balonu zobaczyć niezłe rzeczy.

– Weź się w garść, ma. Nikt do obserwacji nie używa balonów. Nimi się nie da sterować.

– Dlaczego nie zadzwoniła po kogoś, nie poprosiła, żeby po nią przyjechał? Teraz już zaczęła niecierpliwie bębnić palcami w kierownicę.

– Dobre pytanie, ma. Jeśli się w końcu ruszę, to może ją o to zapytam.

Nie zrobi tego. Rozmowy nie odgrywały ważnej roli w planie, jaki przyszykował dla cholery Jessiki Lane.

– No to dokąd ona idzie?

Westchnął i pierwszą odpowiedź przełknął.

– Do Yorku, tak myślą. – Podkreślił obroty, ale cicho.

– Nie masz czasu jechać do Yorku. Zapomniałeś, co jest dzisiaj?

– Wrócę.

– A jak cię coś zatrzyma?

– Nie zatrzyma.

– No i jeszcze oni rozpytuja o tę dziewczynę, którą ściągnęliśmy wczoraj rano. Mówiłam ci, że tak będzie. Powinniśmy z tym skończyć już wtedy, kiedy...

– Ma, naprawdę muszę jechać.

– Tylko, cholera, dopilnuj, żebyś wrócił.

Rozłączył się, ruszył z pobocza i skręcił na A1. W kierunku południowym.

Dwa lata i trzy miesiące wcześniej

Jess, oszalałaś? Poszłaś do tego straszego miejsca sama? Mogli cię tam zabić.

Isabel stała w przyklasztornej zagrodzie dla pawi, Jessica czekała przy furtce. W ciągu blisko dwudziestu lat odwiedzin nigdy się nie przyzwyczaiła do tak bliskiego kontaktu z tymi niewątpliwie pięknymi, ale też olbrzymimi i czasem zwyczajnie agresywnymi ptakami. Isabel była w tym momencie nimi otoczona. Samce, samice, małe, wszystkie jazgotały, domagając się swojego jedzenia.

– Nigdy bym nie otrzymała oficjalnej zgody na pojechanie tam, więc kogo miałam ze sobą zabrać? I tam wcale nie jest aż tak źle. Oczywiście zdarzają się zabójstwa. I pobicia. Ale zamordowanie Angielki naprawdę nie pomogłoby ich sprawie i oni o tym wiedzą. Poza tym, kto to mówi. Sama zaraz zostaniesz pokąsana.

Isabel spojrzała w dół. Jedna z pawic stała centymetry od jej prawej ręki. Isabel rzuciła garść ziaren i ptak się odsunął.

– Ich sprawie, czyli dostaniu się do Anglii? – spytała i rzuciła kolejną garść granulek.

– Tak. Ryzykowałam, ale założyłam, że moja narodowość będzie pracowała na moją korzyść. Im wszystkim bardzo zależy, żeby mieć znajomego w Anglii.

– Angielka? Jesteś z Anglii?

Dzieciaki podeszły do niej pierwsze, tak jak się spodziewała. Miała ze sobą cukierki i kredki, żeby je przekupić. Dorośli obserwowali zza zasłon w namiotach, półokrągłych drzwi, ciekawi, podejrzliwi, gotowi zareagować, jeśli się okazało, że stanowi choćby najmniejsze zagrożenie. Albo gdyby okazała choć cień strachu.

Kiedy w telewizji oglądała relacje z „Dżungli” w Calaise, ludzie, którzy tam żyli, zawsze wyglądali, jakby brodzili w błocie. Bo tak jest, uzmysłowiła sobie teraz, gdy jej stopy uwięzły i znowu prawie straciła buty.

Było tam coś w rodzaju głównej ulicy, wijący się prześwit między namiotami, szopami, pułkami. Jeździły po niej skradzione rowery i nowe auta terenowe. Odbijały od niej wąskie alejki, jak gałęzie od chorego drzewa, kiełkujące domami po obu stronach. W oddali widziała tandetny drewniany krzyż kościoła. Był tu też meczet i sklepy, budowano szkołę. Tutaj, w tym przerażającym miejscu, tworzyła się swoistego rodzaju infrastruktura.

– Chcę porozmawiać z twoją matką – mówiła do każdej młodej twarzy po kolei. – Czy twoja mama mówi po angielsku? Albo po niemiecku. *Sprechen Sie*

Deutsch? Polski? Chcę twoją mamę o coś zapytać.

Jedno ze starszych dzieci szarpało ją za plecak, chciało zajrzeć i zobaczyć, co jest w środku. Odwróciła się do dzieciaka, pokręciła głową.

– Ja mówić dobrze po angielsku? Gdzie w Anglii pani mieszkać?

Miał jakieś szesnaście lat, oczy zaczerwienione, w jednym dużym, napęczniałym jęczmień.

– Jestem z Yorku. To na północy. – Zaczekała na reakcję. Żadnej nie było. – Ale mieszkam też w Londynie.

– Londyn, Londyn. – To był cały chór głosów. – My chcemy do Londynu.

Dołączyło do nich więcej osób, głównie nastolatki, jacyś młodzi mężczyźni. Jessica sięgnęła do przepastnej kieszeni kurtki i wyciągnęła z niej owinięte plastikiem zdjęcie. Obróciła stosik tak, żeby jej nowy przyjaciel widział zdjęcie na wierzchu. Oczy mu się zwęziły, dał krok do tyłu.

– Znacie kogoś, kto to sobie zrobił? – Wodziła wzrokiem od jednej pary brązowych oczu do następnej, pozwalając wszystkim zobaczyć zdjęcie z zainfekowaną, zaognioną blizną Muhameda. – Ty? – Zwracała się teraz bezpośrednio do chłopca, który się cofał. Pokazała na jego plecy. – Też to zrobiłeś?

– Chce pani kupić nerkę? – Inny głos, tym razem młodego mężczyzny.

– Nie. – Chwilę się zastanowiła, uznała, że warto zaryzykować, i wyciągnęła legitymację. – Jestem brytyjską policjantką. – Sądziła, że się rozbiegną, zachowają tak, jak zwykle zachowują się tłumy w konfrontacji z policją, ale nikt się nie ruszył. Niczym im nie zagrażała. Nie mogła im nic zrobić. Francuskiej policji może by się i wystraszyli, ale ona jest obywatelką Wielkiej Brytanii, kimś, kto może dzierżyć klucz do ziemi obiecanej. – Ktoś krzywdzi ludzi takich jak wy. Ktoś was okrada. Chcę się dowiedzieć, kto to jest.

Młody mężczyzna machnął na nią. Chciał, żeby za nim poszła.

Zeszli z ulicy, kluczyli między namiotami, pochylali się pod sznurami obwieszonymi brudnymi ubraniami, przeskakiwali nad górami śmieci i wszędzie czuli obserwujące ich ze wszystkich stron oczy. Minęła mroczne chaty, z których dudnił arabski rock, i kałuże gnojówki. Od smrodu mało nie zwymiotowała.

Kiedy się obejrzała, już nie widziała głównej ulicy. Tylko nierówną linię niebieskich namiotów i krzywych chatynek. I tłum, teraz większy, który za nią podążał. W tej rzece ciągnących za nią ludzi po raz pierwszy były nie tylko dzieci.

Jej przewodnik zatrzymał się nagle obok schronienia skleconego z drewnianych palet pokrytych folią i pasami przezroczystego plastiku. Zawołał w języku, którego nie rozpoznała.

Ze środka dobiegł pomruk, potem szelest. Pojawiła się twarz. Czarny mężczyzna, gęste ciemne loki przetykane siwizną. Na czole i skroniach głębokie zmarszczki. Był szczupły, ubrany bardziej na zimę niż na deszczowy dzień czerwca.

Rozmowa trwała. Jeden z mężczyzn pokazywał na ciało innego, potem poklepał własne, mniej więcej w miejscu, gdzie mogłaby być blizna po usunięciu nerki.

Jessica wyciągnęła zdjęcie, zobaczyła, że oczy starszego mężczyzny się zwężają.

– On też to mieć – powiedział jej przewodnik. – Nie znać angielski. Ja pomóc.

Jessica ściągnęła z ramienia plecak. Miała w nim słodycze dla dzieci i lekarstwa dla dorosłych.

– On ma bliznę taką jak ta? – upewniła się.

Starszy mężczyzna odebrał paczki, młodszy odparł:

– Tak. Jak ta.

– Muszę się dowiedzieć, kto to zrobił. Gdzie, kiedy.

Szybka wymiana zdań ciągnęła się przez kilka minut. Potem jej przewodnik znów się do niej odwrócił.

– On jest z Erytrei. Wiedzieć, gdzie to?

Kiwnęła głową.

– Tak.

– Podróżować z rodziną. Żona, trzy dzieci. Dwa bracia. Żona brata. Jego matka. Przyjechać morzem, potem ląd. Bardzo droga podróż. Dużo tysięcy dolarów.

– Jak za to zapłacił?

Przewodnik wskazał nadal tkwiące w jej dłoni zdjęcie.

– Tak.

– Jego rodzina też? – Starła się zajrzeć w głąb mrocznej chaty Erytrejczyka.

– Są tutaj?

– Nie. Tylko on. I jego matka.

Pokazał na wnętrze domu. Jessica nachyliła się i zerknęła w mrok. Ujrzała tam siedzącą w głębi na odwróconym pudle, opatuloną szalem i kocami postać o porażającej zmarszczkami ciemnej twarzy.

– Pojechać do Belgii. Rodzina wejść na statek. On nie. Jego matka też nie.

– Dlaczego?

– Chory. Mieć... mieć – szukał słowa, znów pokazał na zdjęcie.

– Miał operację? – podpowiedziała. – Usunęli mu nerkę?

– Zachorować potem. Gorączka. Słaby. Powiedzieli, że za słaby. Nie wpuścić na statek. Zostawić go. I matkę. Przyszli tutaj.

Starszy mężczyzna przerwał przewodnikowi potokiem słów.

– On mówić, że teraz chceć tylko do Anglii, znaleźć jego rodzinę.

– Poszukam ich – powiedziała. – Jeśli poda mi nazwiska, może pokaże jakieś fotografie. Obiecuję, że ich poszukam.

– On mówić, żeby szukać na północy. Jego rodzina zabrać na północ, on się bardzo bać. Bo on wiedzieć, że północ to straszne miejsce.

– Znowu ta północ – zauważyła Isabel. Otoczona ptakami, wsypywała teraz paszę do karmnika.

– Nie północ jako taka, tylko miejsce, które się nazywa Żółty Dom. Ten mężczyzna uważa, że jego rodzinę wywieziono do miejsca o nazwie Żółty Dom, położonego na północy Anglii.

– Żółty Dom? A co to takiego? – Prostując się, Isabel zamknęła pokrywę karmnika.

– Nie mam pojęcia. Uznałam, że chodzi o nazwę jakiegoś miasta czy wsi, którą źle usłyszałam.

– Albo o faktyczny żółty dom?

Jessica przeciągnęła dłonią przez twarz.

– Życz mi powodzenia w wytropieniu tego miejsca.

Isabel wyszła z zagrody, zablokowała furtkę, żeby została otwarta. Za nią stadko pawie zajęło się dziobaniem paszy. Wkrótce jednak ptaki skończą posiłek i wtedy znowu wybiegną na teren wokół kościoła.

– Nie mogę uwierzyć, że one wam nigdy nie giną – mruknęła Jessica. – Lisy ich nie wykradają?

– Ginią. Pawie uciekają, jak się im pozwoli, nawet jeśli urodziły się w niewoli. I całkiem dobrze dają sobie radę. Jeść mogą prawie wszystko, nocują na drzewach. Kiedyś Grochówka^[3] zginął nam aż na trzy miesiące, ale któregoś popołudnia zjawił się w kaplicy, zdrowy jak ryba.

– Dlaczego nie trzymacie ich pod kluczem?

– Wystarczy, że siebie trzymamy. Dlaczego i one mają cierpieć?

Jessica nie odpowiedziała. Isabel, jak zwykle, gdy wymyknięto jej się coś, co zdaniem Jessiki oddawało jej prawdziwy stosunek do klasztoru, unikała patrzenia jej w oczy. Potem jednak je podniosła i zmusiła się do uśmiechu.

– No ale teraz to ja wyjątkowo mam coś do powiedzenia tobie. Strasznie podpadłam Hildegardzie.

– Siostrze, co siostra tutaj robi?

Komputer, wyłączając się, wydał z siebie ostatnie piknięcie. Anemiczne światełko zgasiło i pokój pogrążył się w mroku.

Isabel, za biurkiem matki Hildegardy, rozważała dostępne opcje. Wielu nie miała. Matka przełożona stała w drzwiach. O ile nie wyskoczy przez okno, innej drogi, bez zastosowania przemocy fizycznej, nie ma. Obeszła biurko i stanęła przed nim.

– Przyznaję się do wykroczenia, matko Hildegardo. I nie będę się wzbraniała przed pokutą.

Brwi Hildegardy wystrzeliły w górę.

– Wcale w to nie wątpię, ale nie odpowiedziała siostra na moje pytanie.

Isabel znowu spróbowała.

– Pozwoliłam, aby moje myśli oddaliły się od Boga. Będę się modliła, żeby Pan wybaczył mi moją słabość. – Spuściła oczy na dywan i zaczęła liczyć nitki osnowy.

– Nie zamierzam dać się zbyć, siostrze. Co siostra robiła w moim biurze w środku nocy?

Jakby na zawołanie zaczął bić dzwon w kaplicy, po budynku klasztoru rozeszły się dwa niskie, dźwięczne tony. Była druga nad ranem.

– Szukałam czegoś w Internecie – wyznała Isabel.

– Zamieniam się w słuch.

Isabel zaryzykowała spojrzenie w górę. Matka Hildegarda nie kłopotowała się ubieraniem. Miała na sobie stary brązowy szlafrok i cienki bawełniany czepek na włosach. Bez długiego do ziemi czarnego habitu wypukłości, guzy i krzywizny leciwej kobiety wyraźniej rzucały się w oczy. Tak za trzydzieści lat będą wyglądała i ja, uzmysłowiła sobie Isabel. Stara i bryłowata, szara i wysuszona.

– Proszę wybaczyć, matko, ale wolałabym nie mówić.

– Siostrze, czy muszę siostrze przypominać... zresztą kolejny już raz... że złożyła siostra śluby posłuszeństwa?

Isabel westchnęła.

– Byłam ciekawa czegoś, czym zajmuje się Jessica. Chciałam się dowiedzieć więcej. Znalazłam raport i go wydrukowałam, żeby przeczytać później.

Hildegarda odchyliła się, łagodnie kiwnęła głową.

– Ach, Jessica. Niekiedy myślę, że wszystkie byśmy lepiej na tym wyszły, gdyby ta młoda osóbka odwiedzała nas o wiele rzadziej. Z drugiej strony, pewnie bardzo by nam jej tutaj brakowało.

Isabel czekała. Czasami dobrze mieć w rodzinie kogoś, kto w tak oczywisty sposób jest ulubieńcem przełożonej. Hildegarda pokręciła głową.

– Cóż, pewnie i tak już nie zasnę, poza tym jestem jakoś dziwnie spragniona. Proponuję, siostrze, żebyśmy przeszły cicho do kuchni i wstawiły wodę na herbatę. A potem mi siostrze wszystko wytłumaczy.

– Chciałam sprawdzić, jak to wygląda w innych krajach – zaczęła Isabel, kiedy już z matką Hildegardą siedziały w małej kuchni, a przed nimi na stole stały dwa kubki gorącej herbaty. – Pomyślałam, że w ten sposób pomogę Jessice. Ona ma tak mało czasu. A tą sprawą nie zajmuje się oficjalnie. Dlatego pomyślałam, że...

– Pomyślała siostrze, że skoro ma tyle wolnego czasu, to pomoże kobiecie, która go w ogóle nie ma? Czy muszę przypominać, siostrze, że czas tutaj jest nam dany w jakimś celu? Czas siostrze, mój i reszty sióstr należy do Pana Boga.

– Przepraszam.

– Siostra o tym wie, a jednak ten czas siostrze ciąży. Czasami się zastanawiam, czy siostrze na pewno wystarcza samo obcowanie z Naszym Panem.

Isabel zerknęła na przełożoną sponad obrzeża kubka.

– Nie mogę stąd odejść.

Stare oczy wpatrywały się w nią badawczo.

– Dlaczego nie? Bo czuje siostra, że to jest jej miejsce, czy dlatego, że jest tu od tak dawna, że straciła siostra orientację, gdzie indziej mogłaby żyć?

Isabel nie odpowiedziała. Hildegarda westchnęła.

– Naprawdę istnieją takie miejsca na świecie, gdzie biedni sprzedaliby własną nerkę, żeby wyżywić rodzinę?

– Nerkę i część wątroby – poprawiła Isabel. – Wątroba, nawet okrojona, najwyraźniej odrasta. I tak, robią to, żeby mieć na nakarmienie rodziny, na spłatę długów, a nawet, jak podejrzewa Jessica, żeby zapłacić przemytnikom za transport na Zachód. I wiem, że to brzmi strasznie, ale jeśli to, co znalazłam, to nie kłamstwo, handluje się nie tylko nerkami. Pobierane są też te narządy, bez których nie da się przeżyć. Na przykład serce.

Hildegarda się przeżegnała.

– W niektórych krajach lekarzom wolno pobierać narządy od zmarłych, po których ciała nikt się nie zgłosił. I oczywiście do szpitali, w których ci lekarze pracują, jakimś dogodnym zbiegiem okoliczności trafia bardzo wiele takich niechcianych przez nikogo zwłok. W innych krajach znów żywymi dawcami są więźniowie polityczni. Natknęłam się na opowieści o ludziach, którzy po pobraniu narządów nadal żyli, oddychali, a mimo to i tak trafiali do pieców kremacyjnych.

– Sostro, doprawdy nie wiem, czy któraś z nas przez najbliższy czas będzie mogła spać spokojnie. No ale niech siostra powie, czy znalazła coś, co mogłoby pomóc Jessice?

– Nie wydaje mi się. Miałam nadzieję, że wykombinuję, jak ten cały proceder może się odbywać w naszym kraju, ale wygląda na to, że wszystko podlega bardzo ścisłej kontroli. Nie widzę, jak taki nielegalny handel i przeszczepy mogłyby być możliwe u nas.

– Musimy mieć nadzieję i się modlić, że nie są. – Hildegarda dopiła herbatę i odstawiła swój kubek. – Chyba pora, żebym się zaczęła szykować do jutrzni, sostro. – Wstała i się rozejrzała. – Od kilku dni myślę o tym, że nasze okna w kuchni są już bardzo brudne. Może resztę nocy poświęci siostra na doprowadzenie ich do takiego stanu, żeby wpuszczały do środka nieco więcej światła.

– I to wszystko? – spytała Jessica. – Kazała ci umyć okna?

Kiedy skończyły karmić pawie, zaczęło padać, więc schowały się przed deszczem w szklarni. Te wielkie, długie i zawile wiktoriańskie konstrukcje zajmowały prawie całą długość zalecza klasztoru. W przeszłości służyły do uprawy warzyw. Teraz też tu jakieś rosnęły – pomidory, papryka, ogórki – większa

część jednak była zarośnięta dzikimi roślinami, które zasiały się same. Wysokie, poskręcane, na grządkach i w większych kadziach, w ciepłe wilgotne dni nadawały szklarniom wygląd tropikalnego lasu.

– Gdyby tylko. – Isabel teatralnie westchnęła. – Musiałam się publicznie wypowiadać. Opowiedzieć siostronom wszystko, czego się dowiedziałam, i poprosić, żeby razem ze mną pomodliły się o zakończenie tych okrutnych grzesznych praktyk. Modliłyśmy się za ofiary, o wybaczenie dla oprawców wykorzystujących bliźnich i o odwagę i siłę dla tych, których praca polega na ochranianiu słabszych i bezbronnych. Oczywiście specjalne modlitwy zostały odmówione za ciebie. Jeśli chodzi o ten temat, namodliłyśmy się naprawdę sporo.

– Cóż, w takim razie jestem zaskoczona, że problem nadal istnieje. No ale mimo wszystko dobrze jest wiedzieć, że po swojej stronie mam cały klasztor zwalczających przestępczość zakonnicek.

– Nie wspominając o Bogu.

Jessica zerknęła na siostrę z ukosa, ale Isabel wyglądała na zupełnie poważną.

Jakiś szelest z boku sprawił, że obie podskoczyły. Jessica podniosła się z żeliwnej ławeczki. Zobaczyła, że w kępie wysokich tropikalnych liści coś się rusza. Coś lub ktoś tam był, przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Halo?! – zawołała.

– Nie wiem, która z nas będzie bardziej zaskoczona, jeśli otrzymasz odpowiedź – mruknęła Isabel. – To był Fistaszek.

Liście znowu się poruszyły. Coś zdawało się przez nie ku nim przeciskać.

– A może Niezdara – ciągnęła Isabel. – Ale to Fistaszka najczęściej tu przyłapujemy. Zwłaszcza kiedy pada.

Liście się rozchyliły i między nimi pokazał się mały podłużny łąpek, wisiał kilkanaście centymetrów nad ziemią. Był w najpiękniejszym do wyobrażenia odcieniu błękitu, królewska kępka niebieskości, a na czubku sterczały pióra jak kwiaty. Ciemnobrązowe oczy zająrzyły na chwilę w oczy Jessiki, potem paw wychynął spomiędzy liści i minąwszy ją, odszedł alejką. Turkusowe pióra ogona, ozdobione setką niemrugających oczu, ciągnęły się za nim, gdy idąc, stukał pazurami w kamienne kafle.

– Fistaszek – orzekła Isabel.

– Tylko nie mów, że potrafisz je odróżnić – prychnęła Jessica.

– Oczywiście, że potrafię. Wszystkie potrafimy. Nawet siostra Serapis, a jest praktycznie ślepa. Tyle że ona chyba rozpoznaje je po skrzeku. Twierdzi, że każdy ma inny.

Paw obejrzał się na krótko, zanim znów zszedł ze ścieżki i zniknął za rzędem krzaczków pomidorów. Na widoku został tylko jego ogon, mieniący się masa błękitnoturkusowych piór.

– Ale powiem ci jedno – ciągnęła swoją opowieść Isabel. – Gdyby Hilda wiedziała, jak ta zgraja wciągnie się w tę całą historię, kazałaby mi ten raport spalić i nigdy nikomu nie wspominać o nim nawet słowem. One teraz nie rozmawiają o niczym innym. Na rekreacji już nie oglądamy amerykańskich sitcomów, tylko szukamy filmów dokumentalnych o przemyśle narządów. Kiedy siostra Serapis się dowiedziała, ile poszczególne narządy kosztują na czarnym rynku, dziesięć minut wyklócała się ze mną o to, że wątroba powinna być droższa od serca, bo oczyszcza organizm ze wszystkich toksyn. Siostra Alfreda zaproponowała, że sprzeda nerkę, żebyśmy miały na naprawę dachu kaplicy, a siostra Tabitha nalegała, żebym ci przekazała, że musisz – jej słowa, nie moje – obstawić Whitby, bo tam od wylądowania Drakuli^[4] zawsze działo się coś podejrzanego.

Jessica wróciła na ławkę i mruknęła:

– Ja chyba żyję w niskobudżetowym sequele *Zakonnicy w przebraniu*.

– Och, i jeszcze siostra Eugenia chciała, żebym koniecznie coś ci przekazała.

Jej zdaniem istnieje jakiś ogólnokrajowy policyjny system komputerowy, w którym rejestruje się wszystkie przestępstwa.

Jessica westchnęła.

– Prawdopodobnie miała na myśli HOLMES. Policyjną bazę danych.

– Siostra Eugenia uważa, że powinnaś ją przeszukać. Masz wpisać „ciemnoskórzy” i „dawcy narządów”, ze znaczkiem plusa. Bardzo to podkreślała. Podobno jej siostrzeniec studiuje informatykę.

– Wiem, o co jej chodzi. I nawet przejrzałam tę bazę, jak tylko się o tym wszystkim dowiedziałam. Nic.

– Ale może powinnaś zaglądać do niej regularnie? Powiedzmy co tydzień. Wcześniej czy później może na coś wpadniesz. Nie zniechęcaj się. Bądź cierpliwa.

Jessica się uśmiechnęła.

– Zabawne, w naszej rodzinie to nie ty byłaś tą cierpliwą.

Isabel przez szklaną ścianę szklarni spojrzała na mury klasztoru.

– Spędziłam w tym miejscu ponad dwadzieścia lat. Czego innego miałam się tu nauczyć?

Czwartek, 21 września

W porządku, ludzie – zaczął Ajax. – Mówimy o przypadkowym zgonie, prawdopodobnie w podejrzanych okolicznościach, młodej kobiety znanej jako Tahmina Farah, która wczoraj rano została przyjęta do Newcastle General. Mniej więcej w tym samym czasie do szpitala trafiły ofiary wypadku balonu, chociaż jestem przekonany, że to czysty przypadek. Posterunkowy Chapman, słuchamy z uwagą.

Steve Chapman, siedzący z przodu pokoju, wstał.

– Rozmawiałem z północnym okręgiem, bo to oni na początku zajmowali się wypadkiem. Tahmina została znaleziona u podnóża niewielkiego klifu tuż za Howick.

– Znaleziona przez kogo? – spytał Ajax.

– Porannego biegacza. Wkrótce na miejscu zdarzenia pojawiło się też kilku spacerowiczów z psami. Nikt nie widział, jak spadała, i na początku nie mieli pewności, czy żyje, czy jest martwa. Wezwali pogotowie, jak zwykle w takich przypadkach zjawił się też funkcjonariusz miejscowej policji. Zawieziono ją do Newcastle. Krótco potem dojechała para krewnych, dwóch mężczyzn.

Chapman zerknął do notatek.

– Mohammed Farah, o ile mi wiadomo niespokrewniony z tym znanym lekkoatletą. I Abdul Bari. Farah to rodzina denatki. Udzielił zgody na odłączenie aparatury i na pobranie narządów.

Siedzący w sali funkcjonariusze robili notatki. Większość jednak patrzyła na Chapmana z lekko zmarszczonymi brwiami.

– I w tym punkcie robi się ciekawie. – Chapman najwyraźniej wyczuł, że traci uwagę kolegów. – Mo i Abdul po uzyskaniu wszystkich potrzebnych informacji na temat urządzenia pogrzebu opuścili szpital i zniknęli. Kiedy w następstwie niepokojących zeznań lekarzy próbowałem się z nimi skontaktować, ich numery były nieosiągalne. Pod adresem, który podali, rzeczywiście mieszka rodzina o nazwisku Farah, łącznie z młodą kobietą o imieniu Tahmina, ale ta dziewczyna, kiedy się tam pojawiłem, wyglądała krzepko i zdrowo. Nikt z nich nie wiedział o wypadku z poprzedniego dnia, nie zaginęła żadna młoda kobieta należąca do rodziny.

– Kradzież tożsamości – rzucił ktoś.

– Tych dwóch ją zabiło? – zapytał ktoś inny. – Zabójstwo honorowe? Czy może przypadek?

– Może – odrzekł Chapman. – Tylko po co przyszli do szpitala, po co ten cały galimatias ze zgodą na przeszczep i dlaczego podali fałszywe nazwiska?

– Chappers, ten Mo i Abdul przypuszczalnie wrócą do Newcastle General, żeby odebrać zwłoki – wtrącił się Ajax. – Nie będą wiedzieli, że zajęliśmy się sprawą. Kiedy można się ich spodziewać?

– Jeszcze dzisiaj.

– Poślij tam ludzi po cywilnemu – polecił Ajax. – Kiedy się pokażą, aresztujcie ich. Ale nie ty, Chappers. Przekaż sprawę Charliemu, niech on ją ciągnie. Ciebie potrzebuję do poszukiwań Jessiki Lane.

Chapman usiadł, Ajax wstał.

– Ta kobieta, Jessica Lane, nie powinna była przeżyć – zaczął. – W wypadku zginęło jedenaście osób. Lane nie tylko przeżyła, ale i uciekła. I wciąż ucieka. A ja chcę wiedzieć dokąd. Chcę wiedzieć, dlaczego się z nikim nie skontaktowała. Dlaczego nie szuka pomocy. Dlaczego tak unika policji. Chcę wiedzieć, przed kim ucieka. Ale najbardziej chcę ją znaleźć.

Na wąskich, wyłożonych kocimi łbami ulicach Yorku z tudorowskimi frontami domów panował tłok. Rozświetlone, obłożone towarami witryny sklepów wyglądały jak sznureczek rozrzuconych prezentów gwiazdkowych. Wszędzie, gdzie szła, brzęczały dzwoneczki, ludzie się nawoływali, ryczały silniki przemykających samochodów. Z każdych otwartych drzwi wydobywał się inny zapach: tropikalnych perfum, pieczystego, podpalanego cukru. Po głuszy Parku Narodowego i leniwym spokoju małych miasteczek Northumberland rozmiar, pośpiech i hałas Yorku stanowiły szok dla zmysłów.

Mostem Micklegate przeszła na drugą stronę rzeki Ouse, zadowolona, że ma na sobie dwie kurtki, bo w Yorku było zimno. Lodowaty wiatr wiał tu za każdym rogiem. Skutek usytuowania miasta, leżącego dalej w głąb lądu niż Berwick-upon-Tweed, i ocieplenia się morz.

Z kapturem niebieskiej kurtki naciągniętym na głowę, trzymając się wąskich starych uliczek, gdzie jest mniej kamer, wiedząc, że samotna kobieta będzie bardziej podejrzana, bo policja szukała kobiety idącej w pojedynkę, przyłączała się do mijanych grup turystów, nawet przez kilkaset metrów szła z grupą z przewodnikiem.

W obawie, że zostanie wypatrzona, nie wybrała bezpośredniej trasy ze stacji. Zamiast tego udała się na Stare Miasto, gdzie kluczyła po wąskich uliczkach, jakby próbowała pozbyć się „ogona”, którego przecież raczej nie było, no bo skąd. A jednak uczucie, że jest śledzona, że ktoś na nią poluje, stawało się silniejsze z każdą sekundą.

Kiedy w pobliskim kościele zegar wybił szesnastą, dotarła do ulicy biegnącej przy południowo-zachodnim odcinku murów Starego Miasta. Na rogu się zatrzymała i stała tam kilka minut, mając świadomość, że policja może się poruszać najróżniejszymi pojazdami.

Po dziesięciu minutach przekradła się do alejki z ciągiem szeregowców po obu stronach. Przy jedenastych drzwiach z rzędu zatrzymała się i rozejrzała. Nikt nie wychodził. Rozpędziła się, znalazła podpórkę dla stóp, wspięła się i przeskoczyła. Pojemnik na śmieci po drugiej stronie wyhamował jej upadek.

Przestrzeń na tyłach to był po części ogród, po części pusty wybieg dla psa. Dwa owczarki niemieckie dzielące dom z jego mieszkańcami gatunku ludzkiego znajdowały się w tej chwili w swoich budach. Przemknęła obok posążka płaczącej zakonnicy, przecięła niewielki trawnik i otworzyła tylne drzwi.

– Neil?! – zawołała, chociaż już wyczuła, że dom jest pusty. Zdjęła buty, ściągnęła i odwiesiła obie kurtki, napiła się wody prosto z kranu i mleka z lodówki, prawie całą butelkę. Zjadłaby i wypiła więcej, ale nie znalazła nic świeżego. Były

tylko kawałek sera, który się zsechł i popękał, jakiś bekon, kilka zwiędłych warzyw. Lodówka mówiła tak samo wyraźnie jak cichy dom, że nikogo w nim nie ma. Stał pusty od kilku dni.

Naczynia i sztucce w suszarce były wyschnięte na kość. Dużego kuchennego noża ktoś użył do otwarcia brązowej koperty, ale stempel na niej datował się sprzed kilku dni. Nóż leżał niebezpiecznie blisko krawędzi blatu. Silniejszy przeciąg mógł go zrzucić na podłogę. Podniosła nóż i odłożyła na kopertę.

Na ladzie, przy pojemniku na pieczywo, leżała duża paczka babeczek z masłem orzechowym. Na ich widok, żeby się nie przewrócić, chwyciła się brzegu blatu. Przyłożyła głowę do chłodnej melaminy drzwi szafki. To było dziwne: rzeczy, z którymi potrafiła sobie poradzić, i te, przez które załamywała się w sekundę.

Zasłony w salonie były rozsunięte. Niczego nie dotykając ani nie przesuwając, przeszła przez parter do korytarza i schodów prowadzących na piętro. Potrzebowała się wykapać, przebrać w coś czystego i trochę odpocząć w ciepłe. Zanim przyjdą jej szukać.

Na górze minęła troje zamkniętych drzwi i na końcu weszła do głównej sypialni, a potem do dołączonej do niej łazienki. Była urządzona w stylu wiktoriańskim, ze ścianami z jasnokremową boazerią. Prawie całą powierzchnię pomieszczenia zajmowała olbrzymia wolnostojąca wanna na lwich łapach.

Na półce między umywalką a lustrem leżała cienka laseczka z białego plastiku, z dwoma małymi okienkami, każde pokazujące cienką niebieską kreskę. Podniosła prostokącik, ale nie widziała go wyraźnie, bo znowu płakała. Ścisnąc mocno tester, wróciła do sypialni, położyła się na łóżku i wcisnęła przycisk w pilocie do małego telewizora. Wyszukanie kanału wiadomości BBC zajęło jej kilka minut.

Mężczyzna, którego widziała w telewizji rano, inspektor Ajax Maldonado, stał przed posterunkiem policji w Newcastle.

– „Mamy powody przypuszczać, że Jessica Lane przeżyła wypadek balonu i może pilnie potrzebować pomocy medycznej. – Maldonado potrafił się znaleźć przed kamerą. Nie był przesadnie oficjalny, pułapka, w którą wpada większość skrzepowanych występem funkcjonariuszy. – Być może jest w silnym stresie pourazowym. Możliwe nawet, że nie pamięta dokładnie, co się jej przytrafiło. – Przerwał i zerknął na coś, co trzymał w rękach. – Ktokolwiek zobaczy panią Lane, nie powinien się do niej zbliżać – w jej stanie dezorientowania może być niebezpieczna dla siebie i innych – natomiast od razu powinien skontaktować się z policją”.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie. To samo, które widziała przez cały dzień na ekranach różnych telewizorów. Młoda kobieta z ciemnymi włosami, w jasnozielonej kurtce. Potem wrócił Maldonado. Na pasku na dole ekranu przesuwał

się numer telefonu kontaktowego.

– „Gdzie, pana zdaniem, ona może się znajdować, inspektorze? – spytał dziennikarz, niewidoczny na ujęciu. Duży futrzany mikrofon został przystawiony Maldonado prawie do samej twarzy”.

– „Dlaczego nie zadzwoniła na policję?! – zawołał inny reporter”.

Maldonado kiwnął głową na podziękowanie i odszedł w stronę budynku.

Leżała z głową na poduszce i nagle dotarł do niej powiew piżmowego zapachu męskiej wody toaletowej. Neil.

Dwa lata wcześniej

Nie uważasz, że zaczynasz... no, nie wiem... wpadać w obsesję?

Jessica obróciła się z krzesłem w stronę Neila. Stał w drzwiach, nagi, nie licząc bokserek, czerwony na twarzy, ze spoconą klatką piersiową. W nocy zawsze zamieniał się w piec, a ona wciąż nie potrafiła się przyzwyczaić do budzenia się w pościeli mokrej od jego potu.

– Wybacz – rzuciła. – Wracaj do łóżka.

Nie zrobił tego. Wszedł głębiej do pokoju i odwrócił ją twarzą do ekranu. Podniosła dłonie do jego dłoni, spoczywających na jej ramionach i razem wpatrywali się w mapę północy Anglii.

– Po drodze, jak wracałam, słyszałam w radiu pewną historię – powiedziała. – Młoda kobieta z Newcastle umiera na jakąś chorobę wątroby. Bez przeszczepu przeżyje najwyżej kilka dni. Nikt z bliskiej rodziny nie jest z nią kompatybilny. Potrzebny jest dawca. Prawdopodobnie jeszcze dzisiaj w nocy.

Jego palce powędrowały do jej szyi.

– W wiadomościach też o tym było. Ma liczną rodzinę. Kolorowa zgraja. Katolicy. Mówili, że modlą się o cud.

– Ale cud dla nich to tragedia dla kogoś innego. Trochę to koszarne. Ktoś musi dzisiaj zginąć, żeby ona mogła przeżyć. I to mogłam być ja. M1 jest zakorkowana. Wiesz, jak jeżdżą te wielkie ciężarówki. Przez całą drogę tylko czekałam, aż coś się stanie.

– No dobra, teraz to już naprawdę posuwasz się za daleko.

Do pokoju wszedł jakiś ciemny kształt, olbrzymi owczarek niemiecki, suka, jeden z dwóch psów mieszkających z nimi w domu. Suka podeszła i przycisnęła się bokiem do Neila. Zabrał jedną rękę z ramienia Jessiki i podrapał psa za uchem.

– Dawstwo narządów nigdy nie łączy się z dobrymi wiadomościami – oznajmiła Jessica. – Ilekroć jakiś staje się osiągalny, oznacza to, że ktoś umarł. Gdzieś jakaś rodzina rozpacza.

– Ale ci ludzie i tak umierają. Dawcy i biorcy nie są ze sobą powiązani.

– A jeśli są?

Neil westchnął ciężko.

– Jess, wszystko, co masz, to tylko jakaś niedokładnie zapamiętana historia o umierającym na serce mężczyźnie i plotki o imigrantach, którzy boją się północnych portów. – Nachylił się i wyłączył komputer. – Przeczesałaś statystyki i niczego nie znalazłaś. Rozmawiałaś z odpowiednimi służbami i usłyszałaś od nich,

że to niemożliwe. W tym naprawdę nic nie ma.

– Wiem.

– No widzisz. A w ogóle to sądziłem, że siedzisz tu, bo martwisz się o swoją nową pracę.

Sięgnęła przez stół po kieliszek z winem i go opróżniła.

– O tym też myślałam.

– Czy może bardziej o tym, że się do mnie przeprowadzisz i zamieszkaż ze mną i z moimi dziewczynami?

Zerknęła w dół i napotkała parę brązowych psich oczu.

– O to akurat wcale się nie martwię.

– Naprawdę, bo one potrafią być bardzo zazdrosne.

– Nie szkodzi, dopóki nie będą chciały dzielić z nami łóżka.

Neil odwrócił ją do siebie, ściągnął z fotela i zwrócił twarzą do drzwi.

– No właśnie, tak à propos łóżka. – Łagodnie wypchnął ją z pokoju. Pies chciał iść z nimi, ale przy drzwiach sypialni został odprawiony.

Czwartek, 21 września

Patrick wrócił na swoje miejsce. Serce nadal mu waliło. Nie lubił starć w barach, chyba że sam je inicjował.

Dwóch chłopaków przy barze, tych, którzy próbowali przełączyć telewizor na czwórkę, żeby oglądać wyścigi, coś do siebie mamrotało. Facet za kontuarem polerował szkło i obserwował lokal. Na Patricka już nikt nie patrzył, ale wiedział, że nadal jest pod ostrzałem.

„Miałeś nie zwracać na siebie uwagi, idioto!” Głos matki słyszał prawie tak wyraźnie, jakby tu z nim była.

Zresztą ta cała kłótnia okazała się niepotrzebna. Relacja w wiadomościach akurat się kończyła, Maldonado wracał na posterunek.

Jessica Lane z Yorku. Zdezorientowana. Zagrożająca sobie i innym. Kobieta w jasnozielonej kurtce.

Ręka mu drżała. Sięgnął po swojego drinka, powąchał go. Czasami to wystarczało. Ale nie tym razem. Kufel piwa na stole przed nim stał nieruszony. I tak zostanie. Nigdy nie pił piwa. Piwo było na pokaz i żeby obsługa dała mu spokój i nie sugerowała, że powinien opuścić lokal. Czego potrzebuje, to popitki z podwójnej whisky. Więcej niż zwykle.

W telefonie otworzył plik ze zdjęciem Jessiki Lane, tym, które Jimmy wyszukał dla niego wcześniej w Internecie. Było inne niż to z policji. Na fotografii, w którą się wpatrywał przez cały dzień, Lane nie była w zielonej kurtce.

Coś tu, kurwa, nie gra, pomyślał.

Wybrał numer w komórce. Zajęte. Pomyślał, że w takim razie chyba zadzwoni do matki.

Dokończył whisky. A potem sięgnął po piwo.

Sir, musi pan to zobaczyć.

Ajax nie spał od dwudziestu czterech godzin i zaczynał to odczuwać. Podniósł głowę z biurka i skupił wzrok na Chappersie, który stał w drzwiach.

– O co chodzi? – spytał.

– Kilka minut temu zadzwonił Finley. Myślę, że ma rację, ale pan też musi spojrzeć.

Finley z działu IT pokazał się w drzwiach, potem obaj mężczyźni weszli do pokoju.

– Przepuściłem zdjęcie Jessiki Lane przez system rozpoznawania twarzy, jak pan polecił – oznajmił informatyk. – Wyrzuciło coś bardzo interesującego. Wysłałem panu maila.

Nachylił się nad komputerem Ajaxa i otworzył jego skrzynkę pocztową.

– O tu, zdjęcie zrobione trzy dni temu o osiemnastej trzydzieści.

Ujęcie pokazywało recepcję w komendzie – biurko sierżanta, tablice, krzesła petentów. Obrotowymi drzwiami do środka wchodziły trzy osoby.

– Ta pośrodku – odpowiedział Finley. – Powiększyłem, ile się dało.

Ajax nachylił się bliżej. Trzy osoby na zdjęciu były w krótkich fartuchach włożonych na ubrania. Personel firmy sprzątającej przychodzący do budynku co wieczór, kiedy kończyła się zmiana.

– Ta w środku – powtórzył Chappers.

Ajax przetaił oczy. Sprzątaczką w środku była trzydziestokilkuletnią kobietą, wzrost około metra siedemdziesięciu, waga pięćdziesiąt kilo. Ciemne włosy miała związane w wysoki kucyk.

– Znaleźliśmy ją jeszcze na kilku ujęciach – poinformował Finley. – Ale prawie zawsze ma spuszczoną głowę, jakby wiedziała, gdzie są kamery, i ich unikała. To jest jedyne, na którym widać jej twarz.

Ajax pokręcił głową.

– No, nie wiem.

– Domyślałem się, że tak pan powie. Proszę zatem spojrzeć na zdjęcie zrobione dzisiaj o trzeciej na stacji Berwick.

Pojawiła się następna fotografia. Tym razem kobieta miała włosy rozpuszczone, ciemne, kręące się. Ale twarz była ta sama.

Ajax spojrział na Chappersa.

– Pokazywałeś to komuś jeszcze?

– Nie, sir. Przyszliśmy od razu do pana. Sądzi pan, że to Jessica Lane?

– Och, jestem o tym przekonany – odparł. – Pytanie brzmi tylko, kogo lub co w tym budynku sprawdzała. Jakie śledztwo prowadziła.

Obudziło ją szczekanie psa na ulicy. Usiadła prosto na łóżku, rozpalona, zadyszana, ale szczekanie było wysokie, sugerowało małego psa, nie tego, który jej szukał. W czasie, gdy spała, dom zdążył pograć się w ciemności.

Nadal ściskając w dłoni wąski biały prostokąt testera, wstała, z nawyku poprawiła narzutę i odniosła tester do łazienki, po czym puściła wodę w wannie.

Wróciła do sypialni. Znalezienie wygodnych spodni, swetra i obszernego polaru, bielizny i skarpet zajęło jej kilka minut. Brudne rzeczy wylądowały w koszu na pranie. Kilka kolejnych sekund szperania i znalazła komórkę Neila. W górnej szufladzie komody, tam, gdzie mówił, że będzie. Odłożyła ją na komodę, za drzwiami łazienki znalazła szlafrok, podniosła plecak i wyszła na korytarz.

Najmniejsza sypialnia w domu była zamieniona na biuro. Wiedziała, że w najniższej szufladzie biurka znajdzie pieniądze. Trzysta funtów. Wrzuciła je do plecaka.

Na biurku leżał laptop.

„Wysłałam Neilowi hasło do laptopa. Mam tam mnóstwo ważnych rzeczy”.

W laptopie znajdowało się wszystko, co miało związek z dochodzeniem, które w minionych dwóch latach pochłonęło tyle czasu i energii. I te informacje znajdowały się tylko w nim.

Wsunęła cienki komputer do plecaka, rozejrzała się za ładowarką i ją też zabrała. Potem wróciła do łazienki i zdjęła szlafrok.

Wannę otaczała gruba zasłona prysznicowa, w środku utworzyła się kapsuła słodko pachnącej pary. Weszła za zasłonę i krzyknęła z bólu. Wszystko ją szczypało. Całe ciało miała w sińcach i zadrapaniach, niektórych jeszcze oblepionych skorupą zaschniętej krwi. Usiadła, zacisnęła zęby i sięgnęła po mydło. Po jakimś czasie rany przestały szczypać.

Od ciepłej wody, pary i ciemności zrobiła się senna, jeszcze zanim zdążyła się namydlić i umyć włosy. Przysnęła, otoczona błyszczącymi na wodzie mydlanymi bańkami.

Obudził ją odgłos otwierania drzwi wejściowych. Trzasnęły, aż się cały dom zatrzęsł. Usłyszała kroki w wyłożonym kafelkami holu. Ciężkie. Tupot płaskich butów.

Wrócił Neil.

Nie tak miał ją zastać. Podciągnęła się w górę, starając się nie wzburzyć wody, żeby nie było nic słychać. Przełożyła jedną nogę na zewnątrz i żeby nie zalać podłogi, złapała ręcznik.

Odgłos innych kroków – tym razem lżejszych, szybszych – sprawił, że zastygła w bezruchu. Holem za Neilem szedł ktoś w butach na wysokich obcasach.

Drzwi łazienki były leciutko uchylone. Przez szparę słyszała szelest zdejmowanych wierzchnich ubrań, ściąganych butów, a potem głosy potwierdzające to, czego już się domyśliła. Neil jest na dole, rozmawia z jakąś kobietą. I ta kobieta to nie policjantka, bo policjanci, wchodząc do ludzi, nie zdejmują butów.

Usłyszała odgłos zasysania towarzyszący otwieraniu drzwi lodówki, brzęk szkła, odgłos nalewania i nagle sobie przypomniała, że jest przecież nago. Szybko wciągnęła majtki, spodnie, bawełnianą bluzkę, grube skarpety. Ledwie skończyła się ubierać, usłyszała, że Neil i kobieta dotarli do szczytu schodów. Położyła dłoń na kłamce.

– Nie powinno mnie tu być – oznajmił kobiecy głos. – Ona się może w każdej chwili pojawić.

Jakby para w łazience wzmacniała dźwięk, usłyszała stukot szkła stawianego na twardej powierzchni i skrzypienie otwieranych drzwi szafy.

– Jeśli się pojawi, to się pojawi – odpowiedział Neil. – Mam już dosyć tego ukrywania. Nie rozmawiajmy więcej dzisiaj o tym, dobrze?

Odgłos zaciąganych zasłon.

– Trochę to okrutne – odparł kobiecy głos. – Dopiero straciła siostrę. Nie wspominając...

– Taa, wiem.

Cisza w sypialni.

– Powinnam iść – powtórzyła kobieta.

Skrzypienie sprężyn łóżka.

– Ona tu nie przyjdzie – zapewnił Neil. – Pójdzie do klasztoru. To tam na pewno szła, kiedy ją zauważono w Wooler. Przyjaźni się z tamtejszymi zakonnice. Nie zdziwiłbym się, gdyby pewnego dnia sama wstąpiła do tego klasztoru.

Sprężyny znowu zaskrzypiały.

– Neil, nie możemy. Nie teraz. Nie, mówię serio.

Nawet za drzwiami łazienki słyszała odgłos ściąganych ubrań, rzucanych na podłogę, a potem ciche stęknienia, takie, jakie towarzyszą pocałunkom. Usłyszała, że łóżko znów zaprotestowało, gdy para przeniosła się na nie.

Wstrzymując oddech, zbliżyła się do drzwi i przez szparę zobaczyła na łóżku dwie osoby. Neil wciąż w dzinsach, górę i stopy miał gołe. Kobieta w czerwonej bieliźnie. Ubrania rozrzucone na dywanie. Na komódce przy drzwiach butelka czerwonego wina i kieliszek. Telefon leżał za butelką. Jeśli to ta kobieta odstawiła butelkę, Neil mógł nie zauważyć swojej komórki zaraz za nią. Nie widział, że wyjęła ją z szuflady.

Kobieta w czerwonych majtkach, szczupła, z kręconymi ciemnymi włosami, znieruchomiała.

– Co to było? – spytała.

Neil całował ją po szyi.

– Co miało być?

– Coś usłyszałam.

Głowa Neila przesunęła się w górę, żeby mógł dosięgnąć ucha partnerki. Lekko go odepchnęła.

– Neil, myślę, że na dole ktoś jest.

Odsunął się.

– To niemożliwe.

Nie, to nie było niemożliwe. Intruz, podglądacz, jest na górze, w dołączonej łazience, próbuje zebrać odwagę, żeby wyjść i powiedzieć to, co należało powiedzieć. Niemożliwe, żeby na dole był ktoś jeszcze. Prawda? Nagle bardzo przestraszona, cofnęła się, odsunęła od drzwi łazienki.

– Chyba słyszałam trzask tylnych drzwi – upierała się kobieta na łóżku. – Cholera, to Jessica.

Nie zamknęła tylnych drzwi.

– Idź i sprawdź.

– Nie mogę zejść na dół. Stoi mi jak wieża. Sama zobacz.

Cichy chichot, kolejne zduszone pojękiwania.

Policja, jeśli ją wysłedzili, nie weszłaby do domu ukradkiem, tylnym wejściem. Zapukaliby, głośno i natarczywie, we frontowe drzwi. Ale teraz i ona coś słyszała. Ciche kroki, jakby ktoś skradał się po schodach.

Sapnięcie, kobiety w sypialni, ostre i wysokie. Nie do końca krzyk.

– Co się stało? – spytał Neil. – Co takiego zrobiłem? Aaarrrgh!

To Neil, jakby się dusił. Cichy, przerażony szloch jego partnerki.

Uczucie nierealności tego, co się działo, narastało w niej z każdym krokiem, który stawiała. Z sypialni przypląły nowe odgłosy, żaden nie napawał otuchą. Wyciągnęła szyję, żeby przez dwucentymetrową szparę zajrzeć w głąb pokoju.

A tam, mniej niż dwa metry od niej, stał Patrick Faa. Zdjął skórzaną kurtkę, swój filcowy kapelusz, był tylko w białym podkoszulku. Krzyżyk na łańcuszku przerzucił na plecy. Na prawym bicepsie miał wytatuowany krzyż celtycki. Bransoletka spleciona z włosów, ta, którą zauważyła w nocy, wisiała na lewym nadgarstku, na którym większość mężczyzn nosi zegarki. W obleczonej rękawiczką prawej dłoni trzymał nóż z błyszczącym czerwienią ostrzem. U jego stóp leżała zielona kurtka. Kurtka, której poszukiwało pół kraju. Musiał ją znaleźć na dole.

Wiele więcej nie była w stanie dojrzeć i dziękowała za to Bogu. Ale wszystko słyszała. Przeróżające zawodzenie kobiety i cisza ze strony Neila, o wiele gorsza.

Faa, z oczami wbitymi w łóżko, zaczął się przesuwac w stronę drzwi, jakby chciał zatarasować tamtej kobiecie drogę ucieczki.

Neil leżał na łóżku, twarzą do dołu, nieruchomo. Nie żył. To było pewne.

Nie da się przeżyć, gdy się straciło tyle krwi. Była wszędzie, na łóżku, na półnagiej kobiecie, skulonej i wciśniętej w poduszki, strzelała wysoko w górę, obryzgiwała ściany, sufit, nawet zasłony. Faa przeciął Neilowi aortę, nic innego nie tłumaczyło tak dramatycznego krwotoku. Zakradł się do pokoju, gdy para była zajęta sobą, złapał Neila za włosy i poderżnął mu gardło. A teraz, nie spiesząc się, wpatrywał się w plecy i tyłek kobiety, która na czworakach szczołgiwała się z łóżka na dywan. Brakowało jej sił, żeby się dźwignąć na nogi, czepiała się zasłon, jakby zaraz miała rzucić się na zewnątrz przez zamknięte okno.

Faa odszedł od drzwi i uważając, żeby nie wejść w plamę krwi, która już zbierała się na dywanie, obszedł łóżko. Kiedy chwycił kobietę za włosy, ta zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć. Próbowwała się wyrwać, szamocząc się, upadła na kolana.

On myśli, że ta kobieta w sypialni to ona. Myśli, że to ją zabija.

Krzyki nagle ucichły, poczuła, że w nogi z tyłu wbija jej się twarda emalia. Zaczęła się cofać do boku wanny, a tymczasem kobieta w sypialni błagała:

– Nie, nie, proszę, Boże, nie.

Wanna była odsunięta od ściany jakieś dziesięć centymetrów. Kiedy usłyszała końcowe zduszone charczenie, wsunęła się szybko w wąską przerwę, licząc na to, że za grubą zasłoną nie będzie jej widać. Zacisnęła oczy i sztywno wyprostowana zamarła, starając się oddychać równomiernie i płytko, żeby tylko nie poruszyć oddechem zasłony.

Ktoś na pewno usłyszał wrzaski. Po obu stronach są domy, nie mają aż tak grubych ścian, żeby zagłuszyły taki hałas. Sąsiedzi na pewno się zaniepokoją.

W sypialni było cicho.

W łazience – przenikliwy odgłos kapnięcia, gdy kropla wody spłynęła z zasłony do wypełnionej wodą wanny. Drzwi łazienki otworzyły się. Światło z sypialni obramowywało jego sylwetkę na progu. Widziała zarys głowy, ramion, nawet noża. Zdawało się, że patrzy prosto na nią.

Usłyszała kroki na terakocie, szelest odsłanianej po drugiej stronie wanny zasłony. Usłyszała, że woda się poruszyła, kiedy zanurzył w niej dłoń, żeby sprawdzić temperaturę.

Słyszała, jak bierze długi i głęboki wdech.

Odwrócił się. Usłyszała, że wychodzi z łazienki, schodzi ciężko po schodach, a potem opuszcza dom tylnymi drzwiami.

W wypełnionym parą ciemnym pomieszczeniu zrobiło się jeszcze ciemniej.

Z sypialni dobiegł cichy, niski dźwięk. Kiedy go usłyszała, wysunęła się zza wanny. Wezwie pogotowie, udzieli pierwszej pomocy, jeśli to tylko jeszcze coś da. W oddali rozległ się ryk syren. Mogły nie mieć nic wspólnego z nią. Może tylko tędy przejeżdżają. Musi mieć pewność. Odszuka telefon.

W sypialni wciąż paliło się przyćmione światło. Neil leżał twarzą do dołu na łóżku. Kobieta u jego stóp na zielonej kurtce, ziejąca rana w gardle przypominała szeroko otwarte, wygłodniałe usta. Żadne nie wyglądało, żeby żyło.

Znowu ten dźwięk. Zobaczyła, że w ranie na szyi kobiety formuje się bańka krwi. Rosła i rosła, a potem się rozprysła. Kobieta była martwa. Odgłosy wydawało jej martwe ciało.

Nóż, którego użył Faa, leżał na bladozielonym dywanie jak halloweenowy rekwizyt. Ale kiedyś był to prawdopodobnie zwykły nóż kuchenny.

To był zwykły nóż kuchenny. To nim otwarto brązową kopertę na dole, a potem zostawiono go blisko brzegu blatu. Miała go w rękach, dotykała go, nie śniąc nawet, do czego wkrótce zostanie użyty.

Jak to się dzieje, że on ją ciągle znajduje? Skąd zawsze wie, gdzie jest?

Znowu jakiś dźwięk, za jej plecami. Butelka z winem została przewrócona, wino skapywało z komody na dywan. Kieliszek, z którego pił Neil, był obryzgany krwią. Podobnie jego zegarek. Komórka zniknęła.

Obejrzała się na martwą parę, na pokój zalany krwią, na nóż na dywanie.

Nóż, na którym są jej odciski.

Popatrzyła na zieloną kurtkę, do połowy zakrytą ciałem martwej kobiety. Nosila ją praktycznie bez przerwy od środy rano, a teraz ta kurtka jest ubabrana krwią innej kobiety.

Wycie syren się zbliżało.

Złapała plecak, teraz ciężki, bo z laptopem. Na dole włożyła buty trekkingowe i dużą kurtkę Neila. Pod wpływem impulsu ściągnęła z blatu paczkę babeczek z masłem orzechowym i wcisnęła je do kieszeni. Światło latarki dopadło ją, gdy dawała krok za próg.

– Stać, policja!

Patrick siedział w swojej furgonetce. Spryskał ręce środkiem odkażającym, potem wytarł chusteczkami. W schowku znalazł plastikową torebkę z Lidla. Wrzucił do niej chusteczki i obryzgany krwią podkoszulek. Najchętniej wyrzuciłby go gdzieś na ulicy, choćby do kosza, ale wiedział, że jest zbyt blisko domu. Ktoś mógłby znaleźć podkoszulek.

Sięgnął za siebie i wymacał sweter. Zabrał go ze sobą, bo już wyjeżdżając, przeczuwał, że tego dnia może się dobrze pobrudzić.

Jeszcze nie zdążył uruchomić silnika, kiedy usłyszał wycie syren. Nie przejął się. Stał dobre dwieście metrów od domu, na innej ulicy. Pięćdziesiąt metrów dalej wóz policyjny – błyskające światła, wyjąca syrena – przeciął górę ulicy. Potem następny. Opuścił lekko szybę i usłyszał kroki, szybko się zbliżające.

Z alejki wyłoniła się jakaś kobieta, pędziła co sił. Włosy rozpoznał od razu, twarz sekundę później. Jessica Lane. Jak to możliwe, do diabła? Przystanęła na sekundę, potem pobiegła w prawo, przez ulicę, wskoczyła na murek i wspięła się na porośniętą trawą zbocze. Biegła do ścieżki okalającej u góry mury miejskie.

Minął go trzeci radiowóz i skręcił w ulicę przed nim.

Po kilku sekundach z zaułka wyskoczył policjant krzyczący coś do krótkofalówki. Policjant zatrzymał się i żeby odzyskać oddech, pochylił, oparł ręce na kolanach. Potem pobiegł na róg ulicy i tam zaczął świecić latarką. Dostrzegł kobietę, gdy była już prawie na szczycie wzniesienia. Rzucił się za nią.

Lane dotarła do muru na szczycie nasypu i pomknęła biegnącą wzdłuż niego ścieżką, kierując się na północ, w stronę miasta.

Patrick znał York. Znał mury miejskie, wiedział, gdzie są wyjścia i wejścia. Wiedział też, że kiedy Lane dotrze do Station Road, prawie na pewno będzie musiała zejść na dół. Będzie tam na nią czekał. Uruchomił silnik i jak gdyby nigdy nic, wolno wyjechał na ulicę. Potem, jadąc w stronę rzeki, stopniowo się rozpędzał. I przez cały czas się zastanawiał, kogo, do jasnej cholery, zabił w domu.

Biegła bez zastanowienia, jak najdalej od światła latarki, alejką na tyłach rzędu domów.

– Policja!

Nie zatrzymała się. Po drugiej stronie ulicy spostrzegła duży biały samochód dostawczy. Za kierownicą ktoś siedział. Patrick Faa. Zmieniła kierunek, przecięła ulicę, przeskoczyła niski murek i wbiegła na stromy trawiasty nasyp. Okrzyki w dole nakazywały jej się zatrzymać. Wdrapywała się dalej, aż dotarła na szczyt.

Zdyszana, wbiegła na wyłożoną płytami chodnikowymi ścieżkę okalającą górną część średniowiecznych kamiennych murów miejskich. Po jednej stronie był trawiasty nasyp, na który się właśnie wdrapała. Po drugiej – urwisko.

Niedaleko jest stacja. Mogłaby wskoczyć do pociągu, jakiegokolwiek. Wzięła głęboki wdech i ruszyła. Minęła dom. Kątem oka widziała błyskające niebieskie światła. Niewyraźne postacie w odblaskowych kurtkach bębniły w drzwi. Z okolicznych domów na ulicę wylewali się zaciekawieni sąsiedzi.

Zaryzykowała i szybko obejrzała się za siebie. Dwóch mężczyzn w mundurach pokonało już nasyp. Przyspieszyła. Przebiegła nad bramą Micklegate Bar i pędziła dalej w stronę zachodniego rogu. Skręciła i zobaczyła mury dworca głównego. Żadnego zejścia na dół.

Okrzyki z tyłu. Jeszcze jej nie doganiali, ale wcześniej czy później znajdzie się w ślepej uliczce. Po zmroku bramy na murach były zamykane. Policja przekaze wiadomość, wyślą ludzi do następnej. Będą tam na nią czekali. Nie ma innej możliwości, musi zejść z murów. Przygotowała się do zeskoczenia, ale w ostatniej sekundzie, bezpośrednio na ulicy pod nią, dostrzegła radiowóz.

Znowu pobiegła, świadoma, że wóz policyjny jedzie za nią. Na widoku pojawiły się oblane światłem wieże katedry. Wszystko, co mogła, to biec dalej. Tylko że przed nią, blokując drogę, była czarna brama z kutego żelaza, wysoka prawie na dwa metry, z białą różą Yorku wytłoczoną na czerwonej tabliczce.

Przeszkoda. Ale nie dla tych, którzy nie mają nic do stracenia. Dobiegła do bramy, złapała się jej, oparła stopę na starym żelaznym zamku i podskoczyła. Prawa stopa odszukała krzyżujące się pręty. Trzymając się bramy, żeby nie stracić równowagi, przerzuciła nad nią ciało i zeskoczyła po drugiej stronie. Znowu rzuciła się do biegu. Tym razem w dół. Łatwiej.

Telefon zadzwonił, kiedy Ajax oglądał ostatnie kilka minut wieczornych wiadomości. W ręce trzymał szklaneczkę whisky, przy łokciu resztki odgrzanej w mikrofalce kolacji. Prawie już przysypiał.

Głos brzmiał nieznajomo. Kobieta, pod pięćdziesiątkę, akcent z Yorkshire.

– Inspektor Maldonado? Posterunkowa Dickinson z North Yorkshire. O ile wiem, szuka pan Jessiki Lane.

Natychmiast oprzytomniał.

– Tak, szukamy jej.

– Ona tu jest. W Yorku. Stoję właśnie przed jej domem.

– Myślałam, że postawiliśmy tam nasz radiowóz? – MoJo leżała na kanapie, stopy trzymała mu na podolku.

Podniósł palec do ust.

– Zatrzymaliście ją? – spytał.

– Niezupełnie. Przykro mi, ale muszę poinformować, że nie żyje.

– Interesujące. Sądziłam, że potrwa to dłużej – mruknęła MoJo.

– Została zadżgana nożem we własnym domu w Yorku – referowała Dickinson. – Razem z narzeczonym, Neilem Fishburnem. Sąsiedzi usłyszeli krzyki i nas wezwali. Ciało było wciąż ciepłe, kiedy przyjechaliśmy.

– A więc jednak udała się do domu – skomentowała MoJo.

– Inspektorze Maldonado? – Posterunkowa Dickinson była zniecierpliwiona, miała inne zajęcia.

– Nie, nie, nie, nie możesz znowu wyjść – sprzeciwiła się MoJo.

– Już tam jadę – odrzekł Ajax.

Ukryty w cieniu mostu Station Road Patrick wycelował lornetkę na ścieżkę. Wydało mu się, że dostrzega jakiś ruch, potem miał już pewność. Zrobiła dobry czas. Była w formie, i szybka. Chyba chciała zbiec ze ścieżki, pobiec w stronę ulicy, ale się odwróciła i pognąła dalej.

Przez chwilę myślał, że go zauważyła. Później dostrzegł radiowóz krążący przy trawiastym nasypie. Gdyby teraz zeszła, złapałby ją. Z niejakim podziwem patrzył, jak wdrapuje się na bramę, i uzmysłowił sobie, że istnieje szansa, że jednak uda jej się uciec. Policja nie mogła pojechać za nią dalej samochodem, bo w tym punkcie mur oddalał się od ulicy. Następną okazja na złapanie jej będzie nad rzeką. Najwyraźniej o tym wiedząc, policjanci podjechali do Station Road i skręcili w prawo, ku katedrze.

Piechotę będzie szybciej. Wyskoczył z auta i pobiegł w stronę mostu. Ścieżka kończyła się nad rzeką. Tam będzie musiała zejść na dół. Po kilku metrach ciężko dyszał. W przeciwieństwie do Jessiki Lane nie był nawykły do biegania.

Na moście nie znalazł po niej śladu. Poziom rzeki był wysoki po ostatnich deszczach, przysadzista okrągła Baker Tower za stożkowatym dachem ledwie wystawała ponad powierzchnię wody. Fale uderzały w stopnie prowadzące do jej wysoko usytuowanych drzwi. Mury miejskie w tym miejscu były zwieńczone wieżyczkami. Były tam schody prowadzące do rzeki, małe zaułki i ślepe odnogi. Po drugiej stronie mostu, blisko linii wody, seria zadaszonych łuków. Mnóstwo miejsc, w których można się ukryć. Wóz policyjny minął go, zatrzymał się na chwilę w korku, potem pojechał dalej.

Miasto przed nim kipiało turystami, mieszkańcami na wieczornych wyjściach, studentami, mosty w centrum zawsze były zatłoczone. Przeczesał wzrokiem tłum, szukał kogoś, kto się wyróżnia. Lane nie będzie szła spokojnie, nie, kiedy ściga ją policja. Będzie szła szybciej od innych.

Niczego nie wypatrzył, więc przeszedł na drugą stronę rzeki, zerknął szybko na dół, na podnóże Lendal Tower, i przeszedł na Museum Street, gdzie barierki mostu ustępowały miejsca kamiennemu murkowi.

Potem po swojej stronie ulicy dostrzegł parę młodych ludzi, którzy nad murem zaglądali do ogrodów muzeum. Popatrzyli na siebie. Dziewczyna wzruszyła ramionami. Coś zobaczyli.

Za sobą usłyszał ciężkie kroki, usunął się, żeby przepuścić biegnących policjantów. Kiedy zniknęli z widoku po drugiej stronie mostu, przerzucił nogi przez murek parku i zeskoczył.

Wszystko się natychmiast zmieniło. Odgłosy miasta przycichły, woń oparów benzyny i mokrego asfaltu zastąpił zapach roślinności i ziemi. Zrobiło się też

ciemniej. Miał świadomość bliskości rzeki, była bardzo niedaleko. Przed nim olbrzymie średniowieczne łuki ruin klasztoru, georgiański splendor ogrodów muzeum. Park nie był duży. I dobrze.

Polowanie się rozpoczęło.

Przykucnął i rozejrzał się, oceniając sytuację. Hałas miasta, choć przygłuszony, nadal tu docierał, więc słuch na niewiele mógł mu się przydać. Będzie musiał polegać na wzroku, na tym, że ją wypatrzy. Kiedy uciekinierzy wiedzą, że ścigający ich ludzie są blisko, ukrywają się, czekają, aż niebezpieczeństwo minie, dają sobie czas na odpoczynek po pościgu. Potem znowu zrywają się do biegu. Ona gdzieś tu jest, niedaleko, ukrywa się, czeka na swoją okazję.

Wziął głęboki wdech, żeby uciszyć mocno bijące serce, a potem jeszcze jeden, próbując uchwycić powiew kwiecistego zapachu, który zapamiętał z łazienki. Nie potrafił śledzić ludzi po zapachu, jak Shinto, ale wachanie powietrza pomagało mu obeznać się z otoczeniem, a to się zawsze przydaje.

Porzucił ochronny cień muru i pobiegł szybko, ale nie po ścieżce. Wiedział, że chrzest żwiru by go wydał. Dopadł do dużego drzewa i stanął za nim, tak żeby nie było go widać z ulicy, żeby jego ciemne ubranie zlało się z mrokiem parku za nim. Czekał.

Pojawiła się po dziesięciu minutach, kiedy zaczynał już myśleć, że ją zgubił. Pięćdziesiąt metrów w dół skarpy dostrzegł zarys szczupłej sylwetki, wystrzeliła zza kępy krzaków, żeby obiec tyły budynku przy brzegu rzeki.

Pobiegł za nią zboczem i zatrzymał się w cieniu budynku, w stylu tudorskim, prostokątnym, z wysokim spadzistym dachem. Parter z kamienia, wyżej pomalowany na biało z ciemnymi belkami. Z lewej, sąsiadując z głównym budynkiem, stały o wiele starsze ruiny.

Skręcił w lewo i przeszedł pod łukowym przejściem w murach ruin. Okazało się, że jest zaledwie kilka metrów od rzeki. Po kobiecie ani śladu. Trzymając się blisko murów, podszedł do wody i wyjrzał za róg. Nic. Znowu przykleił się do ściany i popatrzył w nocne niebo, zastanawiając się nad następnym ruchem. Próbując przewidzieć, jaki wykona ona.

Przyjście tutaj było dziwną decyzją. Zaskakującą. Ogon łatwiej zgubiłaby na wąskich uliczkach Starego Miasta. Może chciała wrócić na dworzec kolejowy albo autobusowy i wskoczyła do ogrodów, bo wiedziała o tych wszystkich drzewach, krzakach, kryjówkach. Pomyślała, że to najlepsze miejsce, żeby kogoś zgubić, nie oddalając się zbyt od dworców.

No i już zdołała zgubić policję.

Sprytna dziewczyna. Lubił polować na sprytnie.

Ale on jest sprytniejszy. Wie, gdzie się ukryła. Kilka metrów od miejsca, w którym stał, było kilka ciężkich kamiennych sarkofagów. Już do niczego

nieprzydatnych, ale pozostawionych ze względu na ich wartość historyczną. Niektóre nadal miały wieka. Leżała w mrokach jednego z nich, liczyła na to, że jej nie zauważą, że nie będzie się kwapił do zagładania tam.

Byli bardzo blisko rzeki. Słyszał, jak do niego szepcze. Mógłby ją do niej zaciągnąć, przytrzymać jej głowę pod wodą. Nie jest duża, nie szamotałaby się bardzo, zwłaszcza gdyby napał na nią całym swoim ciężarem. Potem pozwoliłby, żeby rzeka zabrała ciało.

Sarkofagów było pięć. Trzy z pokrywami. Nie miałyby tyle siły, żeby je podnieść, a potem nasunąć na miejsce. Jeden z grobowców był zbyt płytki. Zostawały dwa. Podeszedł bliżej i poczuł, że robi mu się zimno, kiedy sobie uzmysłowił, że szuka swojej ofiary w trumnie.

A ona już dwukrotnie oszukała śmierć. Może ta dziewczyna ma w sobie coś nie do końca naturalnego. Mimo wszystko podkraść się jeszcze bliżej.

– Jessica! – zawołał. Nie mógł się oprzeć. One zawsze wpadały w panikę, kiedy w ten sposób wołał ich imiona, cicho, nisko.

Rozejrzał się. Spojrzał na wysokie białe mury, na spadzisty dach, na ruiny starego budynku, pobliskie drzewa, gładką czarną rzekę. Nie chciał podchodzić do grobowców za blisko. Ale nie miał wyboru. Dał krok. I następny.

– Policja! Nie ruszać się.

Światło zaświeciło mu prosto w twarz. Potem zablęśło drugie, z przeciwnej strony.

– Ręce do góry, tak, żebyśmy je widzieli.

Dwóch funkcjonariuszy, obaj w odblaskowych kurtkach. Nadciągali z obu stron.

– Co się dzieje? – Zrobił, co mu kazano, dziękując swojej szczęśliwej gwiazdzie, że w samochodzie zmienił koszulkę i wyczyścił ręce.

– Kim pan jest i co pan tu robi? – Jeden z policjantów go przeszukiwał, macał dłońmi w pasie, po nogach.

– Spotykam się z kimś. To teraz pieprzona zbrodnia?

– Park po zmroku jest zamknięty.

– I właśnie dlatego tu jestem. Żeby nikt mi nie przeszkadzał. A wy, chłopaki, to już nie macie do ścigania prawdziwych przestępców?

Obaj stali zwrócenii do niego twarzami.

– Jak się pan nazywa? Ma pan przy sobie jakieś dokumenty?

– W portfelu w wewnętrznej kieszeni kurtki. – Podniósł ręce, żeby mogli sięgnąć i znaleźć portfel.

– Patrick Faa z Kirk Yethlom – odczytał policjant z jego prawa jazdy, oświetlając je sobie latarką. – Co pan robi w Yorku, panie Faa?

– Przyjechałem się spotkać z pewnym facetem w sprawie konia.

Policjant się rozejrzał.

- Nie widzę tu żadnego konia.
- Nadawał się tylko do ubojni. Nie jestem frajerem.
- Z kim się miał pan tu spotkać?
- Dżentelmen nie opowiada, jak się nazywają jego kochanki.

Impas. Policjanci odeszli na bok i zaczęli cicho rozmawiać. Wtedy pojawił się trzeci gliniarz, przyszedł od strony parku. Czwarty nadchodził brzegiem rzeki. Park był cały w tym robactwie.

– W porządku, jestem winny tego, że miałem nadzieję na nielegalny numer z zamężną kobietą. Aresztujcie mnie i miejmy to z głowy, bo ja tu, do cholery, zamarzam. – Wetknął rękę do kieszeni dżinsów i wyciągnął z niej paczkę z prezerwatywą, którą zawsze tam trzymał. – Przyda się któremuś z was, chłopaki? Bo mnie, cholera jasna, już na pewno nie.

Jeden z funkcjonariuszy odsunął się, drugi poświecił latarką w stronę budynku, ruin, rzeki.

– Widział pan kogoś jeszcze, odkąd pan tu jest? – spytał go glina.

– Żywej duszy. Usłyszałem wasze kroki i pomyślałem, że mam szczęście. Ale widać się pospieszyłem.

Oddano mu portfel.

– Wygląda na to, że pańska partnerka się nie pojawiła i nie pojawi. Myślę więc, że nie będzie pan miał nic przeciwko pojechaniu z nami na posterunek i odpowiedzeniu na kilka pytań.

Wyrzucił ręce w górę.

– Wy chyba kpicie, jak słowo honoru.

– Tędy, proszę pana.

Jeden z posterunkowych ujął go za górną część ramienia. Przez sekundę kusilo go, żeby wdać się w bójkę. Potem sobie uświadomił, jaki błąd by popełnił. Musi pójść z tymi policjantami. Spokojnie.

Matka go zabije.

Czekała długo. Nawet gdy zabrali Patricka Faa, została na swoim miejscu. Oczy miała zamknięte, starała się nie ruszać, kiedy policjanci, obchodząc stary tudorski budynek, świecili latarkami w rogi i zakamarki. Na wpatrywanie się w Ouse poświęcili całe wieki, jakby sądzili, że ukryła się pod wodą i czekając na wypłynięcie, oddycha przez trzciniową słomkę.

Ale ani razu nie popatrzyli w górę. Nie poświecili na czubki drzew, na najwyższe gałęzie. Gdyby to zrobili, może by ją zobaczyli.

Kiedy wreszcie poszli, kiedy już była pewna, że ich nie ma, odepchnęła się od kamiennej okładziny średniowiecznego okna, podciągnęła w górę na nierównym, niewygodnym parapecie i zeszła pięć metrów w dół, na ziemię.

Faa drugi raz popełnił ten sam błąd. Nie spojrzał w górę. Nie przyjrzał się.

Nie wróciła tą samą drogą, którą weszła do ogrodów. Nie była taka głupia. Wybrała dłuższą trasę, przy ruinach klasztoru, za muzeum i przez mur na St. Leonard. Potem ruszyła w kierunku mostu.

Tym razem Faa naprawdę ją wkurzył.

Skończyła z uciekaniem.

Ajax podał swoje nazwisko nieumundurowanemu funkcjonariuszowi zarządzającemu miejscem zdarzenia i dostał pozwolenie na przejście ulicą.

Stały przy niej domy, niegdyś uważane za skromne, a teraz będące pożądanymi rezydencjami w centrum miasta. Każdy ceglany, z portykiem nad frontowymi drzwiami i dwoma wąskimi oknami z obu stron. Małe ogródki na froncie obramowywały czarne płotki z kutego żelaza. Kiedy podchodził do domu Jessiki Lane, z sąsiednich posesji obserwowało go kilka twarzy.

Z budynku wyszła na ulicę wysoka kobieta w za ciasnym na nią białym kombinezonie ochronnym. Włosy miała krótkie i ciemne, twarz pospolitą. Zerknęła na jego legitymację.

– Znał pan Jessicę Lane? – spytała. – Widział ją pan kiedyś?

– Wpatruję się w jej zdjęcia nieustannie już od dwóch dni. A wcześniej widziałem zwłoki jej siostry. Ponoć były bardzo do siebie podobne.

Zlustrowała go od stóp do głów.

– Lepiej niech się pan przyszykuje.

Udał się za posterunkową Dickinson wąskim frontowym korytarzem. Minął fotografów i techników kryminalistycznych. Przez salon weszli do kuchni. Przy tylnym wyjściu był wieszak na ubrania.

– To jej kurtka – powiedział, kiedy na wieszaku dostrzegł niebieską wiatrówkę. – Pożyczyła ją od piechura, pielgrzyma.

– Taa, domyśliliśmy się. W porządku, Alan, spakuj to. I te buty też.

Pod niebieską kurtką stała para półbutów. Oblepionych błotem. Zniszczonych.

– Mówiono mi, że ktoś będzie obserwował dom. W razie jej powrotu – rzucił Ajax.

– Wysyłaliśmy tu patrol. Nie mamy ludzi, żeby mogli tu stać dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przynajmniej nie w przypadku zaginięcia, bo przecież o to tu chodziło, do teraz.

– No dobrze, co tu się takiego wydarzyło?

– Lepiej chodźmy na górę.

Ajax poszedł za Dickinson po schodach do sypialni na froncie. Pachniało tu i wyglądało jak w rzeźni. Jedno z ciał, mężczyzny, było już w worku. Drugie leżało twarzą do góry na dywanie.

– W takiej pozycji ją znaleźliśmy – poinformowała Dickinson.

Przez kilka sekund Ajax nie widział nic poza krwią. Potem zmusił się, żeby odróżnić rysy pod spodem. Kobieta, trzydziestokilkuletnia, twarz atrakcyjna, mimo że nieco końska. Nos wydatny, kości policzkowe wąskie, oczy duże i niebieskie.

Włosy ciemnobrązowe, krótkie, kręcone, co prawdopodobnie przyczyniło się do pomyłki. Leżała na obryzganej krwią zielonej kurtce.

– Ta kurtka wygląda znajomo – oświadczył. – A co do kobiety, rzeczywiście istnieje podobieństwo, ale to zdecydowanie nie Jessica Lane.

– Tak, tak się domyślaliśmy – przytaknęła Dickinson. – Nie chciałam pana w żaden sposób nastawiać, ale po telefonie do pana znaleźliśmy na dole damską torebkę z kilkoma kartami kredytowymi wystawionymi na nazwisko Zara Jennings. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że panna Lane wróciła do domu, nieco zestresowana po wcześniejszych przeżyciach, przyłapała narzeczonego na uprawianiu seksu z inną kobietą i nie wytrzymała.

– Cóż – mruknął Ajax. – W tym przypadku wiemy przynajmniej, dlaczego uciekła z miejsca zdarzenia.

Patrick nie mógł dłużej zostać w Yorku. Już i tak był spóźniony. Wyszedł z posterunku policji i szybko, prawie biegnąc, wrócił do furgonetki.

Przetrzymani go dłużej, niż powinni, ale nie aż tak długo, jakby mogli. Dzięki Bogu za małe dobrodziejstwa! Gliny zawsze szukają okazji, żeby przyszpilić Cyganów, ale ostatecznie nie mieli powodu nie uwierzyć w historyjkę, jaką im sprzedał – że umówił się w parku z dziewczyną. A jeśli chodzi o to, co się wydarzyło tego wieczoru w południowo-zachodnim rogu miasta, to szukali kogoś szczupłego i szybko biegającego, prawie na pewno kobiety, a nie niskiego, krępego faceta.

Dotarł do samochodu i zorientował się, że go nie zamknął. Wsiadł, uruchomił silnik i wyjechał z miasta. Po dwóch godzinach był już na przedmieściach Newcastle. Jeszcze czterdzieści minut i skręcał w kierunku małego portu na południe od Berwick-upon-Tweed. Podjechał autem do samego nabrzeża.

Akurat był przyływ i czarne fale wystrzeliwały wysoko w powietrze, wypełniając świat oleistymi słonymi kroplami. Od Morza Północnego ciągnął zimny wiatr, niebo było wirującą masą czarnych chmur.

Wuj Tommy czekał na niego. W cieniach krążyło kilku mężczyzn. Łódź już dopłynęła. Wrzucił wsteczny, zjechał po pochylni, a potem patrzył w lusterku wstecznym, jak grupa sześciu osób wychodzi z kabiny na łodzi, schodzi na ląd i wsiada na tył furgonetki. Czuł, jak auto się przy tym kołysze, słyszał szuranie i postękiwanie, kiedy pasażerowie próbowali znaleźć sobie na czas podróży jak najwygodniejsze miejsca. Potem wuj zatrzasnął drzwi i zniknął w mroku. Nie padło nawet jedno słowo. Patrick uruchomił silnik i odjechał. Miał wrażenie, że auto za bardzo siadło, nawet jak na taką liczbę dodatkowych pasażerów.

Nie wiedział, że pasażerów z tyłu nie było sześciu, a siedmiu. Jeden zakradł się do niezamkniętej furgonetki, gdy Patrick siedział w areszcie na posterunku w Yorku. Teraz ten siódmy pasażer leżał skulony przy prawym przednim nadkolu, niewidoczny dla nikogo, bo zakrywała go brudna końska derka.

Kiedy jakaś kobieta w furgonetce zaczęła cicho, ale przenikliwie zawodzić, pasażerka na gapę zacisnęła mocno oczy.

Dwa miesiące wcześniej

Grupa śpiewających zakonnic opuściła ogród refleksji i wytchnienia klasztoru Wynding i szła w stronę budynku klasztoru. W miarę jak się oddalały, śpiew był coraz cichszy.

W centrum ogrodu stała kapliczka Matki Boskiej, a przed nią dwie półokrągłe kamienne ławki, na których mogło siedzieć i się modlić kilka sióstr naraz. Ogród był ulubionym miejscem klasztornych pawi, chociaż ptaki wolały przysiąść na murkach. Tkwiły tam nieruchome jak posągi i nie mrugając, przypatrywały się tym, którzy w dole spacerowali lub siedzieli.

Jessica uwielbiała przebywać w ogrodzie, ale obecność pawi niezmiernie ją irytowała. Siedziała na kamiennej ławce w towarzystwie ośmiu sióstr. Siostra Serapis głaskała po łepku dużego pawia, którego wcześniej przedstawiła jako Elegancika.

– Siostra Eugenia trafiła w sedno z tą odpowiedzią, żeby przeprowadzić wyszukiwanie komputerowe połączonych zwrotów „ciemnoskórzy” i „dawcy narządów” – zaczęła Jessica. – Dzięki temu znalazłam małą dziewczynkę, która nazywała się Aayat Akel.

Usta kilku sióstr poruszyły się, jakby powtarzały obco brzmiące imię i nazwisko i uczyły się je wypowiadać.

– Aayat zginęła w wypadku drogowym pod Liverpoolem – ciągnęła Jessica. – Jechała z rodzicami w rodzinnym kabriolecie, którego dach był opuszczony. Wracali do domu z wyprawy do zoo w Chester. Zdarzenie miało miejsce pod koniec zeszłego roku, chociaż dowiedziałam się o nim dopiero w marcu. Tak czy inaczej, Aayat wypięła się z pasów. Rodzice tego nie zauważyli. W pewnym momencie ojciec ostro zahamował, żeby nie uderzyć w jakieś zwierzę na drodze. To chyba był kot, chociaż nigdy tego nie potwierdzono, a samego zwierzęcia nie znaleziono. No i Aayat... cóż, jestem pewna, że potraficie to sobie wyobrazić. Wyrzuciło ją z samochodu, doznała śmiertelnych obrażeń.

Współczucie i smutek pojawiły się na wszystkich twarzach dokoła niej. Oprócz twarzy Isabel.

– Wezwano policję, droga została zamknięta. Aayat i jej matkę przewieziono śmigłowcem do najbliższego szpitala, ale dziewczynka już nie żyła, kiedy tam dotarły – dokończyła Jessica swoją opowieść.

– Dlaczego ta historia tak cię zainteresowała? – spytała Tabitha.

– Rodzice zaproponowali oddanie narządów – odezwała się Isabel. – Ot tak,

po prostu. Coś w stylu „Ktoś je chce?” Przykro mi, że się wtrącam, ale już słyszałam tę opowieść.

– O mój Boże – sapnęła Tabitha.

– Tak się składa, że to się zdarza bardzo rzadko – oznajmiła Jessica. – A rodzice nie sprawiali wrażenia szczególnie przejętych. Dlatego ordynator posłuchał intuicji i zawiadomił policję. Na nieszczęście, kiedy czekał na jej przyjazd, popełnił błąd i poprosił rodziców Aayat o wylegitymowanie się.

– A oni nie mieli ze sobą żadnych dokumentów? – domyśliła się siostra Belinda, mała, korpulentna zakonnica po pięćdziesiątce.

– Mieli. Całe mnóstwo. Ojciec okazał prawo jazdy, a matka paszport, z którego wynikało, że jest obywatelką brytyjską urodzoną w Jordanii. Ojciec pokazał lekarzowi zdjęcia rodzinne zrobione komórką. Matka przedstawiła kartę dawcy córki. Wszystko niby było w porządku, tylko że to jakby...

– Zbyt proste? – podsunęła Tabitha. – Wyreżyserowane?

– No właśnie. Ordynator zostawił rodziców w pokoju dla rodzin i ich dokumenty zabrał do biura. Kiedy przyjechała policja i poszedł oddać dokumenty, rodziców nie było. Zniknęli. Prawo jazdy i paszport okazały się fałszywe. Pod adresem, który podali rodzice, mieszkała zupełnie inna rodzina. Dwunastoletnia dziewczynka o nazwisku Aayat Akel znajdowała się w bazie przeszczepów, ale policja nie mogła znaleźć żadnych śladów dokumentujących jej narodziny i życie przed wypadkiem. Jej rzekomych rodziców wciąż nie odnaleziono.

– Może to była rodzina nielegalnych imigrantów i gdy lekarz zaczął sprawdzać ich tożsamość, spanikowali? – Siostra Florentina, jedna z najbardziej zapalonych ogrodniczek, zrywała dorodne pąsowe róże. Mówiąc, wymachiwała nimi i Jessica, która siedziała blisko, czuła bijącą od kwiatów ciężką piżmową woń.

– To znaczy, że oni porzucili swoją córkę? – Belinda wyglądała na zszokowaną.

– Martwą córkę – przypomniała Isabel. – Może sentymenty nie utrzymują się długo, kiedy jest się zdesperowanym. I co się stało z tym dzieckiem? To znaczy z jego zwłokami?

– Wciąż są w kostnicy – odpowiedziała Jessica. – W którymś momencie zostaną skremowane, jeśli nikt się po nie nie zgłosi.

– I nie wiadomo, kim naprawdę było to dziecko ani czy ta para to rzeczywiście byli jego rodzice? – dociekała Florentina.

– Nie, to wciąż otwarta kwestia – potwierdziła Jessica.

Siostra Belinda się pochyliła.

– Ta dziewczynka mogła już być martwa albo, mówiąc właściwiej, jej mózg mógł być martwy, kiedy rzekomi rodzice wsadzili ją do samochodu. Cokolwiek zabiło ją naprawdę, zostałoby zamaskowane najświeższymi obrażeniami.

– Niekoniecznie – wtrąciła się siostra Eugenia. – Patolodzy potrafią odróżnić

świeże obrażenia od tych starszych. Ciało zaczyna się regenerować od razu, ślady tego procesu widać podczas sekcji.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Eugenii. Zakonnica wzruszyła ramionami.

– Obejrzałam pięć odcinków *Milczącego świadka* – wyjaśniła. – To było wtedy, kiedy zeszłej zimy wszystkie pochorowałyście się na gripę.

– Sama się nad tym zastanawiałam – przyznała Jessica. – Ale po pierwsze, siostra Eugenia ma rację, a po drugie, ludzie ze śmiercią mózgu są sztucznie podtrzymywani przy życiu. Gdyby w bagażniku kabrioletu była specjalistyczna aparatura, sądzę, że policjanci z drogowki by ją znaleźli.

– Kota jakoś nie znaleźli – przypomniała siostra Tabitha.

Jeden z pawi na szczycie muru głośno zaskrzeczał i rozpostarł ogon. Dziewięć kobiet spojrzało na ptaka. Zakonnice z uśmiechami dumy, Jessica z ledwie powstrzymaną odrazą.

Isabel, która siedziała naprzeciwko niej, zapytała:

– Jak długo da się przeżyć po odłączeniu od takiej aparatury?

Jessica pokręciła głową.

– O to musiałabyś zapytać lekarza, a nie detektywa śledczego.

– Moja matka wytrzymała trzy dni – oznajmiła siostra Alfreda. – A miała dziewięćdziesiąt osiem lat.

Siostra Belinda utkwiała wzrok w swoich stopach.

– Byłyby jakieś oznaki, że mózg tej dziewczynki kilka dni przed śmiercią był martwy. Ale... jak się nazywają ci lekarze, którzy zajmują się zwłokami?

– Patolodzy – odpowiedziała siostra Eugenia.

– Tak, dziękuję. Cóż, patolodzy pewnie nie pomyśleli, żeby ich szukać. Bo i dlaczego mieliby to robić? Jessico, mówisz, że to dziecko wciąż jest w szpitalu. Patolog chyba mógłby przeprowadzić powtórny sekcję, jak myślisz?

– Jestem przekonana, że tak, ale nie mam uprawnień, żeby mu to zlecić.

Siostra Basilia aż do tego momentu siedziała cicho. Podniosła rękę.

– Nielegalni imigranci jeżdżący kabrioletem?

Jessica odwróciła się do niej.

– Tak, też o tym pomyślałam. I wiecie co? Policja nie była w stanie wyśledzić tego samochodu.

– Tylko jaki byłby tego cel? – odezwała się Isabel. – Nawet jeśli wypadek był upozorowany, nawet jeśli rzekomi rodzice zabili dziewczynkę, żeby oddać jej narządy, nawet jeśli w pobliskim szpitalu był ktoś poważnie chory, kto bardziej niż chętnie zapłaciłby za nie fortunę, te narządy i tak trafiłyby do systemu.

– Niekoniecznie – sprzeciwiła się Jessica.

– Jak to?

Jessica popatrzyła po ośmiu rozpalonych, przejętych twarzach. I na

ciekawskie, gadzie spojrzenia pawie.

– Myślę, że ci ludzie oszukują system. Robią tak, że działa na ich korzyść. Myślę...

– Dobry wieczór, siostry.

Podskoczyły prawie wszystkie. Trzy z młodszych zakonnice podniosły się.

– Przegapiłyście wyjątkowo zabawny odcinek *Teorii wielkiego podrywu*. Sheldon i Howard pokłócili się o miejsce na parkingu uczelni. Sheldon nie miał ochoty zrzec się jednego z przysługujących mu przywilejów, mimo że w niczym by mu to nie przeszkodziło, bo nie jeździ samochodem, nawet nie ma własnego. Amy, żeby odstręczyć Howarda, zaparkowała na tym miejscu własne auto, a wtedy Bernardette kazała je odholować. Penny niechętnie zraniła się w nos.

Te kobiety mają niesamowitą zdolność operowania mimiką twarzy, pomyślała Jessica. Wszystkie nagle wyglądały na pogrążone w głębokiej zadumie. Tylko Isabel miała odwagę spojrzeć przełożonej w oczy.

– Pomyślałam, że przyda wam się przypomnienie, że godzina rekreacji kończy się za pięć minut. Tyle zwykle potrzebujecie na spędzenie pawie na noc do zagrody. I że stan wzmożonej ekscytacji to raczej mało rozsądne przygotowanie do powrotu do Wielkiego Milczenia.

Przy wtórce mamrotanych „Tak, matko”, „Oczywiście, matko”, siostry, teraz już wszystkie, podniosły się i odwróciły w stronę wyjścia z ogrodu.

– Jedną chwileczkę, siostrze Mario Magdaleno, i ty, Jessico. Nie odchodźcie jeszcze, proszę.

Gdy reszta zakonnice opuściła ogród i usłyszała, jak siostra Serapis zaczęła nawoływać pawie do kurnika, matka Hildegarda powiedziała:

– Twoje dochodzenie, Jessico, zakłóca spokój sióstr.

– Na obronę Jessiki trzeba powiedzieć, że one same tu za nami przyszły. Same wypytywały o postępy w śledztwie – odezwała się szybko Isabel.

– Jessica nie potrzebuje obrony, siostrze. O nic jej nie oskarżam.

– W takim razie przepraszam – rzuciła oschle Isabel.

– Żyjemy oddzielone od świata nie bez przyczyny – ciągnęła Hildegarda. – Nasze umysły mają być wolne, nieskrępowane ograniczeniami tego, co się dzieje wokół nas, byśmy mogły być bliżej Pana. Jessico, nie mogę oczekiwać, że to zrozumiesz, ale siostra Maria Magdalena należy do naszej społeczności już od ponad dwudziestu lat. Wie, zapewne lepiej od wielu innych sióstr, jaki niszczący wpływ mogą wywierać rozmowy na tego typu tematy.

– Proszę wybaczyć, matko...

Hildegarda podniosła dłoń.

– Niech się siostra nie trudzi. Doskonale wiem, co siostra chce powiedzieć. To ja zachęciłam siostrę, żeby podzieliła się z resztą informacjami dotyczącymi pracy Jessiki. Nie przypuszczałam jednak, że to je tak zainteresuje, wzbudzi taki

entuzjazm. Ale teraz kładę temu kres. Jessico, będzie lepiej, jeśli przez jakiś czas nie będziesz nas odwiedzała.

– Matko Hildegardo, czy to naprawdę konieczne? Doskonale rozumiem niepokój matki i obiecuję, że już więcej nie będę mówiła o swojej pracy. Nawet z Bellą nie będę poruszała tego tematu. To znaczy, chciałam powiedzieć z siostrą Marią Magdaleną.

– Moja droga, sympatia dla ciebie zaślepiła mnie do tego stopnia, że dopuściłam do zakłócenia naszego spokoju. Zawsze będziesz tu mile widziana, ale okazałabyś ogromną uprzejmość, gdybyś na jakiś czas pozwoliła siostrze Marii Magdalenie oddać się kontemplacjom, których nie będą mąciły sprawy zewnętrznego świata.

Spojrzenie Isabel było wbite w ziemię. Twarz ściągnięta.

– Siostra ma pod koniec lata urodziny – kontynuowała Hildegarda. – Ważne urodziny. Jestem przekonana, że do tego czasu będzie gotowa przyjąć cię tu znowu.

Urodziny Isabel wypadają we wrześniu. To jeszcze prawie osiem tygodni.

– Co do tej sprawy, o której ze mną rozmawiałaś, gdy tu byłaś ostatnio. – Hildegarda przystanęła na ścieżce i odwróciła się do Jessiki. – Ta niespodzianka, którą wymyśliłaś na urodziny siostry?

– Mówiła matka, że się nad nią zastanowi – powiedziała Jessica. Isabel obrzuciła ją pytającym spojrzeniem. – Cóż, zastanowiłam się i doszłam do wniosku, że to dobry pomysł. Coś, na co warto zaczekać.

Zaczęły bić dzwony.

– I znowu nadszedł czas naszej ciszy – mruknęła Hildegarda. – Moja droga, odprowadzisz się sama, prawda? Do zobaczenia we wrześniu.

Czwartek, 21 września

Ludzie jadący z nią w furgonetce to głównie kobiety, pomyślała, chociaż od czasu do czasu wyłapywała niższy głos męski oraz kwilący małego dziecka. Ścieżką dźwiękową towarzyszącą podróży stały się ciężkie dyszenie, kasłanie, odchrząkiwania, okazjonalne słowo lub dwa wypowiedziane w języku, którego nie rozpoznawała.

Czuła ich zapachy – potu, moczu, wymiocin, zabrudzonych pieluch – nieświeże zapachy mówiące o niewoli i upodleniu. A jeszcze tak niedawno moczyła się w pachnącej kwiatami kąpieli. Całkiem możliwe, że oni też ją czuli, że już zauważyli dziwnego kształtu garb pod kocem. Że za chwilę go z niej ściągną i ją odkryją.

Zapłakało jakieś dziecko. Jego matka coś zanuciła. Faa walnął w przegrodę szoferki i wrzasnął, żeby byli cicho. Dziecko płakało dalej, tak długo, aż w końcu miała wrażenie, że jej głowę od zawsze wypełniało to dziecięce kwilenie.

Dwa lata wcześniej

Siostra Belinda dostrzegła Jessicę i Isabel siedzące na parapecie okna w sali rekreacji i podeszła. Zatrzymała się tuż przed Jessicą, wypięła swoją bujną pierś. Po prawej stronie była do niej przypięta plakietka z napisem „Zapytaj mnie o mojego świeżo narodzonego wnuka”.

– Hej, siostró Belindo, co nowego u siostry słyszać? – zażartowała Jessica.

– Max Lionel Hartnell, trzy kilogramy sto siedemdziesiąt pięć gramów. Urodzony o dziesiątej pięćdziesiąt pięć piątego maja.

– Domyślam się, że ma siostra zdjęcie, a może nawet dwa – droczyła się Jessica.

Dłoń Belindy zanurkowała pod habit – Jessica nigdy tak naprawdę nie zdołała się zorientować, jak te habit są skonstruowane – i podała fotografię.

– Och, jaki śliczny. Isabel, spójrz na te maleńkie piąstki. I na ten nosek. Niemożliwe, że to prawdziwy nos. Bella, zobacz. – Jessica wyciągnęła zdjęcie do siostry.

– Już widziałam. – Isabel się nie poruszyła, nawet nie spojrzała.

– Jestem pewna, że jak będzie na tyle duży, żeby z nim podróżować, rodzice go przywiozą i pokażą.

Uśmiech siostry Belindy przygasł, kiedy Isabel wstała bez słowa i odeszła.

– Bella! – Jessica dogoniła siostrę w warzywniku. – Co się stało?

– Nic. – Isabel pochyliła się, żeby zerwać z łodyżki kwiatu uschniętą główkę.

– Ale musisz pamiętać, że to dziecko ma cztery dni, a reszta z nas nie słyszy niczego innego, tylko opowieści o tym, jak się przepchnęło szczęśliwie przez otwór rodny na ten świat. Poza tym niezbyt ładnie było wspominać o odwiedzinach rodziców. Dobrze wiesz, że nigdy stąd nie wychodzimy, chyba że w wyjątkowych okolicznościach. – Wyprostowała się i ruszyła przed siebie wąską żwirową alejką.

Jessica szła tuż za nią.

– Siostra Belinda dla powołania zostawiła dwójkę dzieci i kilku wnuków – rzuciła do potylicy siostry. – Pewnie nie jest jej łatwo.

– Dzieci Belindy są dorosłe. – Isabel wydawała się znużona rozmową. – I prawdopodobnie widuje je częściej niż wiele innych matek swoje dorosłe pociechy. Zapewniam cię, ona nie potrzebuje niczyjego współczucia.

– Mówisz zupełnie jak nie ty.

Isabel przystanąła.

– Jestem tu od osiemnastego roku życia, Jessico. Może już nie znasz

prawdziwej mnie.

– Nie wierzę w to.

Jej siostra znowu ruszyła.

– Jak sobie chcesz.

Jessica pozwoliła Isabel odejść do połowy ścieżki, potem znowu za nią poszła. Jej serce biło mocno. Zrobi to, zanim stchórzy. Zapyta.

– Kiedy miałaś szesnaście lat, wyjechałaś i nie widziałam cię przez wiele miesięcy. – Zdenerwowanie sprawiało, że mówiła głośniej, niż to było konieczne. – Gdzie wtedy byłaś? Wiem, że nie tutaj. Nie wtedy.

Isabel dotarła do rogu, skręciła w bok i ruszyła ku budynkowi klasztoru.

– To było dawno temu. Ledwie pamiętam tamten okres.

– Bzdura. Byłaś w ciąży?

Isabel szła dalej.

– To dlatego nie możesz znieść rozmów o dzieciach? Byłaś z nim w ciąży? – Jessica zatrzymała się, zszokowana ogromem tego, na co właśnie wpadła. – Jezu przenaświętzy, nawet nie... Bella, miałaś aborcję?

Kiedy Isabel znowu się odwróciła, oczy jej błyszczały, twarz była skurczona. Jessica jeszcze nigdy nie widziała u siostry takiego wyrazu. Przez chwilę myślała, że Isabel ją uderzy. Potem mięśnie twarzy się rozluźniły, a Jessica przez ułamek sekundy widziała, jak siostra będzie wyglądała jako staruszka.

– Nie, Jessico. – Isabel ciężko westchnęła. – Nie miałam aborcji. Jestem oddaną i gorliwą katoliczką, zapomniałaś?

Piątek, 22 września

Furgonetka jechała dalej. Dziecko dało się uspokoić. Ktoś się o nią oparł. Jakieś inne dziecko, pomyślała, ktoś lekki. Czowała ciepło tej osoby przez koc, czuła, jak się wierci, szuka wygodnej pozycji. Potem jego głowa spoczęła na jej biodrze, dziecko ziewnęło. Teraz już w ogóle nie mogła się poruszyć, bo dziecko ją wyczuje.

Jechali od jakichś dwudziestu minut. Sądząc po prędkości i po tym, że nie szarpało, wciąż byli na A1. Potem samochód zwolnił, wykonał szeroki skręt i zjechali z głównej drogi.

Wsiadając do auta, domyślała się, że Patrick Faa prawie na pewno będzie wracał na północ, i to się sprawdziło. Przypuszczała, że jadą teraz w głąb łądu, w kierunku Parku Narodowego i szkockiego pogranicza. Tam, gdzie rozbił się balon. Zamknęła oczy, starała się nie zwracać uwagi na ból wywoływany wciskaniem się w twardy metal. Starła się nie myśleć o tym, że jest jej coraz bardziej niedobrze. Mówiła sobie, że to już niedługo. Już niedługo.

Furgonetka zwolniła prawie do zera, kiedy droga znacznie się pogorszyła. Zaczęli podskakiwać na wybojach i gdyby nie okrzyki protestów innych pasażerów, ktoś na pewno usłyszałby, jak jęczy z bólu od walenia ramieniem w metal.

Potem się zatrzymali. Mamrotanie ucichło. Usłyszała głosy na zewnątrz. Ktoś mówił po angielsku, ale za szybko, żeby zdołała wyłapać jakieś słowa. Później zgrzytanie metalu po asfalcie przy otwieraniu bramy. Samochód przejechał, skręcił, pokonał jeszcze kilka metrów i stanął.

Czekali na nich jacyś ludzie. Usłyszała więcej głosów, zbliżające się kroki, szczekanie. To w tym punkcie wszystko mogło potoczyć się źle, i to bardzo źle.

Drzwi furgonetki zostały otwarte. Pasażerowie zaczęli wysiadać. Znowu milczeli, posępni i wystraszeni. Dziecko płakało. Ona pod końską derką wstrzymywała oddech.

Kiedy ostatni pasażer wyskoczył, drzwi furgonetki zatrzasnęły się z hukiem.

Podciągnęła się, ignorując przeszywający ból w nogach. Nie wypuszczając z rąk derki, przeczołgała się do drzwi. Zaryzykowała i wyrzwała nad dolnym obrzeżem tylnej szyby. Zobaczyła złomowisko. Zawieszane w kilku miejscach gołe żarówki tworzyły w mroku brudne plamy światła.

Pasażerowie z furgonetki byli pędzeni w stronę dużego domu, stojącego jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Otaczali ich ciemnowłosi mężczyźni i kobiety.

Dwóch mężczyzn prowadziło na smyczy owczarki. Psy czekały. Kilka osób stojących z boku ruszyło za pasażerami do domu. Inni zostali, pogrążeni w cichej rozmowie.

Dziedziniec, na którym się znajdowali, był otoczony wysoką drucianą siatką i wysoką ścianą starych aut. Złom był wszędzie: stare lodówki, pralki, jakieś rzeczy wylewające się z ogromnych metalowych pojemników. W półkolu wokół domu, jak furgony ze starego Dzikiego Zachodu, stało kilka przyczep. W większości paliło się światło, w niektórych na oknach były rozwieszane jaskrawe lampki choinkowe. W jednej było zupełnie ciemno.

Nikt nie zamknął furgonetki. Prawdopodobnie uważali, że nie muszą, teren był zamknięty, mieli stróżujące psy. Dwójkami, trójkami członkowie tej dziwnej społeczności zaczęli się rozchodzić do swoich przyczep. Światła pogasły. Na dziedzińcu zapanowała cisza. Czekala bardzo długo, a potem otworzyła drzwi.

Nic się nie wydarzyło. Nikt nie krzyknął. Nie zaszczekał żaden pies. Zamknęła tył i prześliznęła się do drzwi kierowcy.

Zanim furgonetka opuściła York, zdążyła sprawdzić pod przednim siedzeniem i w schowku na rękawiczki. Teraz zajrzała tam ponownie, ale niczego nie znalazła. Komórka Neila, jeśli Faa wciąż ją miał, leżała prawdopodobnie w kieszeni jego skórzanej kurtki, a ona na próżno tak bardzo ryzykowała.

Z drugiej strony, jest o wiele bliżej miejsca, do którego potrzebowała dotrzeć.

Zaczęła się skradać po żwirze. Między śmieciami dostrzegala ślady cygańskiej przeszłości tych ludzi. Drewniana malowana komoda, gdzie indziej olbrzymie koło od wozu. Na żeliwnej latarni wisiało truchło sarny, jej martwe oczy błyszczały w blasku księżyca.

Przeszła obok wysokiego kopca z kamieni, kapliczki poświęconej Matce Boskiej. Posążek Maryi stał przed kapliczką cierpliwym i smutnym, u jego stóp leżało naręcze plastikowych kwiatów. Pod okiem Matki Boskiej ukruszył się kawałek gipsu, więc rzeźba wyglądała, jakby płakała.

W cieniu domu, gdzie czuła się mniej odsłonięta, pozwoliła sobie na rozejrzenie się. Teren był większy, niż sobie wyobrażała, kiedy go oglądała z furgonetki. Ciągnął się daleko w głąb, wypełniały go skorupy martwych samochodów. Rzucone jedno na drugie, stały w rzędach, które ciągnęły się aż po odległy pas lasu na tyłach. Na placu były dziesiątki, jeśli nie setki starych samochodów, a każda para reflektorów wyglądała jak oczy.

Ruszyła wzdłuż płotu biegnącego przy drodze, ukrywając się w cieniu wypatroszonych aut. Po kilku metrach dotarła do gęstej siatki drucianego ogrodzenia. Ogrodzenie skręcało. Poszła dalej, musiała się upewnić.

Dwadzieścia metrów dalej, obok ustawionego blisko drogi kontenera, zobaczyła kolekcję porzuconych rowerów. Niektóre nie miały kół, inne kierownic,

ale kilka wyglądało na sprawne. Rower skróciłby czas jej podróży co najmniej o połowę.

Wybrała jeden, dopasowany do jej wzrostu, i pociągnęła go za sobą, aż dotarła do następnego narożnika. Ogrodzenie otaczało cały plac. Była w pułapce.

Miała coraz mniej opcji. Jeśli zostanie tu, gdzie jest, rano znajdą ją psy. Mogłaby wrócić do furgonetki i poczekać, aż znowu ktoś nią gdzieś pojedzie. Albo pójść dalej wzdłuż ogrodzenia, mając nadzieję, że znajdzie jakieś przejście. Może nawet podkop.

Ostatnie wydawało się najbardziej sensownym wyjściem. Ruszyła więc, prowadząc rower. Usłyszała skrzek jakiegoś nocnego ptaka, a potem krzyk brzmiący bardziej jak ludzki niż wydany przez zwierzę. Dochodził od strony domu.

Przed nią był samochód zepchnięty pod samo ogrodzenie, więc nie mogła go obejść. Podniosła rower i wstawiła na dach, zanim sama się na niego wdrapała. Po drugiej stronie coś przyciągnęło jej uwagę.

Skrawek materiału, nieco ponad metr nad ziemią, zaczepiony o druty. W świetle dziennym materiał byłby pewnie szmaragdowy, możliwe, że dokładnie taki jak kurtka, w której wczoraj przechodziła cały dzień. To była frotka, jakiej używają kobiety do związywania włosów. Dotknęła jej. Była miękka i wilgotna. Wetknęła frotkę do kieszeni kurtki i wtedy zobaczyła wyjście.

Siatka była rozcięta, od ziemi do wysokości mniej więcej metra dwudziestu. Dokładnie do miejsca, gdzie wisiała frotka. Z oddali, zwłaszcza nocą, nikt nie mógł zauważyć rozcięcia. Ona też by je przeoczyła, gdyby nie frotka i wspomnienia, które przywołała.

Dziesięć minut później była za ogrodzeniem. Pozostało tylko jej przepchnąć rower przez błoto na pobliskim polu, przenieść nad bramką i znalazła się na drodze. Godzinę później stała na parkingu przed pubem. Tam, gdzie dwa dni temu zostawiły z siostrą samochód. Kluczyki wciąż znajdowały się w jej plecaku.

Zostawiła samochód dwa kilometry przed klasztorem i resztę drogi pokonała na rowerze. Minęła bramę i pojechała dalej, w stronę farmy, która przed wiekami stanowiła własność zakonu. Pedalowała duktem, nie martwiąc się o psy. Może zaczną szczekać, ale szybko przestaną, znają jej zapach. Kiedy przejeżdżała obok nich, tylko na nią popatrzyły, niespecjalnie zainteresowane, i jeszcze zanim zniknęła z widoku, z powrotem ułożyły się do snu.

Na tyłach domu na farmie biegła stara ścieżka prowadząca bezpośrednio do klasztoru. Wstawiła rower do szopy. Stał w niej też samochód sióstr, jedyny, jaki miały. Była prawie trzecia nad ranem, wszystkie zakonnice na pewno spały. Krótko po czwartej muszą wstać na poranne modlitwy.

Na zapleczu kuchni była niska komórka. Zakonnice trzymały w niej obuwie na dwór i fartuchy do prac ogrodowych. Jeśli przystawi do komórki kosz na śmieci, będzie się mogła wdrapać na parapet okna, a stamtąd na płaski daszek. Później wykorzysta występy w murze. Można się po nich wspiąć, jak po szczeblach drabiny do półki ciągnącej się wzdłuż pierwszego piętra.

Półka była na tyle szeroka, że można było po niej normalnie chodzić, ale ona nie miała aż tyle odwagi. Przesuwała się bokiem, przyklejona plecami do muru i liczyła każdy otwór okienny. Dziewiąte okno należało do łazienki. Było stare i nienaprawiane od lat. Otworzyła je z łatwością. Uderzył w nią znajomy kwaśny zapach zaprzepaszczonej kobiecości. Spuściła plecak na podłogę i sama na nią zeskoczyła.

Pokój, czy raczej cela, w której siostra Maria Magdalena spała w noc przed wypadkiem balonu, znajdował się po przeciwnej stronie korytarza, dwa pokoje dalej. Pchnęła ostrożnie drzwi celi.

Była pusta. Wszelkie ślady po poprzedniej użytkowniczce zostały usunięte. Nawet łóżko było gołe, bez pościeli i koca.

Nieistotne. Wszystko, czego potrzebuje, to czas i prywatność. Usiadła na łóżku, wyjęła z plecaka laptop i otworzyła go.

Dwa miesiące wcześniej

Adar Nasser była chuda, jej ciało nienaturalnie powykręcane, jakby ktoś naciągnął wewnętrzne sznurki, zniekształcając kończyny, gnąc kręgosłup, wykrzywiając szyję. Patrzyła w sufit pokoju szpitalnego, a każde mrugnięcie powiek zdawało się coraz bardziej odzierać z blasku jej spojrzenie. Dziewczyna wyglądała jak trup przeoczony przez śmierć. Jessica podeszła do niej wolno.

Opieka nad Adar nie wymagała skomplikowanego sprzętu. Mogła oddychać sama, bez pomocy respiratora. Rurką podczepioną do brzucha skapywały składniki odżywcze, druga rurka była podłączona do pęcherza. Wezgłowie łóżka podniesiono, żeby w płucach nie zbierały się płyny.

Pięć miesięcy temu Adar próbowała odebrać sobie życie. Weszła na dach trzypiętowego bloku w Derby i skoczyła. Wylądowała na workach ze śmieciami. W dwóch miejscach złamała sobie kark i kręgosłup, poważnie uszkodziła głowę. Lewa kość piszczelowa i rzepka były pęknięte, nadgarstek i osiem żeber złamane. Obrażenia wewnętrzne obejmowały pękniętą śledzionę, stłuczone serce i płuca, pęknięte jelita.

Kroki ostrzegły Jessicę o obecności pielęgniarza.

- Może pani przy niej usiąść – zachęcił. – Reaguje na odwiedzających.
- W raporcie czytałam, że doznała uszkodzenia mózgu – odparła.
- Nie wiemy, jak jest duże, bo możemy wykonać tylko ograniczone badania
- wyjaśnił. – Ona mówi, tyle że bez większego sensu.
- I nie pamięta zdarzenia? Nie mówiła nikomu, dlaczego to zrobiła?
- O ile mi wiadomo, to nie.
- Jest tu jej rodzina?

Mężczyzna pokręcił głową.

Krótko po tym, jak dziewczyna trafiła na ostry dyżur, przyjechali jej ojciec i brat. Zostali z Adar całą dobę, a kiedy się dowiedzieli, że nic jej nie grozi, wrócili do domu, żeby się wykąpać i coś zjeść. Potem już się nie pokazali.

– Czy Adar ma kartę dawcy?

Pielęgniarski wydawał się zszokowany.

– Przykro mi, ale ta kwestia nie była poruszana. Adar jest w bardzo ciężkim stanie, niemniej...

– Rozumiem. Mam ważny powód, żeby pytać. Wie pan, czy miała przy sobie tę kartę?

– Mogę sprawdzić. – Przeszedł do biurka przy stanowisku pielęgniarek i

zajrzał do komputera. Chwilę potem podniósł głowę. – Miała.

Pikanie. Pielęgniarsz wyciągnął z kieszeni pagera.

– Wzywają mnie.

Jessica przeszła do łóżka i usiadła na stojącym przy nim krześle.

– Adar. – Pokazała legitymację. – Jestem policjantką.

Adar drgnęła, ale nie spojrzała ani na Jessicę, ani na legitymację.

– Możesz powiedzieć, jak się nazywasz?

Żadnej reakcji.

– Adar, tak? Czy zupełnie inaczej?

– Żadnej policji. Bo mnie zabrać do Żółty Dom.

– Żółty Dom? – Jessica nachyliła się. – Adar, gdzie jest Żółty Dom?

– I co, udało się?

Jessica się odwróciła. Zobaczyła pielęgniarsza, który właśnie wrócił.

– Chyba się zdenerwowała, gdy powiedziałam, że jestem z policji.

– Już raz tak było. Kiedy przyszedł z nią porozmawiać jakiś nieumundurowany policjant. Myślmy, że może tu być nielegalnie.

– Nie ma żadnych dokumentów?

– Nie, nic. Jej krewni zniknęli i od tamtej pory ich nie widzieliśmy. Nie ma kogo zapytać.

– Ma jakieś rzeczy osobiste? Telefon?

– Tak, chyba coś jest. – Pielęgniarsz okręcił się na pięcie. – Proszę chwilę poczekać.

Jessica patrzyła, jak wraca do stanowiska pielęgniarek i się nachyla. Kilka sekund stukał w klawiaturę komputera.

– Tak myślałem – oznajmił, gdy wrócił. – Jeden z krewnych zostawił komórkę. Zsunęła się za łóżko. Trzymaliśmy ją jakiś czas, potem przekazaliśmy policji.

– Czy Adar kiedykolwiek wspominała przy panu o Żółtym Domu?

Pokręcił głową.

– Żółtym czym?

Posterunkowy z Kryminalnego Biura Śledczego w Derbyshire odchylił się na oparcie krzesła i podrapał w głowę.

– Tak, zabrałem go z oddziału. Przekazałem informatykom, żeby sprawdzili, czy da się coś z niego wydobyć.

– I dało się?

– Nie mam pojęcia. Przydzielili mi inną sprawę.

– Może się pan dowiedzieć? – poprosiła Jessica.

Przymrużył oczy, potem westchnął.

– No, mogę wykonać kilka telefonów.

Powstrzymała chęć podania mu słuchawki aparatu stojącego na biurku.

– Będę wdzięczna.

Kiedy posterunkowy rozmawiał, wyglądała przez okno. Czekala, aż dowcipne uwagi, znaczące pomruki i wymowne spojrzenia w jej stronę dobiegną końca. Wreszcie posterunkowy odłożył słuchawkę i spojrzał w inną część pokoju.

– Jez. Siódma dwadzieścia, piętnastego. Przynies sprzet.

Jessica już chciała odchrząknąć, ale posterunkowy właśnie przypomniał sobie o jej obecności. Odwrócił się z powrotem do biurka i znowu sięgnął po słuchawkę.

– Oddali ją.

– Oddali, komu?

– Zgłosiła się po nią Northumbria. Zabrali ją kilka tygodni temu.

Policja Northumbrii. Północ to złe miejsce. Northumbria jest daleko, godziny jazdy. Nie dotrze tam dzisiaj, a dostała na to tylko jeden dzień.

– Dlaczego ci z Northumbrii chcieli ją mieć?

Posłał jej spojrzenie mówiące: „A skąd ja mam to wiedzieć?”

– Chodziło o jakieś podobne dochodzenie, które prowadzili. Podejrzewali, że dziewczyna mogła być z ich rejonu.

– Kto? Kto z Northumbrii?

– Wydaje mi się, że musiała zajść jakaś pomyłka – oznajmił głos po drugiej stronie. – W tym roku nie byłem nawet w pobliżu Derby.

Jessica siedziała w swoim samochodzie, patrząc, jak strugi deszczu na szybie zamazują widok na zewnątrz.

– Jestem teraz w siedzibie głównej policji Derbyshire – poinformowała. – Powiedziano mi tu, że przejęliście telefon komórkowy pozostawiony przez podejrzanego nielegalnego imigranta. Że pracowaliście nad podobną sprawą.

– Kiedy to było?

Podala datę.

– Nie, to zdecydowanie nie chodzi o mnie. Tamtego dnia byłem na kursie. Patrzę teraz w swój kalendarz. Moje słowa potwierdzi co najmniej dwunastka ludzi.

– Na pewno nazywa się pan Paul Roderigues?

– Tak było, jak ostatnim razem sprawdzałem.

– Jest u was ktoś z podobnym nazwiskiem i tym samym stopniem?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Siostry leżały obok siebie na szorstkich ręcznikach plażowych, które Jessica rozłożyła na wilgotnym piasku. Ich nagie ciała zakrywał płaszcz Isabel. Nad nimi nocne niebo było czyste, błyszczące fale przyływu szumiały łagodnie kilka kroków od nich.

– No to kto kłamie? – spytała Isabel. – Roderigues czy policja z Derbyshire?

Jessica przycisnęła się mocniej do zimnego boku siostry, poczuła trzeszczące

drobinki soli morskiej między nimi.

– Prawdopodobnie nikt z nich. Zbyt łatwo jest sprawdzić obie strony.

– Ale jak to możliwe, że zaginął dowód rzeczowy?

– Och, zdziwiłabyś się. A jeśli chcesz usłyszeć, co mi się wydaje, to powiem ci, że moim zdaniem ktoś tamtego dnia pożyczył sobie legitymację Roderiguesa. Albo posłużył się podróbką, licząc na to, że ten, kto wydawał telefon, nie będzie się jej przyglądał.

– Czyli ktoś z Northumbrii, ale nie Roderigues.

– Na to wygląda. Jest jeszcze jeden powód, dla którego myślę, że coś się tam dzieje.

– Nikt nie chce trafić do portów na północy? Jak ta rodzina z Erytrei, która rzekomo została wysłana na północ?

– Tak, to też, ale kiedy siedziałam w samochodzie przed komendą w Derbyshire, usiłując niczego nie roztrzaskać, taka byłam wściekła, zaczęłam przeglądać swoje notatki.

Jessica zerknęła na siostrę, żeby sprawdzić, czy nadal słucha. Słuchała.

– Przy przyjmowaniu do szpitala pacjenta prosi się o podanie podstawowych danych: nazwisko, adres, wiek, historia chorób, nazwisko i adres lekarza rodzinnego. A lekarzem rodzinnym Adar Nasser jest doktor Brown z przychodni New Chapel na High Street w Banbury.

– Lekarz rodzinny z południowego wschodu? Chociaż Adar podobno mieszka w Derby?

– To nic niezwykłego. Ludzie się przeprowadzają i nie zmieniają lekarza rodzinnego do momentu, aż zachorują. Dlatego personel szpitala nie miał zastrzeżeń.

– W takim razie wiadomo, co trzeba zrobić. Kontaktujesz się z przychodnią. Oni muszą mieć kartę pacjenta. Z niej dowiadujesz się, kim naprawdę jest Adar.

Jessica się uśmiechnęła.

– Pomyślałam o tym. Nawet policja z Derbyshire o tym pomyślała. Okazuje się, że nie ma tam takiego lekarza. Był jakiś Roger Brown, który kilkanaście lat temu przeszedł na emeryturę, ale nigdy nie pracował w Banbury. Według Google na High Street w Banbury nie ma żadnego gabinetu lekarskiego.

– Czyli krewni Adar skłamali. Wymyślili sobie jakiegoś lekarza, podając popularne angielskie nazwisko.

– Właśnie do takiego wniosku doszła policja z Derbyshire.

– Ale nie ty?

– Nie, ja nie, bo widziałam też kartę choroby Aayat Akel. Ten John Brown z Banbury z czymś mi się kojarzył.

– W obu przypadkach podano nazwisko tego samego nieistniejącego lekarza rodzinnego?

– Właśnie.

Isabel podciągnęła się i usiadła, Jessica poczuła na skórze powiew zimnego powietrza.

– I tego właśnie szukałaś. Dowodu, że coś się dzieje. Albo przynajmniej mocnych poszlak, że coś jest nie w porządku w policji Northumbrii.

Jessica też usiadła, sięgnęła po płaszcz i zarzuciła go sobie na ramiona.

– Och, mamy więcej niż to – oznajmiła. – Dane uzyskane od lekarza rodzinnego Adar zawierały adres mailowy, bo dziś komunikacja między szpitalami i przychodniami lekarzy rodzinnych odbywa się drogą elektroniczną. Zamieniłam słowo z naszymi informatykami i wysłaliśmy maila. Wyglądał tak, jakby został wysłany ze szpitala w Derby do doktora Browna z Banbury. Nic, co mogłoby budzić podejrzenia. Zwykła prośba o informacje o alergiach. Pięć sekund później dostaliśmy odpowiedź, że gabinet jest zamknięty.

– Czyli kłapa?

– Ależ nie. Wiesz, co to jest adres IP?

– A powinnam?

– To unikalny adres każdego komputera, generalnie każdego urządzenia, które może się łączyć z Internetem. Komputer w biurze Hildy też go ma. Jeśli potrzebujemy wysledzić konkretny adres IP, na podstawie ustawy o regulacji władzy dochodzeniowej możemy wystąpić do dostawcy Internetu o wydanie faktycznego adresu powiązanego z nim. Nadążasz?

Isabel kiwnęła głową.

– Komputer, z którego w imieniu doktora Browna przyszła do nas odpowiedź, znajduje się gdzieś w kwaterze głównej policji Northumbrii.

– O rany.

– Dostawca nie jest w stanie określić, który to komputer z kilkuset, jakie tam mają, ale wewnętrzny departament IT służb już będzie.

– No to co zamierzasz zrobić?

– Cóż, używając policyjnego powiedzonka, mamy do wyboru kilka dróg postępowania. Sprawdzimy bazę danych przeszczepów pod kątem tego, czy każdy dawca w ostatnich trzech latach to była realna osoba, a nie ktoś taki, jak Aayat i Adar, które zostały wpisane do bazy na podstawie fałszywych dokumentów tożsamości.

– To może trochę potrwać.

– Zaczniemy od dawców z Azji, Indii i z Bliskiego Wschodu. Tych nie będzie zbyt wielu.

– Ale to tylko potwierdzi istnienie problemu, prawda? Nie pomoże wykryć przestępcy.

– Nie, nie pomoże. Możemy zgłosić się do wydziału informatycznego Policji Northumbrii z oficjalną prośbą, żeby wysledzili, z którego komputera wysłano

mail. Problem w tym, że jeśli coś nie wyjdzie, zdradzimy się.

– Jak mogłoby coś nie wyjść?

– Ten człowiek może pracować w dziale informatycznym, a w takim przypadku będzie mógł zatrzeć ślady. Albo ten, kto to robi, ktokolwiek to jest, może korzystać z więcej niż jednego komputera, właśnie ze względu na taką ewentualność.

– I co w związku z tym?

– Rozpoczęliśmy tajną akcję. Ktoś zaczął pracować w komendzie Policji Northumbrii. Tylko żeby się rozeznać w sytuacji.

– I tym kimś jesteś ty?

Jessica nie odpowiedziała.

– Czy to niebezpieczne?

– Nie, oczywiście, że nie.

Isabel zacisnęła usta. Odwróciła się i popatrzyła na morze, na miejsce, gdzie księżyc właśnie wyłonił się zza chmur. Zanim znowu się odezwała, minęło kilka sekund.

– Myślisz, że zamieniłyśmy się miejscami?

– O czym ty, na Boga, mówisz?

Światło księżycy kładło się na wodzie srebrną ścieżką, jasna poświata padała też na bladą twarz Isabel.

– To ty zawsze byłaś ta nieśmiała – powiedziała, nie odwracając się. – Ta, która ciągle starała się za nami nadażyć, która bała się własnego cienia. – Spojrzała na siostrę i uśmiechnęła się. – A teraz? Tylko na siebie popatrz.

Jessica miała na końcu języka: A ty na siebie, Bella. Zobacz, co się z tobą stało.

– Tak naprawdę myślę raczej o tym, co mogłybyśmy osiągnąć, gdybyśmy pracowały razem – powiedziała zamiast tego.

– Myślałam, że tak jest. – Isabel ściągnęła brwi. Ton jej głosu sugerował, że poczuła się urażona.

– Tak, oczywiście. Bardzo mi pomagasz. I przez to jest jeszcze gorzej. Patrzę na ciebie i widzę, jak się marnujesz.

Isabel z powrotem odwróciła twarz do morza.

– To dlatego, że patrzysz na to ze świeckiej perspektywy. My wierzymy, że nie ma godniejszego sposobu spędzenia życia niż coraz większe zbliżanie się do Boga.

Mówiła tak, jakby cytowała ustęp z podręcznika.

– Zgoda, Bello, ale tylko pod warunkiem, że się w tego Boga wierzy. A ja wiem, z absolutną pewnością, że ty nie wierzysz i nigdy nie wierzyłaś.

Isabel zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech. Potem zrzuciła płaszcz i zaczęła szukać swoich ubrań.

Jessica miała świadomość, że posunęła się za daleko. Otworzyła usta, żeby przeprosić, ale wtedy Isabel, kurczowo przyciskając do siebie habit, odwróciła się do niej.

– No to jaką niespodziankę dla mnie szykujesz? – spytała radosnym głosem, zupełnie jakby ostatnie kilka minut w ogóle się nie wydarzyło.

– Skoro pytasz, chyba nie wiesz, co znaczy słowo „niespodzianka”?

– Siostry prowadzą loterię. Siostra Belinda myśli, że masz bilety na *Dźwięki muzyki* w Theatre Royal w Newcastle. Chce mi oddać całą wygraną, jeśli w trakcie sceny z tłumem uda mi się dostać na scenę.

– Robią cię w konia. Wiedzą, co zaplanowałam. Masz być gotowa o czwartej rano dwudziestego.

Isabel cicho westchnęła.

– O czwartej? Dokąd pojedziemy?

– Niedaleko.

– W co mam się ubrać?

– Już ci mówię. – Jessica zerknęła na zegarek. – Chodźmy. Musisz wracać. Jeśli Hilda przyłapie cię na kąpielu na golasa, a mnie na terenie, chociaż dostałam wyraźny zakaz przyjeżdżania, skończysz osiemdziesiątkę, zanim znów będziemy mogły rozmawiać o niespodziankach na twoje urodziny.

Wstały i zaczęły się ubierać.

– Jess – odezwała się Isabel, kiedy czarny habit okradł ją z kształtów i spowodował, że wyglądała, jakby jej blada twarz pływała bez ciała w powietrzu. – Będziesz ostrożna, prawda?

– Będę niewidzialna – odparła Jessica. – Tak jak za dawnych czasów.

Wtorek, 19 września (trzy dni wcześniej)

Sprzątacze są niewidzialni, pomyślała Jessica. Postawiła „ptaszek” przy swoim nazwisku na liście na ścianie damskiej toalety na pierwszym piętrze i wyszła z kubłem na korytarz. Ludzie zwracają na sprzątaczy tyle samo uwagi, co na kolor ścian, umiejscowienie kontaktów czy pory, w jakich włącza się centralne ogrzewanie. Gdyby z koszy na śmieci zaczęło się wysypywać, a klejące plamy po kubkach zaczęły zbierać kurz, szybko by sobie o nich przypomniano. Ale dopóki wykładziny były odkurzane, a kosze opróżniane, nikt ich nie zauważał.

Oszukanie innych sprzątaczy było zadaniem o wiele trudniejszym niż oszukanie policjantów, których miała obserwować. Niektóre z pozostałych sprzątaczek były Polkami i tylko udając lekko nierozgarniętą, zdołała przez te ostatnie dwa tygodnie nie wzbudzić ich podejrzeń. Polski знаła na poziomie, który mógł zwieść obcokrajowca, ale już Polak nie dałby się nabrać, że jest jego krajanką.

Ilekoć była w pobliżu innych sprzątaczy, głowę i wzrok trzymała spuszczone. Sprzątała dobrze i starannie, żeby nikt nie miał powodu się na nią skarżyć; zdążyła się zorientować, którzy funkcjonariusze urzędują w których pokojach. Którzy mają rodziny (zdjęcia na biurkach, późnopołudniowe telefony ustalające, kto odbiera dzieci i co kupić na kolację), którzy romans (potajemne rozmowy, gdy się sądzi, że w pobliżu nikogo nie ma). Wiedziała, którzy palą, którzy mają problem z piciem. Zawartość koszy zapełnionych opakowaniami po czekoladkach i dietetycznych przekąskach mówiła jej, którzy nie dają sobie rady z kontrolą wagi.

Zdążyła też wypatrzeć komputery, z których najprawdopodobniej były wysyłane maile od fałszywego gabinetu lekarskiego. Na jednym końcu piętra znajdowało się pomieszczenie z trzema oddzielnymi pokojami zgłoszeń, w każdym stało sześć terminali. Nie były użytkowane codziennie, ale wszyscy w budynku mieli do nich dostęp. Kiedy pracowała na tym piętrze, zawsze miała oko na te pokoje, zwracała uwagę, kto i kiedy do nich wchodzi.

Ale nie odkryła nic użytecznego. Budynek był zbyt duży. Za dużo osób się po nim kręciło. Nigdy nie było w nim pusto. Między szóstą a dziewiątą wieczorem robiło się trochę spokojniej, bo pracujący w normalnych godzinach szli do domów, ale potem na dyżur przychodzili inni. Gdyby popracowała tu kilkanaście tygodni, może dostrzegłaby jakieś dziwne, odbiegające od normy zachowania, ale na razie nic takiego nie zanotowała.

A możliwości spędzenia tu kilkunastu tygodni nie miała.

Ruszyła korytarzem, kierując się do toalet dla mężczyzn umiejscowionych po drugiej stronie piętra. Po jej lewej były windy, schody, jakieś szafki. Po prawej szklana przegroda, a za nią główne biura i centra koordynacyjne. Kiedy mijała windę, coś się jej rzuciło w oczy.

Utknięta pod ścianą, w wolnej przestrzeni między dwiema windami stała szklana gabłota wystawiennicza. Na trzech półkach w środku przeżyły się puchary, medale, ramki ze zdjęciami drużyn sportowych i z ceremonii wręczania nagród. Czyściła tę gabłotę wczoraj, ale na szkle znowu była plama.

Zatrzymała się i wyciągnęła rękę ze szmatką. Drobnym ślad, który w innym świetle prawdopodobnie byłby niewidoczny. Pozostawiony przez oddech kogoś, kto stał blisko szyby i zaglądał do gabłoty.

Dokładnie taki sam ślad wycierała wczoraj. Możliwe, że i wcześniej, ale nie była pewna. Miała po prostu wrażenie, że czyści tę szybę o wiele za często.

Ślad znajdował się ponad linią jej wzroku, zostawił go ktoś o wzroście dobrze powyżej metra osiemdziesięciu. Wytarła plamkę i zajrzała do gabłoty, żeby sprawdzić, po co ktoś się przed nią zatrzymywał i czemu tak przyglądał.

Bezpośrednio naprzeciwko plamy stała ramka, a w niej wycinek z gazety, pół strony z „Northumbrian Herald”, z artykułem i trzema zdjęciami. Pierwsze przedstawiało młodą kobietę z ciemnymi włosami i ciemnymi oczami, drugie grupę policjantów w mundurach, trzymających dyplomy pochwalne. Jessica przyjrzała się im dokładniej. Jednym z policjantów była ta sama młoda kobieta, tylko że tym razem włosy miała związane w kucyk. Trzecie zdjęcie wykonano podczas bardzo uroczystego pogrzebu: karawan ciągnęły czarne konie, za nim tłum ludzi. Ludzi wyglądających bardzo charakterystycznie.

„Dzielna Moira przegrała walkę z rakiem”. Pod tytułem była data. Potem artykuł. Moira zmarła we wrześniu, dwa lata temu.

Jessica wolno się obróciła. Wiedziała, że kamery na tym piętrze nie obejmują tego odcinka korytarza. Kiedy znowu odwróciła się w stronę gabłoty, w dłoni trzymała telefon. Zrobiła jedno zdjęcie, potem odeszła.

Na końcu korytarza zapukała do drzwi męskiej toalety.

– Halo, ekipa sprzątająca. Przepraszam, wchodzę.

Żadnej odpowiedzi. Otworzyła drzwi, odczekała sekundkę i postawiła przed drzwiami tabliczkę „Sprzątanie w toku”.

Moira Faa. Znała to nazwisko. Rozpoznała je natychmiast.

Otworzyła drzwi kabiny i je zablokowała.

Pamiętała jazdę późnym wieczorem po M1 do domu Neila, to, że była wyczerpana po pracowitym tygodniu. Pamiętała, że na full rozkręciła klimatyzację i radio, żeby nie zasnąć. W radiu mówili o młodej kobiecie umierającej na skutek jakiejś choroby wątroby. Jej jedyną szansą było znalezienie dawcy, i to w ciągu

najbliższych kilku dni.

Pamiętała, że rozmawiała o tym z Neilem, kiedy nie mogła zasnąć. On też słyszał tę historię w telewizji. Tamta kobieta miała na imię Moira. Utkwiło jej to w pamięci, bo pomyślała, że to dość staroświeckie imię jak na tak młodą kobietę. Neil uważał, że pewnie pochodzi z rodziny prowadzącej koczowniczy tryb życia, i to pasowało, bo Faa to nazwisko cygańskie. Nie dowiedziała się, co się stało z Moirą Faa. Nie chciała się dowiedzieć. Ten przypadek ją przeraził.

Miska klozetowa była brudna. Zalała ją płynem, także pod krawędzią, pochyliła się, wzięła szczotkę i zabrała się do roboty.

A więc apel nie odniósł skutku. Tamtej nocy nikt nie umarł i żadna wątroba nie była dostępna. Czy wiedziała, że Moira Faa była policjantką? Chyba nie. Na pewno nie policjantką pracującą w tym budynku.

Za jej plecami otworzyły się drzwi. Nie trudziła się i się nie obejrzała. Ktokolwiek to jest, widzi sprzęt, który zostawiła na środku, widzi jej plecy pochyłone nad muszlą, no i powinien zauważyć tabliczkę na zewnątrz.

Ktokolwiek to był, nie zauważył. Zamiast tego rozpiął rozporek.

Jessica otrząsnęła szczotkę, wstawiła ją do stojaka i spuściła wodę.

– Przepraszam – powiedział męski głos. – Dość długo wstrzymywałem.

– Nie ma sprawy. – Jessica uklękła i zaczęła myć podłogę pod miską. Znowu usłyszała zgrzyt suwaka. Policjant, i to jeszcze sam komendant, przechodząc, niechcący potrącił kubeł, z którego na posadzkę chlusnęła brudna, pobłyskująca okami płynu do zmywania woda. Jessica w lustrze przechwyciła odbicie twarzy mężczyzny. Z boku, ale to wystarczyło.

Och, mój Boże.

Szybko z powrotem wbiła wzrok w posadzkę, żałując, że nie ma rozpuszczonych włosów, żeby mogły opaść na twarz i ją zasłonić.

– Nic nie szkodzi. Ja posprzątać. To nie problem.

Stał tuż przy niej. Widziała jego wypolerowane na błysk buty z plamkami wody na czubkach.

– Proszę posłuchać, może ja?...

– Proszę, nie. To nie problem. – Podniosła ręce, odganiając go.

– No, jeśli jest pani pewna. Naprawdę bardzo mi przykro. Pójdę sobie w takim razie, żeby nie przeszkadzać?

Tak. Tak. Idź.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, wyprostowała się i z ulgą oparła o chłodną ścianę. Nie widział jej twarzy, inaczej coś by powiedział. Pokonała chęć zebrania rzeczy i ulotnienia się z budynku jak najszybciej. Zamiast tego zmusiła się do zrobienia przynajmniej tyle, żeby wyglądało, że pomieszczenie było sprzątane.

Potem lekko uchyliła drzwi i wyjrzała. Nigdzie go nie dostrzegła. Gabinet komendanta był na końcu korytarza. Jej zmiana kończyła się dopiero za godzinę,

ale nie mogła nic na to poradzić. Musiała wyjść już teraz.

Zjechała windą na parter, włożyła sprzęt do schowka. Swoje wyjście powinna zgłosić kierownikowi, ale to już nie miało znaczenia. Więcej tu nie wróci.

Żeby się dostać na przystanek, musiała pokonać parking, a potem przejść przez ulicę. Jej auto stało dwa przystanki dalej. Klucząc między jadącymi samochodami, przebiegła ulicę i wcisnęła się między stojących pod daszkiem ludzi.

Po drugiej stronie z komendy wciąż ktoś wychodził. Zerknęła w górę na elektroniczną tablicę. Do przyjazdu autobusu zostało jeszcze siedem minut.

Przysunęła się jak najbliżej do osób stojących obok, nie potrafiła się pozbyć nieprzyjemnego uczucia, że jest obserwowana.

Sześć minut. Z policyjnego parkingu wyjeżdżały samochody, przedzierały się przez rzeki deszczu na ulicy. Pięć minut. Ruch na ulicy zwolnił, jakby coś poza widokiem go zatrzymywało. Parking przed komendą i kilka stojących tam pojazdów oświetlały latarnie. W jednym z samochodów ktoś siedział.

Nic w tym niezwykłego. Po wiele osób po pracy przyjeżdżają partnerzy. Tylko że to konkretne auto, stalowoszary land rover defender, stary, obryzgany błotem, z osłoną przednią i z solidnym bagażnikiem na dachu, zupełnie nie pasował na parking, na którym stały głównie hatchbacki i rodzinne sedany.

Cztery minuty.

Człowiek w samochodzie wysiadł. Mężczyzna. Metr siedemdziesiąt, przysadzisty, ciemne włosy, w poplątanych lokach opadające na ramiona. Luźna czarna skórzana kurtka. Biały podkoszulek. Żeby się ochronić przed deszczem, nachylił się i wyjął z samochodu filcowy kapelusz. Wcisnął go mocno na głowę i ruszył przez parking. Straciła go z oczu, kiedy zniknął za rzędem radiowozów.

Znowu wyjęła telefon. Przez chwilę udawała, że sprawdza wiadomości, a potem, na sekundę, zanim autobus zasłonił jej widok, zrobiła zdjęcie tablicy rejestracyjnej defendera.

Piątek, 22 września

Wciąż jeszcze było ciemno, kiedy Ajax zatrzymał się na parkingu dla starszych oficerów i wyłączył silnik. Oprawione w ramkę zdjęcie siostry Marii Magdaleny i Jessiki Lane leżało na siedzeniu pasażera. Niedługo będzie musiało wrócić do klasztoru. Nawet nie był pewien, po co to zdjęcie w ogóle zabrał. Miało ponad dwadzieścia lat, nie mogło się przydać do zidentyfikowania Jessiki.

A jednak coś go w nim zaintrygowało, tylko nie wiedział co. I cokolwiek to było, intrygowało go nadal. Wrzucił zdjęcie do torby.

Wiadomość z prośbą, żeby się stawił w komendzie jak najszybciej, przyszła, kiedy przechodził przez bramki ochrony. Nie trudził się i nie poszedł do siebie, tylko od razu do gabinetu na końcu korytarza.

Szef wyglądał gorzej, niż się czuł.

– O której wróciłeś? – spytał Ajaxa.

– Sam nie wiem. Straciłem rachubę czasu – odparł.

– Dostałem maila z North Yorkshire. Czekał już, jak przyszedłem. – Gestem pokazał, żeby Ajax nalał sobie kawy. – Kobieta o wyglądzie odpowiadającym rysopisowi Jessiki Lang przez kilka metrów była ścigana na murach starego miasta w Yorku, zanim goniący ją funkcjonariusze stracili ją z oczu, gdzieś przy rzece. Uważają, że uciekła z powrotem do miasta.

Ajax już o tym wiedział. Tkwił w Yorku do momentu, aż tamtejsza policja porzuciła wszelkie nadzieje na szybkie pojmanie Lane. Zaniósł swoją kawę do stołu i usiadł.

– Ich ludzie stali na dworcu do odjazdu ostatniego pociągu – ciągnął szef. – To samo z dworcem autobusowym. Przejrzeli nagrania z kamer. Ona nie opuściła Yorku. Nie widać jej też na żadnym z zapisów kamer zainstalowanych na obrzeżach miasta. Ta kobieta zniknęła.

– Może współnik? – Ajax wypił całą kawę i wstał po dolewkę. – Ktoś ją wywiózł swoim samochodem?

– Niedługo przychodzi człowiek z Agencji do spraw Przystępności. Powie, czym się Lane u nich zajmowała. No, powie tyle, ile będzie mógł, oczywiście. Chociaż odniosłem wrażenie, że raczej wiele nam nie zdradzi.

Ajaxa zalała fala zmęczenia.

– Ona tu była, John. W tym cholernym budynku. Prowadziła śledztwo. Obserwowała nas.

– Jest coś jeszcze – oznajmił szef. – Mam wstępny raport z laboratorium.

Wygląda na to, że jednak znaleźli w koszu te tkanki mózgu. No i chociaż nie mają stuprocentowej pewności, uważają, że uszkodzenie jednej z lin nośnych jest spójne z teorią o postrzale.

– A Jessica Lane jest przeszkolona z używania broni palnej?

Szef kiwnął głową. Na zewnątrz mroki przedświt zaczęły się rozrzedzać.

Po powrocie do siebie Ajax otworzył teczkę i zobaczył zdjęcie. Zwrócone obrazem do góry, obrazem wpatrujących się w niego sióstr.

Ramka była drewniana, tania, podniszczona ze starości, a sama fotografia, kiedy się jej teraz przyglądał, przekrzywiona. Obrócił ramkę i zobaczył cztery metalowe klipsy przytrzymujące różne części razem.

Gdyby był w miejscu, w którym wolno mieć tylko jedno rodzinne zdjęcie, co by zrobił? Przekręcił klipsy, jeden po drugim, i wytrząsnął tylną tekturkę.

W środku było coś jeszcze. Uśmiechnął się tryumfalnie. Wiedział, że zabrał to zdjęcie nie bez powodu.

Inna fotografia. Dziesięć centymetrów kwadratowych błyszczącego białego papieru. Starego, trochę pożółkłego na rogach. Strona z odbitką była zwrócona do środka.

– No dobra, siostró Mario, odkryjmy twoją tajemnicę. – Czubkiem paznokcia podważył zdjęcie. Spadło mu na kolana, obrazem do góry.

– Chryste.

Zdjęcie było zrobione w szpitalu, a konkretnie na oddziale położniczym, jedynym miejscu, gdzie kiedykolwiek widział małe przezroczyste plastikowe łóżeczka. Pod niebieskim kocykiem leżała maleńka postać, z maleńką główką oprószoną meszkiem.

Siostra Maria ukrywała zdjęcie noworodka, chłopca.

Shinto, wylaż.

Pies zignorował polecenie. Patrick zawołał jeszcze raz. Nic, a podnoszenie głosu dzisiaj bolało, i to bardzo, zwłaszcza po tym, ile wypił wczoraj wieczorem. Było jeszcze cholernie wcześniej, poranne światło dnia wciąż zimne, niebieskawe. Podeszedł do otwartych tylnych drzwi furgonetki. W głębi wozu majaczył merdający psi ogon. Łeb tkwił przy ziemi. Shinto najpewniej znalazł coś do jedzenia. Byleby tylko nie rzygi albo, Boże broń, ludzkie gówna, chociaż nie byłby to pierwszy raz.

– Skończyłem, Pat. Mam nie zakręcać wody?

Patrick spojrział w stronę rogu placu, gdzie William opłukiwał kosze.

– Nie, zakręć. Podejdę za chwilę. – Wskoczył do wozu, natychmiast żałując tego gwałtownego ruchu. Wziął głęboki wdech, potem drugi. Zanim umyje furgonetkę, najpierw musi ją wyczyścić. Choćby wyrzucić tę końską derkę, która leży na nadkolu. I to, co znalazł Shinto, cokolwiek to jest.

Shinto, zakopany pod derką do połowy, jedną łapą przyciskał coś do podłogi i rwał to na strzępy zębami. Patrick lekko odkopnął psa i zobaczył jaskrawopomarańczowe opakowanie. Babeczki Reese z masłem orzechowym. Poczul nagłe mocne bicie serca.

Takie same babeczki, tej samej firmy, widział w domu Jessiki Lane w Yorku. Ta zgraja imigrantów, którą przewoził w nocy, nie była w żadnym europejskim sklepie od ponad tygodnia. Mało prawdopodobne, żeby to oni wnieśli te słodycze.

Pochylił się i przycisnął twarz do derki. Nie tylko koń. Nie tylko cuchnący smród ludzi w niewoli. Coś świeżego. Kwiecistego. Woń, którą doskonale pamiętał z łazienki w Yorku.

– Jezu. A niech to szlag. – Przeciągnął obiema dłońmi przez twarz.

– Co? Co się stało?

Matka, jak zawsze, gdy przeklinał, znalazła się w zasięgu słuchu.

– Nic. – Podźwignął się na nogi.

– Pat?

– Daj mi, kurwa, chwilę.

Wiedząc, że później za to zapłaci, przepchnął się obok matki, zeskoczył na ziemię i ruszył w stronę drucianego ogrodzenia. Szedł wzdłuż niego, przeciągając palcami po stalowych oczkach, jakby utrata fizycznego kontaktu z siatką, nawet na sekundę, groziła tym, że coś przeoczy. Dopiero kiedy dotarł do forda mondeo, tego zepchniętego pod samo ogrodzenie, oderwał od niego rękę. Otworzył drzwi samochodu, wsiadł do środka i zobaczył niebieską chustkę.

Nie, to nie chustka, tylko hidżab. Bez związku z kobietą, która mogła, albo i nie, ukryć się wczoraj na tyle furgonetki, ale za to prawie na pewno własność dziewczyny, która uciekła z obozu wczesnym rankiem w środę. Tej, od której zaczęła się ta cała pieprzona porażka.

Wysiadł z drugiej strony i stojąc, przyglądał się siatce. Jak, do diabła, one przeszły przez to ogrodzenie?

Potem zobaczył dziurę.

Skąd, do cholery, ona się tu wzięła?

Wtorek, 19 września (trzy dni wcześniej)

Ciche piknięcie dało Jessice znać, że na jej skrzynkę pocztową przyszedł mail. Ten, na który czekała. Dzięki Bogu za nocne zmiany. Otworzyła wiadomość.

Wybacz, że cię trzymałem, Lane. Potrzebowałem kwadransa dla siebie, dopiero potem mogłem się zająć szukaniem. Tak czy owak, to auto, o które chodzi, nie jest zarejestrowane, ale znalazłem raport policji. Widocznie się nim interesowali. Widziano je, jak więcej niż raz wjeżdża na posesję w Kirk Yethlom w Szkocji. Znany adres cieszącej się złą sławą rodziny Cyganów. Nazwisko to Faa. Najlepszego, Bazza.

Jessica poczuła, jak coś z niej uchodzi – energia, adrenalina. Przez chwilę mylnie sądziła, że to oznaka zmęczenia, ale potem się zorientowała, że po prostu jej ulżyło. Wiedziała, że było coś znajomego w tym filcowym kapeluszu. Zdjęcie w wycinku z gazety z pogrzebu Moiry Faa pokazywało członków rodziny idących za karawanem. Na przedzie ponurej procesji szło dwóch mężczyzn i starsza kobieta. Jeden z tych mężczyzn miał na głowie filcowy kapelusz.

Faa. Weszła do centralnej bazy policyjnej i wyszukała w niej informacje na temat rodziny Faa z Kirk Yethlom.

„Rodzina Faa mieszka w Kirk Yethlom od bardzo dawna. Zdaniem samej rodziny od piętnastego wieku. Wprawdzie nie ma możliwości, żeby to potwierdzić, niemniej nie istnieją żadne rejestry, które zaświadczałyby, że posesja należała kiedykolwiek do kogoś innego.

Posiadłość obejmuje dwa akry ziemi, w większości ogrodzonej i strzeżonej, oraz duży budynek w stylu wiejskiego dworku. Według doniesień pracowników opieki socjalnej i policji rodzina nie mieszka w domu, tylko w przyczepach (zwykle jest ich od ośmiu do dwunastu) ustawionych wokół domu. Dochód rodziny pochodzi rzekomo z prowadzenia firmy złomiarskiej, działającej na posesji.

Członkowie rodziny są ze sobą silnie związani, przejawiają duże poczucie lojalności. Skłonność do udzielania alibi sobie nawzajem stanowiła poważną przeszkodę w więcej niż jednej toczącej się przeciwko nim sprawie.

Upomnienia i skazania:

1997: Oficjalne upomnienie udzielone Patrickowi Faa w sprawie kradzieży dwóch rowerów.

2004: Oficjalne upomnienie dla Charlesa Faa za jazdę z rozbitym tylnym reflektorem.

2005: Oficjalne upomnienie dla Rebecki Faa, lat piętnaście, za próbę

dokonania kradzieży w sklepie.

2010: Zatrzymanie Patricka Faa, Williama Faa i Jeremy'ego Faa za pijaństwo i agresywne zachowanie w miejscu publicznym. Zobowiązani przez sąd do niewszczywania burd.

Czarną (a właściwie białą) owcą rodziny jest Moira Faa, najmłodsze dziecko i jedyna córka Mary Faa. Moira uczęszczała do Wyższej Szkoły Policyjnej Hendon, po jej ukończeniu wstąpiła w szeregi formacji Policji Northumbrii. Nie ulega wątpliwości, że niekonwencjonalna rodzina musiała na przestrzeni lat stanowić powód zakłopotania i niepokoju policjantki, niemniej nic nigdy nie wskazywało, aby posterunkowa Faa zachowała się w pracy niewłaściwie. Wręcz przeciwnie, za swoją służbę w Policji Northumbrii otrzymała w swoim czasie trzy wyróżnienia”.

Jessica opuściła policyjną bazę danych i wróciła do stron, które wcześniej wyszukała w Google. Żeby ostatni raz przeczytać to, co na nich znalazła, aby mieć pewność, że nic nie poplątała.

Na koniec poczuła, że wreszcie jest zmęczona. Prześpi się kilka godzin, a jutro, jak już odwiezie Isabel, jeszcze raz sprawdzi wszystko, czego się dowiedziała, i uporządkuje dokumentację. W czwartek pojedzie do Londynu i przekáže kolegom uaktualnione informacje. A potem weekend z Neilem. Nareszcie będą mogli poszukać sali na ślub, zaplanować coś konkretnego. Wyłączyła laptop i wróciła do sypialni. Położyła się, zamknęła oczy i siłą woli przywołała uśmiech na twarz.

Nie pomogło. Po kilku minutach mięśnie twarzy zaczęły boleć. Usiadła więc w łóżku i wtedy przed jej przymkniętymi powiekami pojawił się obraz. Jedno ze zdjęć, które znalazła w Internecie, pokazywało rodzinny dom Faa i złomowisko. Złomowisko, pośrodku którego stał duży wiejski dworek. Pomalowany na żółto.

Piątek, 22 września

Ajax. Poznaj, to komisarz Frank Boscombe z Narodowej Agencji do spraw Przestępczości.

Ajax pozwolił, żeby drzwi gabinetu szefa zamknęły się za nim.

Licząca sobie zaledwie kilka lat Agencja do spraw Przestępczości była instytucją rządową zajmującą się rozpracowywaniem i zwalczaniem poważnej przestępczości zorganizowanej: cyberprzestępczości, transgranicznej przestępczości gospodarczej, przemytu broni i narkotyków, handlu ludźmi.

– Komisarzu. – Ajax uprzejmie kiwnął głową.

– Inspektorze. – Boscombe był zdenerwowany, jego dłoń, kiedy podniósł kawę, drżała. Gdy odstawił filiżankę, zaczął skubać skórki przy paznokciach. Drzwi się otworzyły i do środka głowę wetknęła sekretarka.

– Sir, telefon do pana. Podobno coś pilnego. I osobistego. Dzwoniący nie chciał podać nazwiska.

– Za piętnaście minut – odpowiedział komendant. – Może szybciej, jak mi się uda.

Kiedy drzwi zamknęły się znowu, oznajmił:

– Komisarz Boscombe ma nam właśnie wyjaśnić, dlaczego funkcjonariuszka Agencji odwiedzała nasz budynek, udając sprzątaczkę z Polski.

– Czy mógłbym spytać, co panowie wiecie o projekcie Kraken? – zaczął Boscombe.

Ajax się skrzywił, pokręcił głową. Zauważył, że szef wygląda na równie zaskoczonego.

– Może nas pan wprowadzi?

– Mówiąc ogólnie, to wspólna inicjatywa brytyjskich służb granicznych i konkretnych regionalnych struktur policyjnych, a cel to wzmożenie czujności na terenach nabrzeżnych kraju.

– Chyba coś kojarzę – mruknął szef. – Kilka miesięcy temu dostaliśmy jakieś publikacje na ten temat. Plakaty, ulotki, tego rodzaju sprawy. Rozesłaliśmy je po posterunkach odpowiedzialnych za strefy nadbrzeżne.

– Projekt Kraken zachęca lokalną ludność do większej czujności na wodach – ciągnął Boscombe. – Mamy ponad trzydzieści dwa tysiące kilometrów linii brzegowej, nie upilnujemy jej sami. Kraken powstał z myślą o ludziach pracujących w przemyśle morskim czy gdziekolwiek w okolicach portów. Rybacy. Żeglarze. Nurkowie. Nawet turyści. Każdego, kto ma regularny kontakt z

wybrzeżem, zachęca się, żeby miał oczy otwarte i żeby zgłaszał wszystko, co wydaje się odbiegać od normy. Jessica należy do zespołu badającego te ze zgłoszeń, które naszym zdaniem na to zasługują.

– No tak, cóż, proszę mnie poprawić, jeśli coś mi umknęło, ale z miejsca, w którym jesteśmy, morza jakoś nie widać – odezwał się Ajax. Zauważył uniesione brwi komendanta i lekko wzruszył ramionami. Jeden z nich musiał odgrywać rolę złego gliny.

– Jessicę szczególnie interesuje temat przemytu ludzi – oznajmił Boscombe.
– Ma zdolności językowe i wcześniej, kiedy pracowała w stołecznej policji, często była wzywana do pomocy ofiarom w tych przypadkach, gdy nie dawało się ściągnąć z łóżka tłumacza. Kilkakrotnie na własne oczy widziała ładownie zapakowane ludźmi. Widziała cierpienie tych ludzi. Chciała w związku z tym coś zrobić.

– Na moim terenie takie problemy nigdy nie występowały. Mówię o przemycie ludzi – wyjaśnił szef. – Przynajmniej odkąd tu nastałem.

– Może tylko się tak panu wydaje, komendancie – odpowiedział Boscombe.
– Mamy doniesienia, że wzmożona ochrona granic Kentu i Londynu, ogólnie na południu, zmusza te gangi do przenoszenia się dalej. Mamy ślady potencjalnych działań przemytniczych w okolicach Anglii Wschodniej, Lincolnshire, nawet w częściach Yorkshire.

– Potencjalnych działań? – powtórzył pytająco Ajax. – Kogoś zatrzymano?

– Nie muszę panom mówić, że ci ludzie są ostrzy. Współpracujemy z regionalnymi służbami policyjnymi, żeby wzmocnić monitoring, ale chodzi o ogromne akweny, masę kilometrów wybrzeża, nawet zanim wliczy się w to rzeki, kanały i jeziora połączone z morzem. Poza tym bądźmy szczerzy, Brytyjczycy to wytrawni przemytnicy. Paramy się tym procederem od setek lat.

– Przywiezienie ludzi do Northumberland łączy się z bardzo długą podróżą morską – przypomniał Ajax. – Skąd ci ludzie są sprowadzani?

– Nie mamy pewności. Z Holandii. Może nawet z Danii. I ma pan rację, inspektorze, ściągnięcie ich tu oznacza długi czas spędzony na morzu. I tylko wtedy jest to warte zachodu, jeśli szanse przedostania się tutaj po kryjomu są sporo większe niż przemyt ludzi na południe.

– I gdyby miejscowe posterunki z rozmysłem patrzyły w inną stronę – dodał Ajax. – Zakładam, że właśnie to było powodem, dla którego Lane pracowała w naszym budynku. Podejrzewała, że ktoś tutaj pomaga przemytnikom, współpracuje z nimi.

– Trochę się chyba zapędzasz, Ajax – obruszył się szef.

– No to powiedzcie, że się mylę.

– Nie wolno mi ujawnić natury śledztwa prowadzonego przez Jessicę – oznajmił Boscombe.

Filizanka szefa zaklekotała, opuszczona gwałtownie na spodek.

– Ale mogę powiedzieć, że dobiegło ono końca – ciągnął komisarz. – Jessica pracę w tym budynku zakończyła trzy dni temu. We wtorek. Sama podjęła taką decyzję, ze słusznych przyczyn, chociaż ich też nie mogę ujawnić.

Szef wstał, odszedł od stołu i zwrócony do nich plecami wyglądał przez okno.

– Czy znalazła to, czego szukała?

– Tak, sądzę, że tak. Nie chciała zbyt wiele zdradzać w mailu, poprosiła o dzień lub dwa na przemyślenie wszystkiego. Wzięła dzień wolnego, miała plany rodzinne. Wyprawa balonem, jak się domyślam. W czwartek miała przyjechać do Londynu i opowiedzieć zespołowi o swoich odkryciach.

– Ale balon rozbił się w środę, a Jessica się ulotniła – dokończył Ajax.

– To, muszę przyznać, mnie zastanawia. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie skontaktowała się z nami najszybciej, jak tylko mogła.

– Zginęła jej siostra – zauważył szef. – Może była skołowana.

– Możliwe, tyle że Jessica nie jest z tych, co się łatwo załamują, nawet w obliczu tragedii. Coś ją zmusiło do ucieczki. Coś powstrzymało przed skontaktowaniem się z nami.

– Biorąc pod uwagę fakt, że to samo coś doprowadziło ją do tego, że zabiła dwie osoby, w tym własnego narzeczonego, myślę, że pora, żeby był pan z nami bardziej otwarty, komisarzu – rzucił Ajax.

– Obecnie jest poszukiwana jedynie ze względu na jej powiązania z obydwoma zbrodniami – wtrącił się szef. – Nie ma nakazu jej aresztowania.

– Jessica nikogo nie zabiła – zdecydowanym tonem oświadczył Boscombe. – To po prostu wykluczone.

– Miała uprawnienia do posiadania broni? Zespół laboratoryjny znalazł w balonie ślady prochu.

Boscombe zmarszczył brwi.

– Była przeszkolona, ale na pewno nie nosiła broni podczas wykonywania swoich zwykłych obowiązków służbowych.

– A nóż? Mogła go przy sobie nosić?

– Ajax – ostrzegł szef.

– W porządku, niech mi pan, komisarzu, pomoże w takim razie w czymś innym – zaczął Ajax. – Załóżmy, że Jessica nie współpracuje z tymi złymi gośćmi. Załóżmy, że przed nimi ucieka. Jest teraz gdzieś tam, przestraszona, wyczerpana, kończą się jej pieniądze. Dokąd, pana zdaniem, mogłaby się udać?

Boscombe popatrzył na Ajaxa twardo.

– Oczekiwałbym, że do mnie. Że starałaby się nawiązać kontakt ze mną.

– No tak. Miała na to czterdzieści osiem godzin, więc przypuszczam, że spokojnie może pan przestać wstrzymywać oddech.

– A jeśli nie to, to co innego? – dociekał szef.

– To pewnie chciałyby dotrzeć do Yorku – odparł Boscombe. – I wiemy, że tak zrobiła, tylko że to już nie jest dla niej bezpieczne miejsce.

– Dla nikogo nie jest, dopóki ona tam krąży.

– Ajax, uspokój się albo się nie wtrącaj – warknął szef. – Gdzie jeszcze mogłaby chcieć pójść?

– Jedna ewentualność jest taka, że Jessica wróciła do Yorku po swój laptop – oznajmił komisarz. – Miała w nim wszystkie szczegóły sprawy. Wątpię, żeby ryzykowała zabranie go do balonu, a wiemy, że nie ma go w jej samochodzie. North Yorkshire potwierdziło, że w domu nie znaleźli żadnego laptopa.

– A więc ma go przy sobie – ustalił szef.

– Tak właśnie zakładam – zgodził się Boscombe. – Zważywszy na śledztwo, w które była zaangażowana, może nie chcieć nawiązywać kontaktu z miejscową policją. Może się wręcz starać tego unikać. Nie zdziwiłbym się, gdyby próbowała się przedostać na południe. Wie, że telefony komórkowe można namierzyć. Wie o kamerach na dworcach kolejowych i autobusowych. Gdybym był nią, próbowałbym dotrzeć do oddziału, szedłbym na południe, korzystając z autostopu.

– Spojrzał na swój zegarek. – No cóż, muszę się już zbierać.

Szef wstał.

– A ja muszę zadzwonić – powiedział. – Dzięki za poświęcony czas, Frank.

W tym momencie zabręczała komórka Ajaxa. Ajax podniósł ją z zamiarem wstrzymania rozmowy, zobaczył, kto chce się z nim połączyć.

– Z kostnicy – poinformował. Szef kiwnął głową, żeby odebrał.

– Ajax – odezwał się głos po drugiej stronie linii. – Myślę, że powinieneś tu jak najszybciej zejść. Musisz coś zobaczyć.

Co to znaczy, że ona tu jest?

Patrick odszedł kilka kroków od domu. Zasięg na terenie posesji był kiepski, ale kawałek za kapliczką z Matką Boską było trochę wyżej i tam sygnał był lepszy.

– Była wczoraj w furgonetce – wyjaśnił. – Musiała się do niej zakraść, jak mnie zwinęli. Wygląda na to, że ją tu ze sobą przywiozłem.

– Jak, do jasnej...

Głos nagle umilkł. Patrick usłyszał odgłos kroków na twardym podłożu.

– Musicie usunąć tych ludzi. Załadujcie ich do wozów. Jedźcie na północ. I jak się tylko da, zjedźcie z głównej drogi.

– Już się do tego zabraliśmy. – Obejrzał się tam, gdzie krzątała się cała rodzina. Brama była otwarta. Na jego oczach wyjechał przez nią wóz kempingowy i odjechał. Jedyną osobą, która stała, była jego matka, zajęta gromieniem go wzrokiem. Odwrócił się do niej plecami, skupił na głosie w telefonie.

– Później musicie wyczyścić dom i teren – oznajmił jego rozmówca. – Powiem ci, jak to zrobić. Na razie upewnij się, że nie ma tam nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia, gdyby ktoś się pojawił i chciał sprawdzić. I wyczyść furgonetkę.

– Ona poszła po samochód – zawyrokował Patrick. – Ten na parkingu pod pubem. Jest tam teraz William.

– To auto mieli obserwować nasi ludzie. Zaczekaj chwilę...

Matka nadal na niego patrzyła. Kiedy nawiązał z nią kontakt wzrokowy, dała krok w jego stronę. Pokręcił głową.

– Jesteś tam jeszcze?

– Nawijaj – rzucił do telefonu, podnosząc rękę, żeby zatrzymać matkę.

– Dozór przy samochodzie został odwołany, kiedy dostaliśmy informację, że ktoś ją zabił w Yorku. A potem zapomnieli go wznowić. Przypomnę im teraz o tym, ale Will musi tam być wcześniej. Zadzwoń, jak tylko będziesz mógł.

– Wy potraficie namierzać samochody, prawda? Tym systemem... no, jak to szło... rozpoznawania...

– System automatycznego rozpoznawania tablic rejestracyjnych. Tak, ale jak już go uruchomię, to będziemy wiedzieli oficjalnie, że wróciła na północ. Wtedy to my ją złapiemy, a nie...

Myśl pozostała niedokończona.

– A nie ja, tak? – dopytał się Patrick.

Nie usłyszał odpowiedzi, a połączenie zostało przerwane, co go wcale nie zdziwiło. Odwrócił się i zobaczył, że tuż za nim stoi jego młodszy kuzyn, w swojej najlepszej odsłonie – mały przebiegły bandzior.

– Masz problem, Pat. – Jimmy trzymał w ręce telefon komórkowy, ten sam, który Patrick zabrał wczoraj z domu w Yorku.

– Jaki?

– W tym telefonie są trzy zdjęcia z tobą, przysłane w środę. – Jimmy na dowód swoich słów przytknął mu telefon prawie do samej twarzy. – Ty w starym domu z tamtą dziewczyną, która leży na ziemi. Kolejne dwa, jak ścigas balon. To na pewno ty, twój kapelusz, Shinto, no wszystko.

Patrick patrzył na kuzyna i się zastanawiał, czy ujdzie mu płazem, jak mu raz przyłoży.

– Dobra wiadomość brzmi, że nikt ich nie widział – dodał chłopak. – Wiadomości nie były otwierane.

Łomotanie w sercu Patricka nieco się uspokoiło.

– Czyli wszystko gra?

– Jedno z tych zdjęć jest podpisane – oznajmił Jimmy. – Tekst jest taki: „Ten człowiek występuje w moim bieżącym śledztwie”.

Patrick nic na to nie odpowiedział.

– Zdjęcia były wysłane z telefonu, którego jeszcze nie znaleźliśmy – ciągnął Jimmy. – Tej policjantki, Jessiki Lane.

– No i co?

– No i to, że w swoim telefonie ma zdjęcia z tobą. I jeszcze jedno. Wysłała wiadomość. Na ten telefon, który trzymam. Podała w niej hasło do swojego laptopa. Napisała, że to ważne. Widziałeś jakiś laptop, jak byłeś w tamtym domu?

Patrick splunął na ziemię.

– Nie pojechałem tam szukać cholernych komputerów.

– Nie, ale ona pewnie tak. Jeśli wróciła do tego domu, to pewnie właśnie po ten laptop. A więc jest policjantką, która nas sprawdza, ma zdjęcia z tobą w telefonie i Bóg jeden wie co jeszcze w swoim laptopie. Coś ci powiem, brachu, jeśli jej nie znajdziesz, masz przerąbane.

Robi się coraz ciekawiej – mruknęła MoJo, kiedy wchodzili do budynku kostnicy.

Patolog wyszedł po nich na korytarz i zaprowadził do gigantycznej lodówki ze zwłokami.

– Wykonałem już sekcje wszystkich ofiar wypadku balonu – oznajmił, kiedy drzwi się za nimi zamknęły. – Nie znalazłem nic, czego bym się nie spodziewał. Wszystkie obrażenia są charakterystyczne dla obrażeń przy upadku z dużej wysokości. Raport prześlę później, ale jeszcze dzisiaj.

– Dzięki. – Ajax czekał.

Na znak patologa asystentka wyciągnęła jedną z dużych stalowych szuflad. Rozpięła worek i zobaczyli zakonnice, karmelitankę, siostrę Marię Magdalенę; twarz, piękna i spokojna z jednej strony, z drugiej poparzona nie do poznania.

– Ta kobieta spędziła dwadzieścia lat w zakonie – oznajmił patolog. – W klasztorze klauzurowym, z bardzo surowym rygorem.

– Z tego, co wiemy, tak właśnie było – przytaknął Ajax.

– Więc raczej nie oczekiwałby pan, że będzie w ciąży?

– W ciąży? – powtórzył głupio.

– Przypuszczalnie dwunasty tydzień, do czternastego.

– Jest pan pewien?

– Mogę pokazać płód, jak pan chce.

– Nie – jęknęła MoJo.

– Uwierzę panu na słowo – odparł Ajax. – Tylko o czym my, do diabła, mówimy? Jakiś wizytujący klecha odrobinę się zapomniał?

– Nie. – Patolog podniósł z blatu przezroczystą torbę. – Szczerze mówiąc, sam byłem lekko skonsternowany, ale nie chciałem nic mówić, dopóki nie miałem szansy dobrze się jej przyjrzeć.

– Co to jest? – Ajax patrzył na jakąś tkaninę, zwiniętą w kłębek czarną koronkę.

– Bielizna – odpowiedziała MoJo.

– Czarne koronkowe majtki i biustonosz z fiszbinami, rozmiar 32D – poinformował patolog. – To raczej nie jest standardowa bielizna klasztorna.

Ajax podszedł do zwłok bliżej. Spojrzał na twarz, bez make-upu, na ciemne kręcone włosy. Czy zakonnice nadal golą głowy? Nie, już od stulecia czy dłużej nie.

– To zakonnica z bardzo poważnymi problemami – zawyrokował.

– To nie jest żadna zakonnica – oświadczył patolog. – Siostra Maria Magdalena nigdy nie miała zdejmowanych odcisków palców, więc nie mogłem ich

sprawdzić. Ale odciski Jessiki Lane, jako czynnej funkcjonariusz policji, były w jej aktach. – Popatrzył na martwą kobietę, podniósł jej rękę ze wciąż widocznymi śladami ciemnego proszku na palcach. – To jest Jessica. Ta, której szukacie, to siostra Maria Magdalena.

Część 3

95

Bicie dzwonu godzinowego zawsze było najgłośniejszym dźwiękiem w klasztorze Wynding. Siostra Maria Magdalena, która czterdzieści lat i dwa dni temu urodziła się jako Isabel Jones, otworzyła oczy i ujrzała znajomy popękany i pożółkły sufit. W przeszłości często sobie wyobrażała, że plamy na tynku to ślady po duszach uwięzionych kobiet, duszach wolno wysysanych przez nudę i rozpacz. Już wiele lat temu uznała, że zakonnice są jak okrutnie okaleczone kuce, odarte z całego jestestwa, pozbawione człowieczeństwa w tych ich nigdy nieustających usiłowaniach, żeby stać się jak najlepszymi służebnicami nieistniejącego Boga.

Było jej zimno, ale to żadna nowość ostatnio. A materac, nawet taki stary i zużyty, to najwygodniejsze posłanie, na jakim spała od kilku nocy. Usiadła i zdała sobie sprawę, że już nie jest sama. Na jedynym w pokoju drewnianym krześle w rogu siedziała sztywna, przysadzista postać matki Hildegardy.

– Dzień dobry, siostró – rzuciła starsza zakonnica. – Witaj w domu.

Isabel – powtórzył szef. – Isabel żyje? To pewne?

– Siostra Maria Magdalena – poprawił Ajax. – I tak, nie ma cienia wątpliwości. Ciało w kostnicy to zdecydowanie Jessica.

– Jak to możliwe? Jak, do cholery, mogliśmy się aż tak pomylić?

– Zwłoki, które znaleźliśmy, były obleczone w habit, chociaż nie potrafię teraz wyjaśnić, jak to się stało. A siostry były identyczne.

Szef wysunął krzesło i usiadł.

– To rzuca na wszystko kompletnie nowe światło. Czyli to Jessica jest tą, która nie żyje?

Ajax powstrzymał westchnienie irytacji.

– Przede wszystkim, sir, myślę, że możemy zapomnieć o podróży do Londynu. Jessica mogłaby chcieć się tam dostać, ale ktoś, kto dwadzieścia lat żył w zakonie, raczej się na coś takiego nie odważy. Zresztą nie ma takiej potrzeby.

– Ostatnie dwadzieścia osiem godzin spędziła na przechytrzeniu policjantów dwóch różnych służb – wtrącił się Chapman. – Uważam, że nie powinniśmy lekceważyć tej kobiety, kimkolwiek jest.

– Wiemy, kim jest – odezwała się Stacey. – Wciąż główną podejrzaną w sprawie dwóch morderstw. Poza tym teraz mamy jeszcze mniejsze pojęcie, dlaczego od samego początku się ukrywa.

– No to gdzie ona może być? – spytał szef. – Wciąż w Yorku?

– Możliwe – zgodził się Chapman. – Od chwili, gdy ją widziano na Duke Street, obserwujemy dworzec kolejowy i autobusowy. Ona nie opuściła miasta.

– Chyba że złapała stopa – zauważył szef.

– Sir, nie wyobrażam sobie, żeby taka kobieta zatrzymała kogoś obcego w nocy i z nim pojechała – oznajmiła Stacey. – A jeśli tak zrobiła, to ten, kto ją zabrał, pewnie już by się do tej pory zorientował, że jej szukamy, i się do nas odezwał.

Szef kiwał głową.

– Pójdzie tam, gdzie się czuje bezpieczna. Jak na to mówią te religijne typy? Sanktuarium? Założę się, że jest w którymś kościele w Yorku. Skontaktuj się z policją z North Yorkshire, Ajax. Zaczynjcie od katedry. Tam na pewno mogła liczyć na gościnę.

– Myślę, że ma pan rację, sir – orzekł Ajax. – Myślę, że poszła do swoich, takich jak ona.

To zakonnica? Co ty gadasz, jaka zakonnica?

– Była na drzewie – powiedział Patrick, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. – Czekala, aż odejdę. Ubrania musiała zamienić już potem.

– Nie wierzę, że dałeś się wykiwać zakownicy – prychnął Jimmy. – Baba policjant to i tak już obciach, ale pieprzona zakonnica!?

– Trzymaj ręce przy sobie. Nawet się nie waż go tknąć. Nie własnego kuzyna. – Mary wepchnęła się między nich. – On tylko mówi bożą prawdę.

Wycelowała palcem w jego twarz.

– No dobra, niech to zrozumiem. Widziałeś, że na ziemi leży kobieta w zielonej kurtce, i potem cały pieprzony kraj szukał wczoraj kobiety w zielonej kurtce, a tobie nie przyszło na myśl powiedzieć: Chwila, zaszło jakieś pierdzielone nieporozumienie?

Patrick dał krok do tyłu. Nigdy wcześniej nie widział matki aż takiej.

– Nie widziałem tamtego zdjęcia. Zobaczyłem je dopiero w Yorku. – Sam też wycelował palcem, tyle że w kuzyna. – To, które wysłał mi ten debil, było inne. Na nim nie była w zielonej kurtce. Skąd miałem wiedzieć?

– To lepiej czy gorzej, że ona nie jest gliną? – spytał Jimmy.

Rozmowę przerwał odgłos otwieranej bramy. Do środka na biało-czarnym kucu wjechał William.

– Tak czy owak, ona może mieć ten laptop – odezwał się znowu Jimmy. – Może wiedzieć wszystko to, co wiedziała jej siostra.

William zeskoczył na ziemię i podprowadził konia do koryta. Zostawił tam kuca i podszedł, kręcąc głową, najpierw patrząc na Mary, potem na Patricka.

– Mamy pewność? – spytała Mary.

– Jasnozielony fiat? – odparł William. – Nie stoi tam. Przejeżdżałem dwa razy.

– Miałam na myśli, czy mamy pewność, że to zakonnica. Ona jest wszędzie, lata po kraju jak te muchy z niebieskimi kuprami.

– Gliny były? – zainteresował się Patrick.

– Ja przynajmniej nie widziałem – odpowiedział William.

– Jeśli zabrała samochód, może być wszędzie – zawyrokowała Mary. – Zakonnice teraz prowadzą samochody? Mają prawa jazdy?

– Jeśli jedzie tym, o którym wiedzą gliny, daleko nie zajedzie – rzucił Patrick. – Zgarną ją w ciągu kilku godzin.

– W takim razie musimy dać im to zrobić – orzekła Mary. – Nie zabijesz zakownicy, Pat. Tak się nie godzi.

– Ona pojedzie do tego zakonu – odpowiedział. – Do tego... Jak on się

nazywa? Klasztor Wynding? – Rzucił końcówkę papierosa w ognisko.

– Pat, dokąd idziesz? Nie pojedziesz do tego świętego miejsca... Pat!

Wszystko jest tutaj.

Dwie kobiety zatrzymały się przy drzwiach refektarza. Isabel podniosła cienki laptop, który zabrała ze sobą na dół.

– Całe śledztwo. Zanim zasnęłam, przeczytałam wszystko. Jest też list do mnie. Napisała go kilka godzin przed przyjechaniem po mnie. Od wielu lat pisała do mnie listy, tylko się nie trudziła z ich wysyłaniem. Znalazłam cały plik z nimi. Sądzę, że to był jej sposób na rozwiązywanie spraw.

Hildegarda smutno się uśmiechnęła.

– Przypuszczam, że w swoim czasie będą wspaniałym źródłem pociechy.

– Tej ostatniej nocy nie spała. Przed wycieczką balonem. Pamiętam, że pomyślałam, że wygląda na zmęczoną. Miałam rację, całą noc nie zmrużyła oka.

– Ale dlaczego? Co, na Boga, robiła?

– Okazuje się, że całkiem sporo.

Środa, 20 września (dwa dni wcześniej)

Krótko po drugiej w nocy Jessica przejechała obok wjazdu na posesję rodziny Faa. Teren był ogrodzony wysoką, co najmniej trzymetrową siatką z drutu, zwieńczoną kłębami drutu kolczastego. Ogromna dwuskrzydłowa brama była zamknięta na kłódkę na łańcuchu. Ogrodzenie ciągnęło się wzdłuż drogi dobre trzydzieści metrów, potem skręcało w stronę lasu.

Teren za bramą oświetlał sznur nagich żarówek. Dzięki nim mogła dojrzeć wysypane żwirem podwórko, ustawione w półkołu przyczepy, samochody osobowe różnych marek, ciężarówki i furgonetki, a dalej, zdawałoby się, że niemające końca, stopy szkieletów starych aut.

Na samym środku podwórza, zwrócony frontem do drogi, stał Żółty Dom. Jednopiętrowy, pięć wąskich okien i drzwi frontowe. Nie widać było, żeby gdzieś paliło się światło. Z drogi, siedząc w jadącym aucie, trudno jej było to stwierdzić na pewno, ale okna wyglądały na zabite deskami.

Pojechała kilkaset metrów dalej wzdłuż ogrodzenia, aż dotarła do wjazdu na pole, gdzie mogła zjechać i się zatrzymać.

Nie miała upoważnień, żeby przeprowadzić przeszukanie. Nic, co by podczas niego znalazła, nie byłoby dopuszczone jako dowód. To, co zamierzała zrobić, było prawdopodobnie bardzo niebezpieczne. Jeśli ma rację, że tu przetrzymuje się ludzi, możliwe, że narazi ich na śmierć. Z drugiej strony, jeśli są tu jacyś uwięzieni ludzie, musi działać. Do kieszeni wsunęła obcęgi i mocną stalową linkę, wyskoczyła z samochodu, zamknęła i ruszyła w stronę bramki wejściowej na pole.

Pokonała je, precyzyjnie się przez żywopłot; jeszcze jedno pole i stanęła przed stalową siatką granicznego ogrodzenia. Dom był pięćdziesiąt metrów dalej. Dwa okna z boku, jedno na piętrze, jedno na parterze. Budynek miał prawdopodobnie osiem pokoi, może kilka niedużych łazienek i powierzchnie użytkowe. I jeszcze może jedna centralna klatka schodowa. Żółty tynk był w kiepskim stanie. Kruszył się przy dachu, przy ziemi widać było na nim plamy wilgoci. Domem nikt się nie zajmował, nikt o niego nie dbał.

Na twarzy poczuła powiew lekkiej bryzy niosącej ze sobą woń ogniska, benzyny, szamba.

Poszła dalej wzdłuż linii ogrodzenia, w przeciwną stronę niż droga. Na widoku pokazały się przyczepy za domem. Doliczyła się dziewięciu. Dym unosił się z więcej niż z jednej. Świeciło się w przynajmniej dwóch. Zobaczyła kapliczkę,

duże, otoczone kamieniami ognisko z jarzącym się na pomarańczowo żarem, skład butli gazowych.

Szła dalej, pozostawiając za sobą światło na podwórku i wkraczając w cień wznoszących się wysoko w górę stosów wraków aut. Między nimi z gwizdem przelatywał wiatr, dźwięk był upiorny, prawie jakby ktoś zawodził. Co rusz podskakiwała ze strachu, gdy przesuwający się metal skrzypiał i jęczał. Mimo to nie zatrzymywała się. Ogrodzenie nie mogło otaczać całego terenu. To byłaby zdecydowana przesada.

Chyba że jego rolą nie była ochrona przed złodziejami.

Zbliżała się do narożnika i już teraz widziała, że ogrodzenie jednak zakręca i ciągnie się również z tyłu. Nie było jak się dostać na teren posesji. Górą przez ogrodzenie nie przejdzie, pod nim tym bardziej.

Zawróciła w stronę domu. Dlaczego rodzina w nim nie mieszka?

Kiedy dotarła do mniej więcej połowy płotu, z kieszeni kurtki wyciągnęła przyniesione z auta obcęgi. Dla eksperymentu wypróbowała je na kawałku drutu. Rozcięła go jednym mocnym zaciśnięciem rączek. Jeśli rozetnie dwadzieścia oczek, mogłaby zagiąć siatkę i przejść przez dziurę do środka.

Zajęło jej to tylko kilka minut. Na rękach i nogach przeczołgała się przez dziurę, czując przy okazji, że końce drutów czepiają się jej włosów. Poczowała opór, a sekundę później usłyszała, że rozdziera się materiał kurtki, ale była po drugiej stronie ogrodzenia.

Drut ściągnął jej też z włosów zieloną gumkę, tę, która tak idealnie pasowała do koloru jej ulubionej zielonej kurtki. Frotka tkwiła na ogrodzeniu, jakiś metr dwadzieścia nad ziemią. Zostawiła ją tam, myśląc, że jeśli będzie zmuszona szybko odnaleźć dziurę, gumka posłuży za wskazówkę.

Rozejrzała się i stwierdziła, że zasłonięta wrakami może podejść prawie pod same przyczepy i nikt tego nie zauważy. Ale najpierw musiała przeleźć przez stojący tuż przy ogrodzeniu samochód. Przecisnęła się przez otwór po brakującej szybie, zorientowała się, że auto to ford mondeo, potem wyszła na drugą stronę przez pusty otwór drzwiowy.

Szła szybko z powrotem tam, skąd przysła, co kilka sekund przystawała, żeby się rozejrzeć i posłuchać. Zobaczyła dach Żółtego Domu. Potem górne okna. Była coraz bliżej. Na widoku pojawiły się dachy przyczep.

Gdzieś bardzo blisko zaszczekał pies.

Przykucnęła. Powinna to przewidzieć. Na złomowiskach zawsze są psy. Zaryzykowała podniesienie głowy, sprawdziła, z której strony wieje wiatr. Wiał w jej stronę, nadal dopływały do niej zapachy benzyny i ścieków.

Otworzyły się jakieś drzwi. Głos mężczyzny, mówiącego cicho, ale nie aż tak, żeby go nie słyszała ze swojego miejsca.

– Co się tam dzieje, do diaska? Idź, szukaj.

Usłyszała stukot pazurów pokaźnego psa. Nie przybiegnie prosto do niej, nie wtedy, kiedy wiatr wieje w jej stronę, ale w końcu ją znajdzie.

– Shinto.

Drzwi z tyłu domu były otwarte. Widziała sączące się ze środka światło.

– Pat? – Nowy głos. – Co się, kurwa, dzieje?

– Nic. Wracaj do łóżka.

Teraz już widziała ogromną sylwetkę psa. Biegł wzdłuż ogrodzenia, pewnie wyczuwał jej zapach, który tam po sobie zostawiła. Owczarek niemiecki.

To akurat dobrze.

Owczarki nie są aż takie ostre, jak się powszechnie sądzi. Wiedziała o tym od Neila. Trzeba miesięcy ciężkiej pracy i wiele cierpliwości, żeby łagodne, kochające ludzi zwierzę zamienić w potwora, który będzie polował i atakował na rozkaz. Większości zwykłych właścicieli psów nie chce się aż tak trudzić. Biorą owczarki niemieckie na psy obronne głównie dlatego, że już sam ich rozmiar budzi strach. Ale na ogół, jeśli się do nich podchodzi właściwie, owczarki są bardzo przyjazne.

– Tutaj, mały – przywołała psa szeptem. – Shinto, tutaj.

Zobaczyła, że pies odwraca się w jej stronę. Że podnosi nos. Wyczuł ją.

Ruszył ku niej, ale nie pędem, tylko równym truchtem. Czyli dobrze, bo to oznaczało, że nie jest do końca pewny siebie. Nie wie, co znajdzie, jak już to dopadnie.

– Dobre psisko. Bardzo dobre. – Naśladowała Neila, starała się mówić jak on, gdy pracował z najmłodszymi psami, najmniej przewidywalnymi. Neil był jednym z najlepszych trenerów w historii jednostki. Sztuczka polega na tym, powtarzał zawsze, żeby się nie bać.

Pies był już teraz blisko. Pozostając w przysiadzie, sięgnęła do kieszeni po przysmak dla psów, które ona i Neil zawsze ze sobą nosili.

Owczarek był na tyle blisko, że widziała blask jego oczu.

– Dobra psina. – Wystawiła dłoń zaciśniętą na przysmaku i zobaczyła, że nos psa zadrżał. Rzuciła mu smakołyk. Natychmiast go schwycił.

– Dobry pies. – Rzuciła następny. Miała jeszcze jeden, potem będzie musiała polegać na pieszczotliwych słowach i pewności siebie.

Och, to naprawdę nie był najlepszy moment na zabawę z nieprzewidywalnym psem.

A on był już przy niej, obwąchiwał jej twarz, potem niżej, poszukując ostatniego przysmaku. Nie dała mu go od razu.

– Hej, piękny. – Sięgnęła do psa i podrapała go za uchem, dokładnie w tym miejscu, w którym wszystkie psy z długą sierścią lubią być drapane. Dalej obwąchiwał kieszenie jej kurtki. – Następnym razem mnie rozpoznasz, prawda, mały?

– Shinto. Do nogi.

Pies się odwrócił i pobiegł do swojego właściciela, ale ona już miała w psie przyjaciela. Jest bezpieczna, przynajmniej jeśli chodzi o zwierzę.

– Pat, co tu się, do diabła, dzieje? Dlaczego te pieprzone drzwi są otwarte?

– Wyluzuj. Pies się denerwował, to wszystko.

Usłyszała trzask towarzyszący zamykaniu tylnych drzwi, czekała, aż znowu zapanuje spokój. Potem nagle drzwi znowu się otworzyły.

– Zapalać cholerne światło. Wszyscy! Wstawać, już!

Natychmiast wszędzie na podwórku rozbłysły żarówki.

Jessica odwróciła się i pognąła do dziury, którą wycięła w siatce. Przy fordzie mondeo na chwilę przystanęła. Ukryta w ciemnym wnętrzu samochodu obejrzała się za siebie. Na placu migotały światła latarek. Ludzie wołali do siebie. Shinto ujadał. Niemożliwe, żeby to jej szukali, ale czegoś szukali, to było oczywiste. Wcześniej czy później przyjdą i tutaj. Przecisnęła się przez otwór po szybie.

Zielona frotka ułatwiła jej odnalezienie rozcięcia w siatce. Przeczółgała się przez dziurę, z kieszeni wyciągnęła linkę. Zaczynając od góry, przewlekła ją przez oczka siatki, łącząc jej części ze sobą. Odcięła linkę na dole. Żeby zauważyć, że siatka była rozcięta, trzeba by się było dobrze jej przyjrzeć. Sięgnęła po frotkę i zmarła.

Ford mondeo, przez którego właśnie przelazła, poruszał się.

Wpatrzyła się w ciemność, modląc się, żeby się okazało, że to tylko przywidzenie, że to tylko księżyc wychynął zza chmury i stąd złudzenie ruchu.

Nic. Auto stało nieruchomo.

– Sprawdzę ogrodzenie od północy.

Ona stała po północnej stronie terenu. A ten głos był blisko. Musi iść. Odwróciła się, gotowa, żeby pochyłona odbiec.

Kilka kroków dalej rozległ się dźwięk, jakby ktoś zeskoczył na miękkie podłoże.

Obejrzała się. Nic. Światło nie docierało do tego rogu placu. Księżyc znowu się schował. Nie było nic widać. Ani słyhać. A jednak wrażenie, że ktoś jest blisko, było bardzo dojmujące. Prawie uwierzyła, że błysk, dwa metry po drugiej stronie ogrodzenia, to nie błysk metalu na starym aucie, ale migotanie pary oczu.

Teraz już naprawdę przestraszona, odwróciła się i uciekła.

Kiedy znalazła się w samochodzie, przez kilka minut tylko siedziała. Na terenie posesji rodziny Faa nie zobaczyła niczego, co uzasadniałoby ściągnięcie tu zespołu jeszcze przed czwartkiem, gdy miała złożyć pełny raport. Poza tym przeszukiwała teren nielegalnie. Na razie nic nie mogła zrobić. Uruchomiła silnik. Do odebrania Isabel została jej mniej niż godzina.

Bez żadnego ostrzeżenia Jessica nagle ostro wyhamowała i zjechała na pobocze. Upewniła się, że droga jest pusta, wyskoczyła z samochodu, podbiegła do parowu i się pochyliła, akurat w chwili, gdy jej żołądek boleśnie się zacisnął i wyrzucił na zewnątrz swoją zawartość. Pierwsze wyleciały babeczki z masłem orzechowym, te, które jadła wcześniej rano. Potem cała masa płynu. Dotarła do punktu, że wymiotowała już tylko na sucho, i wtedy usłyszała, że w aucie trzasnęły drzwi.

– Powinniśmy wrócić. – Isabel stała kilka kroków za nią. – Cokolwiek zaplanowałaś, nie możemy tego zrobić, bo jesteś chora.

– Nie jestem. – Kolejny skurcz zgiął ją wpół. A naprawdę nie miała już czym wymiotować. – W plecaku mam wodę. Przyniesiesz?

Isabel znalazła wodę, Jessica przepłukała nią usta, wypluła, potem się napiła.

– Jeśli tak teraz wyglądają twoje śniadania, to wcale się nie dziwię, że wymiotujesz. – Isabel trzymała pomarańczowe opakowanie. – Poza tym, co to w ogóle są te babeczki z masłem orzechowym? – Jej surowa twarz złagodniała. – Mogę nas odwiedzić. O tej porze mogę prowadzić, nie będę zagrożeniem.

Przepisy zakonu wymagały, żeby co najmniej trzy z sióstr miały aktualne prawo jazdy, żeby mogły prowadzić ich jedyne auto, starego srebrnego forda focusa. Isabel egzamin zdała dziesięć lat temu. Któregoś razu ona i Jessica policzyły, ile kilometrów w sumie przejechała. Wyszło im jakieś sześćset.

– Nigdzie nie wracamy, ty nie prowadzisz, a ja nie jestem chora. – Jeszcze jedno, ostatnie splunięcie i Jessica była gotowa. Odwróciła się do zaniepokojonej siostry. – Jestem w ciąży – wyjaśniła. – Babeczki z masłem orzechowym to zachcianka. Pożeram ich tony.

Isabel nie odpowiedziała, ale jej usta ułożyły się w małe „o”. Oczy wytrzeszczone.

– Czternasty tydzień. Termin mam na luty. Nie planujemy pytać o płęć, ale nie wiem, czy wytrzymam.

Isabel cofnęła się do samochodu i oparła o drzwi. Jej twarz, zawsze blada, pobleadła jeszcze bardziej.

– Dobrze się czujesz? – spytała Jessica, nie bez cienia ironii.

Nie doczekała się odpowiedzi. Siostra tylko na nią patrzyła.

– Bella?! – zawołała, kiedy potyczka na spojrzenia zaczęła się ocierać o lekkie szaleństwo. – Serio, co się dzieje?

Drogą przejechała ciężarówka dostawcza. Na widok dwóch kobiet na poboczu, w tym zakonnicy, kierowca zatrąbił. Isabel otrząsnęła się z zamroczenia i uśmiechnęła.

– To naprawdę wspaniała nowina – oznajmiła. – Moje gratulacje.
– Chodźmy, bo się spóźnimy. – Jessica wyszła na drogę i wsiadła do samochodu. Isabel poszła w jej ślady.

– Pewnie Neil jest w siódmym niebie – zauważyła, gdy już usiadła na miejscu pasażera.

Jessica uruchomiła silnik, spojrzała w lusterko boczne i wyjechała na drogę.

– Coś się nie spieszysz z odpowiedzią. To lekko niepokojące – mruknęła Isabel.

Jessica pomyślała, że poda jakieś konwencjonalne usprawiedliwienie. Jest w tej chwili bardzo zajęty, ma na głowie mnóstwo rzeczy. Nie wiem, czy to do niego w pełni dotarło. Znasz mężczyzn, wizja rodzicielstwa raczej ich paraliżuje. Z drugiej strony, to jej siostra.

– Tak jak i jemu się nie spieszyło, gdy mu powiedziałam. Trochę potrwało, zanim usłyszałam „to cudownie”.

Isabel chwilę się zastanowiła.

– Długo na to czekaliście. Może potrzebuje czasu, żeby oswoić się z sytuacją. Jutro pewnie pojawi się w domu z pluszowym miśkiem.

– Zostawił swoją komórkę – poinformowała Jessica po dłuższej chwili milczenia. – W górnej szufladzie. Tak powiedział. Zadzwoił wczoraj z telefonu stacjonarnego, żeby uprzedzić, żebym się nie spodziewała telefonu od niego aż do jego powrotu. Co oczywiście oznacza, że nie mam się jak z nim skontaktować.

– A to aż taki problem? Przecież wraca za dwa dni.

– Namierzyć też go nie mogę, tą aplikacją „Znajdź mój telefon”.

Kiedy zerknęła z ukosa na siostrę, ta wyglądała na zdezorientowaną. Prawdopodobnie nie miała zielonego pojęcia, o jakiej aplikacji mowa.

– Nie, jasne, że nie problem – mruknęła. – Nie przejmuj się tym, co mówię. Tak tylko plotę trzy po trzy.

Minutę lub dwie jechały w milczeniu. Przed nimi niebo zaczynało się rozjaśniać, zrobiło się szarawe jak skrzydła gołębia.

– Niedługo wszędzie słońce – zauważyła Isabel. – Będziemy robiły coś... pogańskiego?

Jessica się uśmiechnęła.

– Cierpliwości.

Droga skręciła na zachód i na tle nieruchomego ciemnego horyzontu zobaczyły strzelający w górę płomień.

– Widziałaś to? – Isabel siedziała na swoim miejscu wyprostowana jak struna.

Jessica znów się uśmiechnęła.

– Widziałam.

Isabel nachyliła się do przodu, praktycznie przytknęła nos do szyby. Pas

pociągnął ją z powrotem, więc go wypięła.

– I znowu. Co to jest? Coś się pali?

– To, moja droga, jest twoja przejażdżka.

Dojechały do pubu, gdzie miały się spotkać z ludźmi z firmy balonowej i z innymi pasażerami. Kiedy Isabel przeczytała napis na firmowym land roverze, wydała z siebie głośne westchnienie, a potem podskoczyła na siedzeniu jak podekscytowane małe dziecko.

– Och! – Tylko tyle była zdolna powiedzieć.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Bella! – zawołała Jessica.

Piątek, 22 września

Patrick przelazł przez mur klasztoru. Ziemia po drugiej stronie po wcześniejszych silnych opadach była rozmiękczona. Rosło tam kilka patykowatych drzew iglastych, które go zasłaniały. Do budynku miał sto metrów, ale żeby się do niego dostać, musiał przebiec przez odkryty teren parku.

Obserwował klasztor już jakiś czas. Na tyłach w ogródku warzywnym pracowało kilka zakonnic, w białych fartuchach zarzuconych na czarne habity. Kolejna zamiatała kurnik. Jeszcze jedna myła okna od zewnątrz.

Trochę to było upiorne, że pracowały w absolutnym milczeniu, zupełnie, jakby każda nie wiedziała o obecności innych. A jednak gdy jedna ukłuła się w palec kolcem, reszta natychmiast to zauważyła, mimo że zakonnica, która się zraniła, nic o tym nie mówiła. Miały jakiś zwierzęcy instynkt, który im podpowiadał, co się dzieje w stadzie.

To jest właśnie to, pomyślał. Są stadem. Poruszają się i działają jak jeden organizm.

Musi na nie uważać.

Zabił dzwon i siostry zareagowały. Zaczęły zbierać narzędzia. Nadal nie padło ani jedno słowo. Zebrały kubły, motyki, widły i konewki. Ta w kurniku ściągnęła żółte gumowe rękawice i schowała je do wiadra z przykrywką. Ruszyły w stronę budynku i po chwili zniknęły w jego czeluściach.

Kiedy podszedł bliżej drzwi, którymi zakonnice wchodziły do środka, otworzyły się przed nim gwałtownie, a on o mało nie stchórzył. Otwór drzwiowy z drzwiami, które się huśtały na framudze, skojarzył mu się z wielgachnym uśmiechem przerażającego kłowna. Wyobraził sobie, że za progiem czai się obleczona w czerń postać i wabi go, żeby wszedł. Albo nawet cała grupa czarnych postaci.

Podszedł do drzwi ostrożnie, stanął z boku i zaczął nasłuchiwać, wachać powietrze, tak jak to robi jego pies. To tylko kobiety. Głównie stare, prawie na pewno słabe. Niczym mu nie zagrażają. Nie musi się ich bać.

Nagle przypomniała mu się pewna scenka z przeszłości. Jego pies, Shinto, jeszcze prawie szczeniak, otoczony stadkiem rozeźlonych, szwargoczących srok. Skrzecząc jak wiedźmy, latały nad młodym psem, pikowały w dół, ale nigdy nie zbliżały się aż tak, żeby można je było złapać. Żaden pojedynczy ptak nic żadnemu psu nie robi, ale już tuzin albo więcej naraz?... Musiał podbiec z kijem, wymachiwał nim i walił, dopiero wtedy odleciały, wcześniej jednak zdążyły

dziobnąć Shinto paskudnie nad okiem. Nie chciał się zastanawiać, co by się stało ze szczeniakiem, gdyby go tam nie było. Widział, co ptaki robiły nowo narodzonym owcom.

Zakonnice to nie sroki, pomimo ich wyglądu. Nie ma się czego bać.

Kiedy już wiedział na pewno, że w pomieszczeniu tuż za drzwiami nikogo nie ma, dał krok do środka i aż go zemdliło, taki smród w niego uderzył. Zapach był jak w przyczepie zamieszkaną przez starą kobietę, jak odór w toalecie po dłuższej wizycie w niej jego matki. Ale były też wyziewy z kuchni i zapach kościoła jego dzieciństwa. Te wszystkie wonie sprawiły, że poczuł się znowu jak dziecko.

Zakręciło mu się w głowie, zaczęło mu się wydawać, że ściany rosną, zupełnie jak w *Alicji w Krainie Czarów*, że wypychają sufit, aż ten znika, a on sam się kurczy. Aż bał się spojrzeć w górę.

Na jednym z blatów kuchennych leżał pozostawiony tam nóż. Był duży, długi na jakieś siedemnaście centymetrów, raczej do krojenia mięsa niż owoców i warzyw. Podniósł go i znowu poczuł się sobą.

Kiedy balon spadł, gdy już wiedziałam, że Jessica nie żyje i że szuka mnie ten mężczyzna, moją pierwszą myślą było, żeby wrócić do domu. Daję słowo honoru, siostry, że tak właśnie myślałam.

Było już po dwunastej, do klasztorного refektarza promienie słońca wpadały przez stare, porysowane szyby okien. W złotej poświecie tańczyły drobiny kurzu. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi kuchni, do jadalni wpływała woń duszącego się gulaszu i oleju do smażenia. Florentina wniosła wazon ze świeżo ściętymi w ogrodzie różami. Kiedy sądziła, że nikt nie patrzy, przepchnęła wazon odrobinę bliżej Isabel.

Niektóre z zakonnice siedziały przy dużym dębowym stole. Hildegarda u jego szczytu, Isabel samotnie po lewej. Inne siostry krążyły po sali, podeszwy ich butów cicho popiskiwały na wypolerowanej posadzce. Zakonnice znosiły jedzenie dla Isabel: mleko, chleb, ciasteczka owsiane, ser. W tych przynoszonych przez nie pokarmach było coś biblijnego, jakby to, co wybrały, żeby Isabel się posiliła, miało jej pomóc powrócić na łono Pana. A może tylko na ich łono.

– Nie przyszło mi do głowy, że ktoś może pomyśleć, że to Jessica przeżyła, a ja zginęłam. – Isabel patrzyła od jednej twarzy do drugiej. – Wiem, że głupio zrobiłam z tą zamianą ubrań, ale po prostu się nie zastanowiłam.

– Nie dałabyś rady przejść takiej drogi w habicie, siostro – zauważyła Eugenia. – Zamiana to był bardzo rozsądny pomysł. Jessica byłaby pierwsza, która by się z tym zgodziła. Nie rozumiem tylko, dlaczego, kiedy już miałaś taką możliwość, nie skontaktowałaś się z policją?

– Tak – przytaknęła Belinda. – Kiedy spotkałaś pielgrzymów, już nic ci chyba nie groziło? Powinnaś coś zjeść, siostro. Spróbuj miodu z tym chlebem. A może wolisz dżem brzoskwiniowy? Przyniosę ci go.

– Chciałam się skontaktować stąd. Czułam, że dam sobie z tym radę – z policją, z całą resztą – kiedy już będę tutaj, z wami wszystkimi. – Przez sekundę Isabel kusiło, żeby wyciągnąć rękę do Belindy, zawsze bardzo ją lubiła. Coś ją jednak powstrzymało. Te kobiety patrzyły na nią, przyglądały się jej ze współczuciem, ciekawością, ale i z czymś jeszcze. Może z odrobiną niepokoju. Wróciła do nich, nie była jednak jedną z nich, przynajmniej jeszcze na razie nie. – A potem, następnego dnia w kawiarni obejrzałam wiadomości – powróciła do opowieści. – To wtedy dotarło do mnie, co zrobiłam. Że Neil będzie myślał, że jego narzeczona żyje, chociaż nie żyła, i że... – Coś jej utknęło w gardle. Nie powinna była nic jeść. Tylko że chyba wcale nic nie zjadła. Chleb na jej talerzu wyglądał na nietknięty. – Ona była w ciąży – udało jej się wydusić. – Jessie miała urodzić dziecko, siostry.

Po stołówce rozszedł się cichy jęk, prawie jak muzyka. Hildegarda opuściła twarz w dłonie.

– Zidentyfikowałam jej zwłoki – wymamrotała przez palce. – Powiedziałam policji, że to jesteś ty. Jeśli kogoś należy obwiniać za pomyłkę, to wyłącznie mnie. Wydawałoby się, że po tych wszystkich latach będę potrafiła was od siebie odróżnić.

– Z tego, co nam mówiłaś, matko, wynikało, że miała bardzo zniekształconą twarz – przypomniała Florentina.

– Poza tym bądźmy szczerzy – wtrąciła Tabitha. – Już dość dawno nie badała sobie matka wzroku. – Odsunęła swoje krzesło. – Przepraszam na chwilę, matko. Słyszę, że drzwi w kuchni wałą. Znowu się chyba same otworzyły.

Tabitha wyszła, Hildegarda smutno pokiwała głową.

– Czułam, że to ja powinnam powiedzieć Neilowi prawdę, wyjaśnić mu, co się stało – wróciła do swojej relacji Isabel. – Więc postanowiłam udać się do Yorku, ale po drodze miałam sporo czasu, żeby pomyśleć. Jessie rozpoznała mężczyznę, który zaatakował tę dziewczynę na ziemi w Parku Narodowym. Teraz już wiem, że on się nazywa Patrick Faa. Poza tym Jessie prowadziła śledztwo dotyczące policji w Northumberland. Wiedziała, że ktoś stamtąd jest zamieszany w handel ludźmi. Pracowała w komendzie pod przykrywką, udawała sprzątaczkę z Polski. Wiecie, jaka była dobra w obcych językach?

Hildegarda skinęła krótko głową. Inne głowy wokół, obleczone w czerń, też się poruszyły, welony się zakołysały.

– Ale ten handel ludźmi to nie taki zwykły handel ludźmi – ciągnęła Isabel. – Patrick Faa i jego rodzina sprowadzają nielegalnych imigrantów do kraju na zamówienie; żeby chorym ludziom dostarczyć zdrowe narządy.

Zakonnice przy stole zbiły się wokół niego jeszcze ciasniej. Te, które chodziły, przystanęły.

– Że też musiałyśmy dożyć tak okrutnych czasów – jęknęła Hildegarda.

– I mówi siostra, że policja też jest w to zamieszana? – nie chciała uwierzyć Serapis.

– Ktoś w niej tak. Jessica miała podejrzenia, kto to może być, ale nie była pewna. Jest też pewien lekarz... ten Wallace, o którym wcześniej wspominała. To on znajduje... Naprawdę nie wiem, jak ja mam ich nazwać.

– Klientów? – podsunęła Belinda.

– Może po prostu nazwijmy ich pacjentami – postanowiła Isabel. – Przychodzą do jego klinik na Harley Street i w Newcastle, a on opowiada im bajeczkę o sprowadzanych z zagranicy dawcach ze śmiercią mózgu, o tym, że pieniądze, które zapłacą, trafią do biednych rodzin.

– Ale dawcy, kiedy przyjeżdżają, żyją i są zdrowi? – upewniła się Eugenia.

Isabel potaknęła.

– Pamiętacie, jak Jessie była u nas ostatnim razem, w lecie? – spytała. – Rozmawialiśmy wtedy w ogrodzie o tym, że trudno nam zrozumieć, w jaki sposób narządy mogą być kupowane i sprzedawane, bo system w naszym kraju jest taki szczelny i rygorystyczny?

Twarze sióstr pokryły się zmarszczkami skupienia.

– Ja pamiętam – potwierdziła Basilia. – Rozmawialiśmy o tej małej zagranicznej dziewczynce, która zginęła w wypadku samochodowym, i ja wtedy powiedziałam, że nawet jeśli została zabita umyślnie, nawet jeśli wypadek był... jak to się mówi?

– Upozorowany? – podpowiedziała Eugenia.

– Tak, właśnie. Upozorowany, żeby pozyskać narządy – ciągnęła Basilia. – Nawet jeśli tak było, to te narządy i tak trafiłyby do systemu, razem z innymi od prawdziwych dawców, i byłyby rozdzielone zgodnie z obowiązującymi zasadami. Powiedziałam to. Powiedziałam, że te narządy mogły trafić wszędzie.

– Chyba że ktoś manipuluje systemem – zauważyła Isabel. – Jess miała nam opowiedzieć, jak jej zdaniem to się może odbywać, ale wtedy...

– Ale wtedy zjawiłam się ja, żeby wam wszystkim przypomnieć o waszych podstawowych powinnościach tutaj. – Przy wtórze strzelania kości i szelestu habitu Hildegarda wstała i rozprostowała plecy. – Modlitwa i kontemplacja, a nie dochodzenia i śledztwa.

Jak jeden mąż zakonnice przy stole spuściły głowy i złożyły dłonie. Potem, jedna po drugiej, te najśmielsze pierwsze, zaczęły podnosić głowy, żeby z powrotem utkwic spojrzenie w Isabel. Stojąca u szczytu stołu Hildegarda nie odeszła. Skinęła głową, znak, że rozmowa może być kontynuowana.

– Pamiętacie, jak Jessica tłumaczyła, że lokalizacja to jeden z czynników branych pod uwagę, gdy narządy są dostępne i gdy się szuka biorcy? – spytała Isabel. – Na przykład jakieś wolne serce zostałoby dostarczone do Kentu, jeśli byłby tam odpowiedni biorca.

– Tak, pamiętam, jak o tym mówiła – potwierdziła Serapis.

– No cóż, weźmy na przykład tę małą dziewczynkę, tę Aayat. Na jej narządy czekało wiele osób, ale tylko niektóre z nich były kompatybilne pod względem fizycznym. Z tych kilku ile waszym zdaniem mieszkało w Liverpoolu, blisko szpitala, w którym umierała?

– Może jedna – rzuciła Eugenia. – Ta jedna, która się liczyła.

– Co w takim razie siostra sugeruje? – spytała Hildegarda. – Że...

– Że system tak naprawdę działa na korzyść przemytników – weszła jej w słowo siostra Belinda. – Wcale nie muszą go obchodzić. Wystarczy, że dawca umrze we właściwym miejscu.

– A jeśli w Liverpoolu byłoby więcej biorców niż jeden? – zapytała Eugenia. – Jeśli potrzebny narząd zostałby przypisany nie tej osobie, o którą im chodziło?

– Wtedy zabiliby kogoś następnego – odpowiedziała Isabel. – Sprowadzają całe furgonetki ludzi. Trzymają ich w domu rodziny Faa do czasu, aż będą potrzebni. Może następna ofiara, żeby nie wzbudzać podejrzeń, utonąłaby w Mersey. No i czasem te wypadki kończą się fiaskiem. Jak to miało miejsce z tą małą dziewczynką. I z kobietą, którą znalazła Jessica, z tą Adar. Która zresztą wciąż jest w szpitalu w Derby. Ale dla tych przestępców to bez znaczenia, jeśli coś się nie powiedzie. Zawsze będą mieli wielu następnych dawców stamtąd, skąd są sprowadzani.

Wypełniona szokiem cisza opadła na pomieszczenie jak wilgotny ręcznik. Kilka zakonnice zaczęło poruszać ustami. Kilka bladych dłoni sięgnęło do krzyżyków na szyjach. Isabel czuła, że modlitwy przelatują przez refektarz jak brzęczenie schwytych w pułapkę pszczół.

– I tego wszystkiego dowiedziałas się od Jessiki? – spytała Hildegarda.

– W przeważającej części. Ale tuż przed wypadkiem Jessie coś zrobiła. Wiedziałam, że to musi być coś ważnego, jeśli pomyślała o tym w chwili, gdy wszyscy byliśmy tacy przerażeni. Wysłała esemesa do Neila z hasłem do jej laptopa. – Isabel spojrzała w dół na cienki srebrny komputer na stole. – Wszystkie szczegóły, łącznie z rzeczami, którymi nie miała czasu się podzielić z resztą swojego zespołu, były na tym laptopie, który zostawiła w domu. Myślę, że chciała mieć pewność, że to Neil go przejmie, a nie ktoś inny. No, nie wiem, żeby zdążył... – Rozejrzała się bezradnie.

– Go wyczyścić? – podsunęła Basilia.

– Roztrzaskać młotkiem? – zawtórowała jej Belinda.

– Czy ktoś ruszał nóż do sera? – Do stołówki wróciła Tabitha. Niosła zakryty talerz. – Przypomniałam sobie o nowym cheddarze. Jestem pewna, że uda nam się namówić siostrę, żeby spróbowała chociaż kawałek.

– Tak – rzuciła Isabel. – Myślę, że Jessica obawiała się, że laptop trafi w niepowołane ręce. Ale Neil nie miał ze sobą swojej komórki. Przez zdenerwowanie pewnie o tym zapomniała. Tego dnia rano, kiedy jechałyśmy na miejsce wylotu balonu, powiedziała mi, że Neil zostawił komórkę w domu. Więc wiedziałam, że muszę ją znaleźć. I laptop też. Żeby je zabezpieczyć.

– I Jessica uważała, że w sprawę zamieszana jest policja? – powtórzyła już wcześniej zadawane pytanie Eugenia.

– Była o tym przekonana. Żeby się dowiedzieć, kto to jest, przeprowadziła tajną akcję.

– Zaraz, zaraz, na litość boską... – Siostra Belinda przechwyciła karcące spojrzenie matki Hildegardy. – To znaczy, wybaczyć, że przerywam, siostrze, ale chociaż rozumiem twoje zaangażowanie w to, czym się zajmowała Jessica, w pewnym momencie w trakcie tych ostatnich trzech dni musiałaś chyba pomyśleć, że to już zaszło za daleko i trzeba z tym iść na policję. – Siostra Belinda rozejrzała

się. Minę miała skruszoną, jakby czuła, że zrobiła coś niewłaściwego. – Chodzi mi o to, że przecież oni wszyscy w tej policji nie mogą być skorumpowani?

– Kiedy miałam to zrobić? – spytała Isabel. – Wtedy, kiedy ścigał mnie Patrick Faa? Kiedy znalazł mnie w Belford, a potem w Yorku, a ja zdałam sobie sprawę, że tylko policja mogła mu powiedzieć, gdzie jestem albo gdzie najprawdopodobniej będę?

Belinda spuściła oczy.

– Czy wtedy, kiedy mnie prawie dorwali w Yorku – ciągnęła Isabel – jak uciekałam z miejsca zbrodni, na którym zostawiłam nóż ze swoimi odciskami palców i zaplamioną krwią kurtkę? Ten wypadek balonu też mi pewnie przypiszą. Powiedzą, że to ja do niego doprowadziłam.

– To niemożliwe, nie mogą czegoś takiego zrobić – obruszyła się siostra Florentina.

– Czy w wiadomościach mówili coś o odnalezieniu ciała pilota? – spytała Isabel. – I co z tą biedną kobietą, którą zaatakował Faa? Znaleźli ją? Jestem jedyną osobą, która przeżyła i która wie, co się tam naprawdę wydarzyło.

– Jesteś też idealną kandydatką na kozła ofiarnego, siostró – zauważyła siostra Belinda. – Zrozpaczona, emocjonalnie niestabilna, odjechana na punkcie religii, no po prostu świr.

– Siostró! – Oblicze matki Hildegardy wyrażało skrajne zaszokowanie i rozczarowanie.

– Belinda ma rację – uznała Isabel. – Jak już policja mnie złapie, zostanę oskarżona o morderstwo. Jeśli pierwszy dorwie mnie Faa, oszczędzi im kłopotu. I tak, siostry, jestem przerażona.

Hildegarda podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Isabel widziała w szybie odbicie jej zatroskanej twarzy.

– Siostró Winifredo – rzuciła Hildegarda. – Niech siostra zabierze cztery inne i idźcie sprawdzić, czy brama jest zamknięta.

Nie rozglądając się na boki, Winifreda odstawiła lichtarz, który polerowała, i z gracją ruszyła do drzwi.

– Matko, jeśli tu za mną przyszedł, przeskoczy przez mur. Ja sama... – Isabel w porę się zatrzymała. – Może przejść przez mur. Powinniśmy pozamykać drzwi. Sprawdzić, czy gdzieś nie ma otwartych okien. Za kilka minut sobie pójdę. Będziecie wtedy bezpieczne.

– Hm. – Zmarszczka na czole Hildegardy się pogłębiła. – Drzwi i okna, siostró Winifredo. Niech się siostra tym zajmie. I proszę przekazać reszcie sióstr, że nikomu nie wolno wychodzić na zewnątrz. W zasadzie najlepiej będzie, jeśli wszystkie siostry zbiorą się tutaj.

Belinda poderwała się na nogi.

– Matko, pozwoli matka, żebym poszła na dzwonnice? Stamtąd daleko

widać. Zabiorę lornetkę. Będę widziała, jeśli ktoś będzie się próbował do nas zakraść.

Hildegarda kiwnęła przyzwalająco głową, potem zaczekała, aż drzwi refektarza zamkną się za Winifredą i Belindą.

Odezwała się Eugenia.

– Tylko po co, na Boga, wsiadałaś w Yorku do tej jego furgonetki? Przecież już miałaś komputer Jessiki. To było ogromnie ryzykowne.

– Faa zabrał komórkę Neila, tę z hasłem. Chciałam je znać, zanim znajdzie mnie policja. Pomyślałam, że może uda mi się ją odzyskać, gdy się zatrzyma na stacji czy przy jakiejś innej okazji.

– I co? Udało się, odzyskałaś ją? – spytała Tabitha.

Isabel pokręciła głową.

– Musiał ją mieć w kieszeni kurtki, a ani razu jej nie zdjął. Ale ostatecznie się okazało, że wcale tego hasła nie potrzebowałam. Zgadłam, jak brzmi, już za pierwszym razem.

Hildegarda wróciła na swoje miejsce przy stole. Powiało wtedy stamtąd wonią kadzidła i jeszcze mdłym odorkiem potu.

– Hasło brzmiało „Magdalena”, po mnie.

Na twarz matki Hildegardy po raz pierwszy od długiego czasu wypłynął nikły uśmiech.

– Cóż, przynajmniej to mnie nie zaskakuje – mruknęła.

– No i co? Przeczytałaś, siostró to, co tam miała? – dopytywała się Tabitha.

– Tak, przeczytałam – potwierdziła Isabel. – Wiem wszystko. Wiem to, co Jessica wiedziała i co podejrzewała. Wiem o tym, że ludzie byli szmuglowani przez Europę do Northumberland, a potem zabierani do Żółtego Domu, gdzie im pobierali krew i robili inne konieczne rzeczy. Wiem, że konsultant, który się nazywa Ralph Wallace, zajmuje się stroną medyczną, że ktoś w policji pomaga rodzinie Faa, tworzy fałszywe tożsamości dla tych imigrantów i wprowadza ich na listy dawców. On czy ona prawdopodobnie aranżuje też wypadki, jeśli zachodzi taka potrzeba. Rodzina Faa występuje w roli krewnych i podpisuje zgodę na pobranie narządów. Policja pilnuje, żeby nikt się nie zbliżał do portów, kiedy przyplływają do nich łodzie z tymi ludźmi.

– Wiesz, siostró, dlaczego oni to robią? – spytała Hildegarda. – Te wszystkie straszne rzeczy?

– Chyba tak – odparła Isabel. – Myślę, że wszystko zaczęło się od młodej policjantki, Moiry Faa.

Trzy lata wcześniej

Czasami Patrick patrzył na wraki samochodów na placu i zaczynał się bać. Reflektory aut albo ziejące dziury po reflektorach, wszystkie zwrócone były do środka posesji, w stronę przyczep, w stronę żółtego domu, w stronę ludzi kręcących się po wysypanym żwirze podwórku, jakby stale wszystko obserwowały. Kiedy indziej ten sam widok podnosił go na duchu. Samochody były jak mury rodzinnej cytadeli, strzegły ich przed zewnętrznym światem, osłaniały przed złą pogodą, zapewniały dochód, który pozwalał im dobrze żyć.

Auta przyjeżdżały w stanie nienadającym się do jazdy, ale najczęściej całe. Rozbierali je. Benzynę ściągali do kanistrów i używali potem sami, wyjmowali akumulatory i sprzedawali. To samo działo się z radiami, sprzętem grającym, oponami, siedzeniami, kierownicami, na końcu z częściami karoserii. Z aut zostawało coraz mniej i mniej, aż w końcu tylko same szkielety.

Które też go obserwowały.

Czasami, jak była pełnia, budził się w środku nocy i sobie wyobrażał, że blask wokół przyczepy to światło setek upiornych reflektorów i że gdyby wyszedł na zewnątrz – nigdy tego w takie noce nie robił – przekonałby się, że wszystkie są włączone, świecą się jasno i pokazują światu, kim on naprawdę jest.

W drugim tygodniu sierpnia, późną nocą, ciepłą tak, jak może być ciepła tak daleko na północy, na nogach z całej rodziny byli tylko jej najmłodszy członkowie. Grali w karty, pili, wpatrywali się w dym unoszący się z ogniska. W jednej z przyczep leciała rockowa muzyka, ale do Patricka docierała przygłuszona, zniekształcona.

Usłyszał skrzypienie i szczęknięcie otwieranej bramy, rozpoznał wjeżdżające czarne kombi. Z powodu mgły i dymu z ogniska wydawało się, że auto nie wjechało, tylko wpłynęło na podwórko. Kiedy drzwi kierowcy się otworzyły, złapał butelkę u swoich stóp i nalał sobie alkoholu, więcej, niż zamierzał. Podniósł głowę, zobaczył, że obserwuje go matka.

Zapach Moiry wyczuł, jeszcze zanim pojawiła się na widoku. Jej perfumy wplotły się w inne zapachy: dymu, gotowania, marihuany, whisky. Aż zasłonił twarz ręką, żeby się od nich odciąć. Za późno. Osobliwa mieszanka jaśminu i cytryny już wsączała się do jego wnętrza. Nieraz mu się zdarzało zatrzymywać przy stoiskach z perfumami w dużych sklepach, żeby spróbować zidentyfikować zapach, którego używała. Nigdy mu się to nie udało. Żadna inna kobieta nie pachniała tak jak ona.

– Moira, to ty, dziewczyno?! – zawołała matka. – Chodź, usiądź przy mnie. Patrick, nalej siostrze.

Jej akcent już dawno temu stał się miększy, bardziej angielski niż u reszty z nich, ale nawet mimo tego po niskim, bezbarwnym tonie jej głosu zorientował się, że dzieje się coś złego.

– Dla mnie nie, ma – odpowiedziała. – Później zrobię sobie kawę.

Usłyszał zgrzyt sprężyn turystycznego krzesła, kiedy usiadła. Jego siostra była ubrana na czarno, jak zwykle. Obcisłe dżinsy, buty do kolan, koszulka bez rękawów odsłaniająca umięśnione barki i ramiona. Później, jak zawsze, będzie chciała, żeby dał jej swoją kurtkę, a wtedy utknie z jej zapachem na całą noc.

– Nie pijesz? No, co ty, chora czy w ciąży?

Matka parsknęła śmiechem, ale ten szybko zamienił się w kaszel. Matka zgięła się wpół, jej ramiona podnosiły się i opadały, kiedy próbowała odcharknąć, żeby odblokować przełyk.

– Cóż, w ciąży nie jestem na pewno. – Pochylając się, żeby postukać matkę w plecy, Moira przechwyciła jego spojrzenie. – Co tam, Pat?

– W porządku. – Pozwolił oczom nasycić się jej widokiem. Burza ciemnych loków okalających głowę, oczy zdające się odbijać światło, cera jak ciemna bita śmietana. Zawsze wygrywał te potyczki na spojrzenia. Zawsze ona pierwsza odwracała wzrok.

Kiedy znowu spojrzała na matkę, mięśnie na jej twarzy leciutko się skurczyły, czego nie mógł zauważyć nikt poza nim. Odchyliła się na oparcie, jakby coś ją bolało, i palcami prawej ręki zaczęła rozcierać lewe ramię.

Ktoś wybuchnął głośnym śmiechem. Partia pokera dobiegła końca. Pieniądze zmieniały właściciela.

– Jak tam ten twój facet? – Ich matka już nie kaszlała, zapalała kolejnego peta.

– Dobrze. Kazał przeprosić.

Rozległ się zduszony chichot. Przez większość czasu mąż Moiry unikał rodziny. Uważa, że lepiej, jak nic nie wie, wyjaśniła kiedyś.

– W zeszłym tygodniu odwiedzili nas twoi ludzie! – zawołał jeden z wujów Patricka. – Siedzieli godzinę. Wtykali nos wszędzie, ale nic nie znaleźli.

– Oni nie są moi. – Moira wsunęła dłoń pod koszulkę i roztarła sobie brzuch.

– A co za różnica, kurwa.

– Jesteś chora? – Patrick odstawił swoją szklaneczkę. Światło nie było odpowiednie, żeby mógł się dobrze przyjrzeć siostrze. Tanie żarówki zniekształcały wszystko. Nawet twarz matki miała w ich blasku żółtawy niezdrowy odcień.

– O czym ty mówisz? – Zganiła go wzrokiem i spuściła oczy.

– Jeśli nie jesteś w ciąży, to co ci jest?

– A kto powiedział, że coś mi jest? Muszę wracać. Wstaję o szóstej. Nie wszyscy muszą wypić pół butelki, żeby zasnąć.

– Faktycznie, nie wyglądasz najlepiej. – Ich matka też to teraz zauważyła. Teraz już ona to pociągnie. Przyjrzała się bliżej. – Will, przynieś mi lampę.

– Nie trzeba, nie trudź się. – Moira podniosła ręce na znak, że się poddaje. Oklapła trochę na krześle, jakby przestała się wysilać, żeby wyglądać normalnie. – Przyjechałam, żeby wam powiedzieć.

Patrick poczuł, że reszta podchodzi bliżej. Nowa partia pokera została przerwana. Jego kuzynka uciszyła dziecko.

– Nie jest ze mną dobrze, ma. – Moira mówiła do matki, ale na tyle głośno, że słyszeli wszyscy. – Robiłam badania. Nie chciałam nic mówić, dopóki nie miałam pewności.

Patrick odniósł wrażenie, że wraki aut zaczęły nasłuchiwać, że ich szkieletowe ciała drżą z niedowierzania. Nie Moira. Każdy, ale nie Moira.

Nikt się nie odezwał. Nikt nie pytał o szczegóły. Nikt nie chciał usłyszeć najgorszego.

– Co? – wychrypiała w końcu matka.

– Wątroba. Okazuje się, że to dość istotny narząd, żeby móc żyć normalnie.

– Wątroba? – Oczy matki skierowały się na butelkę przy krześle Patricka, do szklaneczki w jej dłoni. – Przecież nigdy dużo nie piłaś.

– Wiem, kurwa mać. Jak się ma za coś płacić, to człowiek oczekuje, że przynajmniej wcześniej będzie miał z tego jakąś przyjemność. Ale okazuje się, że nie wszystkie problemy z wątrobą biorą się z picia.

– To z czego w takim razie? – spytał jeden z kuzynów.

Moira wzięła głęboki wdech.

– Mam coś, co się nazywa pierwotne stwardniające zapalenie dróg żółciowych – powiedziała. – To dość rzadka choroba. Nikt nie wie, co ją wywołuje. Długo nie daje żadnych objawów. Mam ją od kilku lat i nic o tym nie wiedziałam.

– Niech Bóg cię błogosławi, a nas zbawi – rzuciła matka, jakby Bóg nie porzucił Moiry, nie porzucił całej ich pieprzonej rodziny już dawno temu. – Co można z tym zrobić?

– Nie ma na to lekarstwa.

Pięć prostych słów, które mu powiedziały, że jego świat zbliża się do końca. Patrick wstał i odszedł. Zatrzymał się dopiero przy niskim murku otaczającym żółty dom.

– Wiem, że mnie tam słyszysz, dupku. Nie będę się powtarzała. – Jej głos dosięgnął go jak obrazy, których nie mógł wyrzucić ze swojej głowy. – Powiem to tylko raz. Możemy się wspólnie chwilę poużalać, ale potem wszyscy wrócimy do normalnego życia. No, przynajmniej wy wróćcie.

– Nie żartuj tak.

Moira martwa. Jej zwłoki w jednej z tych kretyńskich, przesadnie ozdobnych trumien, które zawsze wybiera rodzina, gdy ktoś z nich umrze. Moira zredukowana do nagrobka i wspomnień.

– Nie żartuję, ma. Mogę się spodziewać marskości wątroby... czy raczej, jeśli to, co mam, się pogorszy... bardzo prawdopodobnie, że raka i potem niewydolności wątroby. Mogę zapomnieć o wszelkich planach sięgających powyżej kilku lat. Powiedziano nam też, że staranie się o dziecko byłoby w tej chwili bardzo nieodpowiedzialne.

Jedna z kobiet zaczęła płakać.

– Nie wierzę, że nic się nie da zrobić. – Charles stanął za matką, położył jej ręce na ramionach, jakby chciał siłą powstrzymać ją przed zerwaniem się z krzesła.

– Moją jedyną szansą jest przeszczep. Najlepiej w ciągu najbliższego roku, zanim mój stan znacznie się pogorszy. Z nową wątrobą mogłabym żyć równie długo jak każdy z was.

– Cóż, w takim razie właśnie tak się musi stać.

– To nie takie proste, ma. Wpisali mnie na listę oczekujących, ale ona jest długa. Poza tym mój genotyp jest specyficzny, rzadki. Rokowania nie są dobre.

Patrick odszedł od obozowiska jeszcze dalej.

Od momentu, gdy siostra przyznała się przed rodziną, że jest chora, minął tydzień. Patrick pchnął drzwi pubu i wszedł do środka. Był wczesny wieczór, bar jeszcze nieobleżony, wciąż jeszcze mógł przejść przez salę, nie musząc się przepychać przez tłum. Za kilka godzin to miejsce będzie zapakowane po brzegi przegrzаныmi, spoconymi ciałami.

Przed mężczyzną, który na niego czekał, stał kufel piwa i podwójna szkocka. Przesunął ją w stronę Patricka.

– Na A1 stoi dzisiaj drogówka z alkomatem – powiedział. – Na twoim miejscu zakończyłbym picie na tym jednym.

Mężczyzna zaprowadził ich do stolika pod oknem. Patrick wysunął krzesło i usiadł pierwszy. Błąd. Szwagier stał i patrzył na niego z góry. Czuł się przez to jak dzieciak, którego wuj zabrał do pubu na poczęstunek.

– No, o co chodzi? – warknął. – O czym chciałeś gadać?

– O Moirze. Zakładam, że wbrew wrażeniu, jakie sprawiasz przez większość czasu, zależy ci na niej.

– Ona nam powiedziała.

– Ale nie wszystko.

– Słucham.

Szwagier wysunął krzesło dla siebie.

– Musi mieć przeszczep – oznajmił. Krzesło stęknęło pod jego ciężarem, gdy na nie ciężko klapnęła. – Ale szanse, że będzie go miała, są mniejsze niż pięć procent. Jedna na pięć osób z listy oczekujących umiera, zanim doczeka się na wątrobę. Z jej genotypem...

– Powinienem wiedzieć, co to takiego?

– Znasz tę legendę o tym, że wasi przodkowie pochodzą z Indii?

Patrick wzruszył ramionami. Podobno Romowie, czy inaczej Cyganie, przybyli do Europy z Indii Północnych. Miało to wyjaśniać ich ciemne włosy i oczy.

– Cóż, okazuje się, że to może być prawda. Albo to, albo macie jakichś azjatyckich przodków z nie tak odległej przeszłości. I to ciągłe łączenie się w pary przez krewnych też nie pomaga. Twoja siostra potrzebuje dawcy z tamtej części świata, żeby zmniejszyć prawdopodobieństwo, że jej organizm odrzuci nowy narząd. Problem w tym, że prawie nie ma dawców z tamtych rejonów.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo jest coś takiego jak żywy dawca. Wątroba to dziwny organ. Może odrastać. Ktoś fizycznie kompatybilny mógłby oddać mojej żonie połowę swojej wątroby i nic by mu nie było oprócz lekkiego osłabienia i kilku tygodni lekkiego

bólu. Ja nie jestem kompatybilny. Już to sprawdzaliśmy.

– Ale ja mogę być?

Jego szwagier skinął głową.

– Zważywszy na to, że jesteście blisko spokrewnieni, na tym waszym złomowisku, które nazywacie domem, może się znajdować kilku potencjalnych dawców. Poza tym są jeszcze członkowie dalszej rodziny.

– Zrobię to.

– Doceniam twój zapal, ale ty też możesz nie być odpowiednim dawcą.

– Jestem jej bratem, do cholery. Dlaczego nam nie powiedziała?

– Bo operacji zawsze towarzyszy jakieś ryzyko. Nie chciała stawiać nikogo w takiej sytuacji. Ale ja pomyślałem, że wolałbyś o tym wiedzieć.

Patrick poczuł, że coś mu płonie w piersi. Coś, co nie miało żadnego związku ze szkocką. Może uratować Moirę. Żeby tak się stało, wyrwałby sobie wątrobę już tu i teraz. Nie istniało nic, czego by nie zrobił, żeby uratować siostrę.

Dobrze, w porządku, tak. – Lekarz sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Patrick wątpił, czy kiedykolwiek wcześniej miał w swoim gabinecie aż szesnaście osób, włączając w to sześciomiesięcznego niemowlaka w wózku.

– Nikt nie chciał usłyszeć złych wiadomości z drugiej ręki. – Moira, choć ilekroć ją teraz widywał, wyglądała na coraz słabszą, nie chciała usiąść. Zamiast tego uparła się, żeby jedyne dwa krzesła zajęła matka i kuzynka. – Jeśli mają pójść pod nóż, chcą to usłyszeć od pana.

Stała obok męża z boku. Gdyby jej pozwolono, cofnęłaby się na sam tył. Zachowywała się tak, jakby próbowała udawać, że w tym wszystkim nie chodzi o nią, że jest tylko widzem, jak reszta z nich, zaniepokojonym, oczywiście, ale którego to bezpośrednio nie dotyczy.

– No to niech pan gada. Które z nas? – Ich matka siedziała naprzeciwko młodego wystraszonego lekarza, ręce miała splecione na piersi.

– Przykro mi, ale obawiam się, że nie mam dla państwa dobrych wiadomości. – Ten dupek nie był w stanie na nich spojrzeć. Już od pierwszej chwili, gdy wszedł do gabinetu, Patrick wiedział, że nie będzie dobrze. – Nikt z państwa się nie nadaje. – Lekarz teraz spojrział w górę, miał minę sarny gapiącej się w wylot lufy strzelby.

– To przecież, kurwa, niemożliwe. – Ma powiodła ręką dokoła, jakby lekarz mógł nie zauważyć, ile ich jest. – Przyprowadziłam panu piętnastu dawców. Jedno z nas musi się nadawać.

Lekarz sięgnął po długopis i zaczął go obracać w palcach.

– Taką miałem nadzieję, ale niestety nie. Nie możemy pobrać narządu od nikogo z państwa. Prawdopodobieństwo odrzucenia przeszczepu jest zbyt duże, żebyśmy ryzykowali operację.

– Dobrze. – Moira wreszcie oderwała oczy od podłogi. – I tak bym się nie zgodziła. Tylko nam to zaoszczędzi kłótni.

– Nie zrobiliśmy badań Rebecce – przypomniał Patrick.

– Nie, nie zrobiliśmy. – Moira zgromiła go spojrzeniem. – Ma tylko piętnaście lat.

Lekarz pokręcił głową.

– Osoby nieletniej nie możemy wykorzystać – oznajmił. – To by było nieetyczne.

– Moja żona nie przesunęła się w górę listy nawet o jedno miejsce. – Szwagier Patricka oderwał oczy wbite w tył głowy żony. – Już trzy miesiące jest na tej liście i nic. Nie uwierzę, że w tym czasie nie było żadnych przeszczepów wątroby.

– Prawie na pewno były. Ale już wyjaśniałem, że wymagania w przypadku pani Moiry są wyjątkowe. Być może będzie musiała poczekać dłużej niż większość.

– A jeśli wyjedziemy za granicę? – spytał Patrick. – Jeśli mamy hinduskie geny, czy co tam, to sprawa jest prosta. Polecimy do Indii i zaczekamy na dawcę tam. Zapłacimy za narząd. Tam to nie jest nielegalne. Sprawdzałem.

– Nie polecę do Indii, żeby kupić wątrobę jakiejś biednej osoby – oznajmiła Moira. – Zapomnij o tym, Pat.

Odwarknął w odpowiedzi. Nie chciał, ale rozpacz, strach i frustracja, z jakimi żył w tych dniach, sprawiały, że bez przerwy był wkurzony.

– I co, tak po prostu się poddasz?

Moira się skrzywiła, jakby coś ją zabolalo, oparła się o męża. Cały czas tak się maskowała, że łatwo było zapomnieć, jak bardzo jest chora. Ale potem w świetle dziennym zauważało się barwę jej skóry, zażółcone białka, zbyt szczupłą sylwetkę, i człowiek uzmysławiał sobie, że czasu jest coraz mniej.

– Nie polecam wyjazdu do Indii – odezwał się lekarz. – Nawet jeśli są tam dostępne narządy, nie gwarantuję bezpieczeństwa samej operacji. Wyobrażam sobie, że większość etycznych chirurgów komercyjnie przeszczepy omija szerokim łukiem. Trzeba się liczyć z wysokim ryzykiem zakażenia, że coś się nie uda. I nie zapominajcie, że kiedy będziecie czekali w Indiach, możecie przegapić szansę na przeszczep tutaj.

– Nie, kiedy jest na samym końcu listy. – Mąż Moiry objął żonę. Chciała się uwolnić z uścisku, potem się poddała i oparłszy się, zamknęła oczy.

– Lista nie jest wyryta w kamieniu. Jeśli pojawi się odpowiednia dla Moiry wątroba, jeśli będzie pochodziła z jej okolicy, są duże szanse, że zgodność zostanie potwierdzona i Moira trafi na sam początek listy.

– To okropne, kiedy pomyślę, że ktoś musi umrzeć, żeby ja mogła żyć – powiedziała Moira, wciąż nie otwierając oczu.

– To typowa reakcja – zapewnił lekarz. – Ale musi pani pamiętać, że to nie pani będzie przyczyną nieszczęścia tej osoby. Ona i tak by umarła.

– Chcemy opinii kogoś jeszcze. – Ich matka znów splotła ramiona i twardo oparła je na obfitym biuście. Jej dzieci już dawno temu się nauczyły, że z matką w takim nastroju się nie dyskutuje. Szczęśliwie dla niego lekarz też nie dyskutował.

Ralph Wallace, jeden z najwybitniejszych transplantologów w kraju, nie miał zamiaru ulec terrorowi bandy Cyganów w jego poczekalni.

– Przyjmę panią Faa, jej męża i matkę. – Wszedł przed nimi do gabinetu.

Patrick przytrzymał drzwi i gdy weszła reszta, sam też wśliznął się do pokoju.

– Jestem jej bratem bliźniakiem – oznajmił zaskoczonemu chirurgowi. Wiedział, że nikt z rodziny go nie wyda. Zresztą między nim a Moirą było tylko dziesięć miesięcy różnicy. Czyli i tak niewiele.

Wallace był Szkotem, gdzieś spod Edynburga. Niewiele po sześćdziesiątce, szczupły, blada karnacja.

– Miałem okazję przejrzeć historię pani choroby. – Usiadł i z futerału na biurku wyjął okulary. – I dobra wiadomość brzmi, że jeśli w najbliższej przyszłości pojawi się narząd od dawcy, są wszelkie podstawy do optymizmu. Nie ma jeszcze żadnych śladów nowotworu, nerki są uszkodzone tylko minimalnie. Z drugiej strony, obawiam się, że nie mogę nie zgodzić się z kolegą. Nikt z rodziny nie jest odpowiednim dawcą i naprawdę nie polecam wyjazdu do Indii. Jest pani chora, pani Faa, i dom to najlepsze miejsce dla pani. Pani sytuacja może ulec zmianie z dnia na dzień.

– Nie dano nam żadnych podstaw do optymizmu, jeśli chodzi o dawcę – odezwał się szwagier Patricka.

– Cóż, w tej kwestii nie podzielam poglądu mojego kolegi – oznajmił Wallace. – Dwadzieścia lat temu mógłby mieć rację, ale struktura ludności w Wielkiej Brytanii zmienia się przez cały czas. Wskaźnik urodzeń wśród populacji Azjatów jest wyższy niż wśród rdzennych Brytyjczyków. W ostatnich latach z południowej Europy przybywa do nas coraz więcej imigrantów. Wielu z nich to uchodźcy i osoby szukające azylu z Bliskiego Wschodu i z Afryki Północnej. Oni wszyscy to potencjalni dawcy.

– Świetnie – mruknął Patrick. – Potrzebujemy tylko, żeby kilku z nich umarło.

Piątek, 22 września

Kiedy drzwi kuchni zamknęły się za starą zakonnicą w okularach, Patrick wyszedł ze swojej kryjówki w szafie. Przez szparę między drzwiami a framugą obserwował, jak zakonnica, zarejestrowawszy zniknięcie noża, ze zdumieniem wpatruje się w blat. Nóż zaś w tym momencie tkwił za paskiem jego spodni. Widział, jak kobieta podciąga tył habitu, żeby podrapać się po pośladku, potem podchodzi do drzwi obok szafy, w której się chował, i wynosi z kuchni zakryty półmisek.

Nie mógł ryzykować i czekać, aż ktoś znowu tu przyjdzie.

Opierając się na swoim wrodzonym wyczuciu kierunku, niezawodnym jak igła magnetyczna w kompasie, wymknął się z powrotem na zewnątrz i pobiegł do długiej wąskiej szklarni zajmującej prawie całą długość tylnej ściany budynku. Temperatura natychmiast podniosła się o kilka stopni, w powietrzu unosiła się nasączona zapachami wilgoć, która przywodziła na myśl burzę z piorunami w lesie. Jakieś skrobanie w sięgającym kolan listowiu sprawiło, że się wzdrygnął, ale potem uznał, że to pewnie szczury, i poszedł dalej. Na szarym końcu były następne drzwi, też prowadzące do klasztoru.

Tym razem znalazł się w bibliotece, dużym pomieszczeniu zastawionym regałami na książki. Wbudowany w jedną ze ścian był tam też łupkowy kominek. Bieżnik przed nim wyglądał na turecki, był czerwony, bardzo wzorzysty, ale tak rzadki, że miejscami przeświecały przez niego matowe deski podłogi.

Jego cygański instynkt kazał mu przejść się wzdłuż ścian, zajrzeć do oszklonych gablot, sprawdzić, czy nie ma w nich czegoś wartościowego. Zobaczył tylko jakieś papierzyska, zapisane wyblakłym nieczytelnym pismem, dziwne małe puzderko, a nawet coś, co wyglądało jak wyschnięty palec. Żadnego złota, srebra, biżuterii ani monet.

Przesączone wilgocią tropikalne wonie ze szklarni tutaj ustępowały miejsca odorowi zgnilizny i szczurzych odchodów. Kiedy uważniej przyjrzał się książkom, zauważył, że niektóre regały są całe w zaciekach. Te książki nie były ruszane od lat; rozsypałyby się, gdyby je wyciągnąć.

Zniszczony księgozbiór był jednak dobrym izolatorem dźwięku; Patrick nie słyszał nic oprócz własnych kroków. Ale potem wysoki skrzekliwy dźwięk sprawił, że podskoczył jak smagnięty szpicrutą pies. W szklarni ktoś był.

Obleczone w czerń kobiety, ostre pazury, zęby jak kły. To nie zakonnice, to wiemy! Wykonując znak krzyża – coś, czego nie robił od lat – cofnął się do

szklarni, żeby sprawdzić, kto tam jest.

Okazało się, że ptak. Paw. Przechadzał się po cieplarni pewnie, jakby to cholerne miejsce było jego. Gdyby Patrick nie miał pilniejszego zajęcia, z chęcią skręciłby przebrzydłemu ptaszysku kark. Przeciągnął wierzchem dłoni po skroniach.

Zawstydzony swoim tchórzostwem, tym, jak to miejsce z jego dziwną mieszkanką religijnej i kobiecej tajemnicy na niego działało, opuścił bibliotekę. Korytarz przed nią był pusty, duże frontowe drzwi zamknięte. Głosy dobiegały z prawej strony, z pomieszczenia za schodami. Podszedł tam i przystanął. Nie wiedział, jak brzmi głos kobiety, na którą polował, ale wiedział, że gdy go usłyszy, na pewno rozpozna.

108

A więc chodziło nie o pieniądze, ale o miłość – powiedziała z zastanowieniem Hildegarda. – Przynajmniej na początku.

– Tak – potwierdziła Isabel. – Młoda umierająca kobieta i rodzina, która nie potrafi się z tym pogodzić, nie chce dać jej odejść.

– Jak brzmi to powiedzenie o drodze do piekła? – spytała siostra Serapis.

Odgłos biegnących kroków sprawił, że wszystkie podskoczyły. Potem drzwi refektarza się otworzyły i pojawiła się okrągła, piegowata twarz siostry Belindy. Zakonnica dyszała, spod jej przekrzywionego welonu wystawały kępki krótkich rudych włosów. Sterczały dokoła rozpalonej twarzy jak niesforne zielsko w przesuszonym ogródku.

– Wybaczcie, matko, siostry! – zawołała. – Ale przy bramie stoi radiowóz, a za nim coś, co wygląda jak policyjna suka. Od strony farmy też jedzie jakiś samochód, a ścieżką na plaży zbliża się umundurowany posterunkowy. Wygląda na to, że to robactwo nas obległo.

Tym razem Ajax nie włókł się podjazdem za zakonnica. Żeby ją wyminąć, wjechał na trawnik, a potem pojechał już prosto pod budynek. To samo zrobił policyjny furgon za nim. W pokładowym radiu usłyszał, że samochód jadący od strony farmy dotarł na tyły posesji. Funkcjonariusze na nogach byli już przy budynku klasztoru. O ile wiedział, w klasztorze były cztery pary drzwi wejściowych. Wkrótce wszystkie zostaną obstawione.

Przed imponującym frontowym wejściem zaciągnął hamulec ręczny i wysiadł, czując w pasie nieprzyjemny ucisk kamizelki kuloodpornej. Była na niego trochę za mała, ale kamizelek w jego rozmiarze nie robiono. Obok zatrzymała się furgonetka, kątem oka widział, że policjanci z tyłu zapinają paski hełmów, sprawdzają broń. Sierżant uzbrojonej brygady natychmiastowego reagowania, który miał dowodzić operacją, zeskoczył na ziemię.

– Proszę się odsunąć, sir – zwrócił się do Ajaxa, po czym podszedł do ogromnych podwójnych drzwi i mocno w nie zabębnił. – Policja, otwierać.

– Boże, mam nadzieję, że ktoś to nagrywa – mruknęła MoJo. – To, jak będą grupce zakonnice kazali położyć się na ziemi i szeroko rozłożyć ramiona.

Dowodzący sierżant spróbował otworzyć drzwi. Były zamknięte na klucz. Znowu w nie zabębnił. Tym razem głośniej.

– Policja. Jesteśmy uzbrojeni.

Zero odpowiedzi. Jeden z funkcjonariuszy przyniósł stalowy taran i przygotował się do jego użycia.

– Jestem przekonana, że szybko nadchodząca siostra ma klucz. – MoJo pokazała do tyłu na zakonnice, która otwierała im bramę. Miała do nich jeszcze jakieś dwadzieścia metrów i szła spokojnym, równym krokiem. – Bo raczej szkoda niszczyć te piękne dębowe drzwi.

Ajax zastanowił się, czy ma zainterweniować, postanowił jednak, że tego nie zrobi. Milczał, kiedy taran walnął w stare podwoje. Zamek pękł natychmiast. Ubrani na czarno, opancerzeni policjanci w hełmach wpadli do środka i rozbiegli się jak niecierpliwie czarne insekty w poszukiwaniu rozlanego miodu.

– Nie słyszę odpowiedzi ogniowej – zakpiła MoJo. – Możemy tam chyba bezpiecznie wejść.

Sierżant stał w korytarzu, nieruchomy i czujny, jego oczy wolno omiatały całe pomieszczenie. Dwóch funkcjonariuszy, zwróconych plecami do siebie, wchodziło po schodach na górę. Następny trzymał wartę przy drzwiach. Reszta przeszła w głąb budynku. Po zakonnicach ani śladu.

– Są w kaplicy, sierżancie! – krzyknął głos skądś w budynku.

Ajax i sierżant odwrócili się, przeszli przez zestaw drzwi i weszli do

krótkiego korytarza. W radiu Ajax słyszał, że przeszukanie toczy się na terenie całego budynku. Słyszał trzaskanie drzwiami, serię krótkich, ostrych rozkazów.

– Policja!

– Czysto!

Kiedy już byli blisko kaplicy, usłyszeli śpiew, taki sam, jaki słyszał podczas pierwszej wizyty. Po obu stronach drzwi stało dwóch policjantów.

– Nie są zamknięte, sierżancie – poinformował jeden z nich.

Sierżant dał znak głową, żeby otwierali. Kiedy funkcjonariusze pchnęli skrzydła, wszedł do małej, wysokiej średniowiecznej przestrzeni.

– Policja! Mamy broń! – krzyknął. – Niech nikt się nie rusza!

Nikt tego nie zrobił.

Ajax wszedł do klasztornej kaplicy za sierżantem. Kaplica była kremowa z kopułą ozdobioną pomalowanymi na złoto kratownicami. Ołtarz stał na podniesieniu, tylną ścianę pokrywały ciemne drewniane panele. Z jednej strony ołtarza stała mównica, po drugiej rzeźbione krzesło dla wizytującego księdza. Kamienne kafle pod jego stopami były gładkie. Ławki z rzeźbionego drewna wysokie i gęsto upakowane. Kaplica mogła pomieścić ponad setkę osób.

Światło było przyćmione. Popołudniowe słońce nie wpływało już do pomieszczenia bezpośrednio przez okna z witrażami. We wnękach, na stopniach prezbiterium, w kunsztownych lichtarzach migotały duże woskowe świece.

W pierwszym rzędzie ławek siedziało około czterdziestu zakonnic, ich czarne habity połyskiwały w miękkiej poświacie.

– Dużo ich – mruknęła MoJo.

– Wszyscy ręce do góry – rozkazał sierżant, który zatrzymał się w połowie długości nawy.

Zakonnice nie przerwały śpiewu. Nie podniosło się ani jedno ramię.

Sierżant dotarł do frontowej ławki, odwrócił się i kilka ostatnich kroków wykonał tyłem. Zatrzymał się przy prezbiterium. Po obu bokach jego ciemnego hełmu tańczyło odbijające się w nim światło świec.

– Zbrojny oddział policji terytorialnej Northumbrii. Proszę wszystkich o podniesienie rąk.

Zakonnice nie zdradzały żadnych oznak, żeby cokolwiek usłyszały. Z tyłu kaplicy, zaraz za plecami Ajaxa, kilku uzbrojonych funkcjonariuszy rozproszyło się, broń mieli wycelowaną do środka pomieszczenia, na siostry.

– Boże, pomóż – mruknął Ajax i ruszył przed siebie.

– Trochę chyba za późno na te błagania – zakpiła MoJo.

Jedna z zakonnic – matka Hildegarda, o czym się zorientował, kiedy wkroczyła w krąg światła – podniosła rękę i śpiew ustał. Jak jeden mąż zakonnice spuściły głowy, tak żeby nie było widać nawet skrawka ich twarzy. Na pojedynczy sygnał zamieniły się w zwarty szereg bezkształtnych ciemnych postaci.

Ajax dotarł do frontu.

– Z jakiej przyczyny zakłóca pan naszą modlitwę, inspektorze Maldonado? – spytała matka Hildegarda.

– Mam nakaz zatrzymania Isabel Jones, znanej również jako siostra Maria Magdalena. Czy wie matka, gdzie ona jest? – Mówiąc, powiódł wzrokiem po rzędach ciemnych zawołowanych figur. Poza kilkoma bardzo niskimi Isabel mogła być każdą z nich.

– Zważywszy na fakt, że oplakujemy stratę naszej siostry już od dwóch dni,

wyobrażam sobie, że z Naszym Panem w niebie – odparła stara zakonnica. – Chociaż przyznaję, że były momenty, kiedy miałam wątpliwości, co do jej ostatecznego miejsca przeznaczenia. Proszę, kontynuujcie modlitwę, siostry. Nie mam cienia wątpliwości, że ta przerwa wkrótce dobiegnie końca.

Ajax dostrzegł błysk w oczach sędziwej zakonnicy, wiedział, że nie wywołało go światło świec.

– Samochód jej siostry został zabrany z miejsca, w którym go pozostawiono w środę rano. Kamery monitoringu zarejestrowały, że przemieszczał się w tym kierunku, a myśmy właśnie odkryli, że stoi zaparkowany niecałe dwa kilometry stąd – wyjaśnił.

– W takim razie może powinien pan, inspektorze, szukać siostry Marii Magdaleny dwa kilometry stąd.

– Dwa dni temu zidentyfikowała matka jej zwłoki. Skłamała matka?

Brwi Hildegardy uniosły się.

– Mówienie prawdy to cnota, którą ogromnie tu sobie cenimy – odparła. – Jeśli popełniłam błąd, to pewnie wyniknął z mylnych informacji po pana stronie i z mojego zdenerwowania.

– Czy wie matka, gdzie ona jest? – powtórzył pytanie.

Hildegarda ruszyła przez kaplicę.

– Oszczędzę wam czasu, inspektorze. Przez wzgląd na nas, nie na was – oznajmiła. Podeszła do pulpitu i położyła dłoń na dużej, oprawionej w skórę Biblii. – Przysięgam na tę najukochańszą księgę, że zgodnie z moją najlepszą wiedzą każda żyjąca członkini naszej społeczności jest tu z nami, w tej kaplicy. Proszę wybaczyć, że wyrażam się tak mało konkretnie, ale jeśli chodzi o nią, już raz w tym tygodniu zostałam przyłapana na kłamstwie.

Ajax się rozejrzał. Nie było tu innych drzwi. Żadnych szaf.

– Niech matka poprosi siostry, żeby podniosły głowy – polecił.

– Ależ z pewnością tego nie uczynię. Skromność to kolejna cnota, którą tu praktykujemy. Poza tym niektóre z sióstr są bardzo stare, mają schorowane plecy i ramiona.

Ostro wciągnął powietrze.

– Sierzancie, niech funkcjonariusze wyprowadzą siostry, jedną po drugiej, do gabinetu matki Hildegardy. Przesłucham je tam.

– Nie będą z panem rozmawiały. To zakon z klauzulą milczenia.

Dał krok do zakonnicy. Hildegarda była wysoką kobietą, ale niewielu ludzi dorównywało mu wzrostem.

– Każę was wszystkie zatrzymać i umieścić w areszcie – zagroził.

Zakonnica patrzyła na niego, zupełnie niespieszona.

– Serio, inspektorze?

Odwrócił się do sierżanta.

– Potrzebuję tu zaraz dwóch policjantek.

Funkcjonariuszki zostały przyprowadzone.

– Muszę zobaczyć ich twarze – oznajmił, starając się ignorować kpiące uśmiešky otaczających go uzbrojonych policjantów. – Tylko delikatnie. Nie chcę, żeby Watykan oskarżył policję o brutalność. Unieście im głowy, żebym mógł się każdej przyjrzeć.

Kiedy mówił, matka Hildegarda stanęła z powrotem w rzędzie zakonnice i również spuściła głowę. Była teraz nieodróżnialna. Ajax przeszedł na koniec rzędu.

– Proszę wybaczyć, siostro – rzucił. – Nie chcę was tu długo przetrzymywać.

Jedna z policjantek chwyciła zakonnice delikatnie za ramiona, druga podniosła jej głowę, podważając podbródek. Zakonnica z krągłą, piegowatą, rumianą twarzą podniosła głowę, ale oczy miała spuszczone. Zdecydowanie nie była to Maria Magdalena.

– Dziękuję. – Przeszedł do następnej.

Sprawdzenie wszystkich zajęło prawie dziesięć minut i na koniec Ajax był pewien, jak tylko można być pewnym, że Isabel Jones nie ma wśród obecnych w kaplicy zakonnice.

Hildegarda przeszła po kamiennej posadzce na sam koniec prawej strony prezbiterium.

– Możesz już wyjść, siostró – szepnęła do ściany.

Ogromne dębowe rzeźbione siedzisko zaczęło się przesuwając do przodu, potem w bok. Jego wysokie, zwieńczone łukiem oparcie stało się drzwiami w ścianie, odsłaniającymi, gdy się otworzyły, ukryte za nimi małe kamienne pomieszczenie z drewnianym krzesłem i maleńkim przenośnym ołtarzykiem. Pochodziło z czasów, gdy katolicyzm był w Anglii zakazany, a w katolickich domostwach urządzano kryjówki dla księży, żeby ochronić ich przed prześladowaniami, a nawet śmiercią.

Isabel, wciąż w ubraniach Jessiki, wyszła na zewnątrz.

Wszystkie się wzdrygnęły, bo rozległ się trzask otwieranych drzwi. Ale to były tylko dwie zakonnice, które na chwilę wyszły i teraz wracały.

– Auto stoi już w garażu, matko – poinformowała siostra Basilia.

– Tak szybko? – zdziwiła się Hildegarda.

– Uparli się, że nas po nie podwiozą – wyjaśniła siostra Alfreda. – Bak jest prawie pełen, sprawdzałam.

Usłyszały odgłos biegnących kroków, potem drzwi znowu się otworzyły.

– Już wszyscy opuścili budynek, ale wciąż są na terenie – obwieściła siostra Belinda. – Zdaje się, że zaraz sobie pojedą, ale pewnie do rana będą nas z zewnątrz obserwowali.

Hildegarda wzniosła oczy do nieba.

– Pięćset metrów wzdłuż ścieżki na południowej wydmie, w punkcie, w którym przechodzi w leśną, znajdziesz rower – zwróciła się do Isabel. – Jedź do Haggerston, idź na pocztę. Na podjeździe będzie stał vauxhall Maisie i Freda z kluczami w stacyjce. Fred ostrzegł, że możesz mieć lekki problem z uruchomieniem silnika i żebyś uważała i go nie zalała. Skrzynia biegów też jest trochę rozklekotana, ale sprawna.

– Matko, policja na pewno podsłuchuje nasz telefon – zauważyła Isabel. – Pewnie słyszeli, że gdzieś dzwoniłaś.

– Jesteśmy przygotowane na wszystko, siostró. – Eugenia sięgnęła głęboko do czeluści habitu i wyciągnęła z niego telefon komórkowy. – Korzystamy z tego. Kupiony za gotówkę i dzwoni się na kartę. Siostrzeniec mi go kupił w Newcastle. Na wszelki wypadek. Niech go siostra weźmie. I jeszcze raz najmocniej przepraszam, matko.

Hildegarda pokręciła głową.

– Ze względu na sytuację i w ogólnym rozrachunku...

Isabel wzięła telefon i wsunęła do kieszeni. Jej plecak wciąż leżał w kryjówce księdza.

– Zostawiam komputer Jessiki – powiedziała do Hildegardy. – Jeśli coś mi się stanie...

– Nic się siostrze nie stanie – przerwała jej siostra Florentina.

– Jeśli coś się stanie, zgłóście się z nim do gazety. Nie ufajcie miejscowej policji. Hasło pamiętacie?

– W takim razie zróbmy to od razu. – Florentina zaczynała się denerwować.

– Nie ma sensu, żebyś znowu wystawiała się na ryzyko, siostrze. Zadzwonimy do gazety teraz, z telefonu siostry Eugenii, i powiemy, co odkryła Jessica.

– Jessica nie miała żadnych dowodów. – Isabel rozejrzała się, starając się napotkać spojrzenie każdej z sióstr. Te kobiety były jej tak drogie, a mogła ich już nigdy więcej nie zobaczyć. – Ludzi, których wczoraj przywieźli do Żółtego Domu, pewnie już stamtąd usunęli. I wyczyścili wszelkie ślady ich bytności. Ciało pilota i tej biednej, zabitej na moich oczach dziewczyny pewnie nigdy się nie znajdą. Chirurg, ten Wallace, wyprze się, że w czymkolwiek uczestniczył. Nie ma nic, co w niepodważalny sposób łączyłoby któregoś z policjantów z tym, co się dzieje. Śmierć Jessiki była niepotrzebna, nie miała nic, co mogłaby przedstawić jako dowód.

Nikt się nie odezwał.

– A poza tym jestem poszukiwana za popełnienie dwóch morderstw, a to naprawdę nie robi dobrze reputacji klasztoru.

Belinda się uśmiechnęła, a potem wybuchnęła płaczem.

Hildegarda nachyliła się i pocałowała Isabel w czoło.

– Bóg z tobą, moja droga. – Pociągnęła nosem, po czym odwróciła się do reszty. – Siostry, wiecie wszystkie, co macie robić.

Ajax, one wychodzą.

Ajax chwycił pokładowe radio i wdepnął stopą w hamulec.

– Kto? Ile ich jest?

– Wszystkie.

Zaklął, zjechał na pobocze i się obejrzał. Droga była pusta. Zawrócił samochód, co było trudne na tak wąskim kawałku, i ruszył z powrotem do klasztoru. Nie powinien był stamtąd wyjeżdżać. Dobrze wiedział, cholera, że coś się tam podejrzanego dzieje.

– Mów do mnie – warknął do radia.

– Od strony farmy jedzie biała furgonetka. Nie przyjechała z drogi, więc to pewnie auto z farmy. Zatrzymuje się przy tylnych drzwiach. I auto zakonnice jest wyprowadzane z garażu. Jedzie na front. Wkrótce powinniście je zobaczyć.

– Widzę je – relację podjął inny głos. – Jedzie teraz podjazdem. Widzę dwie osoby w środku. Sir, mamy też grupę schodzącą po frontowych schodach. Jest ich siedem... nie, osiem.

– Jeszcze więcej z tyłu, sierzancie. Przynajmniej dziesięć. I jakieś wychodzą drzwiami z boku.

Ajax mocniej przycisnął pedał gazu.

– Co one tam, do diabła, robią?

– Po prostu idą, sir. Rozchodzą się w różne strony. Niektóre w grupach, niektóre pojedynczo.

– Samochód jest teraz przy bramie. Wypuszczamy go?

– Furgonetka podjechała tyłem pod same tylne drzwi. Nie widać, kto wsiada i wysiada.

– Sprawdzajcie każdego opuszczającego teren – rozkazał Ajax. – Jeśli któraś jest w wieku między trzydzieści a pięćdziesiąt lat, zatrzymajcie ją, aż udowodni, kim jest. I niech ktoś te cholerne zakonnice policzy. W kaplicy było ich czterdzieści dwie. Jeśli pojawi się czterdziesta trzecia, mamy ją.

– Furgonetka odjeżdża. Wraca na farmę. Z tyłu może być każdy.

– Mam tu faceta z pawiem na rękach, sierzancie. Mam go zatrzymać? To paskudztwo wygląda na agresywne. Cholera, uważaj pan!

– Przy tylnej furtce są dwie siostry, sir. Na rowerach. Żadna nie odpowiada rysopisowi. Jedna jest po siedemdziesiątce. Druga to Murzynka.

Ajax zjechał z drogi i znowu zatrzymał się przed bramą klasztoru. Policyjny furgon wciąż tam stał. Sierzant rozmawiał z kierowcą należącej do zakonu fiesty. Ajax wysiadł i zobaczył, że z przodu siedzą dwie zakonnice.

– Dokąd się panie wybieracie? – spytał je sierżant.

– Z odwiedzinami do chorych – odparła starsza z dwójki. – Wczoraj wieczorem Eileen Richards wróciła ze szpitala w Berwick. Poczytamy jej ustępy z Pisma i z godzinkę z nią porozmawiamy, żeby ją podnieść na duchu.

– Nie będziecie miały panie nic przeciwko, jeśli zajrzemy do bagażnika?

Bagażnik został otwarty i zamknięty. Był pusty, nie licząc koca i koła zapasowego.

– Gdzie nie spojrzeć, wszędzie pingwiny – mruknął sierżant, kiedy on i Ajax zamykali bramę. Podał Ajaxowi lornetkę. – Jakbym był na seansie *Tupotu małych stóp*.

– Próbują nas rozproszyć. – Ajax wycelował lornetką w grupę trzech zakonnic idących wąską ścieżką w kierunku lasu w odległym rogu przyklasztornego terenu. Jedna z nich była przysadzista i bardzo przygarbiona. Pozostałe dwie... Zaraz straci je z oczu, wchodziły między drzewa.

– Ilu mamy ludzi za murem na wydmach? – spytał.

Sierżant podniósł dłoń, żeby go uciszyć, słuchał kogoś w swojej krótkofalówce.

– Zatrzymaliśmy białą furgonetkę – poinformował, kiedy znowu podniósł wzrok. – Cztery zakonnice z tyłu twierdzą, że jadą na maraton wista w Haggerston. Jedna z nich jest w odpowiednim wieku. Myślę, że powinien pan tam podjechać, sir.

Ajax wrócił do swojego samochodu.

– Wyślijcie jakichś ludzi na wydmy przy północno-wschodnim narożniku – polecił. – Jak najszybciej.

– A co z pawiem?

– Jezu Chryste, a co mnie obchodzi jakiś pieprzony paw!

Wskoczył do wozu i odjechał w stronę farmy.

Hildegarda, Florentina i Isabel dotarły do północno-wschodniego narożnika terenu należącego do klasztoru. Isabel ściągnęła pożyczony welon i habit i oddała je Florentinie.

– Chyba nie zamierzasz przeleźć przez ten mur? – Florentina wtykała pożyczony welon za stanik. – Jest strasznie wysoki.

– Robiła to już nie raz – odezwała się Hildegarda. – Uważaj na siebie, siostró, przez następne pół godziny.

– Dlaczego tylko przez tyle? – zdziwiła się Isabel, rozglądając się za miejscem, w którym mogłaby oprzeć stopę.

– Bo tyle nam zajmie powrót do kaplicy, żebyśmy mogły zacząć się modlić – wyjaśniła Hildegarda.

Patrick piętnaście minut przesiedział w klatce pawi, zanim się ewakuował. Policjant, który go zatrzymał, gdy wychodził ze szklarni z pawiem pod pachą, uwierzył w jego wyjaśnienia, że jest zatrudnionym w klasztorze opiekunem ptaków. Patrzył, jak Patrick odnosi pawia do klatki, a potem, jak pojawiają się inne i go otaczają, przypuszczalnie spodziewając się, że zostaną nakarmione. Patrick znalazł ziarno w plastikowym kubku, rozsypał je, odskakując w bok, gdy ptaki zbyt blisko podchodziły do jego nóg. Kiedy spojrzął w górę, policjanta nie było. To już kolejny raz policja nie szukała mężczyzny.

Widział, jak kilka zakonnic idzie przez teren, żadna jednak nie spojrzała w jego stronę. Gdy uznał, że w pobliżu nikogo już nie ma, wyszedł z klatki i pomaszerował w stronę muru. Szybka lustracja otoczenia i zaraz potem wylądował na piaszczystym ugorze po drugiej stronie.

Vauxhalla należącego do Maisie i Freda prowadzących pocztę łatwiej się obsługiwało niż fiata Jessiki, miał mniej dezorientujących przycisków i światełek. Isabel uruchomiła auto bez problemu i odjechała spod domu w Haggerston, w którym we frontowym oknie akurat drgnęły poruszone przez kogoś zasłony. Jechała bezpośrednio na wschód, aż dotarła do A698 między Berwick-upon-Tweed a Coldstream, gdzie skręciła na południe. Do przejechania miała niecałe czterdzieści kilometrów, ale drogi, którymi musiała się poruszać, żeby dotrzeć do celu, były wąskie, kręte, z ograniczeniami prędkości.

Za każdym zakrętem spodziewała się zobaczyć blokadę, ale ich nie było. Spotkała bardzo niewiele samochodów i żaden z nich nie był radiowozem. W Coldstream zjechała z głównej szosy i kontynuowała jazdę na południe, aż dotarła do Parku Narodowego. Jechała tak szybko, jak tylko mogła, a potem zjechała na pobocze.

Mając trochę czasu do zabicia, zjadła to, co spakowały dla niej w pośpiechu siostry. Dość dziwna kombinacja składająca się z chleba, miodu i czekoladowych ciasteczek kazała jej podejrzewać, że dyżur w kuchni miała siostra Belinda.

Blisko miejsca, gdzie spadł balon i gdzie kosz wreszcie zawisł w bezruchu, stał zaparkowany wóz policyjny. W środku Isabel wypatrzyła dwóch funkcjonariuszy. Było też kilku gapiów, wpatrujących się w zagajnik. Wszystkie spalone i rozrzucone części po wypadku były już zebrane, ale ludzie i tak chcieli oglądać miejsce, w którym rozpoczął się morderczy szal zakonniczy zabójczyni.

Isabel wyszukała odpowiedni występ skalny i się na nim rozsiadła. Miała nadzieję, że zmierzch zapadnie szybko i że nie będzie padało. Siostra Serapis pożyczyła jej swoją lornetkę, w klasztorze używaną do wypatrywania zbiegłych pawi. Teraz Isabel wycelowała ją w stronę drzew, starała się dostrzec miejsce, w którym jej upadek na ziemię zatrzymały gałęzie dużego buku. Raz też skierowała lornetkę na gapiów. Bała się, że zobaczy wśród nich twarz mężczyzny z długimi ciemnymi włosami, w filcowym kapeluszu na głowie. Bała się, że Patrick Faa skądś wie, co planuje, tak jak wiedział o wszystkim, co się z nią działo przez ostatnie trzy dni. Bała się, że tu jest i na nią czeka.

Nie czekał. Grupa czterech osób stała i przyglądała się miejscu wypadku jeszcze jakiś kwadrans, potem sobie poszła. Później zjawiała się kolejna grupa. Została tylko pięć minut, ale jej członkowie zrobili dużo zdjęć. O szóstej przyjechał drugi wóz policyjny, ten już tylko z pojedynczym posterunkowym za kierownicą. Funkcjonariusze ze zmiany dziennej porozmawiali z nim chwilę, potem wsiedli do swojego samochodu i odjechali.

Wyglądało na to, że w nocy to miejsce też miało być pilnowane.

Zrobiło się ciemniej. Już nikt więcej nie przyjeżdżał. Przez jakiś czas posterunkowy nie gasił silnika, w samochodzie paliło się światło. O siódmej zgasił silnik i auto oblekła ciemność. Pół godziny później nie było już widać jego twarzy. O ósmej postanowiła zaryzykować i się ruszyć.

Wybrała okrężną drogę, trzymała się blisko kamiennego murku. Kiedy weszła między drzewa w zagajniku, nie widziała już radiowozu. Mimo to szła ostrożnie, przekradała się od drzewa do drzewa, z radością witając każdy stuk, pohukiwanie, odgłosy nocy, bo zagłuszały jej kroki.

Kiedy dostrzegła migotanie bieli, żółci i błękitu karoserii, wiedziała, że jest blisko. A gdy usłyszała muzykę, zrozumiała, że jest też bezpieczna. Policjant jej nie usłyszy.

Wdrapywanie się było łatwiejsze niż schodzenie. Przede wszystkim łatwiej było wyczuć sęki i zagłębienia w pniu, które pomogły jej wspiąć się do pierwszej gałęzi. Poza tym łatwiej się było zorientować, gdzie idzie, choć wokół było kompletnie ciemno. Łatwiej się schylać i przeciskać między coraz gęściej upakowanymi gałęziami, gdy znalazła się wyżej, gdzie korona była gęstsza. Kilka razy zaczęła o coś kurtką, ale ją uwolniła i wdrapywała się dalej.

Gdy dotarła do punktu, gdzie gałęzie wydawały się połamane, wiedziała, że jest we właściwym miejscu. Patrząc w górę, prawie widziała szlak, który wytyczyła, spadając. Podciągnęła się na gałąź, tę grubą i mocną, która zatrzymała jej upadek, i znów popatrzyła w górę.

Przez kilka długich minut jej nie widziała. Przechylała się na lewo i na prawo, kuciała, wyciągała się i już była na granicy uznania, że przyjazd tutaj to daremny wysiłek, że jednak nie zdobędzie dowodu, którego potrzebowała, ale właśnie wtedy spojrzała w górę jeszcze raz.

Jest. Dość wysoko. Mały róg turkusowej skóry. Komórka Jessiki wciąż tam leżała. Przytrzymała się jedną ręką, a drugą wyciągnęła.

Telefon nie działał.

Obracała go w dłoni, wciskała przyciski. Nic się nie zdarzyło. Telefon musiał się przy upadku zepsuć. Był bezużyteczny. Potem usłyszała Jessicę, głos w jej głowie był donośny i wyraźny.

„To bateria, idiotko. Rozładowała się. Telefonowi nic się nie stało”.

No oczywiście, komórki się rozładują. Ta leżała na drzewie prawie trzy dni. Zdjęcia, które zrobiła Jessica martwemu pilotowi i ścigającemu ich Patrickowi Faa, wciąż w niej są. Tak jak i ostatnia wiadomość do Neila. Isabel wsunęła telefon do kieszeni i zaczęła wolno i ostrożnie schodzić z drzewa.

Zagajnik opuściła tą samą drogą, jaką się do niego dostała, i szybko wróciła do samochodu. Jechała, aż zobaczyła, że komórka siostry Eugenii ma zasięg. Wtedy się zatrzymała i wyciągnęła wizytówkę, którą dała jej matka Hildegarda.

– Inspektor Maldonado? – spytała, gdy w telefonie usłyszała głęboki męski

głos. – Tu Isabel.

Isabel nieopodal kościoła znalazła mały parking. Komórkę Jessiki zamknęła w schowku na rękawiczki i do kościoła poszła na piechotę. Zawiasy bramy zaskrzypiały, ogłaszając jej nadejście każdemu, kto mógł na nią czekać.

Alejka prowadziła do drzwi kościoła. „Kościół katolicki św. Niniana w Wooler”, obwieszczał niebieski inkrustowany napis na tabliczce z prawej strony drzwi. Większość grobów znajdowała się zapewne na tyłach.

Trzymała się trawnika, mając świadomość, że inni będą znali ten teren lepiej od niej. Na zapleczu, gdzie drzewa prawie nie wpuszczaly z ulicy światła latarni, zaryzykowała i włączyła latarkę. Jeśli oni czekają, to i tak wiedzą, że tu jest.

Zeskanowała cmentarz promieniem latarki, szukała kopców, grobów w miarę świeżych. Utknięty w głębi, w dolnym narożniku, na wąskim pasku ziemi między kościołem a kościelnym murem był jeden, z kwiatami wyglądającymi na świeże.

Trawa otaczająca grób miała czas zgęstnieć, pojawiło się nawet pierwsze zielsko. Latarka Isabel wyłowiła spirale stokrotek, zygzakowate liście mlecza. Róże w glinianym wazonie wyglądały, że mają mniej niż tydzień, a marmurowa płyta na grobie błyszczała. Te róże w świetle latarki wydawały się ciemne, prawie czarne. Skierowała wiązkę światła na napis na nagrobku i w tym samym momencie za jej plecami rozległ się chrząst kroków na żwirze. Jednej osoby.

Przyszędł sam. To oznaczało, że jest w tarapatkach.

Dwa i pół roku wcześniej

Ajax znalazł miejsce wypadku dość łatwo. Taśma policyjna rozciągała się przez całą szerokość drogi. Sto metrów dalej widział karetkę. Miejsce wypadku otaczało kilkunastu funkcjonariuszy, ich krzykliwe żółte kurtki zdawały się wysysać światło z latarni w górze. Technicy kryminalistyczni też tu byli.

– Ajax – przywitał go dowodzący policjant.

– Jak wam idzie? – spytał. Trzech ratowników medycznych pochylało się nad postacią na asfalcie.

– Właśnie została uznana za zmarłą na miejscu wypadku. Zaraz ją włożą do worka.

Ajax kontynuował marsz w stronę karetki.

– Kobieta, tak?

– Azjatka, trzydziestokilkuletnia.

– Była sama? – O dziewiątej wieczorem w lutym na dworze już dawno było ciemno.

– Z dzieckiem. Chłopiec siedzi w jednym z radiowozów, czeka na przyjazd kogoś z rodziny. Z tego, co nam powiedział, on i matka przechodzili przez drogę, kiedy z dużą prędkością nadjechało jakieś auto. Jechało naprawdę szybko, tak twierdzi dzieciak. Matka pchnęła go na chodnik, sama została potrącona. Uderzyła głową w krawężnik.

Samochód się nie zatrzymał. Wypadek był teraz zakwalifikowany jako śmiertelne potrącenie z ucieczką. Stąd obecność Ajaxa.

– Wnioskując z pozycji, w jakiej ją znaleźliśmy, i z tego, co udało się nam wyciągnąć od dziecka, mamy prawie pewność, że auto jechało z południa w kierunku A1148. Nie znaleźliśmy śladów ostrego hamowania – wyjaśniał policjant.

– Auto po uderzeniu w kobietę lekko wyhamowało, potem szybko odjechało.

– Świadczenie? – Ajax nie żywił większych nadziei. Noc była paskudna.

– Tylko dzieciak.

Dotarli do ratowników.

– Mogę? – Ajax, nie czekając na pozwolenie, przykucnął. Podniósł plastikową płachtę. Ktoś się nachylił z parasolką.

Kobieta leżała w połowie na drodze, w połowie na chodniku. Twarz nad brwiami była rozcięta. Płat skóry zwisał w dół. Krwi nie było dużo, ale być może wchłonął ją czarny materiał hidżabu. Wyglądała bardziej na Arabkę niż Hinduskę czy Pakistankę.

– Miała jakieś dokumenty? Torebkę? – Ajax zerknął w górę na najbliższego policjanta.

– Nie wiemy.

– Poszukajcie. Dopilnujcie, żeby pojechały z nią do szpitala. A tak w ogóle mógłby się pan tym zająć osobiście? Przypilnuje pan, żeby jej wszystkie prywatne rzeczy, zwłaszcza portfel i dokumenty, pojechały z nią?

– Oczywiście, sir. – Policjant odszedł.

Ajax się wyprostował.

– Jak nam idzie z szukaniem krewnych?

– Mieszkała kilka ulic stąd. Już tam kogoś posłaliśmy.

– Dobrze. Niech ich ktoś podwiezie do szpitala, jeśli to będzie potrzebne. – Zignorował zdziwione spojrzenia. – Muszę porozmawiać z dzieckiem.

Dziecko otulone kocem siedziało z tyłu wozu policyjnego. Chłopiec wcześniej płakał, ale teraz był już spokojny.

– Ma na imię Jarfa – poinformowała Ajaxa opiekująca się nim funkcjonariuszka.

– Jarfa, muszę ci zadać kilka pytań. – Ajax nie cackał się z dziećmi, zwłaszcza z tymi po trudnych przejściach. To im nie pomagało, a on niczego się nie mógł dowiedzieć. – Co mi możesz powiedzieć o aucie, które potraściło twoją matkę?

W odpowiedzi uzyskał jedynie smutne spojrzenie okrągłych brązowych oczu.

– Już go o to wszystko pytaliśmy – szepnęła posterunkowa.

Ajax ją zignorował.

– Jaki miał kolor?

– Srebrny.

– Dobry chłopak. Interesujesz się samochodami? Wiesz, jakiej był marki?

Puste spojrzenie.

– Wiesz, co to są numery rejestracyjne?

Głośne cmokanie od strony posterunkowej.

– Widziałeś kierowcę?

– Nie było kierowcy.

Ajax nachylił się bliżej.

– Przepraszam, Jarfa, co powiedziałaś?

– Nie było żadnego. Kierowcy nie było.

Ajax popatrzył przez ulicę na zaparkowane auta. Kierowców i pasażerów samochodów nocą trudno jest dostrzec, ale zwykle nie są kompletnie niewidoczni. Auto, które potraściło kobietę, mogło wciąż tu być.

– Pochylał się – mruknął do siebie. – Sięgał po coś na siedzeniu albo coś mu spadło na podłogę. Nie zauważył ich.

– Kółko z przodu.

Ajax odwrócił się do chłopca.

– Kółko na masce. – Mały palec chłopca zakreślił koło w powietrzu, o średnicy mniej więcej siedmiu centymetrów.

Ajax zerknął na samochód.

– Coś ci powiem, Jarfa. Mógłbyś wysiąść i je dla mnie narysować. – Wyciągnął rękę, pomógł chłopcu wyskoczyć, potem podprowadził go do tylnego boku radiowozu. Był mokry od deszczu. – Takie? – narysował.

– Większe. – Jarfa też narysował koło, potem w jego środku dorysował ukośny krzyż. Przyglądał się rysunkowi, jakby nie był do końca pewien.

– A może takie? – Ajax narysował kolejne koło. Tym razem zamiast krzyża w środku dorysował trzyramienną gwiazdę.

Jarfa kiwnął głową.

– Z przodu samochodu, pośrodku maski?

Następne kiwnięcie.

– Zuch z ciebie, Jarfa.

Szukali srebrnego mercedesa.

Szczupły siwowłosy mężczyzna, który otworzył drzwi domu w stylu tudorskim, miał sześćdziesiąt kilka lat. Jego poirytowanie faktem, że o tak późnej porze zakłóca mu się spokój, zamieniło się w szczerze zdumienie, kiedy na progu zobaczył dużego ciemnego mężczyznę.

– W czym mogę?...

Ajax pokazał legitymację.

– Inspektor śledczy Ajax Maldonado, policja terytorialna Northumbrii. Mógłbym panu zająć chwilę?

Motyw tudorowski był kontynuowany w przestronnym, wyłożonym marmurem korytarzu wejściowym. Drewniane belki, zbyt proste i zbyt idealne, żeby mogły być autentycznymi belkami wykonanymi z drewna, rozciągały się na całej długości sufitu. Na ścianach boazeria, też wyglądająca na drewnianą, dopóki nie przyjrzało się bliżej. Po jednej stronie jakichś dwuskrzydłowych drzwi miniaturowa zbroja.

Ajax udał się korytarzem za mężczyzną do jego gabinetu. Zajął miejsce, które zostało mu zaproponowane – krzesło z orzecha z jedwabnym siedziskiem w pasy – i czekał, aż gospodarz też usiądzie. Nie usiadł. Przeszedł za biurko i stojąc tam, popatrzył na gościa.

Ajax wyjął notes. Wyłącznie na pokaz. Nic w nim nie miał. Nie przyniósł nawet z samochodu długopisu.

– Mogę zapytać, gdzie pan był dwa dni temu między ósmą wieczorem a dziesiątą? – zaczął.

Mężczyzna odwrócił się, otworzył obity skórą biurkowy kalendarz i przez kilka sekund go studiował.

– Tutaj – odparł. – Do siódmej byłem w szpitalu, potem pojechałem do klubu golfowego na drinka. Ale jestem prawie pewien, że o ósmej trzydzieści byłem już w domu.

Wypadek drogowy, w którym zginęła matka małego chłopca, wydarzył się bliżej dwudziestej pierwszej.

– Jeździ pan srebrnym mercedesem klasy E, zgadza się? – pytał dalej Ajax.

– Tak.

– Mogę go zobaczyć?

Uprzejmy uśmiech.

– Przykro mi, ale żona go zabrała. Pojechała nim do teatru.

– O której spodziewa się pan jej powrotu?

– Jest ze znajomymi. Mogę spróbować do niej zadzwonić, ale ma zwyczaj zapominać komórki. Zwłaszcza kiedy jedzie do teatru.

– Auto podobne do pańskiego brało udział w wypadku drogowym ze skutkiem śmiertelnym w środę wieczorem na Woodstone Drive.

Mężczyzna zmarszczył czoło. Zrobił minę, jakby nazwa ulicy była mu znajoma, ale jakby nie potrafił sobie do końca...

– Rozumiem. I sprawdza pan wszystkich zarejestrowanych właścicieli tej marki w okolicy? Bardzo sumiennie. Cóż, mogę je przyprowadzić na posterunek jutro, kiedy żona już wróci. Około drugiej po południu będzie dobrze?

– Samochód uczestniczący w wypadku musi mieć jakieś uszkodzenia przedniego lewego skrzydła.

– Domyślam się. Stłuczone światło. Kawałki szkła na drodze. Oglądam *Crimewatch*, inspektorze. Wie pan co, wygląda pan znajomo. Jestem przekonany, że gdzieś już pana widziałem. Klub golfowy?

– Nie stać mnie na wpisowe – odparł Ajax. – Reflektory były całe, kiedy auto odjechało z miejsca wypadku, ale na torebce ofiary znaleziono odpryski lakieru. Pomogą nam zidentyfikować model. Nawet fabrykę, z której pochodził.

Mężczyzna kiwnął głową, jakby z zainteresowaniem.

– To naprawdę niezwykle, co można zrobić w dzisiejszych czasach.

– Tak naprawdę to wykrywalność sprawców potrąceń, którzy uciekli z miejsca zdarzenia, mamy rozpaczliwie niską.

– No proszę, coś takiego.

– Bez świadków, a w tym przypadku ich nie było, bez nagrań z monitoringu – a jaki monitoring może być na osiedlowej ulicy – polegamy na sumieniu kierowcy. Musimy mieć nadzieję, że nie będzie potrafił ze sobą żyć. Że dotrze do punktu, w którym będzie musiał sam się zgłosić.

– I jak często coś takiego się zdarza?

– Prawie nigdy. Instynkt samozachowawczy prawie zawsze bierze górę nad odpowiedzialnością społeczną.

– Przykre.

– Wie pan, nie myli się pan. Faktycznie już się kiedyś spotkaliśmy.

– Tak właśnie myślałem. Drinka? – Zerknął w stronę komody z karafkami. – Czy może to zabronione?

– Moja żona jest pana pacjentką. Kilka tygodni temu byliśmy u pana na wizycie.

– Naprawdę. – Zmarszczył czoło. – Maldonado to wyjątkowe nazwisko. Jestem przekonany, że...

– Żona używa panińskiego. Pochodzi z bardzo starej rodziny. Obiecuje, że zmieni nazwisko na moje, ale jak już kiedyś będziemy mieli dziecko.

– Tak, rodzina powinna mieć to samo nazwisko. Inspektorze Maldonado, czy jest...

– Przyszliśmy całą grupą. Jakies dwanaście osób. Oni już tak mają. Na

początku dostawałem szalu, teraz się przyzwyczaiłem.

– Och mój Boże. Moira Faa. Teraz pamiętam. Jak żona się czuje?

– Moira Joanne Faa Maldonado. Nazywam ją MoJo. I czuje się źle. Możemy się spodziewać, że teraz jej stan będzie się pogarszał coraz szybciej. – Ajax wstał i podszedł do komódki z karafkami. – Wie pan co, chyba jednak się czegoś napiję. – Zdjął szklaneczkę z półki, odkrył karafkę i nalał sobie alkoholu. Nie miał pojęcia jakiego. Potem znowu usiadł.

– Kobieta, która została zabita w wypadku drogowym w środę, panie Wallace, miała trzydzieści dwa lata i była zdrowa. Głowa była zmasakrowana, ale reszta pozostała nienaruszona. Pochodziła z Bliskiego Wschodu. Mogła być dawcą dla mojej żony. – Podniósł szklaneczkę do ust i upił łyk. Szkocka. – Moja żona mogłaby teraz leżeć w łóżku szpitalnym i dochodzić do siebie po przeszczepie, przeglądając księgę imion dla dzieci. Ale niestety leży w domu i za każdym razem, kiedy na nią patrzę, jest coraz bardziej żółta.

Wallace oparł ramiona na blacie biurka.

– Rozumiem, co pan czuje. To rzeczywiście wydaje się strasznym zmarnowaniem okazji, ale...

– Ta kobieta miała kartę dawcy, ale rodzina nie chciała uszanować jej wyboru. Nie obchodziło ich, czego chciała, bo byli uprzedzeni i samolubni.

– Rozumiem, ale takie jest prawo. Jeśli rodzina nie zgadza się...

Ajax sięgnął do kieszeni kurtki i wyciągnął iPada. Otworzył jakąś aplikację i przekreślił telefon w stronę Wallace'a.

– Niech pan puści – polecił.

– Co proszę?

– Nie pan to odegra. – Wepchnął iPada w dłoń lekarza, nie dając mu większego wyboru. Wallace dotknął ekranu. Ajax obserwował jego twarz. Dwusekundowe nagranie nie miało dźwięku.

Wcześniej tego dnia Ajax odwiedził sklep na rogu Woodstone Drive i A1148, nie dalej niż trzysta metrów od miejsca, gdzie doszło do wypadku. Ponieważ w ostatnich miesiącach w sklepie zdarzyło się kilka kradzieży i aktów wandalizmu, właściciel na zewnętrznej ścianie zainstalował kamerę monitoringu. Była skierowana raczej na witrynę niż na drogę, ale w ten deszczowy środek wieczór kamera zarejestrowała odbicie w szybie przejeżdżającego samochodu.

– Zauważył pan zapewne, że tylna tablica tego srebrnego mercedesa jest prawie niewidoczna – rzekł Ajax. – Zastopowałem to ujęcie i powiększyłem. Samochód, który o tej godzinie przejeżdżał obok sklepu, musiał przejeżdżać obok miejsca wypadku, musiał jechać tamtędy mniej więcej w czasie, gdy do niego doszło. Jeśli odpryski lakieru na torebce ofiary będą pasowały do lakieru na pańskim samochodzie, to powiedziałbym, że mamy dość poważną sytuację, nie sądzi pan, panie Wallace?

Wallace się nie odezwał, ale dłonie, w których trzymał iPada, wyraźnie się trzęsły.

– Z drugiej strony, to dwusekundowe nagranie już wkrótce zostanie usunięte. Nikt oprócz mnie go nie widział. Gdyby nagranie zaginęło, co się może łatwo zdarzyć, nikt się nigdy o nim nie dowie. Sprawa wypadku, jak wiele innych tego rodzaju, pozostanie nierozwikłana.

– Czego pan chce?

Ajax dopił drinka.

– Porozmawiać o mojej żonie.

Klub golfowy św. Cuthberta był położony na wyżynie i w pogodne dni z jego pól można było dojrzeć na horyzoncie wąską wstęgę kobaltowobłękitnego morza. Ajax, targany wiatrem, który na tym polu wiał zawsze, przyglądał się, jak srebrny mercedes wjeżdża krętym podjazdem i zatrzymuje się na parkingu obok jego auta. Lewy przedni bok mercedesa był cały, bez jednego zadrapania. Po drugiej stronie parkingu z defendera wysiadł Patrick i do nich podszedł. Z całej licznej rodziny żony Ajaxa to jemu najtrudniej było zaakceptować sytuację. W przyszłości jednak to właśnie on mógł się okazać najbardziej przydatny.

Wallace siedział w samochodzie, gapiąc się przed siebie, jakby nie zauważył Ajaxa ani Patricka, jakby zbliżający się Cygan był niewidzialny. Kiedy Patrick dotknął klamki drzwi pasażera mercedesa, Ajax wysiadł ze swojego samochodu.

– Siadaj z tyłu – polecił.

Patrick zeszywniał.

Ajax starał się zachować spokój.

– Jeszcze będzie okazja na uwolnienie wewnętrznego psychologa. Ale nie w tej chwili. Wsiadaj do tyłu.

Z charakterystycznym dla niego nadętym łygnięciem Patrick posłuchał polecenia. Ajax otworzył drzwi mercedesa z przodu i wsiadł do środka.

Wallace nie zwracał sobie głowy powitalnymi uprzejmościami.

– Pozmieniałem dane żony tak, żeby wyglądało, że jest o wiele bardziej chora, niż jest – oznajmił.

– Ale przecież ona jest chora – zauważył Ajax. Moira nie pracowała, przebywała na przedłużonym urlopie zdrowotnym. Bez przeszczepu mogła już nigdy nie wrócić do pracy.

– Z tych danych wynika, że zostały jej najwyżej trzy miesiące życia – ciągnął Wallace. – To ją przeniesie na szczyt listy pilnych przeszczepów. Młody wiek będzie się liczył na jej korzyść, podobnie jak jej wcześniejsze dobre zdrowie. Szkoda, że nie macie dzieci, ale musimy sobie radzić z tym, co mamy.

– Zmień trzy miesiące na miesiąc – podpowiedział Patrick z tylnego siedzenia.

Wallace pokręcił głową.

– To przyniesie odwrotny skutek. Administratorzy bazy nie uwierzą, że ktoś, komu został miesiąc, wyzdrowieje na tyle, żeby warto było przeprowadzać operację. Trzy miesiące są najlepsze. Pomógłby też apel w telewizji.

Ajax był przygotowany na błaganie stacji BBC Northwest, żeby wyemitowała apel z prośbą o zgłaszanie dawców ze środowisk mniejszości etnicznych, okazało się jednak, że nikogo nie musiał błagać. Producenci programu

byli bardziej niż skorzy do współpracy. Kolorowa rodzina Moiry – bo w programie musieliby wystąpić wszyscy – to świetny materiał dla telewizji. Tylko jego żona się opierała, a bez jej udziału program się nie odbędzie.

– Po takim telewizyjnym apelu – wyjaśniał Wallace – zawsze mamy całą falę zgłoszeń. Naprawdę wszystko pozwala zachować optymizm. Ja też, żeby być pod ręką, na ten czas zawieszę swoją praktykę w Londynie.

– To nie wystarczy – orzekł Ajax.

– Naprawdę nic więcej nie...

– Porozmawiajmy hipotetycznie. Czego potrzebuje moja żona, żeby przeżyć?

– Nie wiem, czy rozumiem...

– Potrzebny jest ktoś z kompatybilnej grupy etnicznej i z odpowiednią grupą krwi, ktoś, kto jest zarejestrowany jako dawca, i rodzina, która będzie wspierała decyzję tej osoby. Potrzebny jest ktoś, kto umrze w ciągu następnych sześciu miesięcy.

– Tak, ale potrzebna może być więcej niż jedna osoba. Nawet ze szczególnym HLA pani Faa może nie znaleźć się na samym początku listy.

– Sam wcześniej mówiłeś, że ważnym czynnikiem jest geografia. Dawca z północnego wschodu będzie korzystniejszy dla Moiry niż ktoś, powiedzmy, z Londynu.

– To prawda.

– Więc ilu tych dawców potrzeba?

– Tego się nie da określić. I szczerze mówiąc, ja...

– Dwóch? Dziesięciu? Ilu musimy tu sprowadzić? Ile osób musi zginąć, żeby moja żona mogła żyć?

Piątek, 22 września

Jest – rzuciła MoJo, kiedy razem z Ajaxem skręcili za róg i zobaczyli stojącą przed grobem szczupłą sylwetkę z ciemnymi kręconymi włosami. Isabel stała nieruchomo, kiedy się zbliżali, a gdy się zatrzymali krok za nią, poświeciła latarką na napis na nagrobku.

„Moira Joanne Maldonado, z domu Faa

Ukochana żona, najcenniejsza córka, uwielbiana siostra”

MoJo zostawiła wtedy Ajaxa i prześliznęła się do przodu, jakby chciała się lepiej przyjrzeć kobiecie, na którą Ajax przez tyle dni polował. Gdy się zatrzymała przy nagrobku i odwróciła twarzą do obojga, dotknęła nagrobka własnej mogiły i zerknęła w dół, zupełnie jakby sprawdzała, czy napis na nim wciąż jest ten sam. Gdy potem ponownie popatrzyła na Ajaxa, zobaczyła, że blask w jego oczach jakby przygasł.

– Przykro mi z powodu pańskiej żony – powiedziała Isabel, nie odwracając się.

– A mnie z powodu pani siostry – odpowiedział.

MoJo westchnęła przeciągle i ciężko, na chwilę zarys jej sylwetki stał się mniej wyraźny. Ajax dał następny krok, teraz on i Isabel stali obok siebie. Żadne nie patrzyło na drugie. On patrzył na żonę, dopóki jeszcze mógł. Na co patrzyła Isabel, nie wiedział i nic go to nie obchodziło.

– Rozumiem, dlaczego zacząłeś to robić – odezwała się znowu. – Możliwe, że zrobiłabym to samo dla kogoś, kogo bym kochała. Ale Moira zmarła dwa lata temu. Dlaczego wciąż to ciągniesz?

Bardzo dobre pytanie, które ostatnio zadawała mu też jego teściowa. Oczywiście pieniądze się przydają, ale sugestia, że jakakolwiek suma mogłaby zrekompensować im stratę, była szarganiem pamięci MoJo.

– Miałem długi – zaczął. – Rachunki za prywatne leczenie. No i myślę, że po prostu byliśmy wściekli.

Tak, to jest to. Tak wściekli, kiedy im się ostatecznie wymknęła, wyniszczona bólem, przeżarta chorobą, że gdy tej samej nocy przyplłynął statek z uchodźcami, ledwie mógł powstrzymać Patricka, żeby nie porozrywał tych ludzi na strzępy gołymi rękami, bo przybyli za późno. Bo wśród tej bandy brudnych, przerażonych ludzi mógł być zdrowy narząd, który uratowałby życie jego siostrze.

Ajax musiał się odwołać do całej swojej siły woli, żeby nie dołączyć do szwagra. Żeby nie zacząć odrywać kończyn, patroszyć brzuchów, miażdżyć butem kości. Oczywiście w rezultacie zrobili właśnie to. Tyle że fizyczną stronę procedury przekazali w ręce chirurgów.

– I co teraz? – spytała Isabel. – Domyślam się, że nie będziesz chciał ryzykować i nie pozwolisz mi zeznawać przeciwko tobie i rodzinie twojej żony, nawet jeśli uważasz, że nie mam żadnych dowodów.

– Znalazłaś komórkę Jessiki? – zapytał. – Rozumiem, że na początku jej nie miałaś, inaczej już wcześniej byś się do nas odezwała.

Bezpośrednio przed nim MoJo – na którą przez cały czas patrzył, nie odrywał od niej oczu nawet na sekundę – zdawała się coraz ciężiej wspierać na nagrobku, jakby nagle zrobiła się bardzo zmęczona. Po raz pierwszy duch żony zaczął wyglądać tak, jak Moira wyglądała w ostatnich tygodniach życia.

– Pewnie planujecie upozorować mój wypadek – ciągnęła Isabel. – Wprowadzicie moje narządy do systemu, fundusz emerytalny Ajaxa Maldonado znowu się powiększy?

MoJo nadal na niego patrzyła, ale jej ciało stawało się półprzezroczyste. Mur cmentarny, żywopłot, wysokie nagrobki, wszystko, co, jak wiedział, powinno być za nią, wydawało się wyrysowane na niej.

– Mam za sobą dwadzieścia lat bardzo czystego życia – zaczęła znowu Isabel, a Ajax miał ochotę warknąć, żeby się zamknęła, że on ma teraz na głowie inne, ważniejsze sprawy. – Moje narządy są zdrowe. Komuś się przydadzą. A mnie i tak nie zależy. Jessie była jedynym powodem, dla którego...

– Bez obaw. – Zza rogu kościoła wyłonił się Patrick, który już dłużej nie potrafił wytrzymać. – To będzie sama przyjemność.

– Pat – rzuciła błagalnie MoJo, ale ten wysiłek wydawał się ją wiele kosztować. Gaśła w oczach.

Isabel patrzyła, jak Patrick się zbliża.

– Musiał pan bardzo kochać siostrę. Zastanawiał się pan kiedyś, czy przypadkiem nie za bardzo?

Ajax nie widział twarzy Isabel, ale Patrick tak. Cokolwiek na niej zobaczył, kazało mu się zatrzymać, zachować dystans.

– Też kiedyś miałam brata – mówiła Isabel, nadal do Patricka. – Wciąż go mam, chociaż wiele lat go nie widziałam. Bardzo mnie skrzywdził, dawno temu. Kochał mnie, ale skrzywdził. Może właśnie dlatego, że kochał, na swój własny chory sposób. Czy z tobą i Moirą też tak było?

MoJo przeniosła uwagę z Isabel na brata. W oczach żony Ajax ujrzał coś, czego nigdy wcześniej w nich nie widział. Mieszankę gniewu i smutku. Od zawsze dręczyło go pytanie, czy tej dwójki nie łączy coś... nie do końca normalnego. Nigdy jednak nie miał odwagi o to zapytać.

– Nigdy nie zdołam wybaczyć mu tego, co mi zrobił. – Ta walnięta zakonnica wciąż nawijała o swoim bracie. – Sądziłam, że się nigdy nie przełamie, już nigdy więcej nie zamienię z nim słowa. Z drugiej strony, ostatnie dni przyniosły ze sobą tyle zaskakujących rzeczy.

No dobra, co za dużo, to niezdrowo.

– Przyszedłem tu, żeby cię aresztować – oświadczył Ajax. – I bardzo to przykre, że zjawiłem się za późno. Że rozpacz, żaloba, poczucie winy doprowadziły cię do najbardziej desperackiego aktu i zakończyłaś własne życie.

– Śledztwo Jessiki jest zapisane w jej laptopie, a ten znajduje się w bardzo bezpiecznych rękach – poinformowała go Isabel.

– Cokolwiek tam jest, sprowadza się jedynie do spekulacji twojej siostry. Brakuje dowodów. Nawet jeśli znalazłaś jej komórkę...

– Znalazłam – potwierdziła. – I ona też jest w bezpiecznym miejscu, ale nie wiem, czy będzie w ogóle potrzebna. Widzisz, w ostatnich dniach sporo rozmyślałam o Jessice. To była naprawdę bardzo mądra kobieta. Z tych wszystkich rzeczy, które mi mówiła przez lata, stale wracam do jednej jej wypowiedzi.

– Jakiej? – spytał.

– Kiedyś Jessica przypomniała mi, że krew to nie woda.

– Co takiego?

Isabel znowu spojrzała na Patricka.

– Pan powinien o tym wiedzieć najlepiej, panie Faa. Gotów był pan zrobić dla siostry wszystko. Niech się więc pan zastanowi, co gotów byłby zrobić dla mnie mój brat. – Obejrzała się przez ramię na Ajaxa. – Gdybym na przykład zdecydowała się podjąć największe ryzyko w swoim życiu i do niego zadzwoniła, zaraz po telefonie do ciebie.

– A kto, do diabła, jest twoim bratem? – warknął Patrick.

Z tyłu rozległy się kroki, z cieni kościoła wyłoniło się kilka postaci. Inne wychyły z za drzew. Ajax za murem dostrzegł błysk munduru. Odwrócił się i zobaczył, że alejką kroczy ku niemu człowiek, którego znał.

– Wygląda na to, że ja – oznajmił komendant John Jones. – Ajaksie Maldonado, aresztuję cię pod zarzutem nadużywania prawa, współuczestnictwa w handlu ludźmi, porwaniach oraz pod zarzutem popełnienia morderstwa. Nie musisz...

Ajax kątem oka widział, że umundurowani policjanci otaczają Patricka, powalają go na ziemię, recytują mu jego prawa. Zobaczył, jak policjantka łagodnie bierze Isabel za ramię i się z nią oddala. Wszystko to działo się na peryferiach jego wzroku, ponieważ on, gdy jego szef wypowiadał zwyczajową formułkę, nawet na chwilę nie odrywał oczu od żony.

A jej tam już tak naprawdę nie było, został tylko odcisk jej obecności, jak wywołane wrzuconym kamieniem fale na wodzie. Znikała niezauważalnie, lecz

nieodwracalnie, aż w pewnym momencie zniknęła zupełnie.

Środa, 25 października

„John Jones

Wikipedia, wolna encyklopedia

John Edward Jones, funkcjonariusz Policji Brytyjskiej, obecnie pełniący obowiązki szefa policji terytorialnej Northumbrii. Jones urodził się w 1974 roku w Stanhope, hrabstwo Durham. W wieku lat siedemnastu wstąpił do wojska, przydzielono go do Królewskiego Pułku Strzelców. Służył w nim do ukończenia dwudziestu lat, wtedy armia wysłała go na studia na Uniwersytecie Durham. Tam Jones zdobył licencjat z filozofii i polityki, później uzyskał dyplom ukończenia studiów w Instytucie Kryminologii w Cambridge. Policyjna kariera Jonesa rozpoczęła się, gdy opuścił wojsko, aby wstąpić w szeregi policji terytorialnej Leicestershire Police w połowie lat 90. XX wieku. Przez dwanaście lat pracował jako detektyw śledczy, awansując do rangi komisarza, zanim w 2008 roku wrócił do służby mundurowej, spełniając w niej liczne role policjanta operacyjnego w ramach policji terytorialnych z obszaru West Yorkshire i Northamptonshire. W Northampton zajmował stanowisko zastępcy naczelnika policji drugiego stopnia jednostek operacji specjalistycznych, w 2012 roku został mianowany zastępcą komendanta. Oczekuje się, że wkrótce zostanie powołany na funkcję komendanta.

W czerwcu 2013 roku otrzymał od Królowej Medal za Zasługi dla Policji. Żona – Sarah, dzieci – dwie nastoletnie córki”.

Matka Hildegarda zdjęła okulary, przetarła oczy i odchyliła się od ekranu komputera stacjonarnego.

– I ty o tym nie wiedziałaś? Żadna z was nie wiedziała? Nie do końca rozumiem. Jessica też była policjantką.

Siedząca po drugiej stronie biurka w gabinecie matki Hildegardy Isabel odpowiedziała:

– W Anglii i Walii jest blisko sto trzydzieści tysięcy funkcjonariuszy i czterdzieści trzy formacje. Nie da się znać wszystkich. John Jones to często spotykane imię i nazwisko, a my zresztą zawsze nazywałyśmy go Ned, bo ojciec miał na imię John. Nie, nie sądzę, żeby Jessica coś wiedziała do chwili, gdy go zobaczyła w komendzie tamtego dnia.

Hildegarda z roztargnieniem kiwnęła głową. Przez chwilę patrzyła w dół, a kiedy znowu podniosła wzrok, jej oczy były dziwnie rozpromienione.

– Kiedy do nas dołączyłaś, siostrzo, przed tymi wszystkimi latami, twoja ciotka powiedziała nam, że jej zdaniem ktoś cię skrzywdził. Twierdziła, że nie ma

pojęcia, kto to mógł być ani co ci zrobił, ale wyraźnie pamiętam, jak mówiła, że jej zdaniem się ukrywasz.

Isabel spojrzała w mądre szare oczy sędziwej zakonnicy, potem ponad jej ramieniem tam, gdzie deszcz bębnił o szyby. Milczała. A później poczuła, że nadszedł ten właściwy moment.

– Ukrywałam się przez ponad dwadzieścia lat, matko – wyznała. – Przykro mi, że nie mogłam powiedzieć prawdy wcześniej.

Hildegarda z powrotem włożyła okulary, zdawało się, że wróciła do czytania wpisu w Wikipedii. Kiedy po chwili ponownie podniosła wzrok, spytała:

– A teraz czujesz, że musisz się z nim spotkać? Chcesz się skonfrontować?

– To nie do końca tak. Może. – Isabel przerwała. Nie potrafiła wytłumaczyć tego samej sobie, co dopiero komuś innemu. – Nie wiem. Może, żeby sobie udowodnić, że się już nie boję. A może robię to dla Jessie. Krew nie woda, mawiała. Wiedziała, że on do mnie dotrze. Cokolwiek zrobił w przeszłości, gdyby nie on, nie byłoby mnie tu.

– Cóż, dziękujmy więc Bogu, że się w tej kwestii nie pomyliła. – Hildegarda wstała. – Dasz sobie radę, siostrze?

Czy da? Jest jedynym beneficjentem testamentu Jessiki. Ma samochód, wystarczającą ilość pieniędzy, żeby przetrwać, zanim będzie miała szansę podjąć jakieś decyzje. Ale Hildegarda nie mówiła o pieniądzach.

– Myślę, że jest tylko jeden sposób, żeby się o tym dowiedzieć – odparła.

– U nas zawsze możesz liczyć na schronienie. Nawet jeśli ostatecznie postanowisz wystąpić z naszej wspólnoty.

– Dziękuję, matko.

Hildegarda szybko odwróciła się twarzą do okna. Szyba była zalana maleńkimi strużkami wody, więc nie dało się powiedzieć, zwłaszcza z głębi pokoju, czy strużki spływające po odbiciu twarzy zakonnicy to deszcz, czy coś innego.

– Wybaczysz, siostrze, że cię nie odprowadzę – szepnęła. – Z pewnym zaskoczeniem, ale przyznaję, że trochę się obawiam, że patrzenie, jak odjeżdżasz, może mi złamać serce.

Do czasu, gdy Isabel dojechała do Berwick-upon-Tweed, deszcz zdążył się zamienić w ulewę. Lało tak, jakby ktoś w niebie, w które nigdy nie wierzyła, postanowił ukarać ludzi za ich grzechy. Drzewa się przygięły, jakby ledwie wytrzymały ten potop, a twarda nawierzchnia drogi pod oponami samochodu jej siostry zamieniła się w rozpędzony potok.

Dostrzegła restaurację i tam podjechała. Deszcz był teraz nieustającym bębnieniem. Zalewał dach auta, ulicę, zagłuszał nawet odgłos silnika, szum wycieraczek, dudnienie jej serca.

Zgasiła silnik, pozwoliła, żeby strugi zakryły przednią szybę, i siedziała, nasłuchując. Przyjechała dwadzieścia minut za wcześnie. Przez szybę, przez którą prawie nic nie było widać, patrzyła, jak jakaś rodzina dobiega do restauracji i szybko się w niej ukrywa.

Ulewa trwała, jakby ciemność, którą miała zetrzeć, nie posiadała końca, aż wydawało się, że otaczająca ją krucha skorupa samochodu rozpadnie się pod tym naporem.

W jej przeszłości tak wiele było deszczowych nocy; podczas burz leżała rozbudzona i zastanawiała się, czy okna wytrzymają. Albo czy jej serce wytrzyma. Czasami myślała, że umyślnie wybierał deszczowe noce, bo nieustające bębnienie w bok domu zagłuszało to, co się działo w środku: jego jęki rozkoszy, ciszę jej rozpaczy.

Szyby zaczynały zachodzić mgłą. W porę wytarła część przedniej, żeby móc dostrzec mężczyznę – z budowy i zwinności, z jaką się poruszał, młodego – który spływającym masami wody chodnikiem szedł szybko w stronę restauracji. Nie wbiegł jednak do niej, jak tamta rodzina, tylko przez chwilę zaglądał w witrynę, rozglądał się po ulicy. Zerknął na zegarek. Wyciągnął telefon, zdaje się, że podjął decyzję, pociągnął szklane drzwi i zniknął w środku.

Minęły kolejne minuty. W radiu rozpoczęły się wiadomości, relacja o toczącej się tego dnia wstępnej rozprawie w sądzie w Newcastle. Isabel rozpoznała kilka nazwisk i wyłączyła radio.

Przed restauracją zatrzymał się jakiś samochód. Niebieski sedan. Nie znała tej marki i modelu, ale coś w jego eleganckiej sylwetce sprawiło, że jej serce zaczęło bić szybciej. Kiedy drzwi kierowcy się otworzyły, zsunęła się niżej na siedzeniu.

Ned nie był w mundurze. A sądziła, że będzie. Przygotowała się na mężczyznę w pełnym rynsztunku ze wszystkimi insygniami, tak jak wtedy rano w kawiarni, gdy go widziała w telewizji. Ale przyszedł w niebieskiej kurtce, w dżinsach, na nogach ciężkie buty turystyczne. Włosy jednak wyglądały tak samo.

Stalowszarc, z pasemkami ciemnego brązu, tak jak pamiętała.

Patrzyła, jak się rozgląda po ulicy, jak przez chwilę patrzy na jej samochód, a potem wchodzi do środka.

W zimowe noce w klasztorze deszcze z dudnieniem lały się na dach, woda małymi potokami toczyła się w rynnach, zajadłymi kaskadami spływała na ziemię. Tam też przeżyła wiele bezsennych nocy. Wpatrywała się w rzędy drzwi, które się nie zamykały, a lodowata bryła w sercu mówiła jej, że wbrew wszystkiemu tej jednej nocy on się tam przedostanie. Że jednak nie udało jej się uciec, że pięć lat, dziesięć, dwadzieścia to za mało, że nie ma ucieczki i że przyjdzie taki dzień, w którym on ją znajdzie.

Kiedy otworzyła drzwi samochodu, kałuże na chodniku połączyły się już w płytkie jezioro, w które, nie mając innego wyboru, zmuszona była wstawić stopy.

On na nią czekał. W restauracji. Znalazł ją.

Deszcz lał się na nią z góry. Przesiąkał przez kurtkę. Spływał po włosach. Nawet na karku czuła strużki wody. Jeśli postoi tu jeszcze dłużej, rozpułynie się. Dała krok w zimną wodę, która natychmiast wlała jej się do butów. Rozchlapując kałuże, przeszła przez ulicę i otworzyła drzwi restauracji.

Przy barze siedziała grupa młodych kobiet, wyraźnie koleżanek z pracy, bo wszystkie były w eleganckich kostiumach. Rodzina, którą widziała wcześniej, klóciła się o to, które miejsca mają zająć dzieci. Jedno z nich, najmłodsze, wczółgało się nawet pod stojący na środku stół.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, oczy, które napotkały spojrzenie jej własnych, nie należały do jej brata, bo ten siedział w głębi restauracji. Te oczy, które się jej przyglądały, miały barwę głębokiego czekoladowego brązu i spoglądały na nią od stolika przy oknie. Siedział przy nim tamten młody chłopak, przed nim wysoki wąski kufel z piwem, już prawie całym wypitym. Chłopak włosy miał ciemne, kręcone, sięgały mu prawie do ramion. Wyglądał na jakieś dziewiętnaście lat, może dwadzieścia. Szczupły, karnacja blada, długie ręce i nogi. Był piękny, a także – co Isabel zarejestrowała z ukłuciem bólu w sercu – bardzo podobny do jej siostry.

– Bella?

Głęboki głos, nadal z północno-wschodnim akcentem, sprawił, że drgnęła. Nie spodziewała się, że użyje tego zdrobnienia, chociaż zawsze ją tak nazywał. Odwróciła się od młodego człowieka przy oknie i zwróciła twarzą do brata.

Stał. Dała ku niemu krok. Już ze sobą rozmawiali. Krótko. W tę noc, kiedy wszystko się skończyło, ale tylko o bezpośrednich wydarzeniach i tylko w obecności świadków. Używał takich słów, jak „procedura” i „formalności”, nalegał, żeby towarzyszyła jej policjantka od rodzin ofiar, a ona się zgodziła, bo ostatecznie, czego chciała, to rozmowa o czymkolwiek ważnym czy żeby zostali sami.

Na stole stała butelka wina i dwa kieliszki. Był wyższy, niż oczekiwała,

wyższy, niż pamiętała, i o wiele bardziej barczysty. Ale gdy go widziała ostatnio, miał tylko osiemnaście lat.

– Mogę zabrać od ciebie kurtkę? – spytał.

Jej kurtka była przemoczona, ważyła dwa razy więcej niż normalnie, woda skapywała z niej na posadzkę. Pokręciła głową.

Przez chwilę sprawiał wrażenie zmieszanego, potem gestem zaprosił, żeby usiadła naprzeciwko niego. Nie usiadła, pozostała na stojąco. Dopiero kiedy on usiadł, poszła za jego przykładem. Nalał jej wina. Czerwonego. Nie tknęła go.

– Przykro mi z powodu Jess – zaczął. – Była z nas najlepsza.

Już sam dźwięk tego imienia był jak dźgnięcie nożem w serce. Tak łatwo było sobie wmawiać, że z czasem będzie lepiej, tak trudno przetrwać każdą kolejną godzinę.

– Dzisiaj była pierwsza rozprawa – oznajmił jej brat, zmieniając temat. – Może słyszałaś? W sądzie grodzkim. Maldonado i pięciu członków rodziny Faa pozostaną w areszcie do czasu rozprawy w sądzie koronnym. Odmówiono im wyjścia za kaucją.

Tymi szczegółami o sprawie próbował kupić sobie czas.

– A Ralph Wallace? – spytała. To był dobry pomysł. Zrobi tak samo.

– Za kilka dni. Prawdopodobnie będzie sądzony oddzielnie. Postępowanie dowodowe w jego przypadku wygląda zupełnie inaczej.

Isabel już wiedziała, że ciało pilota zostało odnalezione, wyciągnęli je z jeziora niedaleko miejsca zamieszkania rodziny Faa.

– Dziewczyna, którą Faa zabił na naszych oczach – pytała dalej. – Tego pierwszego dnia, rano. Czy...

Przerwał jej.

– Tego samego poranka do szpitala Newcastle General przywieziono młodą dziewczynę. Jej rodzina twierdziła, że miała wypadek podczas chodzenia po górach. Chirurgiem pobierającym narządy był Wallace, jej dokumenty się nie zgadzały.

– Czy ona żyła? Kiedy uciekłam, czy ona jeszcze żyła?

Nachylił się do niej, tylko trochę i tylko na sekundę. Kiedy zobaczył, że się odsuwa, znowu się wyprostował.

– Bella, nie mogłaś jej uratować. Nawet gdybyś zgłosiła, co widziałaś, nie wpadlibyśmy na to, żeby szukać tej dziewczyny na ostrym dyżurze w miejscowym szpitalu. Z chwilą, gdy dostała się w ręce tych ludzi, była stracona.

Isabel sięgnęła po kieliszek z winem, podniosła go i odstawiła. Minęły lata od ostatniego razu, gdy piła alkohol. Tak naprawdę to potrzebowała wody. Jeszcze nigdy nie zaschło jej w gardle aż tak bardzo. Ale nie chciała go o nic prosić.

– Pomyśl, że to wino mszalne, jeśli ci to pomoże. – Ned próbował się do niej uśmiechnąć. – Chociaż chyba powinienem ci uzmysłwić, że przepisy odnoszące

się do prowadzenia po spożyciu w ostatnich dwudziestu latach znacznie się zaostrzyły.

Znów sięgnęła po kieliszek, przyglądała się, jak ciemnoczerwony płyn obmywa jego ścianki. Wino mszalne pije się małymi łydkami z dużego srebrnego kielicha, który zawsze wydaje się zimny jak lód. To wino było ciepłe, czuła to przez szkło.

– Ale za to udało nam się w tym tygodniu uratować grupę ludzi uwięzionych w przyczepach kempingowych stojących na placu pod Stiling – poinformował ją brat. – Byli wygłodzeni, chorzy, wyczerpani, ale teraz już nic im nie grozi. Prawdopodobnie miał ich spotkać ten sam los co poprzednich.

– To dobrze. Nie, że byli chorzy i wygłodzeni. Że ich znaleźliście. I że są teraz bezpieczni.

Uśmiechnął się szeroko.

– Tak, są.

Podniosła kieliszek do ust. Wino zupełnie nie przypominało tego słodkiego rozwodnionego, które siostry piły podczas komunii. To było esencjonalne, z posmakiem dymu, tak gęste, że kleiło się do zębów. Poczula, jak jego ciepło rozgrzewa jej serce.

– Wiem, co myślisz, że zrobiłem – oznajmił nagle Ned.

Jej dłoń drżała, gdy odstawiała kieliszek. A więc zajmą się tym teraz, tutaj, dzisiaj. Nie była pewna, czy jest na to gotowa.

– Jak wróciłem z wojska, poszedłem się zobaczyć z ciotką Brendą. Nie chciała mnie widzieć, nie chciała powiedzieć, gdzie jesteście, ty i Jessica. Nie mogłem tego zrozumieć.

Ciotka Brenda, ta silna kobieta o mocnym głosie, która wkroczyła i uratowała ją i Jessicę, kiedy ich cały świat się zawalił. Nie powinna musieć zmagać się z...

Nie mógł tego zrozumieć?

Ned sięgnął po swoje wino i też się napił. Mimo tego, co mówił o jeździe po alkoholu, to nie był jego pierwszy kieliszek. Butelka była opróżniona prawie do połowy.

– Kręciłem się po okolicy i tego samego wieczoru w pubie natknąłem się na wujka Roba – powiedział. – Był już podpity, zaczął się rzucać. Powiedział mi, co rzekomo zrobiłem, powiedział, że mnie powiesi, jeśli jeszcze raz się tam pokażę. Wyzwał mnie od najgorszych. Użył wyzwisk, które znałem, i kilku takich, które słyszałem po raz pierwszy nawet po czterech latach w wojsku.

Jego twarz zrobiła się czerwieńsza. Ręce mu się trzęsły. On też się denerwował. Mimo to...

Rzekomo zrobiłem?

Deszcz lejący się z nieba w zapadającym zmierzchu. Niewyobrażalny ból.

Maleńkie, śliskie zbite ciało zabrane od niej, zanim jeszcze zdążyła zapytać o pleć.

– Kilka lat później wytropiłem Jessicę – opowiadał. – Po wstąpieniu do policji to nie było trudne. Wiedziałem, że pracuje w stołecznej. Stałem z tyłu kościoła, kiedy brała ślub. Ciebie jednak nie byłem w stanie odnaleźć. Po jakimś czasie przestałem się torturować.

Nie słuchała go.

Rzekomo zrobiłem?

– Urodziłam dziecko – oznajmiła i poczuła przyływ emocji, która mogła, ale nie musiała być ulgą. Ulgą, że powiedziała to na głos po raz pierwszy w swoim życiu.

Po drugiej stronie stolika jej brat się skrzywił i na sekundę oderwał od niej wzrok, żeby spojrzeć na coś za jej plecami.

– Szesnaście lat i w ciąży – dodała. – Nie wierzę w niepokalane poczęcie. Ani przed dwoma tysiącami lat, ani dwadzieścia cztery lata temu. Ty mi to zrobiłeś, Ned, i nie pozwolę ci udawać, że to się nie wydarzyło.

– To nie byłem ja. To był tata.

Pustka. W jej głowie panowała pustka. Nie miała nic do powiedzenia. Nawet nie była pewna, czy dobrze usłyszała. Potem...

– Jak śmiesz...

Podniósł ręce, jakby chciał się od niej odgradzić. Nachylił się nad stolikiem i zaczął mówić cicho i z przejęciem. W jego oddechu czuła wino.

– Nic nie wiedziałem – zapewnił. – Przysięgam. Gdybym wiedział, coś bym zrobił. Nie wiem co, ale nie pozwoliłbym mu, żeby ci to robił.

Ona też się nachyliła tak blisko, że ich twarze były zaledwie kilka centymetrów od siebie.

– To nie był tata, tylko ty.

– Zastanów się, Bella. Wszyscy przechodziliśmy żałobę po mamie. Wszyscy byliśmy załamani. A potem ta, zdawałoby się, jedyna osoba, na której mogłaś polegać, zaczęła to robić. To był mechanizm obronny. Nie chciałaś uwierzyć, że tata mógł być zdolny do czegoś tak obrzydliwego, więc dokonałaś projekcji na kogoś innego. Niewiele lepszego kandydata do czegoś takiego, przyznaję, ale zawsze. Przynajmniej nie był to ojciec.

– Miałam szesnaście lat. Piętnaście, kiedy to się zaczęło. Potrafiłam odróżnić ojca od brata.

– Na pewno? Byliście tego samego wzrostu, tej samej budowy, podobna karnacja, koloryt. Ciemny pokój. Przerażona dziewczyna. Jesteś pewna?

Nie.

– Dlaczego twoim zdaniem ten biedny łajdak się zabił, Bella? Nie mógł żyć z tym, co zrobił.

Nie pozwoli mu na to. Nie da się zwieść. Nic, co mówi, się nie liczy.

– Mogę to udowodnić – oznajmił.

– Jak?

Sięgnął do kurtki. Z wewnętrznej kieszeni wyciągnął płaską białą kopertę. Odebrała ją i wyjęła pojedynczą kartkę.

Zaświadczenie przeprowadzenia testu na ojcostwo

Pierwsza linijka była krótka, druk pogrubiony, numer referencyjny. Druga wymieniała numer próbki, potem imię i nazwisko rzekomego ojca: „John Edward Jones”. W trzeciej był kolejny numer próbki, potem imię i nazwisko...

Poderwała oczy w górę, żeby spojrzeć na brata.

– Wiem – mruknął. – Czytaj.

Imię i nazwisko dziecka: Adam Rupert Townsend, urodzony 15/10/1992

Kartka wypadła jej z rąk.

– Ty... On...

– Bella, musisz to przeczytać.

Większą część strony zajmowała tabela. Trzy kolumny. Litery i liczby. Jakieś porównanie. Nic jej to nie mówiło.

Mimo istnienia podobieństw sekwencji DNA wyklucza się, aby pan Jones był biologicznym ojcem Adama Ruperta Townsenda. Wykluczenie opiera się na fakcie niewykrycia w procesie badania występowania u badanego markerów genetycznych, które musiałyby być obecne u biologicznego ojca Adama Ruperta Townsenda. Chociaż występuje duże prawdopodobieństwo bliskiej relacji rodzinnej, zostało praktycznie potwierdzone, że pan Jones nie jest biologicznym ojcem Adama Ruperta Townsenda.

Zaświadczenie podpisało dwóch lekarzy.

Wszystko się zmieniło. Ponura pewność, którą nosiła w sercu przez ponad dwadzieścia lat, została zmiażdżona jak lód pod rozpędzonym autem. A jednak liczyło się tylko jedno.

– Widziałeś go? Spotkałeś? Musiałeś, żeby to wszystko zrobić.

– Bella, rozumiesz, co tam jest napisane? Przeprowadziliśmy drugie badanie, tylko że tym razem Adama. Jego DNA jest szczególne na tyle, że można ustalić, że prawie na pewno jest dzieckiem poczętym ze... nie ma jak łatwo tego powiedzieć... stosunku kazirodczego. Jego biologiczny ojciec był również jego biologicznym dziadkiem.

– Adam. Ma na imię Adam?

Ned przeciągnął ręką przez włosy.

– Martwiłem się, jak on to przyjmie. Niełatwo obarczać czymś takim dziecko, ale był dość otwarty. Sam powiedział, że jak się jest adoptowanym, to się wie, że coś w twojej przeszłości musi być nie do końca w porządku.

Isabel już dłużej nie słuchała brata. Wpatrywała się w imię na kartce. Adam.

Adam Rupert Townsend. Urodzony piętnastego października. Pamiętała, że okropnie wtedy padało. Tak jak dzisiaj. Deszcz zalewał szpitalne okna, wlewał się do rynien ściekowych, wylewał na ulicę. Świat był jednym wielkim pędzącym potokiem w dniu, w którym jej syn pojawił się w jej życiu. Na krócej niż godzinę.

Za jej plecami drzwi restauracji otworzyły się, przez chwilę odgłosy burzy na zewnątrz dobiegały do nich głośniejsze.

– Z agencją adopcyjną nawiązałem kontakt, kiedy wiedziałem, że niedługo skończy osiemnaście lat – wyjaśniał Ned. – Miałem szczegółowe dane z ich systemu. Były tam, w razie gdyby kiedyś chciał odnaleźć rodzinę biologiczną. Nie został już nikt. Brenda i Rob nie żyli. Jessica nic nie wiedziała, a co do ciebie, to nie mieli pojęcia, gdzie jesteś.

Adam. Jej syn ma na imię Adam.

– Odezwał się do mnie – ciągnął Ned. – Należy do mojej rodziny już od czterech lat. Ale to ty jesteś tą, na którą czekał.

Przełknęła ślinę.

– Czy on wie? Wie, że mnie znalazłeś?

– Tak – powiedział głos za nią. Głos, którego nigdy wcześniej nie słyszała, a jednak rozpoznała go od razu.

Odwróciła głowę i spojrzała w górę. Obok niej stał młody mężczyzna, ten ze stolika pod oknem. Ten z oczami Jessiki.

Podziękowania

Serdeczne podziękowania dla:

Mojego syna, Hala, za to, że zachował spokój, gdy oboje zgubiliśmy się w Parku Narodowym Northumberland. Moich rodziców, Pata i Vinny, że zachowali spokój na Świętej Wyspie w czasie nagłego i szybkiego przyływu. Mojej teściowej, Jeanette, za spokój w Yorku, gdy musiała brodzić po zalanych deszczem ulicach, i jeszcze wtedy, gdy utknęła w pułapce na miejskich murach. Mojemu mężowi, Andrew, za spokój przez cały czas. Gdybym ja potrafiła być spokojna, może nie potrzebowałabym nikogo z nich. Ale ponieważ nie potrafię, to ich potrzebuję.

Pełne wdzięczności podziękowania dla:

Richarda Allana za informacje o tym, jak latają balony i jak się rozbijają. Adriana Summons (po raz kolejny) za kwestie policyjne. Denise Stott i Mary Frew za szczegóły medyczne. (Bajecznie krwawo tym razem, moje panie, świetna robota!) Rosie Buckman za przekład niemiecki (i za sprzedaż moich książek za granicą) i Jacqui Socrates (i jej mamy) za zagwarantowanie, że polski Jessiki jest wiarygodny. Kate i Jill z Kick Marketing, które bezwzględnie doprowadziły mnie w tym roku do formy.

Ciepłe podziękowania dla:

Mojej przyjaciółki Belindy Bauer, dzięki której zachowuję zdrowie psychiczne na co dzień. Dla tych, którzy regularnie odwiedzają miejsca zbrodni.

Dozgonne dzięki:

Anne-Marie Douulton z The Ampersand Agency. Wydawnictwu Transworld Publishers.

Przypisy

^[1] *Kto męstwo ujrzeć chce*, wiersz Johna Bunyana, tłumacz nieznany (przyp. tłum.).

^[2] HLA – ludzki antygen leukocytarny (przyp. tłum.).

^[3] Imiona pawi w oryginale to zabawa słowna, wszystkie po angielsku mają przedrostek „pea”, tak jak w słowie „peacock”, po polsku „paw”. Peasoup – po polsku grochówka (przyp. tłum.).

^[4] Bram Stoker w 1897 roku napisał powieść *Drakula*. Część akcji toczy się w Whitby (przyp. tłum.).

